

BERNARD  
CORNWELL



SANKCJA

**BERNARD  
CORNWELL**

# **SANKCJA**

Przełożyła  
**AGNIESZKA JACEWICZ**



**SENSACJA**

Tytuł oryginału CRACKDOWN

Ilustracja na okładce BOB CORLEY

Redakcja merytoryczna MARIA MAGDALENA KWIATKOWSKA

Redakcja techniczna ANNA WARDZAŁA

Korektor JADWIGA PILLER

Copyright © 1990 by Bernard Cornwell The moral right of the author has been asserted.

For the Polish edition Copyright © 1995 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-758-6

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1995.

Wydanie I

Druk: Zakłady Graficzne w Gdańsku

# Część 1

Śmierci nie da się oszukać. Nie jest złudzeniem. Nie rozplywa się w powietrzu. Przeciwnie, jest czymś bardzo realnym, czymś, co zawsze nas zaskakuje.

Takim właśnie zaskoczeniem było dla mnie spotkanie z Hironnelle, wycieczkowym jachtem, pięknym jedenastoipółmetrowym słupem. Pięknym i martwym.

Tego ranka, gdy odkryłem Hironnelle, stanowiła już tylko unoszący się na powierzchni wrak. Jej kadłub był tak zanurzony, że przeoczyłbym jacht, gdyby nie to, iż w błyszczącym pokładzie odbijało się słońce. Byłem tak zmęczony, że mało brakowało, a wziąłbym to za odbłask puszki po piwie unoszącej się na powierzchni morza. Coś jednak kazało mi sięgnąć po lornetkę. I wtedy zobaczyłem ją: martwą zjawę kołysaną uderzeniami krótkiej, porannej fali.

Nie dostrzegłem nikogo na pokładzie jachtu. Byłem naprawdę zmęczony. Miałem ochotę dać ster lekko w prawo i wyminąć go, jak przepływa się obok jakiegoś pływającego śmiecia, który po kilku chwilach znika z pola widzenia i o którym pamięta się najwyżej kilka godzin. Jednak ciekawość, a także poczucie obowiązku, nie pozwoliły mi zignorować Hironnelle. Być może, gdzieś na jej pokładzie znajdował się jakiś ranny marynarz. Musiałem to sprawdzić.

Nie było ani stromej fali, ani porywistego wiatru, które mogłyby utrudniać wejście na częściowo zatopiony kadłub. Przeciwnie, był to spokojny i pogodny poranek, stanowiący doskonale zakończenie tropikalnej nocy, podczas której zmierzaliśmy na północ. Wavebreaker szedł pod pełnymi żaglami. Postawiliśmy:

kliwer, sztaksel, fok, grot i oba marsie. Nasz jacht wyglądał imponująco i zarazem pięknie w świetle wschodzącego słońca. Stałem dziobem do wiatru i włączyłem elektryczne zwijanie żagli. Wciąż jeszcze czułem się dziwnie żeglując łodzią, na której wszystko było zmechanizowane, zelektryfikowane, bądź też skomputeryzowane. Jako żeglarz miałem skromniejsze wymagania, ale tak się złożyło, że zatrudniono mnie w charakterze szypra na tym właśnie jachcie. Wavebreaker był luksusowym szkunerem i wynajmujący go ludzie spodziewali się, iż będzie na nim przynajmniej taka ilość urządzeń jak na statku kosmicznym.

Tego ranka, gdy zobaczyłem Hirondelle, nie mieliśmy na pokładzie żadnych gości. Trzy osoby stanowiące załogę Wavebreakera przez ostatnie cztery tygodnie pływały wokół wybrzeży Andros, ponieważ tam właśnie wynajęto nasz jacht, aby nakręcić telewizyjną reklamę pożywienia dla kotów. Pomysł był taki, że bardzo bogaty kot wynajmuje sobie jacht, aby przemierzać oceany w poszukiwaniu najsmaczniejszych ryb, aż w końcu odkrywa, że wszystko czego szukał, znajduje się w puszkach Pussy-Cute Cat Food. Reklama ta z pewnością kosztowała Pussy-Cute miliony dolarów. Na pokładzie Wavebreakera aż roiło się od kamerzystów, projektantów, scenarzystów, osób zajmujących się kotami, osób zajmujących się rybami, producentów, charakteryzatorek, fryzjerek, jak również przyjaciółek, przyjaciół i sympatii wszystkich osób związanych z produkcją. Poważni dorośli zawzięcie klócili się o szczegóły reklamy. Nawet mnie, odpornego na dziwactwa świata filmowego, zdołali zaskoczyć, kiedy sprowadzili z Nowego Jorku jakiegoś starszego aktora, aby naśladował kocie „miau”, gdyż głos prawdziwego kota wydawał im się za mało autentyczny. Aktor ten, wchodząc na pokład Wavebreakera, spojrzął na mnie zdziwiony, a następnie, choć nigdy wcześniej nie spotkaliśmy się, rozłożył ramiona w powitalnym geście.

– Kochany, Tom! – Nazwał mnie imieniem mego ojca. Uśmiechnąłem się nieznacznie i sprostowałem, iż jestem synem Toma Breakspeare'a.

– Oczywiście! – stwierdził aktor. – Do złudzenia go przypominasz! Pozdrów ode mnie tego starego łotra. – Każdy znał mego ojca i każdy pragnął powiedzieć mi, jak bardzo go podziwia. Wszyscy powtarzali, że jestem do niego podobny, ale

niewielu miało odwagę spytać, która z jego żon była moją matką.

Na szczęście całe to przedstawienie z dramatycznymi miauknięciami skończyło się, a Wavebreaker zmierzał na Grand Bahama, do swego portu macierzystego, gdzie za dwadzieścia cztery godziny miał rozpocząć swój ostatni czarter w tym sezonie. Wtedy właśnie na horyzoncie pojawiła się Hironnelle, zakłócając spokój poranka.

Byłem sam na pokładzie, gdy ją zauważyłem. Ellen spała w kabinie na rufie, a Tesy chrapał w jednej z kajut dziobowych, przeznaczonych dla klientów. Jedynie gdy byliśmy sami na jachcie, mogliśmy korzystać z tych klimatyzowanych luksusów. Nasza broszura reklamowa zachwalała „prawdziwy morski smak tropikalnych rejsów”, choć żegluga na Wavebreakerze była akurat tak samo autentyczna jak „miau” z Pussy-Cute.

Tesy, zaalarmowany odgłosem zwijania żagli, pojawił się na pokładzie. Jasne światło dnia sprawiło, że musiał zmruznąć oczy. Ze zdumieniem obserwował biały kadłub wypełniony wodą, sunący wolno po naszej zawietrznej. Byliśmy teraz wystarczająco blisko, aby z pawęży wraku móc odczytać jego nazwę oraz port macierzysty: Hironnelle, Ostenda. Niewielkie fale rozbijały się o burtę na wysokości niebieskiego napisu. Jacht ten przebył bezpiecznie cały Atlantyk ze swego ponurego portu na Morzu Północnym aż do słonecznych, niemal rajskich wód przybrzeżnych wysp Bahama tylko po to, by spotkał go taki koniec.

A był to dla Hironnelle koniec naprawdę okrutny. Łódź nie miała masztu i ciągnęła za sobą splątany takielunek. Dach kabiny i pokład były podziurawione tak gęsto, że gdzieśgdzie skupiska otworów tworzyły ciemniejsze kratero postrzępionych brzegach. Wyglądało to tak, jakby ktoś ze świdrem wpadł w szal. Później zauważyłem błysk mosiądzu w lukach odpływowych. Zdałem sobie sprawę, że patrzę na dziury po kulach. Hironnelle ostrzelano z broni maszynowej. Pomimo licznych dziur wciąż utrzymywała się na wodzie, ponieważ poszczególne warstwy włókna szklanego oddzielono warstwą pianki, która wypełniała także każdą wolną przestrzeń kadłuba. To właśnie pianka utrzymywała łódź na powierzchni mimo całego balastu, ciężaru silnika, podnośników oraz kuchni.

– Pomóż mi przy skifie – poprosiłem Tesy'ego.

– Sądysz, że ktoś może być na pokładzie? – zapytał. Po jego głosie poznałem, że jest tak samo zdenerwowany jak ja. Bóg jeden wiedział, co kryły kabiny Hiron-delle.

Wspólnie odwiązaliśmy skifa, podczepionego do podnośnika na rufie. Wsiadłem do niego, a Tesy kierował urządzeniem, które spuściło łódkę na wodę.

Na pokład wyszła Ellen w koszulce z wizerunkiem Kubusia Puchatka, w której zwykle spała. Ziewnęła i chmurnie spojrzała na belgijski jacht.

– Hej! – zawołałem wesoło.

Obdarzyła mnie równie chmurnym spojrzeniem, ale nie odpowiedziała. Nigdy nie miała dobrego humoru z samego rana.

Uruchomiłem skifa i podpłynąłem do wraka jachtu. Z bliska zauważyłem, że dziury w podwodnej części kadłuba pochodziły od kul, które musiały zostać wystrzelone z wnętrza jachtu. Świadczyły o tym wychodzące na zewnątrz drzazgi wokół otworów. Pod wodą jacht wyglądał jak gigantyczny jeżowiec o czerwono-białych kolecach ze szklanego włókna.

Przycumowałem skifa do jednego z uchwytów na Hiron-delle, wspiąłem się na przedni pokład i ostrożnie uniosłem to, co zostało z pokrywy luku przedniego, chcąc zajrzeć do kabiny dziobowej. Spodziewałem się, że zobaczę jakiegoś trupa, a tymczasem nie było tam nic, prócz brudnej wody wypełniającej kabinę prawie do poziomu pokładu. Żadnego śladu krwi w wodzie, tak przynajmniej mi się zdawało. Przesunąłem się w kierunku rufy i zszedłem do zalanego kokpitu. Zdobyłem się na odwagę, by zajrzeć do głównej kabiny, ale niepotrzebnie się obawiałem, gdyż podobnie jak w kabinie na dziobie, nie znalazłem żadnych śladów horroru, który prawdopodobnie rozegrał się na łodzi. Na Hiron-delle nie było nic, prócz jakichś drobnych resztek, które sprawiały, że woda w kabinie wyglądała jak ściek. Gdy moje oczy przyzwyczaiły się do półmroku, wpływającym świnstwie rozpoznałem rozmokłe płatki kukurydziane, pojedyncze papierosy oraz mnóstwo skrawków pianki, które prawdopodobnie oderwały się od poszycia kadłuba na skutek strzałów. Był tam także plastikowy kubek, kilka drewnianych wieszaków, złamany ołówek, czerwona koszula oraz rozmokła mapa. Na krawędzi pokrywy widniała plama czegoś, co wyglądało jak krew, ale równie dobrze mógł to być zaciek farby.



– Co się tam stało? – krzyknęła Ellen. Wavebreakera zdryfowało tak blisko Hironnelle, że znajdowałem się teraz w cieniu rzucanym przez olbrzymi kadłub szkunera.

– Bóg jeden wie... – Wyciągnąłem z wody nędzne resztki mapy.

– Chcesz tę łódź ratować? – Ellen wychyliła się za nadburcie. W świetle wschodzącego słońca jej rude włosy zdawały się płonąć.

– Jej nie da się już uratować! – zawołałem. Wypełniona wodą Hironnelle była zbyt ciężka, by Wavebreaker mógł wziąć ją na hol, a nie miałem ani czasu, ani odpowiedniego sprzętu, by połatać kadłub i wypompować z niego wodę. Poza tym uszkodzenia wyglądały tak poważnie, że żadna stocznia nie podjęłaby się remontu tej łodzi. Była ona nie tylko zryta seriami kul, w pokryciu pokładu zauważyłem też liczne ślady uderzeń siekiery. Remont nie miałby sensu. Hironnelle z pewnością wyglądała niegdyś pięknie, ale ktoś chciał ją najwidoczniej zniszczyć.

Wrzuciłem mokrą mapę do skifa i zawróciłem, by sprawdzić, czy jest jeszcze coś, co powinienem zabrać. Nie szukałem bynajmniej skarbów, raczej czegoś, co pozwoliłoby ustalić, kto był właścicielem jachtu, bądź też domyślić się przyczyny jego zniszczenia. Nic nie znalazłem, ale wychodząc na pokład, nastąpiłem bosą stopą na coś masywnego i ostrego. Schyliłem się, aby sprawdzić, na co natrafiłem. Były to łuski od naboń, niektóre mosiężne, inne stalowe, lakierowane na zielono, kalibru 7.62, takiego samego, jakiego używa się w wojsku. Kiedyś uczestniczyłem w wykładach na temat Układu Warszawskiego (z których większość zresztą przepalałem) i o ile się nie myliłem, mówiono tam, że tylko w niektórych krajach Europy Wschodniej lakieruje się stalowe naboje na zielono.

To wszystko zdawało się nie mieć żadnego sensu. Belgijski jacht na wodach wokół wysp Bahama, podziurawiony kulami, jakich używają wojska Układu Warszawskiego. Jedyne, czego byłem pewien: ktoś stał w kokpicie i strzelał w dół, chcąc rozwalić dno łodzi i zatopić ją. Nie przewidział jednak, że pianka między warstwami poszycia kadłuba i tak utrzyma jacht, albo raczej to, co z niego zostało, na powierzchni wody.

Tesy włączył silniki Wavebreakera, ponieważ wiatr pchał go za bardzo na Hironnelle. Woda za rufą jachtu spieniła się i szkuner odplłynął na bezpieczną odległość. W Hironnelle, która dotąd znajdowała się w jego cieniu, uderzyło oślepiające poranne słońce.

Jasne promienie przeniknęły przez dziury w dachu kabiny i przeszły mroczne i zaśmieczone wnętrze łodzi. Nie wiedziałem, czy powinienem dalej przeszukiwać kabiny. Zdecydowałem, że lepiej zostawić to policji.

Wrzuciłem garść łusek do skifa i po zalanym wodą pokładzie przeszedłem w kierunku dziobu. Podniosłem cały, o dziwo, bosak i do jego końca przywiązałem czerwoną koszulkę. Tę prowizoryczną flagę wetknąłem w jeden z otworów po kulach, aby wrak był widoczny dla kogoś przepływającego w pobliżu. Potem przyniosłem się z powrotem na skifa. Czułem się dziwnie nieswojo. Kiedy widziałem, jak ludzie bezmyślnie potrafią niszczyć różne rzeczy, zawsze ogarniało mnie przygnębienie. Szczególnie, gdy zniszczono tak piękną łódź.

Wróciłem na Wavebreakera. Kiedy Tesy klarował skifa, wezwałem przez radio straż przybrzeżną Królestwa Bahamów. Podąłem naszą pozycję oraz wspomniałem, że Hirondele stanowi zagrożenie dla jachtów żeglujących w tym regionie. Potem sądząc, że spełniam swój obowiązek, zawiadomiłem straż o odkryciu łusek po nabojach. Podejrzywałem, że załogę belgijskiego jachtu spotkał podobny los jak samą łódź. Niestety, obsługujący radio oficer nie wydawał się zainteresowany całą sprawą.

Ellen, przebrana w szorty i koszulkę, weszła akurat na sam, koniec mojej relacji.

- Niepotrzebnie tracisz czas – stwierdziła.
- Dlaczego?
- Dlaczego?! Co według ciebie stało się z tą łodzią? – spytała zgryźliwie. – Myślisz, że chodzi tutaj o coś tak prostego jak oszustwo podatkowe albo próbę pozbycia się niewygodnego śmiecia? – umilkła, czekając na odpowiedź, ale ja nie odzywałem się. – Narkotyki! – stwierdziła w końcu.
- Nie wiesz nic na pewno – zaprotestowałem.
- Och, Nick! – zirytowała się Ellen. – Jesteśmy na Bahamach! Ktokolwiek był na tej łodzi, okazał się na tyle głupi, by wplątać się w jakiś narkotykowy interes, a ty będziesz równie głupi, jeżeli nie zapomnisz natychmiast o całej tej sprawie. Powinieneś wywalić za burtę tę mapę i łuski.
- O nie, zamierzam przekazać je odpowiednim władzom – odparłem.

– Chroń mnie Panie Boże przed ograniczonymi facetami – westchnęła Ellen, odwracając się w kierunku kuchni. – Chcesz kawy?

– Głównym celem straży przybrzeżnej jest zapewnienie wszystkim bezpiecznej żeglugi w rejonie Bahamów – stwierdziłem pompatycznie.

– Tak, tak! – Ellen zaśmiała się, wlewając wodę do czajnika. Tesy został na pokładzie. Postawił już żagle i tkwił teraz przy sterze. Rzuciłem okiem na kompas magnetyczny. Znowu zmierzaliśmy na północ. Ellen włączyła kuchenkę i odkręciła pokrywkę słoika z kawą.

– Tak naprawdę, celem straży przybrzeżnej tych wysp jest udawanie zaangażowania w zwalczanie narkotyków. Zachowanie pozorów. Rozumiesz? – Dla podkreślenia swoich słów wymachiwała łyżeczką. – Muszą jakoś zapewnić sobie poparcie rządu amerykańskiego. Gdyby nie Amerykanie, którzy wybierają Bahamy jako bezpieczny cel wakacyjnych wypraw, turystyka i hazard, dwa główne źródła dochodu zaraz po narkotykach, przestałyby przynosić korzyści. – Uśmiechnęła się triumfalnie jak ktoś, kto przedstawił właśnie niezбитy argument. – Tak więc nikt nie będzie ci dziękował za to, że zwiedziłeś ten podziurawiony jacht. To jest antyreklama dla tych wysp.

– Dzięki za wyjaśnienia, pani profesor – powiedziałem sarkastycznie.

Skrzywiła się. Pani doktor Ellen Skandinsky nie lubiła, kiedy jej przypominano, że zrezygnowała z profesury na uniwersytecie tylko po to, aby wyruszyć w morze. Zawsze twierdziła, iż to z jej strony poświęcenie, ale sądzę, że przyczyną była raczej obawa przed nudą i pompatycznością środowiska akademickiego. Ellen zapewne przysięgałaby, że chce poznać smak „prawdziwego życia”, aby później móc zrealizować swe ambicje zostania pisarką. Tym „prawdziwym życiem” Ellen okazała się kawalerka bez ciepłej wody, w okolicy Straw Market, oraz bezpłatna praca w stowarzyszeniu realizującym program: „Edukacja dla Wszystkich”. Pieniądze zarabiała jako kuk na jachtach. Było to zajęcie tak sprzeczne z jej wcześniejszymi doświadczeniami i feministycznymi poglądami, iż nawet samą Ellen zaskakiwał fakt, że ta praca jej odpowiada. Dziwiło ją, jak sądzę, jeszcze to, iż z biegiem czasu zostaliśmy przyjaciółmi. Tylko przyjaciółmi, ale na tyle bliskimi, żeby zastanawiała się, czyby nie wybrać się ze mną w rejs dookoła świata. Nie na Wavebreakerze, ale na mojej własnej łodzi, którą musiałem jeszcze wyremontować.

Doszedł mnie charakterystyczny odgłos. Domyśliłem się, że Tesy włączył automatycznego pilota. Chłopak zszedł pod pokład, trzymając w ręku mapę, którą zabrałem z Hironnelle, a potem rozłożyłem na pokładzie Wavebreakera, aby przeszła. Porwany papier nadal był trochę wilgotny.

– Nick? – W głosie Tesy'ego brzmiała konsternacja. – Wiesz, gdzie oni byli dwa dni temu? – Miał trochę dziwny akcent, inny niż mieszkańcy Bahamów. Był chudym siedemnastolatkiem. Wyglądał jak kot, któremu mokre futerko przykleiło się do wychudzonych boków. Pełnił funkcję pierwszego i jedyne go oficera na Wavebreakerze jak również obowiązki stewarda, chłopca okrętowego i kuchcika. Naprawdę nazywał się Tesalonik i, jak wskazywało na to jego imię, zaczerpnięte z Nowego Testamentu, był bardzo pobożny. – Popatrz, Nick – wskazał miejsce na mapie, którą rozłożył na kuchennym stole. – Znajdowali się tam zaledwie dwa dni temu.

Tylko dwa dni!

Morska woda nie zdołała usunąć z mapy oznaczeń zrobionych ołówkiem. Na Hironnelle żeglował ktoś, kto był bardzo skrupulatnym nawigatorem. Linie prowadziły z No Name Bay na południe od Miami, przecinając Prąd Zatokowy, aż do Bahamów. Większą część kursu nawigator przebył, nie sprawdzając pozycji jachtu. Wyraźnie widziałem, w którym miejscu zauważył, że nie wziął wcześniej pod uwagę siły Prądu Zatokowego, i został zepchnięty nieco w kierunku północnym. Odchylenie od założonego kursu nie było wielkie, zaledwie pięć mil morskich. Według oznaczeń na mapie, Hironnelle okrążyła Bimini od strony południowej i żeglowała w kierunku małej wysepki o wdzięcznej nazwie Murder Cay, czyli Mordercza Rafa, znajdującej się między Bimimis a Berrys. Tu kończyły się zapiski nawigatora. Zanotował datę i czas przybycia Hironnelle w to miejsce, ale nie było żadnych linii czy zapisków, które świadczyłyby o tym, iż łódź opuściła Murder Cay.

Nigdy dotąd nie zauważyłem tej wyspy na mapie, choć jej nazwa raczej rzucała się w oczy. To bardzo mała wysepka, niewielki punkt w odległości około trzydziestu mil na południowy wschód od obecnej pozycji Wavebreakera. Stamtąd właśnie prądy morskie i wiatr zdryfowały wrak jachtu aż do wybrzeży Bahamów.

W locji nie znalazłem wyspy o nazwie Murder Cay.

– Szukaj Sister Island – zasugerowała Ellen. Wyglądało to na nieco

przewrotną propozycję, ale przewrotność Ellen była zwykle uzasadniona. Sprawdziłem Sister Island. Okazało się, że to nowa nazwa Murder Cay. Księża nie podawała żadnej przyczyny zmiany nazwy, choć musiało to przysporzyć sporo kłopotów mieszkańcom tej niewielkiej wysepki. Sister Island miała trzy mile długości i nie więcej niż pół mili szerokości. Na najbardziej na południe wysuniętym cyplu znajdowała się latarnia morska. Locja informowała, że światło powinno migać trzy razy co piętnaście sekund, ale przestrzegła jednocześnie, iż raczej nie należy na to liczyć. Wyspę otaczał pierścień raf koralowych o nazwie Devil's Necklace, czyli Naszyjnik Diabła. Zastanawiałem się, któremu żeglarzowi to miejsce dało się we znaki do tego stopnia, iż nadał mu tak ponurą nazwę. Od strony zachodniej ku wyspie wiodło między rafami wąskie, nie oznaczone przejście. Najłatwiej można było zlokalizować to miejsce, biorąc namiar na maszt radiowy, który stał naprzeciw przesmyku, oznaczony czerwonymi światłami. Na wyspie znajdował się jeszcze pas startowy, ale na wyznaczające go białe i zielone światła nie należało liczyć, podobnie jak na światło latarni. Wschodnia część laguny stanowiła dobre schronienie dla jachtów, niestety, locja podawała, że na wyspie nie ma żadnych udogodnień dla żeglarzy. Było to równoznaczne z ostrzeżeniem, aby trzymali się z dala od Murder Cay. Mimo to ołówkowe oznaczenia na mapie z Hironnelle wiodły dokładnie w tamto miejsce i tam się kończyły.

– Rząd uznał, że poprzednia nazwa zniechęcała turystów – stwierdziła Ellen. Zabrzmiało to tak, jakby bagatelizowała wnioski płynące z oznaczeń na mapie.

– Może wypiarze zastrzelili załogę – powiedziałem niepewnie. Pomimo braku załogi i walających się wszędzie łusek po nabojach, nie wierzyłem, że na Murder Cay dokonano morderstwa. Chciałem, aby wyjaśnienie tej sprawy okazało się proste i zwyczajne. W ogóle zawsze pragnąłem, żeby całe życie było proste i zwyczajne. Być może dlatego, że wychowałem się w domu, w którym ciągle coś mnie zaskakiwało i szokowało. Uciekłem stamtąd i wstąpiłem do marynarki. Marynarze nauczyli mnie, jak być twardym, przeklinać, bić się i pić, nie nauczyli mnie tylko cynizmu i nie zlikwidowali mojego pragnienia, aby życie było proste i dawało się w prosty sposób wyjaśniać.

– A może to tylko wypadek? – dodałem.

- Cokolwiek się wydarzyło – odparła Ellen szorstko – to nie twoja sprawa.
- No i pan McIlvanney ostrzegął, aby trzymać się z dala od tej wyspy! – dodał Tesy.

Niczego takiego sobie nie przypominałem, więc Tesy schylił się do jednej z półek pod stołem z mapami i wyciągnął stamtąd zieloną kartkę od McIlvanneya. Bardzo rzadko czytałem jego „Informacje dla Żeglarzy” i najwidoczniej przeoczyłem to krótkie ostrzeżenie: „Trzymać się z dala od Sister Island. Królewskie Siły Obronne Bahamów ostrzegają, że nowi właściciele wyspy nie życzą sobie, aby ktokolwiek tamtędy przepływał. Nie chciałbym stracić żadnej z moich łodzi, tak więc aż do odwołania WSZYSTKIE jachty czarterowe Cutwater mają się trzymać na odległość CO NAJMNIEJ pięciu mil morskich od Sister Island”.

Przypomniałem sobie zrytą kulami Hirondelle.

- Łajdaki – powiedziałem cicho.
- To nie nasza sprawa – powtórzyła Ellen.

Raz jeszcze spojrzałem na informację od McIlvanneya.

- Sądziysz, że ci nowi właściciele wyspy siedzą w narkotykach? – zapytałem.

Ellen westchnęła. Jej długie westchnienia były zwykle wyrazem dezaprobaty wobec tej mniej inteligentnej męskiej połowy świata.

- A w czym? Według ciebie szmuglują części samochodowe albo papier toaletowy? Pewnie, że chodzi o narkotyki, ty filozofie. I właśnie dlatego nie powinniśmy się w to wtrącać.

– Przecież nie twierdziłem, że chcę się w to wtrącać – powiedziałem w swojej obronie.

- No to wyrzuć te łuski i mapę za burtę – stwierdziła Ellen lakonicznie.
- Powinna to zobaczyć policja – upierałem się.
- Och, jesteś głupi, Nicholasie. – Uwaga Ellen nie brzmiała obraźliwie.
- Już podałem straży przybrzeżnej pozycję wraku – stwierdziłem.

Ellen znowu westchnęła z ubolewaniem.

- Nie wiesz o tym, że błędni rycerze przegrywają ze smokami? Zawiadomiłeś ich i daj sobie z tym spokój! Zapomnij o mapie, zapomnij o łuskach. To już koniec! Żadnych bohaterских czynów.

Na pewno chciała dobrze, ale ja po prostu nie mogłem wymazać z pamięci obrazu Hirondelle. Jakiś zły wiatr wkradł się do tego rajy plaż, lagun, wysp i palm. Uważałem, że ta porwana mapa z nakreślonym ołówkiem kursem powinna trafić w ręce władz. Pomiąłem milczeniem cyniczne, ale z pewnością rozsądne uwagi Ellen, i poszedłem do steru. Wavebreaker przecinał powierzchnię morza pozostawiając za sobą białą linię kilwateru. Daleko na zachodzie zauważyłem amerykańskie okręty wojenne, które przeprowadzały na Bahamach próbę operacji zwanej *Stingray*. Widok tej flotylli przypomniał mi czas spędzony w marynarce. Poczulem dziwną zazdrość. Ci marynarze trenowali na ciepłych morzach, prawie że pod palmami. Ja uczyłem się marynarskiego rzemiosła w norweskim deszczu ze śniegiem i szkockim śniegu. Ale to przeszłość. Teraz jestem wolnym człowiekiem. Został mi już tylko jeden rejs czarterowy, a później mogłem skończyć naprawę łodzi i pożeglować nią przez oceany.

Tak jak to zrobiła Hirondelle.

Tylko że ona trafiła na koralową wyspę Murder Cay i tam zakończył się jej kurs.

W południe weszliśmy do portu. Był upał. Przy kei cumowało niewiele łodzi. Bowiem w środku sezonu czarterowego większość jachtów Cutwater's pozeglowała na północ, bądź też została wynajęta do innych rejsów.

Wavebreaker również miał opłacony jeszcze jeden czarter. Na przystani McIlvanneya czuło się senną atmosferę upalnego lata. Nawet Stella – sekretarka McIlvanneya – która zwykle wytrzymywała największy skwar, wzięła dzień wolny, zamykając biuro. Musiałem iść do miasta, aby zadzwonić na policję i powiadomić ich o tym, co się stało z Hironnelle. Dodałem również, że zabrałem z wraku mapę i trochę łusek po nabojach. Policjant był zaskoczony tym, że chciało mi się do nich dzwonić. Wróciłem na keję z uczuciem, jakbym się wygłupił.

Ellen śmiała się z mojej skrupulatności.

– Policjanci już na pewno ostrzą miecze i ładują muszkiety – kpiła. – Zaraz wyruszą na Murder Cay.

– Nic nie wspominałem o Murder Cay. Powiedziałem im tylko, że łódź ostrzelano i że zabrałem stamtąd mapę.

– Teraz, kiedy sam rozprawiłeś się z całym gangiem bandziorów, może zrobiłbyś coś pożytecznego, na przykład wyszorował pokład?

Mieliśmy tylko jeden dzień na przygotowanie Wavebreakera do ostatniego rejsu. Trzeba było uzupełnić zapasy paliwa i żywności, odkurzyć dywany, rozłożyć w zębie trutkę przeciw szczurom i karaluchom, idealnie wyczyścić kuchnię i wypolerować wszystkie metalowe części jachtu.

Było wczesne popołudnie i wyglądało na to, że zdążymy ze wszystkim na czas. Wtedy na przystani pojawił się Bellybutton – bosman Cutwater Charters. Miałem



nadzieję, że przyszedł nam pomóc, ale on tylko zawiadomił, że jeden z jachtów ma problemy.

– Zawiadomili nas przez radio, że zepsuł im się silnik – mruknął. – Szef kazał ściągnąć tych idiotów Starkisserem.

Udawał, że niechętnie wykonuje polecenie, ale widać było, że aż się rwie, żeby wypłynąć nową sportową łodzią McIlvanneya. Kadłub Starkissera polakierowano na granatowo. Gładkie burty jachtu zdawały się emanować jakimś wewnętrznym, niezemskim, ciemnoniebieskim światłem. Była to chyba najszybsza łódź na wyspach. Posiadała bliźniacze silniki o dużej mocy i mogła wyciągnąć do 160 km na godzinę. Ani McIlvanneyowi, ani Bellybuttonowi nie przeszkadzał fakt, że przy takiej szybkości człowiek nie słyszy własnego krzyku, a łódź wyskakuje na najmniejszej nawet fali.

– Nie ma na świecie dziewczyny, która oparłaby ci się po przejeździe Starkisserem – lubił się chwalić Bellybutton.

Naprawdę miał na imię Benjamin, ale nikt go tak nie nazywał. Wszyscy znali go jako Bellybuttona, czyli Pępucha. Krążyły plotki, że na przewisko zarobił sobie tym, iż ugryzł w pępek jakąś dziwkę, która go obraziła. Mogła to być prawda. Bellybutton nie należał do przyjemnych facetów. Stanowił jakby negatyw McIlvanneya: długi, chytry i sarkastyczny. Przyglądał mi się teraz z ukosa.

– Pan Mac chce cię widzieć dziś wieczorem. – Powiedział to takim tonem, jakby wiedział, że spotkanie nie będzie przyjemne. – Masz się u niego stawić po zachodzie słońca.

– Dlaczego nie ma go dziś na przystani? – spytałem.

– Wziął sobie wolne! – Bellybutton uznał za oburzające, że w ogóle śmiem zadawać takie pytania. – Miał jakąś sprawę do załatwienia. Popłynął do Miami. To dlatego dał mi kluczyki do Starkissera. Może chcesz się przejechać z panną Ellen? – spytał, nęcąco machając mi przed nosem kluczykami. – Nic nie powiem panu Macowi, jeśli ja będę mógł się wybrać na przejeżdżkę z panną Ellen zaraz po tobie. – Zaśmiał się oblesnie i wypiął swoje chude biodra.

– Jesteś sprośnym dupkiem, Bellybutton – powiedziałem przyjaznym tonem, ale on już mnie nie słuchał. Na teren przystani wjechał biały lincoln z przydymionymi szybami. Prześliznął się między wyciągniętymi na brzeg kadłubami i

zatrzymał przy moło w pobliżu Wavebreakera. Słyszał było tylko chrzęst piasku pod oponami wozu.

Jedne z drzwi otworzyły się i z samochodu wysiadł bardzo wysoki i bardzo czarny mężczyzna.

– To jeden z twoich przyjaciół? – spytał Bellybuttona, ale on tylko zaklął pod nosem i pospieszył w kierunku Starkissera.

Wysoki mężczyzna, który wysiadł z lincolna, miał na sobie ciemnoniebieski garnitur, zupełnie nieodpowiedni na taki upał. Był dobrze zbudowany: wąski w biodrach, szeroki w ramionach. Wyglądał na faceta, który potrafi równie dobrze tańczyć, co się bić. Popatrzył wolno dokoła, a potem włożył parę lustrzanych okularów przeciwsłonecznych i zatrzasnął drzwi samochodu.

Bellybutton odcumował Starkissera i zdjął lśniąca czarną plandekę zakrywającą kokpit. Uruchomił silniki łodzi. Najwyraźniej chciał uniknąć spotkania z eleganckim mężczyzną. Odgłos motorów odbił się echem od pobliskich budynków. Wystraszone pelikany zerwały się do lotu. Ellen wyjrzała z kuchni, chcąc sprawdzić, co wywołało całe to zamieszanie.

Bellybutton jeszcze raz obejrzał się na mężczyznę, a potem dodał gazu. Strzałka prędkościomierza weszła chyba na czerwone pole. Dziób ciemnoniebieskiej łodzi motorowej uniósł się i Starkisser pomknął na pełne morze, jakby sam diabeł siedział mu na ogonie.

– Nieczyste sumienie to chyba najgorsze, co można mieć – zaśmiał się czarny mężczyzna i wolno wszedł na trap Wavebreakera.

Na pokładzie przystanął na chwilę i spojrzął na Ellen. Miała na sobie tylko krótkie spodenki i ciasną, wyblakłą koszulkę, ale nawet spocona, z byle jak związanymi włosami i ze śladami pasty do czyszczenia kuchni na rękach i twarzy, wyglądała oszałamiająco. Mężczyzna zdjął okulary przeciwsłoneczne, jakby chciał się jej lepiej przyjrzeć. Potem spojrzął na mnie cynicznie.

– Ty pewnie jesteś Breakspear?

– Tak.

– Deacon Billingsley, oficer policji.

Powinienem być zadowolony z jego przybycia. W końcu przecież mój telefon nie został zignorowany, ale coś mi mówiło, że nie mam żadnych powodów do

satisfakcji. Jego głos brzmiał stanowczo i groźnie. Na moment oślepiło mnie słońce odbijające się od jego lustrzanek.

– W jakich okolicznościach znaleźliście Hirondele?

– Byliśmy w trakcie przelotu.

– Byliście w trakcie przelotu? – zakpił policjant, przedrzeźniając mój brytyjski akcent, a następnie zwrócił się do Ellen, która została na pokładzie, chcąc usłyszeć dalszy ciąg rozmowy. – Skąd pani pochodzi?

– Hej! Mnie w to nie mieszaj! Ja nie dzwoniłam po żadną cholerną kawalerię. Jak chcecie się czegoś dowiedzieć, to pytajcie Nicka. – Z pogardą odwróciła się w kierunku zejściówki. Billingsley patrzył na nią, kiedy schodziła po schodkach.

– Amerykanka? – Wydawał się bardziej rozbawiony, niż oburzony postawą Ellen.

– Tak – potwierdziłem.

Gdy dziewczyna zniknęła mu z oczu, Billingsley ponownie zwrócił się do mnie.

– Pieprzysz Amerykankę? – To pytanie tak mnie zaskoczyło, że ze zdumienia otworzyłem usta. – No, śpisz z nią? – wytłumaczył beczelnie, tak jakbym nie zrozumiał pierwszej wersji. Mówił tonem, jakim pyta się zwykle o takie rzeczy, jak na przykład powierzchnia żagli Wavebreakera.

– Odpowiedź brzmi NIE – wykrztusiłem w końcu. – Zresztą to nie twój zasrany interes.

Oficer zapalił. Cygaro miało czerwono-żółty pasek, na którym z pewnością widniała nazwa Cubana. Billingsley najpierw przyciął jego czubek, a potem ogrzewał je stopniowo zapalkami, które, gdy się wypaliły, rzucał na wyszorowany pokład, wdeptując je czubkiem buta w tekowe drewno. Na białych deskach zostawały rozmazane czarne ślady. Kiedy w końcu przypalił cygaro i wyrzucił ostatnią zapalkę, spojrzal na mnie. Poczulem jakiś dziwny strach. Powodem nie był wzrost Billingsleya, gdyż byliśmy mniej więcej równi, lecz aura narastającej furii, która od niego emanowała.

– Jak ze mną zadrzesz, Breakspear – powiedział pozornie uprzejmym tonem – wyciągnę ci kręgosłup przez tyłek.

Nie mogłem pokazać mu, że się go boję.

– Czy ma pan legitymację służbową? – spytałem.

Przez sekundę wydawało mi się, że ma zamiar uderzyć mnie, ale zamiast tego

sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej portfel, otworzył go i wyciągnął w moim kierunku. Zdążyłem tylko zauważyć, że ma stopień głównego inspektora – jeden z najwyższych stopni w bahamskiej policji. Deacon Billingsley schował portfel i przysunął się do mnie tak blisko, że poczułem zapach cygara w jego oddechu.

- Gdzie jest mapa, którą zabrałeś z Hironnelle?
- Na dole.
- To ją przynieś – nakazał.

Posłuchałem. Mapa była już zupełnie sucha. Billingsley nawet na nią nie spojrział. Po prostu zwinął ją i wepchnął w kieszeń swej drogiej marynarki.

- Znalazłem także to – wyciągnąłem w jego kierunku garść łusek.

Zignorował mnie.

- Co robiłeś na Sister Island, Breakspear?

Pytanie zaskoczyło mnie, ponieważ nie wspominałem nic o Sister Island ani policji, ani straży przybrzeżnej. Billingsley nie spojrział również na mapę, a jednak w jakiś niewiadomy dla mnie sposób powiązał Hironnelle z tą tajemniczą wyspą.

- Pytałem, co robiłeś na Sister Island?! – powtórzył Billingsley groźnie.

– Nie byliśmy nawet w jej pobliżu! – zaprotestowałem. – Łatwo to sprawdzić! Przez radio podałem współrzędne miejsca, w którym znaleźliśmy wrak. To było dwadzieścia mil na północny zachód od Sister Island. Nigdy zresztą nie podpływaliliśmy bliżej.

Przez chwilę milczał. Widać było, że pomieszałem mu szyki. Wyglądał na wściekłego, ale bardziej na siebie niż na mnie. Przyszedł tu wierząc, że Wavebreaker był na Murder Cay.

Billingsley najwidoczniej wiedział, że Hironnelle odwiedziła tę wyspę. Zdałem sobie sprawę, że przyszedł tu nie po to, aby zbadać okoliczności tego, co zaszło, ale żeby wszystko zatuszować. Bez zająknięcia zmyślił historijkę o tym, jak właściciele Hironnelle stracili nadzieję na możliwość sprzedania jachtu na przepięknym tym towarem rynku i po prostu go porzucili. Potem ktoś potraktował łódź jako cel ćwiczebny.

– Może to Amerykanie – stwierdził. – Przeprowadzają teraz jakieś manewry w tym regionie.

– Amerykanie nie używają takich naboju – powiedziałem, wskazując na zieloną łuskę. Nie powinienem był nic mówić. Moje słowa świadczyły, iż nie wierzę w jego wyjaśnienia.

To było dla Billingsleya wyzwanie. Chwycił moją rękę i przechylił tak, że wszystkie łuski przesypały się na jego lewą dłoń. Potem, jedną po drugiej, zaczął wyrzucać je za burtę.

- Masz łódź na Bahamach – stwierdził.
- Mam, ale jest uszkodzona, muszę ją jeszcze naprawić.

Zignorował moje wyjaśnienia.

– A jak zamierzasz to zrobić, jeżeli pchasz się na Czarną Listę? Pewnie nawet nie wiesz, co to jest Czarna Lista, Breakspear?

Wiedziałem aż za dobrze. Była to lista osób z zewnątrz, które nie miały prawa pojawiać się w rejonie Bahamów. Gdyby moje nazwisko trafiło na tę listę, mógłbym pożegnać się ze swym jachtem. Po prostu wyrzucono by mnie z wysp.

To był cios poniżej pasa.

– Rozumiesz? – spytał Billingsley, wyrzucając za burtę ostatnią łuskę. Przypuszczałem, że później zniszczy również mapę. Hironnelle już z pewnością nie istniała i prawdopodobnie to samo stałoby się z moją łodzią, gdybym nadal prowokował tego faceta. – Rozumiesz? – powtórzył pytanie.

– Tak – odpowiedziałem, choć pokora nie leżała w mojej naturze.

– I wciąż jeszcze uważasz, że sprawa Hironnelle jest podejrzana? – spytał Billingsley z kpina w głosie. Chciał mnie upokorzyć. Wiedziałem, że niepotrzebnie sprowokowałem faceta, wytykając mu kłamstwo.

– Nie – odparłem. Nienawidziłem kłamać, ale musiałem myśleć o Masquerade – mojej własnej łodzi stojącej na Straker's Cay. Musiałem myśleć o wysiłku, jaki włożyłem w jej remont, o czasie i miłości, które jej poświęciłem. Wyobraziłem sobie, jak gnije w tych przeklętych tropikach, jak schodzi z niej farba, a jej drewno drażą termity. Woląłem już skłamać, przyznając, że w zrytej kulami Hironnelle nie było nic niezwykłego.

Główny inspektor, Deacon Billingsley, podniósł prawą rękę i poklepał mnie po ojcowsko w policzek. Poczulem zimny dotyk sygnetów, które nosił.

– Grzeczny chłopiec – powiedział drwiąco. – A jak zobaczysz Bellybuttona, to mu powiedz, że wiem, gdzie jest jego brat. Zgarnę łajdaka, kiedy będę chciał, i wcisnę mu głowę w szatkownicę. – Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź. Jego kroki zadudniły na trapie. Poszedł wzdłuż nadbrzeża, nie oglądając się za siebie, ale

na pewno wiedział, że go obserwuję, bo kiedy dochodził do samochodu, ostentacyjnie wyjął z kieszeni mapę z Hirondelle. Przez chwilę sądziłem, że chce ją spalić, ale on porwał mapę na drobne kawałeczki, które następnie rzucił ciepłemu wiatrowi.

– Łajdak – powiedziałem do siebie. Zniszczył wszystko, co świadczyło o tym, że Hirondelle kiedykolwiek istniała.

Za kierownicą lincolna siedział umundurowany policjant, który wysiadł, aby otworzyć Billingsleyowi drzwi samochodu.

– Mówiłam ci, żebyś się nie wtrącał – rzekła lekceważąco Ellen, wychodząc na pokład. Domyśliłem się, że słyszała całą rozmowę. Teraz stanęła obok mnie i patrzyła, jak biały lincoln opuszcza teren przystani. – Czy nie mówiłam, że to strata czasu?

– To mój czas – powiedziałem ze złością. – Słyszałaś, co mówił o nas?

– Pewnie, że słyszałam. – Zdawała się nie przejmować impertynenckim pytaniem Billingsleya. Zapewne wytłumaczyłaby to wrodzonym u mężczyzn brakiem taktu. Bardziej niż jego pytanie irytowała ją moja odpowiedź. – Dlaczego nie powiedziałeś prawdy?

– Powiedziałem.

– Nie. Dlaczego nie wyjaśniłeś mu, jak jest naprawdę?

Według Ellen powinienem powiedzieć, że przysięgła sobie żyć w celibacie, dopóki pracuje jako kuk. Ta decyzja była dla mnie równie dziwaczna, co niezrozumiała i frustrująca.

– Nie powinienem z nim w ogóle rozmawiać – stwierdziłem, patrząc na puste miejsce, gdzie przed chwilą stał samochód. – Chyba należy to zgłosić! Zadzwońię do ambasady belgijskiej!

– Nie bądź głupi, Nick! – Ellen najwyraźniej przestraszył mój pomysł. – Zgłoś to, a wyrzucą cię z wysp jeszcze przed końcem tygodnia! Czy naprawdę nie rozumiesz, o co tutaj chodzi? Jesteś ślepy czy co? W małych państwach jak to, ci, którzy mają władzę, nie kryją się, ponieważ społeczność nie stanowi dostatecznej przykrytki dla fikcyjnych instytucji, pod którymi mogliby uprawiać swe rzemiosło.

Nie miałem ochoty słuchać jej profesorskich wywodów. Czulem pogardę dla

samego siebie. W powietrzu nadal unosił się dym z cygara Billingsleya. Dla mnie śmierdział jak wyziewy z piekła.

Oprócz dymu pozostała również świadomość, że ten drab skłonił mnie do kłamstwa.

Pocieszałem się tylko tym, że zrobiłem to dla Masquerade.

Masquerade to moja łódź – dwunastometrowy kecz. Jest piękna, wykonana z mahoni i dębu. Zbudowano ją w Hampshire jeszcze przed drugą wojną światową. To była mistrzowska robota. Niestety, wynalezienie włókna szklanego sprawiło, że zapomniano o wszystkich drewnianych łodziach. Masquerade porzucono na przystani w River Exe.

Natknąłem się na nią podczas obozu Królewskiej Marynarki w Lymptone w Devon, na którym byłem instruktorem strzelectwa. Kupiłem ją prawie za bezcen, a później, już po zakończeniu służby w marynarce, wydałem majątek na remont. Nareszcie mogłem żeglować tam, gdzie chciałem. Masquerade stała się moim nowym domem. Przez kilka lat pływałem po Morzu Śródziemnym, a potem wybrałem się nią przez Atlantyk. Był to pierwszy etap planowanej przeze mnie podróży dookoła świata. Niestety, drugiego etapu nigdy nie rozpocząłem, gdyż Masquerade ukradziono z przystani we Florida Keys. Dziesięć dni później ktoś porzucił ją na jednej z raf koralowych wokół Bahamów. Była zniszczona, miała zerwane poszycie prawej burty i podziurawione przez rafę dno. Złodziei nigdy nie odnaleziono.

To wszystko zdarzyło się ponad rok temu. Masquerade ściągnął ojciec Tesy'ego – rybak, i teraz stała między jakimiś rupieciami na tyłach jego domu. Kury traktowały jej kokpit jak grzędę. Na pewno tęskniła za czasem, kiedy mogła swobodnie żeglować, tęskniła za słoną morską wodą. Byłem jej potrzebny. Tylko dlatego Deacon Billingsley zdołał mnie nakłonić do kłamstwa. W przeciwnym razie straciłbym łódź.

Straciłbym także szansę pożeglowania przez Pacyfik z Ellen, która już prawie zgodziła się na wspólny rejs. Gdybym nie pozwolił temu gliniarzowi na szantażowanie mnie, mógłbym się pożegnać i z Ellen, i z Masquerade.

Tak więc skłamałem.

Tuż przed zachodem słońca wyciągnąłem ze schowka na Wavebreakerze składany rower i pojechałem wzdłuż Midshipman Road do domu, w którym mieszkał nasz szef.

Matthew McIllvanney doglądał tego całego czarterowego interesu, choć właścicielem Cutwater Yacht Charters (Bahamas Limited) był emerytowany dyrektor teatru, który mieszkał teraz na Bermudach. Mój ojciec i on przez wiele lat przyjaźnili się i to właśnie dzięki niemu na czas remontu Masquerade dostałem pracę szypra na Wavebreakerze.

Rezerwacji rejsów dokonywały zwykle agencje w Fort Lauderdale i w Londynie. Następnie rezerwacje przesyłano faksem do McIllvanneya na przystań we Freeport, gdzie dokowano łodzi i dokonywano wszelkich niezbędnych napraw oraz konserwacji. McIllvanney trzymał tam również kilka własnych łodzi motorowych, a także prowadził serwis i zaopatrzenie jachtów. Trudno było stwierdzić dokładnie, co należało do Cutwater's, a co do McIllvanneya. Właściwie można było powiedzieć, że zarządzał on wszystkim. Dodatkowo prowadził na boku parę innych interesów, które przynosiły mu prawdopodobnie znacznie większy dochód i nie miały nic wspólnego z jachtami.

Pieniądzy mu na pewno nie brakowało. Starkisser musiał kosztować McIllvanneya ze sto tysięcy dolarów,, a pięciokątny apartament z widokiem na plażę Silver Point i prywatnym dokiem, pewnie dziesięć razy tyle. W garażu trzymał swoje BMW oraz stary kabriolet MG, ale zwykle jeździł na motorze kawasaki. Nawet w porównaniu do zamożnych amerykańskich emigrantów McIllvanney był bogaty.

Rower zostawiłem przy ogrodzeniu, w którym znajdował się apartament McIllvanneya. Jakoś zdołałem przekonać człekokształtnego ochroniarza, że nie jestem terrorystą. Wsiadłem do windy. McIllvanney zajmował ostatnie piętro. Z windy wchodziło się bezpośrednio do jego apartamentu. Byłem tutaj już kilkanaście razy, ale nadal nie mogłem się przyzwycząić do tego, że drzwi otwierały się od razu na salon. Robiło to wrażenie i stanowiło oznakę bogactwa, tak samo zresztą jak złote kurki u kranów, dywaniki z norek i dziewczyna czekająca przy windzie i witająca gości. Była bardzo piękna, wysoka, o jasnej karnacji i miała gęsią skórę, gdyż w apartamencie klimatyzację ustawiono na temperaturę, która nawet niedźwiedzia polarnego przyprawiłaby o dreszcze.



– Hej! – przywitała mnie entuzjastycznie. – Ty pewnie jesteś Nick! Matt czeka na ciebie na zewnątrz. – Dziewczyna, która wyglądała jakby zrobiono ją z brzoskwiń i bitej śmietany, prócz skąpego bikini, butów na wysokich obcasach i gęsiej skórki, nie miała na sobie nic. Skinęła w kierunku wychodzącego na morze, oszklonego tarasu.

– Napijesz się czegoś, Nick?

– Irlandzkiej whisky – odpowiedziałem. – Trochę wody, bez lodu. Dzięki!

– Proszę bardzo. Na imię mi Donna. – Dziewczyna wyciągnęła w moją stronę szczupłą dłoń, a potem kołyszącym krokiem poszła w kierunku barku. Już od samego patrzenia na nią, serce zaczynało bić szybciej.

– Czy to nie jest najfajniejsze miejsce, jakie widziałeś, Nick? – zawołała z głębi apartamentu.

– Jest wspaniałe – zgodziłem się uprzejmie. Apartament wyglądał rzeczywiście świetnie, może dlatego, że nie było tu niczego, co wiązałoby się z McIlvanneyem. Poprzedni właściciele zatrudnili drogą dekoratorkę wewnątrz, która zaprojektowała całość, nadając temu miejscu styl starego angielskiego dworku. Wszystko wykonano perfekcyjnie, a nowemu właścicielowi na szczęście nie przyszło do głowy, aby cokolwiek zmienić. McIlvanney był protestanckim prostakiem. Urodził się na Skankill Road w Belfaście. W północnoirlandzkiej szkole nie nauczył się niczego, pozostał gburem, która to cecha rozwinęła się jeszcze bardziej, kiedy służył w wojsku. Gdyby ktoś poprosił mnie, abym urządził mieszkanie w stylu McIlvanneya, przypominałoby ono pewnie bar we Wschodnim Belfaście. Podłoga pokryta trocinami, poprzestrelane belki podpierające sufit, ślady tytoniu i krwi na ścianach.

– Idź do Matta na taras. Za chwilę przyniosę wam drinki – zaproponowała Donna.

Odsunąłem jedno skrzydło ciężkich, przeszklonych drzwi balkonowych i wyszedłem na taras, gdzie rozparty na leżaku siedział McIlvanney i z posępną miną gapił się na ciemniejące morze.

– To ty – przywitał mnie bez zachwytu, tak jakby oczekiwał kogoś innego.

– Miałem tu przyjść – przypomniałem mu, nie przejmując się jego brakiem entuzjazmu. McIlvanneya nie można było zaliczyć do wymarzonych towarzyszy.

– Siadaj – mruknął – Wasza Świątobliwość. – Zwracanie się do mnie w ten sposób McIlvanney uważał za świetny dowcip. Nie nazywał mnie tak dlatego, że byłem szczególnie religijny. Określenie to brało się stąd, że mój imiennik Nicholas Breakspear był jedynym papieżem narodowości angielskiej, głową kościoła w XII wieku. Przybrał imię Adriana IV. Oczywiście, poza mną wiedziało o tym niewiele osób, a ja okazałem się na tyle głupi, aby wspomnieć o tym McIlvanneyowi, który nienawdził katolików. Odtąd zawsze przypominał mi z ironią o moich „papieskich powiązaniach”. W rzeczywistości nie było żadnych powiązań. Prawdziwe nazwisko mego ojca brzmiało Sillitoe. Zmienił je na Breakspear, kiedy zaczął występować na scenie. I pod tym nazwiskiem ja się urodziłem.

– Czy ten idiota Bellybutton odstawił już Starkissera na przystań? – zapytał nagle McIlvanney.

– Tak i to nawet w całości.

– Ten typ zaczyna się za bardzo panoszyć. Niedługo te jego cholerne czarne buty zrobią się na niego za ciasne.

Ta uwaga była jakby częścią rytuału. McIlvanney zawsze ją wygłaszał, chcąc sprawiać wrażenie twardego faceta. Wszyscy jednak wiedzieli, że gdyby musiał wybierać między Bellybuttonem a mną, czy nawet między Bellybuttonem a swoją matką, wybór zawsze padałby na Bellybuttona. Byli siebie warci.

McIlvanney – wysoki, pewny siebie i przystojny, pomimo blizny na policzku – nie wyglądał na silnego i brutalnego typu. Potrafił też być doskonałym kompanem. Znał kupę zabawnych historii i zawsze wiedział, w którym momencie je opowiadać. Takie chwile należały jednak do rzadkości, wolał bowiem w posępnym nastroju rozpatrywać krzywdy i niesprawiedliwości życia. Do głównych zaliczał, oczywiście, istnienie kościoła rzymskokatolickiego.

– Czy jesteś katoliczką? – zapytał Donnę, która przyniosła drinki. Wyglądało na to, że świetnie się bawił.

– No, nie! Moja rodzina podlega episkopatowi filadelfijskiemu. – Dziewczyna obdarzyła nas szerokim uśmiechem, ukazując idealnie równe zęby. Jej włosy stanowiły kompozycję złożoną z lakieru i żelu, a ciało odpowiadało modelowi

preferowanemu przez amerykańskie kluby aerobiku.

- Wiele o tobie słyszałam – powiedziała, sadowiac się wygodniej.
- No to teraz zapomnij o nim i zabieraj się stąd – syknął McIllvanney.
- Miło było cię poznać, Nick. – Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie na do

widzenia, najwidoczniej odporna na szydercze odzywki McIllvanneya. Odeszła w głąb mieszkania, stukając swoimi śmiesznie wysokimi obcasami.

Poczekalem, aż się trochę oddali.

– To twoja najnowsza zdobycz? – U McIllvanneya ładne dziewczyny zmieniały się w zadziwiającym tempie. Wyjątkiem była ostatnia, z którą wytrzymał aż sześć miesięcy, i która odeszła kilka tygodni temu.

Potrząsnął głową.

– To jedna z dziewczynek, wiesz, dwa tysiące dolarów za dzień plus opłata za bilet i prezent. Musiałem po nią specjalnie płynąć do Miami, bo ta głupia krowa boi się latać. Uwierzyłybyś? Boi się samolotów! Przywiozłem ją tu na Junkanoo.

Junkanoo była jedną z łodzi motorowych McIllvanneya. Kupił ją pewnie za pieniądze, które ciągnął ze swego dziewczynkowego interesu. Lubił się chwalić, że jego call-girls są w najlepszym gatunku. To nie to, co dziwki, z jakimi zadawał się Bellybutton. McIllvanney szczylił się tym, że dostarczał najpiękniejsze dziewczyny świata każdemu, kto zapłacił za to niezłą sumkę. Ściągał je dla klientów na Bahamach i opiekował się nimi, dopóki były na wyspach. Jednym słowem pełnił rolę alfonsa, chociaż on sam wolał nazywać to, co robił, „organizowaniem czasu wolnego”. Zawsze, gdy to mówił, uśmiechał się znacząco. Teraz też się śmiał, ale chyba z innego powodu.

- Słyszałem, że ten czarny gnój – Billingsley nieźle cię dzisiaj przestraszył.

McIllvanneya zawsze bawiło wytykanie mi różnych rzeczy. Nie lubił mnie. Byłem synem bogatego i sławnego człowieka, a dla McIllvanneya pachniało to przywilejami. I nie miało znaczenia, że odrzuciłem wszelkie korzyści związane z moim pochodzeniem i zostałem biednym jak mysz kościelna marynarzem, podczas gdy on opływał w forszę. Dla McIllvanneya śmierdziałem wyższymi sferami i z tego powodu uwielbiał mi dokuczać.

- Skąd wiesz, jak to było z Billingsleyem? – zapytałem.
- Skąd, do cholery, wiem? Sam mi powiedział!

Powinienem być się domyślić, że na Grand Bahama tacy jak McIlvanney i Billingsley na pewno się znają. To pewnie od McIlvanneya policjant dowiedział się, że mam łódź, którą chcę wyremontować.

Nagle poczułem niezwykłą ulgę. Jeszcze tylko jeden rejs dla Cutwater i uwolnię się od tych facetów.

- Co ci powiedział Billingsley? – McIlvanney przerwał ciszę. – Że belgijscy właściciele jachtu znudzili się nim i poszli na piechotę do domciu?

- Coś w tym rodzaju.

- A to kłamliwa czarna żmija. Ci Belgowie znaleźli się w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwej porze i prawdopodobnie zobaczyli coś, czego nie powinni byli widzieć, więc ktoś po prostu zamknął im usta na wieki. Nie oni pierwsi i nie ostatni kończą jako obiadek dla rekinów.

- Sądzisz, że zostali zamordowani? – Znowu poczułem wyrzuty sumienia, że tak łatwo uległem szantażowi Billingsleya.

- Skąd mam wiedzieć, co się z nimi stało? – stwierdził McIlvanney. – Zresztą, nawet gdybym wiedział, to na pewno nie zdradziłbym tego właśnie tobie. To są tylko moje przypuszczenia. Przecież jasne, że nie wybrali się do domu, bo nagle naszła ich ochota na belgijskie wafle. Pewnie Billingsley i jego kumple wysłali załogę jachtu na herbatkę na dno morza. Coś ci powiem, nikt i nigdy nie dowie się, co naprawdę zaszło. Możesz więc o tym zapomnieć. Jeżeli ty, Ellen i Tesy okazecie się wystarczająco mądrzy, to będziecie twierdzić, że nigdy nie widzieliście tego jachtu! – Spojrzał na mnie czekając, aż zaprzeczę. Nie miałem na to ochoty. Ciszę przerwała ostra muzyka płynąca z jednego z pobliskich hoteli. Zaraz potem doszła nas fala oklasków.

- Zjazd sezonowców – zadrwił McIlvanney. – Dealerzy samochodów i ich żonki. Europejscy producenci pięciobiegowych puszek do konserw. Ten człowiek to gnida. On ma porąbane w głowie.

Ostatnie zdanie wypowiedział z taką samą pogardą, z jaką szydził z sezonowców. Nie wyjaśnił jednak, o kogo mu chodziło.

- Kto jest gnidą? – zapytałem.

– Deacon Billingsley, oczywiście. Jest tak mocny jak stare buty, a narkotyki to nie jest gra dla frajerów. Jak cię nie załatwią Portorykańczycy, to zrobią to Amerykanie. Trzeba mieć porąbane, żeby wchodzić w taki interes.

– A on w to wszedł? – spytałem. Nie potrafiłem ukryć zaskoczenia, kiedy McIllvanney potwierdził moje przypuszczenia. Wciąż byłem na tyle naiwny, żeby zakładać, że wszyscy policjanci są uczciwi. Ellen zawsze bawiła ta moja naiwność. Twierdziła, że pewnie gdzieś w głębi duszy nadal wierzę w św. Mikołaja. Ja jednak wolałem myśleć, że jestem po prostu uczciwym facetem, któremu trudno jest sobie wyobrazić, jak można żyć z nieczystym sumieniem. Tak czy inaczej, byłem zaskoczony, kiedy moje przypuszczenia co do Billingsleya okazały się prawdziwe.

McIllvanney patrzył na mnie jak na idiotę.

– Siedzi w tym po swoje cholerne czarne uszy. Przecież ma nawet dom na Murder Cay. Zresztą nie on jeden, ale to nie twój zasrany interes. Nie miesza się do tych spraw! To nie są ludzie, którzy zastanawiają się dwa razy, czy by nie posłać kogoś na dno. Mam dla ciebie coś innego.

Prawie nie zwróciłem uwagi na jego ostatnie słowa. Wciąż jeszcze myślałem o Billingsleyu. Kiedy doszło do mnie, co powiedział McIllvanney, zmarszczyłem brwi.

– Dla mnie? Co?

– A co, do diabła, myślisz? Ekstra czarter na Wavebreakera.

– Nie mogę, wiesz o tym – stwierdziłem.

McIllvanney nie odpowiadał. Przyglądał mi się tylko swymi wylupiastymi oczami. Pod wpływem tego wzroku zacząłem się niepotrzebnie tłumaczyć.

– Chcę popłynąć Masquerade na południe, jeszcze zanim zaczną się sztormy. Tak więc będę potrzebował trochę czasu na remont łodzi. – Zabrzmiało to bardzo niepewnie, jakby mówienie przychodziło mi z trudem. – Oczywiście, chciałbym ci pomóc, ale sam rozumiesz...

– Zapłacę ci ekstra – stwierdził McIllvanney spokojnie. Patrzył teraz na morze, w stronę, skąd płynął ku nam niewielki, oświetlony tankowiec. – Naprawdę ekstra. Interes jest legalny.

– Gdyby nie Masquerade – zacząłem, ale McIllvanney przerwał mi: – Klient

placi szyprowi sto piętnaście dolarów za dzień, co znaczy, że za całość dostaniesz dziesięć tysięcy dolców. Ellen osiem tysięcy, a mały Tesy trochę ponad trzy.

Dokonałem szybkich obliczeń. Ich rezultat tak mnie zaskoczył, że zacząłem liczyć jeszcze raz. Z dołu dobiegały nas odgłosy zabawy samochodziarzy. Popatrzyłem na McIlvanneya.

– Trzy miesiące? – spytałem z niedowierzaniem. – Ktoś chce wynająć jacht na trzy miesiące?! To niemożliwe. Muszę przygotować Masquerade.

– Klient twierdzi, że jest twoim wielbicielem. – Ostatnie słowo McIlvanney wypowiedział z szyderczym uśmiechem. – Życzył sobie tylko ciebie. Pamiętasz senatora Crowninshilda?

– Oczywiście. – George'a Crowninshilda pamiętałem bardzo dobrze. On i jego żona to moi pierwsi goście na Wavebreakerze. Byłem wtedy naprawdę zdernerwowany. Nowa praca i od razu tacy klienci. George Crowninshield należał do najbardziej popularnych senatorów Stanów Zjednoczonych. Wtedy wszystkie gazety typowały go na przyszłego prezydenta, chociaż nie był głównym faworytem do zajęcia Ovalnego Gabinetu. Niektórzy szczylicili się większymi osiągnięciami, ale George Crowninshield wyglądał nieźle, a przemawiał jeszcze lepiej i żaden dziennikarz nie mógł się dokopać w jego życiorysie żadnych nieczystych spraw ani romansów. Najgorsze, co mogli powiedzieć o nim jego wrogowie, sprowadzało się do tego, że nie był politykiem z powołania.

Lubiłem go. Spodziewałem się, że amerykański senator będzie nadęty co najmniej tak, jak premier Wielkiej Brytanii, ale George Crowninshield okazał się miłym i przystępnym facetem. Interesowały go stosunki między mną a moim ojcem i nie miał mi za złe, że porzuciłem teatr. Mój ojciec – sir Tom – zajmował drugie miejsce na liście najbardziej znanych brytyjskich aktorów. Uważano go za wielką figurę i jednego z najlepszych aktorów w historii teatru. Wszelkie pochlebstwa uznawał za normalne i oczekiwał, że ja, podobnie jak reszta dzieci, pójdę w jego ślady. Lecz ja, buntując się przeciwko światu scenicznej i filmowej iluzji, uciekłem z domu i wstąpiłem do marynarki. Sir Tom nie zdołał mnie namówić do powrotu, więc dał sobie spokój. Najtrudniej mu było pogodzić się z faktem, że tylko ja, który wybrałem marynarkę zamiast sceny, odziedziczyłem jego słynne breakspearowskie

oczy, kości policzkowe, wzrost i w ogóle cały breakspearowski image, dzięki któremu on zawrócił w głowie wielu kobietom. Często nazywano mnie Hamletem, ponieważ przypominałem ojca z czasów, gdy grał w jednym ze swych najbardziej znanych filmów: „Coronation Hamlet”. Jednakże ja nie byłem moim ojcem, lecz eks-sierżantem marynarki i cholernie dobrym żeglarzem.

Senator Crowninshield zawsze ze zrozumieniem odnosił się do problemów, o których mu opowiadałem. On sam miał syna i córkę, i chociaż nigdy nie wspominał o jakichś konkretnych kłopotach z nimi związanych, czułem, że rozmawiając ze mną, szukał rozwiązania konfliktów panujących w jego własnej rodzinie. Często tropikalne noce upływały nam na długich rozmowach. Odpowiadało mi jego towarzystwo i chętnie spędziłbym z nim trochę więcej czasu. Ale trzy miesiące?!

– W jaki sposób senator Stanów Zjednoczonych zdoła oderwać się od swych obowiązków aż na trzy miesiące?

– Senator nie potrzebuje jachtu dla siebie. – McIllvanney wyjął z pudełka papierosa i następnie otworzył teczkę, która stała na ziemi przy jego leżaku. – Chce go wynająć dla swoich dzieci, chociaż trudno je nazwać dziećmi. Mają po dwadzieścia cztery lata. To bliźniaki: chłopak i dziewczyna. – Wyciągnął z teczki zapalniczkę i list, w rogu którego, nad napisem „Waszyngton, Biuro Senatora George’a Crowninshilda” wytłoczone były dwa orły: niebieski i złoty. McIllvanney podał mi list, wyjaśniając:

– Dziewczyna ma na imię Robin-Anne, a chłopak Rickie. To ma być dla nich prezent za ukończenie szkoły.

Nie patrzyłem na list.

– Prezent z okazji ukończenia szkoły? – Byłem przyzwyczajony do tego, że Amerykanie obsypywali swe dzieci prezentami za skończenie nawet bardzo przeciętnych szkół, ale trzy miesiące na Wavebreakerze wydawały mi się szczytem hojności, nawet na tak bogatego faceta, jak senator Crowninshield.

– On ma cholernie dużo forsy – tłumaczył McIllvanney rozrzutność senatora.

– Tutaj nie chodzi o forszę, tylko o mój czas – powiedziałem wstając. – A ja zdecydowałem się poświęcić go mojej łodzi.

– Ellen będzie zawiedziona. Jej przecież potrzebne są pieniądze. Czyż nie? Znowu w jego głosie pojawiła się szydercza nuta.

– Po prostu oszczędza, żeby mieć z czego żyć, kiedy zacznie pisać – stwierdziłem, broniąc Ellen.

– Powinna więc znaleźć sobie bogatego faceta – tak jak to robią inne – zauważył złośliwie McIllvanney. A kiedy nie odpowiadałem, szturchnął mnie palcem. – Jak jej tak zależy na oszczędzaniu, to z pewnością nie ucieszy się, iż pozbawiasz ją dodatkowych ośmiu tauzenów.

– Znajdź sobie jakiegoś innego szypra – powiedziałem. – Dlaczego nie poprosisz Sama Mereditha? On na pewno się zgodzi. – Sam również pracował jako szyper dla Cutwater. Był niezły.

– Dlatego, że senator prosił o ciebie. Jeżeli się nie zgodzisz, to nie tylko Ellen pozbawisz forsy. Także moja posiadka będzie zagrożona, a zapewniam cię, że taka perspektywa wcale mi się nie uśmiecha.

– Spadaj. – Nie lubiłem, kiedy McIllvanney mi groził. – Chcesz, to poproś Sama.

– Sto dwadzieścia pięć dolarów za dzień. – McIllvanney podwyższył stawkę. Nawet nie przyszło mi do głowy, że skoro senator płaci taką sumę, to pewnie chodzi mu o coś więcej niż tylko o sam rejs.

– Odpowiedź nadal brzmi – NIE.

McIllvanney wzruszył ramionami. Już wychodziłem, kiedy zatrzymał mnie, unosząc dłoń.

– A co do Ellen, wciąż jeszcze jej nie przeleciałeś?

– O, Chryste! – zastanawiałem się, czy cały świat się na mnie uwziął. – Jesteś taki sam jak Billingsley!

McIllvanneya nie wzruszyła moja złość.

– Jeżeli nie weźmiesz tego czarteru, to przekaz Ellen, że mam dla niej jedną czy dwie propozycje. No wiesz, dziewczyna jest bardzo atrakcyjna, jeśli nie wypowiada na głos swoich poglądów. Mogłaby nieźle zarobić. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Rozumiałem bardzo dobrze. Na tę jego propozycję wszystko we mnie zawrzało.

– Sam ją o to spytaj. Nie jestem twoim cholernym posłańcem. – Gwałtownie odsunąłem drzwi tarasu i wszedłem do lodowatego mieszkania. Przycisnąłem guzik windy. Donna rozmawiała przez telefon. Uśmiechnęła się do mnie i przesłała pożegnalnego całusa.



Wróciłem rowerem na prawie pustą przystań. Ellen nie było, poszła do swojego mieszkania w mieście. Tesy siedział w głównej kabinie i czytał Biblię. Podgrzałem fasolę w kuchence mikrofalowej i wyłożyłem ją na tosty z masłem. To wszystko polałem sosem. Jadłem na zewnątrz. Siedziałem na pokładzie, dopóki komary nie zagoniły mnie z powrotem do kabiny. Tesy spytał mnie, czego chciał McIlvanney, ale odparłem, że nie chodziło o nic ważnego. Po tej wizycie czułem się, jakbym wdepnął w gówno. Na szczęście został mi już tylko jeden rejs. Później mogłem zająć się remontem Masquerade, aby wypłynąć na niej na południowy Pacyfik. Jeszcze jeden rejs, a potem będę wolny.

Następnego ranka niebo było czyste, a barometr wskazywał wysokie ciśnienie. Wiatr wiał równo, bez porywów. Łóżka klientów były zasłane, a kuchnia nieźle zaopatrzona. Usunęliśmy też ślady po zapalkach Billingsleya. Uzupełniliśmy zapasy paliwa i świeżej wody oraz zadbaliliśmy o to, aby w kabinach niczego nie brakowało. Byliśmy gotowi.

Wavebreaker stanowił jacht flagowy Cutwater i McIlvanney zawsze przed rejssem sprawdzał, czy wszystko zostało należycie wypucowane. Tym razem jak zwykle nie miał się do czego przyczepić, zaczął więc wypytywać mnie, czy sprzęt elektroniczny działa prawidłowo.

– Spytaj Ellen – odpowiedziałem lakonicznie. Była ona jedyną osobą, która naprawdę знаła się na tych wszystkich gadżetach, ale wciąż jeszcze nie umiała posługiwać się sekstansem. Ellen potwierdziła, że wszystkie te mruczące, mrugające i świecące w nocy urządzenia działają bez problemów.

McIlvanney strzepnął z wypolerowanego nadburcia nie istniejący pyłek kurzu, a następnie spojrzał chytrze na Tesy'ego.

– Przypuszczam, że Jego Świątobliwość papież Breakspear wspominał ci o propozycji senatora? I śmiem twierdzić, że rozumiem twoje rozczarowanie. W końcu nieczęsto się zdarza, że chłopakowi takiemu jak ty, oferują tyle forsy. Senator płaci nawet lepiej niż w sezonie. Ale, oczywiście, wasz cholerny sir Thomas Breakspear opływa w forszę jak świnia w gówno i nie potrzebuje takich nędznych groszy. Niestety, senator nie chce innego, tylko tego papieżyka. – McIlvanney posłał w moją stronę chytry uśmiezek.

Tesy zawahał się. Przez chwilę nie wiadomo było, czy zwycięży jego ciekawość, czy też lojalność w stosunku do mnie. W końcu powiedział:

– Nic nie wiem o ofercie senatora.

McIllvanney udał zaskoczenie.

– Czyżbym palnął jakieś głupstwo? To okropne. Zapomnij, że o czymkolwiek wspominałem. – Spojrzał na Ellen, chcąc upewnić się, czy rozumiała, o co chodzi, popatrzył na zegarek i zawołał do Bellybuttona, aby uruchomił silnik łodzi.

– No to zobaczymy się za tydzień. – Złośliwy drab, doskonale zdawał sobie sprawę z zamieszania, jakie wywołał wśród członków załogi Wavebreakera.

– Jaka oferta? – spytała Ellen, kiedy McIllvanney oddalił się od nas. – I jaki senator?

McIllvanney osiągnął to, co chciał. Musiałem powiedzieć Ellen i Tesy'emu o propozycji George'a Crowninshilda, a także o stawkach, jakie zamierzał zapłacić za zrezygnowanie z naszych dotychczasowych planów wakacyjnych i zabranie jego dzieciaków na morze na trzy miesiące. Starłem się uczynić ofertę jak najmniej atrakcyjną, ale roztoczona przez McIllvanneya wizja pieniędzy oczarowała ich oboje.

– Dlaczego, do diabła, nie zgodziłeś się? – Ellen była zła.

– To nie tak. Ja po prostu nie mogę płynąć, ale powiedziałem McIllvanneyowi, że Sam Meredith mógłby wziąć ten rejs za mnie.

Ellen nie spodobał się mój pomysł. Sam był na pewno dobrym szyprem, ale nie potrafił trzymać rąk przy sobie w obecności Ellen. W tej chwili Meredith odstawił jeden z jachtów do właściciela w Massachusetts. Wiele jachtów czarterowych należało do prywatnych właścicieli i Cutwater wypożyczało je on nich pod warunkiem, że zostaną odstawione, zanim rozpocznie się sezon letni na północy. Przypuszczałem, że McIllvanney wysłał do Massachusetts wiadomość, prosząc Sama o telefon, jak tylko tam przybędzie. Sam na pewno skorzysta z okazji załapania się na dodatkowy, trzymiesięczny rejs, a wtedy Ellen i Tesy mogłyby również otrzymać obiecane stawki.

– Ale McIllvanney powiedział, że senator chce tylko ciebie, Nick. – Głos Tesy'ego brzmiał żałośnie.

– On po prostu chce wysłać gdzieś swoje zepsute bachory. Nie zależy mu na tym, kto będzie szyprem.

– Może jednak zależy – nalegał Tesy. Oboje z Ellen patrzyli na mnie z wyrzutem, jakbym ich skrzywdził.

– Na miłość boską! Przecież i tak zarobicie swoją forszę. Sam na pewno skorzysta z okazji zrobienia jeszcze jednego rejsu. Ja nie mogę! Mam łódź, którą muszę naprawić.

Patrzyli na mnie obrażeni. Diabli niech wezmą McIlvanneya i jego zagrywki. Odwróciłem się demonstracyjnie, aby pokazać, że sprawa dodatkowego rejsu jest dla mnie zamknięta.

– Tesy, wciągnij banderę.

Wciągnięcie bandery było ostatnim punktem przygotowań. Wavebreaker zarejestrowany był w Channel Islands i dlatego pływał zawsze pod flagą brytyjską. Oprócz niej wciągaliśmy flagę Bahamów, czyli portu macierzystego, oraz banderę kraju, z którego pochodzili nasi goście. Gest taki byłby przez morskich purystów uznany za niezgodny z żeglarską etyką, ale zawsze cieszył naszych klientów.

Teraz więc pod flagą Bahamów znalazła się flaga amerykańska, a jeszcze niżej, mniejsza flaga Konfederacji. To był pomysł Ellen. Flagę Konfederacji wciągaliśmy wtedy, gdy nasi pasażerowie pochodzili z Południa. W tym tygodniu gościliśmy trzy małżeństwa z Georgii.

Jeszcze raz wszystko sprawdziłem. Nie znalazłem nic, do czego można było się przyczepić. Wavebreaker prezentował się świetnie, tak samo zresztą jak jego załoga, czyli my. Wyglądaliśmy całkiem nieźle w jednakowych biało-niebieskich ubraniach. Byliśmy gotowi. Na stole, który Ellen ustawiła w kokpicie, czekały na gości: sok pomarańczowy, szampan oraz flaszka mrożonej wódki. Wiatr poruszał śnieżnobiałą serwetą. Na rufie powiewały flagi.

– Dobra robota – powiedziałem.

– Ale załóżmy, że Crowninshield nie będzie chciał nikogo, prócz ciebie? – Ellen nie dawała za wygraną. Nie chciała stracić takiej kupy pieniędzy.

Zdenerwowałem się.

– Czy mam zostawić Masquerade tylko dlatego, aby jakieś bachory miały wakacje?

– Nie, masz zostawić Masquerade, abym ja mogła zarobić kilka tysięcy dolarów. – Ellen uśmiechnęła się do mnie słodko. – Jeżeli nie zarobię tej forsy, możesz

być pewien, że nigdzie z tobą nie popłynę. Jak to mówią, drogi Nicholasie: „Wyżej tyłka nie podskoczysz”.

Tesy aż się zachłysnął.

– Zarobisz tak samo, jeżeli czarter weźmie Sam – powiedziałem. – A potem możesz popłynąć ze mną.

– Nie zarobię tak samo, jeżeli senator żąda, żebyś ty był szyprem. – Ellen była uparta.

Od strony bramy przystani, wśród trzasków i dymu, nadjechał samochód Cwatter. Tesy zszedł pod pokład, wziął kasetę i czekał na mój znak, aby włączyć sygnał Wavebreakera.

Drzwi taksówki otworzyły się. Niewiele wiedzieliśmy o naszych ostatnich w tym sezonie klientach. Powiedziano nam tylko, że dwóch prawników i proktolog razem ze swoimi żonami chcą miło spędzić czas. Wiedzieliśmy też, że jedna z żon jest wegetarianką i że proktolog nie lubi makaronu. Poza tymi szczegółami ci ludzie byli nam zupełnie obcy, dlatego też z pewnym niepokojem oczekiwaliśmy na ich przybycie. Na pewno oni też zastanawiali się, jakich ludzi spotkają na pokładzie Wavebreakera. Do naszych obowiązków należało również umiejętne rozładowanie napiętej atmosfery pierwszych chwil.

– Pamiętajcie – instruowała nas zawsze Ellen – to są beznadziejnie bogaci ludzie i bardzo chcą, żebyśmy ich polubili, ponieważ mają wyrzuty sumienia właśnie dlatego, że są bogaci. Wystarczy im usługiwać, cały czas serwować drinki i udawać, że imponują nam ich nieciekawe poglądy, a na koniec na pewno dadzą nam niesamowicie wielkie napiwki, czyli jedyny powód, dla którego opłaca się być miłym dla takich kreatur.

Pierwszy facet, który wysiadł z chevroleta, miał na sobie niebieskozielone bermudy, różową hawajską koszulę i niebieską czapkę z daszkiem.

– To pewnie ten proktolog – szepnęła Ellen.

– Kto to jest proktolog? – zapytał Tesy z zejściówki.

– To taki co leczy dupków albo, w przypadku Nicka, taki co wymienia mózgi – wyjaśniła Ellen i obdarzyła mnie uśmiechem, który zamroziłby najgorętszy piec hutniczy.

– Teraz – powiedziałem w momencie, kiedy Tesy brał oddech, aby zadać

kolejne pytanie. Chłopak wsadził kasetę w odtwarzacz i z głośników Wavebreakera popłynęła melodia „Yellow Bird”, wypełniając całą przystań wesołymi dźwiękami. Bellybutton w słomkowym kapeluszu odtańczył jakiś absurdalny taniec na pokładzie swojej łodzi. Wszystko miało wyglądać jak proste bahamskie *welcome* dla białych przybyszów z Georgii, którzy stali, mrużąc od słońca oczy. Obok nich rosła góra bagaży. Gość w czapce z daszkiem zauważył flagę Konfederacji i wydał z siebie triumfalno-radosny okrzyk, od którego z pobliskich trzciny zerwały się dwie mewy.

– Dupek – syknęła Ellen jadownicie. Ona była Jankeską. Potem załoga Wavebreakera odegrała kolejne w tym sezonie przedstawienie powitalne.

Zaczął się mój ostatni czarter. Jeszcze tydzień pracy i nareszcie będę się mógł zająć Masquerade. Pożegluję ją przez południowy Pacyfik – po krańce Ziemi, po szczęście.

**W**avebreaker to piękny jacht, ale niezbyt wygodny do żeglugi w tych rejonach. Wody wokół Bahamów były raczej płytkie, pełne ostrych raf koralowych i zdradzieckich skał podwodnych, nad którymi płaskodenne łodzie przechodziły bezpiecznie, a które szkuner o dość dużym zanurzeniu musiał omijać wolno i ostrożnie. Za każdym razem, kiedy przepływaliśmy przez rejon podwodnych skał, Tesy był zmuszony godzinami stać na dziobie, obserwując kolor wody. Głębokie morze miało kolor granatowy, nad rafami zmieniało barwę na zieloną, a tam gdzie woda stawała się niebezpiecznie płytka – na brązową. Kiedy Tesy coś zauważył, krzyczał do mnie, abym sterował bardziej w prawo lub w lewo, a czasami musieliśmy gwałtownie się wycofywać.

Staraliśmy się unikać takich niespodzianek, trzymając się głębszych kanałów i zatok, ale niektórzy goście życzyli sobie, byśmy stawali na kotwicy w płytszych lagunach, gdzie promienie słońca odbijały się od żółtego piaszczystego dna i tam gromadziły się zwykle ławice małych kolorowych rybek. Aby nieco zniechęcić naszych klientów do takich miejsc, wystarczyło wsypać do wody torbę głów kurczaków, których zapas zawsze mieliśmy w zamrażarce. Natychmiast pojawiały się rekiny, które zaczynały krążyć złowrogo wokół jachtu. One zawsze potrafiły przekonać naszych klientów, że lepiej jest trzymać się głębszych wód.

Goście, którzy mimo wszystko wciąż jeszcze pragnęli korzystać z uroków lagun i płycizn, mogli używać skifa.

Jednego popołudnia małżeństwa z Georgii wybrały się na ryby. Tesy, którego ojciec bardzo dobrze znał te rejony, bezbłędnie wskazał im świetne miejsce. Dosłownie w kilka chwil złowili cztery duże ryby. Kiedy wrócili na pokład Wavebreakera,

proktolog zawołał do Ellen przygotowującej sałatę na obiad:

– Hej, ślicznotko, ugotujesz mi rybkę?

– Pewnie, doktorku, ale nie będziesz chciał jej jeść. – Ellen uśmiechnęła się słodko. – Ten gatunek ryby smakuje tak samo jak pachnie.

– No to co będziemy dzisiaj jedli na obiad?

– Ziemniaki w mundurkach i steki.

– A może podałybyś nam to bez mundurka? – Proktolog wybuchnął śmiechem i szturchnął mnie w ramię. – Łapiesz, Nick? Może podałyby nam to bez mundurka? Kuuurczę, czasami sam siebie zadziwiam. Ona naprawdę była profesorem na uniwersytecie?

– Tak mówi.

– Jak ja chodziłem do szkoły, to one wyglądały zupełnie inaczej. Te stare próchna, które wtedy wykładały, rozsypywały się, zanim zdążyłeś je dotknąć. – Zachichotał i wziął sobie kolejną wódkę z sokiem pomarańczowym. Potem, wyciągając szklankę ku lampie, wzniosł toast za jakiegoś pacjenta, który zafundował im ten tydzień przyjemności. Kiedy już wyraził swą niezmierną wdzięczność do całego świata, wypił drinka i jeszcze raz uniósł szklankę w górę, tym razem honorując dzielnego Tesy'ego, który doskonale sprawdził się jako przewodnik podczas ich popołudniowej wyprawy na ryby.

– Czy ten dzieciak naprawdę nazywa się Tesalonić?

– Naprawdę – potwierdziłem.

– To najdziwniejsze imię, jakie kiedykolwiek słyszałem. – Proktolog pokręcił głową i zaczął rozglądać się wokoło. Kotwicę rzuciliśmy w pobliżu małej bezludnej wysepki, której piaszczyste plaże łagodnie opadały ku morzu. W naszym prywatnym skrawku raju powoli zapadał zmierzch, otulając lagunę miękką granatowością. W ciemnosrebrnej powierzchni wody widać było wyraźne kontury wygiętych pni palm. Pierwsze pojawiające się na niebie gwiazdy odbijały się w naszych szklankach, gdzie pływały kawałki lodu w kształcie półksiężyców.

– To jest życie – westchnął proktolog, wyciągając opalone nogi na rozłożonych w kokpicie poduszkach. Głowę oparł tak, aby móc obserwować wyskakujące ponad wyspą gwiazdy.

– Z ciebie to, kurde, szczęściarz, Nick. Siedzisz sobie tutaj z Ellen, podczas

gdy ja muszę całymi dniami oglądać tyłki dupków. – Skrzywił się i spojrział na mnie.

– Dlaczego nie zostałeś aktorem jak twój ojciec?

– Nie nadaję się do tego.

– Nienadawanie się nie przeszkadza mi leczyć dupków. – Zaśmiał się, zadowolony z własnej riposty, a potem zapytał, która z żon mojego ojca była moją matką. Odpowiedziałem, a on pokręcił z podziwem głową. – O, la-la! Niezłą miałaś mamuszkę!

– O, la-la – zgodziłem się. Moja matka była swego czasu równie sławna jak ojciec. Teraz znajdowała się w jakiejś klinice na odwyku. Jak miała lepsze dni, to pamiętała nawet, kim kiedyś była. Niestety, takie dni zdarzały się rzadko. Coraz rzadziej. W ogóle moja rodzinka stanowiła niezłe gniazdo węży. Najlepszy był oczywiście ten powszechnie znany pyton, który potrafił udawać wszystko, nawet miłość.

– Chyba fajnie jest mieć takiego sławnego ojca jak sir Thomas? – spytał proktolog z nadzieją, że usłyszy jakąś plotkę.

– Cudownie – przyznałem z odpowiednim namaszczeniem. – To wspaniały facet.

Doktor przytaknął.

– To widać od razu. Wystarczy na niego spojrzeć. – Nie zgrywał się, mówił z emfazą, wyrażając w ten sposób podziw dla Najwspanialszego Żyjącego Anglika. – Wiesz, o co mi chodzi, Nick? Patrzysz na takiego, wszystko jedno kogo gra, i po prostu wiesz, że ten facet to równy gość. On jest taki... eee... Jak to się mówi, Nick? – strzelił palcami. – Prawy! – wypalił w końcu. – Twój ojciec jest prawy.

Mój ojciec prawdopodobnie nie pojąłby znaczenia słowa „prawy”, nawet gdyby tłumaczyć mu je przez trzy godziny.

– Wiem – powiedziałem. Proktolog zamieszał lód w szklance.

– Szczęściarz z ciebie, Nick.

– Wiem – powtórzyłem. Byłem szczęściarzem, ale z zupełnie innych powodów, niż ten facet sądził. Byłem szczęściarzem, bo zrezygnowałem ze świata iluzji na rzecz zdrowego rozsądku i realizmu. Uciekłem od sir Toma, gdyż potrzebowałem jakiejś solidnej, prawdziwej podstawy, na której mógłbym zbudować własne życie. Nie miałem czasu zajmować się złudzeniami. Iluzja nie określiłaby pozycji za



pomocą sekstansu i nie poradziłyby sobie z ustawieniem stu metrów kwadratowych ciężkiego, trzepoczącego płótna żaglowego w taki sposób, aby wzburzone morze i silny wiatr stały się sprzymierzeńcami a nie wrogami. Ludzie zazdrościli mi rodziny i dzieciństwa, a ja byłem dumny z tego, że odrzuciłem i jedno, i drugie, aby wieść całkiem prozaiczny żywot. Proktolog znudził się rozmową o sir Tomie.

- Sądysz, że jutro znów będziemy mogli popłynąć na ryby? – spytał.
- To wasz rejs i możecie robić, co chcecie.
- Hej, Ellen! – Doktor krzyknął w stronę kuchni, gdzie Ellen usiłowała ukryć fakt, że steki właśnie rozmrażały się w kuchence mikrofalowej. – Nick twierdzi, że mogę robić, co chcę! Może ponurkujesz ze mną jutro?
- Chyba nie byłabym w stanie znieść tak silnych wrażeń, doktoru – odparła Ellen.

Pod koniec tygodnia proktolog twierdził, że były to „najlepsze cholerne wakacje”, jakie miał kiedykolwiek. Gdy wplywaliśmy do przystani McIlvanneya zauważyłem, że wziął Ellen na bok. Pewnie oferował jej pracę. Przez rok, kiedy pełniłem obowiązki szypra na Wavebreakerze, co najmniej połowa z naszych żonatych gości albo proponowała Ellen pracę, albo namawiała ją, żeby wpadła do ich biura, kiedy będzie w pobliżu. Zaczynało się to stawać nudne.

W dziesięć minut później Tesy i ja wynosiliśmy już bagaże do nagrzonej słońcem taksówki. Jedna z żon prawników pytała Ellen o sekret jej wspaniałej kawy. Ellen skromnie stwierdziła, że robi wszystko według instrukcji obsługi ekspresu. Prawda była taka, że wsypywała do każdego dzbanka kawy z ekspresu filiżankę kawy rozpuszczalnej. Proktolog wręczył mi trzy koperty, po jednej dla każdego z nas, dodając, że jeżeli kiedykolwiek będę miał hemoroidy, to mi je za darmo usunie.

Ellen uśmiechała się uprzejmie, dopóki taksówka nie zniknęła za rogiem. Potem podarła wizytówkę proktologa.

- Ten drab proponował mi, żebym pracowała u niego jako recepcjonistka. – Otworzyła kopertę. Było w niej dwieście dolarów.

W mojej było tyle samo. Tesy dostał sto, no i czapkę z daszkiem od proktologa. Wysokość napiwków nie miała znaczenia, i tak dzieliliśmy się nimi po równo.

Tylko godzinę zajęło nam usunięcie z Wavebreakera wszystkich śmieci i brudnej pościeli. Potem podłączyliśmy się do sieci elektrycznej na przystani i uzupełniliśmy zapas wody i paliwa. Kiedy skończyliśmy, założyłem pokrowce na żagle, aby nie docierało do nich słońce, i wyciągnąłem moją starą bosmańską torbę na pomost. Ellen czekała na mnie.

Zamierzała wrócić do swojego małego mieszkania w mieście, do swoich cennych książek i starej maszyny do pisania, na której tworzyła coś, co nazywała „ćwiczeniami na pięć palców”. Nigdy nie dawała ich nikomu do przeczytania. McIlvanney zaproponował, aby została na Wavebreakerze, aż do czasu wyłączenia na nim klimatyzacji, ale ona nie miała ochoty na stróżowanie, i to za darmo. W dodatku naraziłaby się na namolne i dwuznaczne propozycje ze strony Bellybuttona. Woląла swój mały pokoik, do którego w dzień dochodziły zapachy kuchenne, a w nocy marihuany.

- No to co, do zobaczenia za tydzień? – Ellen spróbowała raz jeszcze.
- Wiesz, że nie mogę. Muszę naprawić łódź. – Starąłem się ją wyminąć, ale zagroziła mi drogę rowerem. – Przecież już ustaliliśmy, że Sam może być szyprem.
- Sam Meredith to mięczak. Masz tutaj być za tydzień, w przeciwnym razie już się więcej nie zobaczymy.

Tesy czekał przy bramie przystani, gdzie stała również nasza taksówka. Ellen wciąż mnie jeszcze przekonywała, kiedy razem z Tesym wsiadaliśmy do samochodu, ale ja już nie słuchałem. Czekąła na mnie Masquerade. Miałem ją i miałem swoje własne życie, nawet jeżeli odtąd miało to być życie bez Ellen. Zakończyłem już rejsy. Byłem wolny.

Przebywałem w Nowym Jorku, kiedy ukradziono Masquerade. Pojechałem na premierowe przedstawienie „Króla Leara” na Broadwayu. Ojciec mnie prosił, bym przyjechał. Mówił, że jest stary i staro się czuje. Leara grał przez pięć miesięcy w Teatrze Narodowym w Londynie i był już zmęczony. Zapewniał mnie, że chciałby naprawić panujące między nami stosunki. Twierdził, że wtedy poczuje się lepiej. Mówił, że jestem jedynym z jego dzieci, któremu może zaufać. Potrzebował młodości i wsparcia. Jak głupi uwierzyłem mu i poleciałem do Nowego Jorku. Znalazłem go w hotelu Plaza z jakąś ufryzowaną panienką, która mogłaby być jego wnuczką.

– Moja kochana mała życzy sobie grać w teatrze – powiedział mi – i ma wystarczająco długie nogi, by mnie przekonać, że powinna się tam znaleźć. Choć to przekonywanie może się dla mnie zakończyć bólem pleców. Może ty byś chciał się z nią przespać?

Poszedłem do teatru na jego premierę. Był wspaniały. Nadal nie wiem, jak on to robi? Zawsze gardził aktorami, którzy kończyli szkoły.

– Małe robaczywe marionetki – zwykł ich nazywać– uszminowane gnidy. Nie płaci im się za to, żeby udzielali amatorskich porad psychiatrycznych, tylko za to, żeby grali, żeby byli aktorami.

Scena to ciężka praca a nie robienie ludziom wody z mózgów.

Tej nocy na Broadwayu stałem za kulisami obok niego. Całą uwagę poświęcał piersiom swojej ufryzowanej wielbicielki. Wyglądał jak przeciętny śliniący się staruszek, ale po chwili, gdy zagrały królewskie fanfary, ojciec zarzucił szarą togę, mrugnął do mnie i wyszedł na scenę.

*Sprowadź, Gloucesterze, władców Francji i Burgundii* – wypowiedział pierwsze słowa Leara, a ja poczułem, że przez ciemną widownię przeszedł szmer podziwu. To był głos o niesamowitej mocy. Ojciec nie wyglądał już na steranego staruszka, ale wielkiego, wspaniałego, łagodnego i uczciwego aż do bólu króla. To przedstawienie było jego triumfem. Później, na przyjęciu, popijając szampana, powtarzał, jak zresztą po każdej premierze, że to było iluzją, wszystko jest iluzją, życie też, a on, sir Tom, to mistrz iluzji. Niemniej w jego płodnej twórczości znalazł się jeden wyjątek, coś, czego nie mogła zrodzić wyobraźnia – jego dzieci – które były jak najbardziej realne.

– Ukochany synu – ujął mnie za ręce – wróć do domu, do mnie. Do Anglii. – Był pijany.

– Dlaczego?

– Mógłbyś to wszystko po mnie przejąć. Przecież masz to we krwi i dobrze o tym wiesz.

– Niestety nie.

– Jesteś moim sumieniem, Nick. Dlatego cię potrzebuję – rozejrzał się po sali. – Miałem ją w balonie, wiesz. Nad Kalifornią. Jej mąż gonił nas dżipem. Doskonale wiedział, co robiliśmy w tym balonie, ja i jego żona. Zazdrosny był biedak. – Ojciec

zaczął chichotać. – Wiesz, co ona mi powiedziała, Nick? Że czuje, jak wraz moim nasieniem przenikają ją iskry geniuszu! Och, Nick! Ja nigdy nie skąpiłem tego geniuszu. A jej głupi mąż zastrzelił się. Zresztą nikogo to nie zaskoczyło, ona była zepsutą dziwką.

Ojciec namówił mnie, abym został dwa dni dłużej. Tak więc minęły trzy dni, zanim odkryłem, że Masquerade zniknęła. Po kolejnych siedmiu dniach odnaleziono ją. Fale wypychały łódź coraz bardziej na rafę, na północ od Straker's Cay, w regionie Far-Out Islands. Bonefish Straker sądził, że ukradły ją bahamskie dzieciaki. Nigdy jednak nie dowiem się, kto ją rozbił. Zabrano z niej małą łódkę ratunkową i większość sprzętu, między innymi chronometr, sekstans, krótkofalówkę, barometr, zapasowy komplet żagli i lin, odbijacze, a nawet materace z koi na prawej burcie. Złodzieje ukradli mój stary dobry sztormiak, ale zostawili muszlę, w której chowałem pieniądze. Nie znaleźli też starego webleya 445, którego trzymałem zawsze w skrytce pod deskami pokładu. Rewolwer ten służył kiedyś jako rekwizyt przy kręceniu filmowej wersji „Końca podróży”, w której grał mój ojciec. Po skończeniu tej pracy, po prostu „zapomniał” go oddać. Rewolwer wciąż jeszcze działał.

Broni używałem tylko, aby odstraszyć nieproszonych gości, gdyż w niektórych regionach żeglujące jachty uważano za źródło dodatkowych dochodów. Webley, choć miał już ponad siedemdziesiąt lat, wyglądał na tyle groźnie i potężnie, aby przekonać kogokolwiek o czymkolwiek.

Bonefish Straker uratował Masquerade. Ściągnął ją z raf i umieścił na tyłach swego domu. Odmówił przyjęcia jakichkolwiek pieniędzy za tę niebagatelną przysługę. Bonefish Straker był ojcem Tesy'ego jak również dwóch tuzinów innych dzieciaków, z których większość to sieroty adoptowane przez Bonefisha i jego żonę – Sarah. Naprawdę miał na imię Hektor. Przydomek Bonefish zyskał dzięki swym niesamowitym umiejętnościom wytopienia tych trudnych do złowienia ryb. Okrzyknięto go jednym z najlepszych znawców i przewodników po łowiskach i mógłby nieźle na tym zarabiać, ale uważał, że jeżeli zbyt dużo czasu będzie spędzał poza domem, to jego rodzina „zboczy ze ścieżki prawości”. Tak więc jako przewodnik pracował tylko przez kilka tygodni w roku. Resztę czasu poświęcał na szukanie konch i homarów albo rozmyślanie nad biednymi zabłąkanymi duszami swoich domowników, z których każdy nosił, poza Tesym, imię jednej z ksiąg Starego Testamentu.

Bonefish nazywał swoje dzieci, zaczynając od księgi końcowej, a doszedł aż do Księgi Rodzaju. Jego najstarsza córka nazywała się Objawienie Straker. Była bardzo piękna i tak samo szczęśliwa, jak wszystkie pozostałe dzieciaki Strakerów. Bonefish był dobrym człowiekiem i nigdy nie słyszał o sir Thomasie Breakspearze. Naprawdę miałem szczęście, że go spotkałem.

Niepewnie przestępował z nogi na nogę, podczas gdy ja oglądałem to, co zdążył już wyremontować na Masquerade. Minęły dwa lata od momentu, kiedy mój duński jol rozbił się na rafach. Bonefish zdołał uratować część dębowego szalunku, którym obił kadłub Masquerade. Tylko jedna wręga wymagała wymiany. Bonefish wyprofilował ją z własnego drewna.

- Doskonała robota – powiedziałem z uznaniem.
- Zrobiłbym więcej, ale sam pan wie jak to jest, kiedy się ma rodzinę.
- Proszę nie mówić do mnie „pan”. Po prostu Nick.
- Jak się ma rodzinę, proszę pana... – Bonefish kontynuował, jakby mnie nie

słyszał. Do wszystkich białych zwracał się per pan. Dla niego wszyscy byliśmy misjonarzami, którzy przywiedli Boga do jego duszy i prawo do jego kraju. Próbowiałem mu tłumaczyć, że świat się bardzo zmienił, ale Bonefish w to nie wierzył. Był potomkiem niewolników, którzy przybyli tutaj wraz ze swoim panem, niejakim Rafem Strakerem, z Long Island w 1783 roku. Rafe Straker, jak wielu z pierwszych białych osadników na Wyspach Bahama, był amerykańskim lojalistą, który nie mógł znieść rządów George'a Washingtona. Biała rodzina Strakerów obecnie już nie istniała. Część genów, oczywiście, zdążyła przekazać swej gibkiej, pięknej i wyzwołonej już służbie. Tylko nazwisko Straker przetrwało. Rodzina Bonefisha nadała mu nową, inną godność.

– Nie wiem, gdzie można zdobyć miedź. – Bonefish wskazał ręką zdarte poszycie kadłuba Masquerade.

– Sprowadzę ją z Anglii. Przy okazji poproszę, aby przysłali gwoździe z brązu. Smołę dostaniemy na miejscu. – Miedzianą blachę kładło się na drewno uprzednio uszczelniając go nasmołowanym szarym papierem.

Bonefish uśmiechnął się niepewnie.

- Chyba damy sobie radę, proszę pana.

Tesy, który przykucnął obok czekając, aż ojciec pozwoli mu włączyć się do rozmowy, obserwował krążący nad naszymi głowami mały samolot. Numery samolotu

były tak wyblakłe, że nie dało się ich odczytać, ale i tak wiedziałem, do kogo należał. Właścicielem był Maggot, a właściwie amerykański emigrant – John Maggoverski – który prowadził kilka małych firm w tych stronach. Wszystkie były wciąż na skraju bankructwa. Jego trzęsąca „powietrzna taksówka” przyprawiała pasażerów o palpitację serca. Wsiadali do niej nieświadomi ryzyka, jakie podejmują, decydując się na taki środek transportu. Przeraził, piskliwy odgłos silników zagłuszył wszystko, więc poczekaliśmy trochę, aż samolot oddali się w kierunku małego lądowiska na Strakers Cay. Kiedy maszyna zniknęła za drzewami, Bonefish potrząsnęła głową ze smutkiem. Samoloty były dla niego pierwszymi sygnałami nadchodzących zmian. Uważał je za zwiastuny zła na świecie, od którego odwrócił się Bóg.

Przypuszczałem, że Maggot albo właśnie przywiózł jakiegoś klienta, albo miał kogoś stąd zabrać. Zresztą nic mnie to nie obchodziło. Rozebrałem się do szortów i razem z Tesym przystąpiłem do pracy. Jego ojciec i brat Filemon wzięli łódź i wypłynęli na lagunę. Dwa pelikany przeleciały blisko nas. Zacząłem od szlifowania i dopasowywania zniszczonych desek pokładu. Słońce grzało mnie w plecy, ale południowo-wschodni wiatr sprawiał, że upał nie był dokuczliwy. Stado dzieciaków Bonefisha kręciło się w pobliżu, gotowe w każdej chwili do pomocy. Urządzały sobie wyścigi dookoła kadłuba Masquerade. Zjawiała się Objawienie. Usiadła w cieniu jola i zaczęła skubać kurczaki, które jak przypuszczałem, zabito na cześć mego powrotu na wyspę. Krewni tych nieszczęśników obojętnie krążyli wśród fruującego pierza, gdacząc i grzebiąc w piachu. Czasami Objawienie i ja wymienialiśmy parę słów, zadowoleni, że możemy czymś wypełnić upływające minuty.

– Czy to prawda, że Tesy'emu zaproponowano dużo pieniędzy za dodatkowy rejs? – zapytała Objawienie.

– Tak.

– Ale pan się nie zgodził?

– Nie miałem ochoty cię opuszczać, Objawienie.

Obojętnie przyjęła moje słowa.

– Tak naprawdę ojciec nie chciał, żeby Tesy wyjeżdżał na całe lato.

– No więc i tak nie ma to znaczenia, czy się zgodziłem, czy nie – powiedziałem z ulgą. Czułem się trochę winny, że pozbawiam Tesy'ego szansy zarobienia

sporej jak dla niego sumy.

– Ale gdyby pan popłynął, ojciec na pewno by go puścił – kontynuowała Objawienie. Poczucie winy wróciło. To ja zaproponowałem McIlvanneyowi zatrudnienie Tesy'ego w Cutwater. Bonefish zgodził się puścić syna tylko dlatego, że mi ufał. Nie byłem pewien, czy zasługiwałem na takie zaufanie, ale Bonefish był przekonany, że chronię chłopca przed wszelką niesprawiedliwością.

– Ale gdyby Tesy popłynął – ciągnęła dziewczyna – pieniądze bardzo by się przydały. Zepsuła nam się łódź. Ojciec nie może jej naprawić i nie ma za co kupić nowej – westchnęła, a potem odwróciła się, chcąc zobaczyć, co to za samochód nadjeżdża z takim trzaskiem i klekotem. Po minie dziewczyny widać było, że samochody widywano tu równie często co niedźwiedzie polarne. Objawienie razem z młodszymi dziećmi uciekła do kuchni.

Taksówka, stary pontiac, pomalowana chyba sześcioma różnymi odcieniami żółci i czerwieni, zatrzymała się przy dwóch stosach koralowca, które stanowiły wejście na podwórze domu Bonefisha. Tylne drzwi otworzyły się i z samochodu wysiadł wysoki biały mężczyzna. Miał na sobie spodnie w kratkę, kowbojskie buty i taki sam kapelusz. Niepewnie rozglądał się wokół siebie. Wyglądał na zdenerwowanego. Chyba nie był pewien, czy trafił we właściwe miejsce.

Kiedy mnie zobaczył, zaczął iść powoli w moim kierunku. Nie wiedziałem, co mam zrobić. Byłem zbyt zaskoczony. Kompletnie mnie zatkało. Oto stał przede mną we własnej osobie George Crowninshield – senator i być może przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych.

– Cześć, Nick – wyciągnął do mnie rękę i uśmiechnął się.

– O, kurde – zdołałem wykrztusić. Uścisnąłem jego dłoń.

Którejś nocy podczas tamtego rejsu siedzieliśmy sobie, popijając whisky i rozmawiając. To wtedy senator Crowninshield stwierdził, że żaden grubas nie zostanie już prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– William Taft to ostatni naprawdę gruby facet na tym stanowisku – stwierdził.

– Czy bardzo był gruby?

– Wielki jak dom, Nick. – Senator zmarszczył brwi i dodał, że odtąd Owalny Gabinet stanie się nieosiągalny nie tylko dla grubych, ale również dla brzydkich.

Ameryka, jak stwierdził rozbawiony Crowninshield, jest skazana na przystojnych prezydentów, a to z powodu telewizji, która zaczęła wyznaczać zasady obowiązujące w polityce. Senator zaśmiał się, a potem zwrócił w moim kierunku twarz i wskazał na swoją brodę.

– Widzisz tę bliznę?

Na jego opalonej skórze widać było niewielki ślad, więc skinąłem głową.

– Miałem tutaj dołek – wyznał Crowninshield szczerze – ale doradcy twierdzili, że moja twarz wygląda zbyt dziecinnie, więc kazałem go sobie usunąć. – Zaśmiał się znowu. Kpił z głupoty obecnych kręgów rządowych, przynajmniej jednocześnie, że sam do nich należy.

Według mnie senator nie potrzebował żadnych zabiegów kosmetycznych. Był przystojnym mężczyzną o poważnej twarzy z mocno zaznaczonymi kośćmi policzkowymi. Miał gęste ciemne włosy. Wyglądał najwyżej na trzydzieści pięć lat, choć zbliżał się już do pięćdziesiątki. Sprawiał to pewnie jego nieco krzywy, chłopięcy uśmiech, który potrafił wszystkich oczarować. Powszechnie uważano go za człowieka prawdomównego, co niejednokrotnie podkreślał zespół prowadzący jego kampanię wyborczą.

Nie wszystkim jednak senator Crowninshield imponował. Ellen twierdziła, że należy on do polityków, których image jest o wiele lepszy niż faktyczne osiągnięcia. Zawsze kpiła, że Crowninshield stara się zrobić wrażenie tam, gdzie to możliwe, i chwyta każdego modnego w danym momencie tematu. Przeciwnicy atakowali Crowninshieldsa również za to, że jest bogaty. Utrzymywali, że to dzięki wielkim sumom pieniędzy przeznaczonych na kampanię zdobył popularność. Kiedyś, już po zakończeniu rejsu na Wavebreakerze, przekonywałem Ellen, że przecież to nie jego wina, iż urodził się w bogatej rodzinie. Według mnie używał tego bogactwa w dobrym celu.

– To uczciwy facet – stwierdziłem stanowczo – a takich jest niewielu wśród polityków.

Ellen spojrzała wtedy na mnie z ubolewaniem.

– Uczciwy? Na miłość boską, Nick, on skończył prawo w Yale! Ten facet potrafi świetnie zadbać o pozory. Dla nas jest miły, bo nie stanowimy dla niego żadnego zagrożenia. Głosy zdobywał dzięki dobrze opracowanej strategii. Pozował na miłego i przystępnego, ale to, że ktoś nosi kowbojskie buty i uśmiecha się



niewinnie, nie zmieni go ze szczura w przyjemnego szczeniaczka.

Nie wierzyłem jej ani wtedy, ani teraz. Uważałem senatora za rozsądnego faceta, który miał wystarczająco dużo forsy, by nie iść zbyt często na kompromisy w polityce. Wydawał się zadowolony z naszego powtórnego spotkania. Trącił mnie w ramię.

– Świetnie wyglądasz, Nick.

– Pan także, senatorze.

– Nie mam innego wyjścia, biorąc pod uwagę to, ile płacę moim dietetykom i trenerom. Wiesz, ile kosztuje teraz takie „zdrowe życie”? – uśmiechnął się do mnie szczerze. – A tak naprawdę, to formę trzymam dzięki naszej amerykańskiej wołowinie. – Senator kandydował ze stanu, w którym hodowano bydło, i nigdy nie zapominał o wychwalaniu zalet amerykańskich steków. Prywatnie, on i jego żona rzadko jadali mięso.

– Jak mnie pan tutaj znalazł? – zapytałem.

– Jeden z moich doradców porozumiał się z tym, jak mu tam, McIlvanneyem. I tak miałem być w Nassau, więc pomyślałem, że przy okazji wpadnę do ciebie. Nie zabiorę ci wiele czasu. Mam do ciebie ważną sprawę. – Taksówka czekała na niego. Kierowca wysiadł i kucnął przy stosie koralowych odłamków. Ukradkiem palił papierosa. Kiedy już skończył, wszedł na podwórze, aby zaczekać w cieniu domu.

– Czy przyleciał pan z Maggotem? – spytałem Crowninshielda.

Senator przytaknął i roześmiał się.

– Pamiętam go jeszcze z czasów, kiedy grał z Gigantami. O, Boże! Lata samolotem tak samo, jak rozgrywał piłki.

Maggot grał kiedyś w football, ale po wypadku musiał zrezygnować. Jechał harleyem i miał wywrotkę przy szybkości prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Załatwił sobie lewe kolano. Czasem, gdy był pijany, raczył mnie opowieściami z czasów, gdy jeszcze grał. Jego piłkarskie historie nie interesowały mnie. Nigdy nie rozumiałem, na czym właściwie polega ta gra. Kiedy Maggot stawał się uciążliwy, zaczynałem opowiadać o krykicie, dopóki się nie zamknął. Lubiliśmy się. Byłem rad, że senatorowi także przypadł do gustu ten facet.

Crowninshield, wachlując się kapeluszem, stanął w cieniu Masquerade i przyglądał się jej rozoranej burcie.

– A wiec to o tę łódź chodzi?

- Raczej o to, co z niej zostało.
- Nieważne, Nick, i tak jest na co popatrzeć. – Podeszedł do rufy, gdzie złotymi literami wykaligrafowano nazwę jachtu. – Czy to hołd złożony profesji twego ojca?
- Nie, już się tak nazywała, gdy ją kupiłem, a mówią, że zmiana nazwy przynosi nieszczęście.

Spojrzał na mnie podejrzliwie. Pewnie myślał, że gdybym nie wierzył w przesady, to łódź już miałaby inne imię. Nic jednak na ten temat nie powiedział. Zapytał mnie natomiast, jak to się stało, że Masquerade została zniszczona.

- Jakiś baran ukradł ją, a później rozbił o rafę – powiedziałem. – No i teraz czekają mnie co najmniej dwa miesiące pracy przy naprawie.

Crowninshield przeszedł parę kroków. Stał teraz pod palmami porastającymi brzeg laguny.

- Tak więc będziesz naprawiał łódź, zamiast żeglować z moimi bliźniakami?
- Dokładnie tak. – Przyjąłem ten sam powolny sposób mówienia co on. Odwrócił się i spojrzał na mnie. Kiedy zobaczyłem wyraz twarzy senatora, pożałowałem, że go przedrzeźniałem. Zwykle był uprzejmy i przystępny, ale cechowała go również jakaś twardość. Widziałem ją teraz w oczach senatora. Czuł się urażony. Żeby jakoś pokryć swoje poprzednie niefortunne wystąpienie, powiedziałem:

- Ktoś inny weźmie pana dzieci na morze. Znam takiego jednego gościa, Sama Mereditha. Jest tak samo dobry jak ja.

– Wolałbym, żebyś to był ty. – Senator najwidoczniej wybaczył mi już. Wyjął z kieszeni koszuli okulary przeciwsłoneczne i wskazał nimi na mnie. Kiedy nie odpowiedziałem, odwrócił się i patrzył na odległą linię rafy koralowej, nad którą załamywały się fale, tworząc białe pasma piany. Dalej za rafą widziałem Bonefisha i jego synów, mocujących się z zagłem skifa. Silne promienie słoneczne odbijały się od powierzchni wody. Crowninshield w końcu musiał się odwrócić w moją stronę.

- Potrzebuję twojej pomocy, Nick. Mój syn sam pcha się do grobu, a córka zamierza pójść w jego ślady. Tylko ktoś tak silny jak ty mógłby im pomóc. – Powiedział to lekko, takim samym tonem, jakim mówił o mojej łodzi. Ten kontrast między tonem jego głosu a tym, o czym mówił, zastanowił mnie. Z początku nie byłem pewien, czy dobrze zrozumiałem. Ta nagła szczerłość senatora krępowała mnie.

- Pański syn pcha się do grobu?

- Rickie jest narkomanem – wyjaśnił.

Chwilę milczałem. Zdałem sobie sprawę z tego, w jak niezręcznej sytuacji się znalazłem.

- Rickie jest uzależniony głównie od kokainy – ciągnął senator – ale nie należy do szczególnie wybrednych. Oprócz koki bierze amfetaminę i doprawia się *speedballem*. Wiesz, co to jest?

- Nie.

- To zastrzyk kokainy zmieszanej z heroiną. Biorą to narkotykowi długodystansowcy – głos senatora brzmiał smutno – a wszystkie te śmieci uzupełnia alkohol i papierosy. Mój syn jest cholernym, umierającym ćpunem, a że nie chce umierać sam, wciągnął w to wszystko Robin-Anne. Jest już uzależniona od kokainy i pewnie niedługo zacznie serwować sobie *machy* i *speedballe*. – Ostatnie zdanie senator wypowiedział z wściekłością. Zrozumiałem, że tylko złość powstrzymuje go przed oplakiwaniem losu swoich dzieci. – Zdaje się – podjął, kiedy już się nieco uspokoił – że Rickie i Robin-Anne należą do osób szczególnie podatnych na uzależnienie.

Staralem się przypomnieć sobie, czy McIlvanney mówił mi coś o tym, że Rickie i Robin-Anne są narkomanami. Nie, on nie wspomniałby o niczym, co mogłoby zniechęcić mnie do udziału w tym rejsie. Teraz, kiedy wiedziałem już, o co chodzi, byłem jeszcze bardziej przeciwny przyjęciu dodatkowego rejsu.

- Nie jestem specjalistą od narkotyków, senatorze – stwierdziłem. – Na pewno istnieją kliniki, do których mógłby je pan wysłać.

Skinął głową.

- Oczywiście, że istnieją. Nawet teraz bliźniaki przebywają w takiej klinice, ale sądzę, że im potrzebna jest również innego rodzaju pomoc – przerwał na chwilę – pomoc wyjątkowej osoby, Nick. Kogoś takiego jak ty.

- Ja jestem zupełnie zwyczajny.

Crowninshield uśmiechnął się.

- Byłeś w *marines*...

- Tam biorą każdego, kto ma dobry wzrok – odparłem, chcąc zakończyć ten temat.

- Poza tym wiesz, dlaczego syn buntuje się przeciwko ojcu.

Pamiętam nasze nocne pogawędki na ten temat, Nick, i sądzę, że mój syn potrzebuje zrozumienia u kogoś, kto miał podobne problemy jak on.

- Proszę załatwić mu dobrego psychiatrę.
- Ale to właśnie ty jesteś najbardziej odpowiednią osobą.
- Nie jestem ekspertem! – zaprotestowałem.
- Ależ tak – nalegał Crowninshield – jesteś świetnym żeglarzem i możesz zabrać bliźniaki na morze i trzymać je tam, dopóki nie uwolnią się od kokainy. Nie obchodzi mnie, przez co będą musiały przejść, żeby uwolnić się od nałogu. Chcesz, to możesz je przywiązać do masztu. Nic mnie nie obchodzi, że będą widziały purpurowe węże i niebieskie pawiany. Z łodzi nie wyskoczą, nie zwieją do domu, a na pokładzie nie będą miały dostępu do żadnych świństw. Nie zdołają cię przekupić, abyś je wysadził na ląd, a to oznacza, że nie będą miały wyboru. Same muszą z tym skończyć.

Nie odpowiedziałem. Staralem się myśleć o pracy, którą należało jeszcze włożyć w odremontowanie Masquerade.

Crowninshield patrzył na mnie zza ciemnych szkieł okularów.

- Nick – odezwał się w końcu – jeżeli czegoś nie zrobię, to mój syn będzie żył najwyżej rok. Przez kokainę nie widzi już na lewe oko. Narkotyk spowodował niedokrwienie siatkówki. Miał szczęście, że nie stracił wzroku całkowicie albo że nie umarł. Następnym razem przestanie mu pracować serce lub to świństwo zablokuje dopływ krwi do mózgu. A może to Robin-Anne będzie następną ofiarą kokainy. Muszę przecież coś z tym zrobić. Nie mogę beczynnie czekać, aż moje dzieciaki poumierają.

Współczułem temu człowiekowi, ale nadal nie chciałem się w to wszystko mieszać.

Wzdłuż plaży, w kierunku wioski prowadziła wąska ścieżka. Ruszyłem nią. Senator szedł za mną. W oddali, ponad wierzchołkami palm, widać było czerwony wierzchołek małego kościołka. Zatrzymaliśmy się przy niewielkim cmentarzu. Stado dzikich kozłów gapiło się w naszą stronę ze zdumieniem. Senator patrzył na morze.

- Wiesz, Nick, prawda jest taka, że niezbyt dobrze układa się między mną a dziećmi. To boli. Przecież je kocham i zawsze starałem się to okazywać. Nie mam pojęcia, co się ostatnio z nimi stało. Tak jakby nić porozumienia między nami została zerwana nie wiadomo w którym miejscu. Najgorzej jest z Rickiem. Łatwiej

byłoby nauczyć słonia fruwać, niż się z nim dogadać. Wyrzucili go ze studiów, oczywiście za narkotyki. Miał szczęście, że nie zawiadomili policji. Wszystko, co miał mi wtedy do powiedzenia, to: „Spoko!” Spoko? Na miłość boską! Twego syna wyrzucają ze szkoły, krew leci mu z nosa od tej przeklętej kokainy, a on ci mówi: „Spoko!”

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Ze skały przy brzegu laguny przypatrywała mi się mała jaszczurka. Czerwony, blaszany dach kościółka błyszczał ponad wierzchołkami drzew.

- Brałeś kiedyś narkotyki? – zapytał senator, przerywając ciszę.
- Nie, ojciec często namawiał mnie, żebym spróbował jego marihuany, ale zawsze odmawiałem. Na kokainę, którą miał w garderobie, też nigdy nie miałem ochoty.
- Szczęściarz z ciebie, Nick. Proszę, weź bliźniaki na morze. Twój spokój i szczęście mogą im pomóc.

Wzruszyłem ramionami. Byłem zakłopotany. Ellen powiedziała mi kiedyś, że czuję się szczęśliwy tylko dlatego, że nie zastanawiam się nad niczym zbyt głęboko. Prawdopodobnie miała rację. Być może właśnie to moje niezagłębianie się w różne sprawy powodowało, że wiele osób przychodziło do mnie ze swoimi problemami. Tak jak teraz senator.

– Jednego nie rozumiem – powiedziałem szorstko, pragnąc, by cała ta rozmowa jak najszybciej się zakończyła. – Dlaczego daje pan dzieciom tyle pieniędzy, aby mogły sobie pozwolić na narkotyki? – Naprawdę nie rozumiałem, dlaczego senator nie wybił swemu synowi z głowy tych świństw, ale pytanie o to nie miałooby żadnego sensu. Powiedzieć Amerykaninowi, żeby uderzył swoje dziecko, to tak jakby namawiać go, by spalił amerykańską flagę.

- Mają własne pieniądze – odparł senator – w spadku po babci. Na razie tym kapitałem zarządzam ja i moja żona Barbara, no ale za miesiąc się wszystko zmieni.
- Jak zgarną całość?

Senator przytaknął. Chyba wyczuł, że jestem ciekaw, ile odziedziczą. Przez chwilę wahał się, niepewny, czy powinien mi to zdradzać. W końcu wzruszył ramionami.

- Dostaną po sześć milionów dolarów na głowę.

– O, kurczę! A pan pozwala im rozporządzać procentami od tej sumy, wiedząc, że wszystko idzie na narkotyki?

– Nie mam wyboru, Nick.

– Jak to?

Senator znowu odwrócił się w kierunku morza. Był bardzo smutny.

– Człowiek uzależniony od narkotyków zrobi wszystko, żeby je zdobyć. Będzie kradł i błagał, będzie zastawiał rodzinne pamiątki. Pozwoliłem bliźniakom kupować narkotyki dlatego, że nie chciałem, aby zostały złodziejami albo żeby sprzedawały siebie. Nawet nie wiesz, jak łatwo jest stoczyć się na samo dno. U dealera dostaniesz wszystko, dając w zamian TYLKO siebie. Sądziś, że chciałbym patrzeć, jak moje dzieci odstawiają różne numerki w zamian za szczyptę białego proszku?

Mimo tych wszystkich wyjaśnień, wciąż nie mogłem przystać na propozycję senatora. Na pewno istniały jakieś organizacje i kliniki, w których bliźniakami mogłyby się zająć kompetentne osoby. Ja działałbym wyłącznie na ślepo, a to w takiej sytuacji nie wystarczało.

– Proszę powiedzieć mi o nich coś więcej – zaproponowałem. Musiałem obmyślić jakiś sposób odmówienia senatorowi.

– Robin-Anne spodoba ci się – powiedział zbyt szybko senator, zdradzając tym samym, że Rickie może mi się nie spodobać. – Jest zawsze spokojna. Skończyła wydział Nauk Wolnych. Nigdy nie mieliśmy z nią kłopotów. – Musiał czytać w moich myślach, gdyż zaraz zaczął tłumaczyć, jak to się stało, że taki wzór doskonałości zaczął brać narkotyki. – Jej chłopak ją wciągnął. To kolega Rickiego.

– Rickie pewnie nigdy nie należał do potulnych?

– To prawda. – Senator chyba nie miał ochoty rozmawiać o swoim synu.

– Co on studiuje? – zapytałem.

– Dziewczyny? Opaleniznę? Jazdę na nartach? – Crowninshield nie potrafił ukryć rozgoryczenia. – Kokainę? Tak właściwie to interesowały go nauki ścisłe, ale prawdę mówiąc, zawsze był słabym uczniem. Nie jest opóźniony w rozwoju, po prostu cierpiał na dysfunkcję struktury poznawczej.

Zawsze zastanawiałem się, dlaczego Amerykanie nazywali szpadę – „ręcznie sterowanym narzędziem walki”. Nigdy nie mówili niczego wprost. Ze słów senatora wynikało, że Rickie był po prostu głupi, ale w całej tej psychologicznej paplaninie

nawet głupota miała swoją naukową nazwę. Podeszedłem do skraju wody, gdzie niewielkie fale laguny kołysały łupiną orzecha kokosowego.

– Jest pan pewien, że nie kieruje panem chęć pozbycia się Rickiego na jakiś czas? – Wytykanie prawdy człowiekowi takiemu jak Crowninshield, mogło być ryzykowne. – Gdyby prawda o pańskich dzieciach wyszła na jaw, plany zdobycia fotela prezydenckiego stanęłyby pod znakiem zapytania.

Senator odpowiedział swoim setki razy wypróbowywanym uśmiechem.

– Jakie plany? Przecież nie kandyduję.

– Wszystko jedno, Rickie i tak jest dla pana kłopotliwy – stwierdziłem.

– Rzeczywiście. I to nawet bardziej, niż przypuszczasz. Dwa miesiące temu aresztowano go za handel narkotykami. Termin rozprawy wstępnej wyznaczono na grudzień, do tego czasu wypuszczono go za kaucję. – Zawahał się, a po chwili dodał: – Nick, niektórzy z ludzi na wysokich stanowiskach twierdzą, że za trzy lata mógłbym zostać prezydentem, ale nikomu nie przyjdzie do głowy, że wcale mi na tym nie zależy. Chcę po prostu wyciągnąć swoje dzieci z uzależnienia.

Powiedział to takim tonem, że mu uwierzyłem. Zrobiło mi się głupio, że zarzucałem mu chęć uwolnienia się od syna na jakiś czas, a jednocześnie gdzieś w głębi duszy czułem, że Ellen naśmiewałaby się z mojej naiwności. Wierzyłem w to nagle wyznanie senatora. Ellen pewnie stwierdziłaby, że na tym świecie nic nie dzieje się tak zupełnie bezinteresownie. W oczach wyborców szanse Crowninshilda znacznie by wzrosły, gdyby mógł im pokazać swoje „wyleczone” dzieci. Uchodziłby wtedy nie tylko za doskonałego rodzica, ale również za specjalistę od narkomanii. Zdecydowałem, że lepiej będzie, jak przestanę wyobrażać sobie cyniczne uwagi Ellen.

– A jeżeli wyda pan fortunę na ten rejs, a Rickie mimo wszystko nie przestanie brać? – zapytałem. – Założmy, że wezmę go na te trzy miesiące i będę pilnował, aby się trzymał z dala od narkotyków, ale skąd można wiedzieć, czy po rozprawie znowu nie zacznie ćpać?

– Tego nie można wiedzieć – odparł senator. Ponad naszymi głowami ciepły wiatr poruszał liście palm. W oddali Bonefish wciąż mocował się z żaglem. – Rickie zdaje sobie sprawę, że wpadł po uszy. Ten rejs to jego pomysł.

– To pomysł Rickiego? – Nie potrafiłem ukryć zaskoczenia.

Przecież przed chwilą senator twierdził, że nie może dojść z synem do porozumienia. Widać nie było aż tak źle, jak mówił.

– Mnie to także zaskoczyło – przyznał Crowninshield. – Rickie nazwał ten rejs „jachtowym odwykiem”. Nie jestem pewien, czy zdaje sobie sprawę z wszystkich konsekwencji takiej wyprawy.

Pewnie wyobraża sobie wspaniałe wakacje z nurkowaniem i surfingiem i nawet nie myśli o tym, że ten jachtowy odwyk oznacza zerwanie z narkotykami. Prawdopodobnie słyszał, jak rozmawialiśmy z Barbarą o naszej poprzedniej udanej wyprawie z tobą i zaczął się zastanawiać, czy nie mógłby sam wyskoczyć trochę na Bahamy.

Nasz prawnik przedstawił ten pomysł w sądzie i prokurator zmienił warunki, pod jakimi Rickiego wypuszczono za kaucją, pozwalając mu na tę jachtową terapię. Podczas rejsu Rickie będzie z dala od wszelkich pokus.

Spojrzałem na senatora cynicznie.

– Nic go nie będzie kusiło? Na Bahamach? Przecież te wyspy aż pękają od narkotyków.

– Więc zabierz bliźniaki tam, gdzie ich nie ma. – Senator próbował zarazić mnie swoim entuzjazmem. – Możesz nauczyć je żeglarstwa. Robin-Anne zawsze podobały się żagle, a sądzę, że Rickiego też by to wciągnęło. Mógłbyś nawet popłynąć do domu! Napić się tego ciepłego angielskiego piwa, które kiedyś tak zachwalałeś.

– Nie mówiłem nigdy, że to piwo jest ciepłe, ale to nie ma teraz znaczenia. Cała ta sprawa nie jest aż tak prosta, jak pan sądzi – przerwałem na chwilę, chcąc ułożyć sobie w głowie wszystkie argumenty przeciwko temu jachtowemu odwykowi. Jednocześnie poczułem nagłą tęsknotę za domem. Wyobraziłem sobie, jak żegluję Wavebreakerem wprost do Dartmouth, a potem biorę skifa i płynę w górę rzeki, do jednego z moich ulubionych pubów, w których piwo smakowało tak jak powinno, w odróżnieniu od tej słabej, zimnej, amerykańskiej cieczy. Nagle zapragnąłem ujrzeć zielone brzegi Devon i poczuć kołysanie szarych, stromych fal w kanale La Manche.

– Przygotowanie Wavebreakera do podróży nie zabierze ci zbyt wiele czasu? – Senator poczuł, że się waham i chciał to wykorzystać.

– Nie, gdzieś z tydzień.



- Ale z pewnością część prac można wykonać już podczas rejsu.
- Część tak, ale o tej porze roku nigdy nie wypływam daleko, jeżeli nie jestem odpowiednio przygotowany. – Wczesnym latem strefa huraganów znajdowała się na południe od Bahamów, ale zdarzało się, że wyspy nawiedzały groźne tropikalne sztormy, tak więc nie wypływałem daleko od bezpiecznego schronienia, nie sprawdzisz przedtem całego takielunku. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że właśnie zacząłem się zastanawiać nad propozycją senatora, a przecież niańczenie dwójki rozpuszczonych ćpunów było ostatnią rzeczą, którą chciałbym robić podczas wakacji. – Jeżeli Wavebreaker ma popłynąć przez Atlantyk, potrzebna będzie wyszkolona załoga. – Dyplomatycznie nie wspominałem, że być może to nie ja będę kapitanem. – Niezbędni będą co najmniej trzej wachtowi i najlepiej, żeby znali się na nawigacji. Wiem, że na Wavebreakerze jest więcej elektronicznych zabawek niż na statku kosmicznym, ale jeżeli coś zawiedzie, to wtedy człowiek zdany jest na sekstans, ołówek i samego siebie.

- Załatwimy wszystko, co chcesz – zapewnił mnie Crowninshield.
- Tak naprawdę, to chcę naprawić swoją własną łódź.
- Załatwię ludzi, którzy się tym zajmą – przerwał mi senator. – Spisz tylko wszystko, co wymaga naprawy, a gwarantuję ci, że kiedy wrócisz, będzie na ciebie czekała najlepsza łódź w Ameryce.

- Ale ja naprawdę nie wiem, jak sobie radzić z narkomanami – powróciłem do mego pierwszego argumentu. – Ellen i Tesy też tego nie potrafią. Nie jesteśmy lekarzami!

- Dlatego zatrudniłem dla nich specjalistę z kliniki Rinkfels. Popłynie z wami. Nie jest lekarzem, zajmuje się raczej paramedycyną, ale wy nie będziecie musieli się martwić o zdrowie bliźniaków.

No to wpadłem. Wcześniej mogłem po prostu odrzucić propozycję senatora, ale ja chciałem się usprawiedliwić i przytoczyć mu taką ilość argumentów przeciw, żeby zrezygnował z tego pomysłu. Zamiast tego sam zaczynałem się już wahać. Spróbowałem ostatniego argumentu.

- Nie możemy wypłynąć w następnym tygodniu. Prom ze Straker's Cay odpływa dopiero w sobotę wieczorem, tak więc nie ma co liczyć, że zdążę przygotować Wavebreakera przed poniedziałkiem.

– Załatwię ci lot na Grand Bahama jeszcze dzisiaj – powiedział spokojnie Crowninshield – a bliźniaki dołączą do ciebie w niedzielę rano.

– Ależ ja dopiero wróciłem – zaprotestowałem słabo.

– Posłuchaj, Nick. – Senator znajdował wyjście z każdej sytuacji. – Weź moje dzieci na dwa tygodnie, tylko dwa, a jeżeli po tym okresie stwierdzisz, że jachtowy odwyk nie zdaje egzaminu albo że ty nie możesz sobie z nimi dać rady, wyślesz bliźniaki do domu. Czy taki układ ci odpowiada? Po prostu wyślesz bliźniaki do mnie, a ja nie będę miał do ciebie o nic pretensji. Proszę tylko o to, żebyś spróbował. Nie wymagam, żeby ci się powiodło. Tylko spróbuj. – Jego głos brzmiał prawie płaczliwie. – Tylko spróbuj.

Popatrzyłem mu w oczy. Senator był bardzo dumnym człowiekiem, nigdy nie zniżyłby się do proszenia o pomoc, gdyby tego naprawdę nie potrzebował. Wiedziałem, że nie mogę mu odmówić. Pewnie przyjeżdżając tu wiedział, że nie będę umiał mu się przeciwstawić.

– O, kurczę! – westchnąłem. Znowu ogarnęło mnie poczucie winy, lecz tym razem z innego powodu. Opuszczałem wyspę nie spróbowawszy nawet tych kurczaków, które Sarah Straker na pewno dla mnie przyrządziła. – Nie powinienem się zgadzać – powiedziałem do senatora. – Naprawdę nie powinienem.

Uśmiechnął się.

– Ale cieszę się, że to zrobiłeś, Nick. Dziękuję ci – wyciągnął do mnie rękę.

Myślałem o tym, że senator załatwi remont Masquerade. Starąłem się jakoś usprawiedliwić przyjęcie jego propozycji. Tak naprawdę, zgodziłem się, gdyż było to dla mnie wyzwanie. Chciałem je podjąć i nie miał znaczenia fakt, że mogłem przy tej okazji wyjść na idiotę. Uścisnąłem rękę senatora. Stanowiło to przypieczętowanie naszej umowy, ale poczułem się, jakbym wyciągnął miecz i stanął do nierównej walki z jakimś potworem. Powinienem był wszystko przemyśleć, zanim przystałem na ten układ. Sądzę jednak, że zastanawianie się nie leżało w mojej naturze. Przed zaciągnięciem się do marynarki, też się nie zastanawiałem, po prostu to zrobiłem. Tak samo teraz. Pocieszałem się, że przynajmniej Ellen będzie zadowolona i być może zgodzi się na nasz wspólny rejs dookoła świata. Powtarzałem sobie, że nie robię tego ani dla senatora, ani dla jego bliźniaków, tylko dla samego siebie.

Maggot czekał na pasie startowym. Na nasz widok uśmiechnął się ironicznie i uklonił senatorowi, a potem otworzył drzwi samolotu.

Zawsze się zastanawiałem, jak ktoś tak monstrualnych rozmiarów jak John Maggovertski mieścił się w takim małym samolocie. Czasami próbowałem wyobrazić sobie, że ktoś blokuje Maggota podczas meczu. Było to chyba równie mało prawdopodobne jak zatrzymanie rozpędzonego byka. Oprócz góry mięśni, Maggot miał jeszcze gęstą, czarną brodę, ciemne oczy, burzę rozczochranych włosów oraz ramiona pokryte tatuażami: węży, nagich panienek i flagi USA skrzyżowanej z flagą rodzinnego stanu Maggota – Arkansas.

Senatora umieścił na jednym z tylnych siedzeń, usuwając stamtąd najpierw kilka aparatów fotograficznych. John Maggovertski prowadził również niezbyt dochodową agencję fotograficzną. Zajmował się między innymi robieniem zdjęć z lotu ptaka domów bogatych ludzi. Prócz tego napełniał butle płetwonurków, prowadził wycieczki i na dodatek, pomimo kontuzjowanego lewego kolana, zupełnie nieźle grał w tenisa. Dzięki temu jeden z hoteli Lucaya zatrudnił go jako trenera. Okazał się jednak kiepskim instruktorem. Za bardzo koncentrował się na szkoleniu tylko tej pięknej połowy spośród hotelowych gości. Jego hobby to kolekcjonowanie broni. Oprócz samolotu miał jeszcze rozpadającą się łódź rybacką, którą na cześć jednego ze zwycięstw Gigantów nazwał Bronco-Buster.

Maggot zawsze powtarzał, że jest tylko zwykłym obywatelem tego kraju, co zawsze wkurzało Ellen, która go nie cierpiała. Twierdziła, że jest on tym samym dla kraju, czym wąż dla rajskiego ogrodu. Nazywała go prostackim, czerwonomordziastym

kretysem, który potrafi jedynie rozpychać się wśród jemu podobnych, w brutalnej i bezmyślnej grze. Takie zarzuty Maggot kwitował zwykle stwierdzeniem, że z Ellen mogłaby być niezła laska, gdyby nie to, że od tego całego wykształcenia coś jej się poprzestawiało. Podśmiewał się, że niechęć Ellen do niego wynika z faktu, iż jest w nim zakochana, choć nie chce tego okazać. W każdym razie, lepiej było trzymać tych dwoje z dala od siebie.

Maggot kazał mi zająć miejsce po prawej stronie pilota ostrzegając, żebym trzymał łapy przy sobie i nie dotykał drążków. Zastanawiałem się, co za przyrzady znajdowały się kiedyś w dziurach, z których teraz sterczały tylko druty. Maggot uruchomił silniki. Najpierw mieliśmy lecieć do Nassau, gdzie senator był zaproszony jako gość honorowy na przyjęcie wydawane przez oficerów marynarki w ambasadzie amerykańskiej. Później miał odstawić mnie na Grand Bahama.

– Jest pan pewien, że nie potrzebuje na tym przyjęciu pary chłopaków takich jak my, senatorze? – zapytał John.

– Byłoby mi miło, gdybyście chcieli mi towarzyszyć – odparł senator, zupełnie nie przejmując się tym, że Maggot mógłby zjawić się na przyjęciu.

– Czy powinienem założyć krawat?

– Sądzę, że tak.

– W takim razie będzie pan musiał się zadowolić towarzystwem dziewcząt z ambasady. – Maggot usiłował przekrzyczeć ryk silników. – A my z Nickiem zostaniemy tutaj, bo zapomnieliśmy wziąć ze sobą krawaty. – Zaśmiał się, a następnie zmarszczył brwi, przyglądając się kontrolkom samolotu, jakby nie był pewien, co która wskazuje. John zawsze udawał, będąc już w powietrzu, że niezupełnie pamięta, jak się prowadzi samolot albo, co gorsza, jak się ląduje. Przez te jego przedstawienia większość pasażerów wysiadała na trzęsących się nogach, przysięgając sobie, że już nigdy więcej.

– Sądzę, że powinniśmy spróbować oderwać tę kupę gorącego złomu od ziemi – krzyknął Maggot. W samolocie rzeczywiście było gorąco jak w piekle.

Kryta palmowymi liśćmi chata o dumnej nazwie Straker's Cay Airport Terminal została za nami. To, co teraz używane było jako pas startowy, wybudowało kiedyś duńsko-amerykańskie konsorcjum, które chciało stworzyć na Straker's Cay kurort.

Niestety, pieniędzy zabrakło, zanim zdołano skończyć budowę hotelu i przystani dla jachtów. Jediną pozostałością po ambitnych planach duńskich i amerykańskich biznesmenów było tylko to pole koralu zmieszanego z cementem.

Maggot nigdy nie zapinał pasa. Awionetka powoli ruszyła, podskakując na nierównej powierzchni.

- To cholerstwo daje się we znaki, senatorze! – krzyknął Maggot.
- Co takiego?
- Ten koral! Jeżeli pęknie opona, to wszyscy rozplaszczymy się na tym polu jak trzy kupki tłuszczu, a z samolotu zostanie blacha na konserwy.

Senator zbladł i wcisnął się mocniej w oparcie siedzenia. Ja już wcześniej słyszałem repertuar odzywek Maggota, tak więc nie zrobiło to na mnie aż takiego wrażenia. John, zadowolony, że udało mu się zepsuć komuś humor, pociągnął za drążek i samolot bezpiecznie oderwał się od ziemi. Raptownie uderzył w nas powiew świeżego powietrza. Kiedy przelatywaliśmy nad domem Bonefisha, pomachałem Tesy'emu, który stał obok Masquerade. Tesy miał dołączyć do mnie tego samego dnia co bliźniaki.

Wehikuł Maggota wznosił się wyżej. Towarzyszył temu dźwięk syren alarmowych, na które Maggot nie zwracał uwagi. Senator przestał się przejmować tym, co się wokół niego działo. Kiedy wycie stało się nie do zniesienia, pilot rąbnął parę razy w deskę rozdzielczą, aż ustało.

- Ta maszynka chce nas chyba zrobić na sztywno – stwierdził radośnie i zaczął opowiadać historyjki z czasów, gdy był jeszcze zawodowym graczem. Senator okazał się cierpliwym słuchaczem.

Ani słowem nie wspomnieliśmy, jaki był powód wizyty senatora na Straker's Cay, choć widać było, że Maggot umiera z ciekawości. Jednak nawet on potrafił być na tyle dyskretny, żeby nie pytać o to aż do Nassau, gdzie senator wysiadł. Kiedy Crowninshield opuścił samolot, a Maggot uzupełnił już zapas paliwa i przytargał skrzynkę piwa, którą cisnął na tylne siedzenie, nie mógł już dłużej wytrzymać.

Spodziewał się usłyszeć, że senator zamierza wynająć Wavebreakera dla swojej kochanki. W tamtym roku, aż dwa razy wynajmowano nasz jacht właśnie w takim celu. Raz był to angielski prawnik, który powiedział żonie, że jedzie na konferencję

do Brukseli, a tymczasem wybrał się w rejs razem ze swoją francuską przyjaciółką. Najśmieszniejsze było to, że Anglik cały czas unikał słońca, aby opalenizna nie zdradziła go przed żoną. Francuzka przechadzała się nago po pokładzie, podczas gdy prawnik krył się w kajutach jak ajatollah, który nie chce, aby świat się dowiedział, że ma liszaje. Maggot był zawiedziony, że tym razem nie trafiła mu się żadna pikantna ploteczka.

- To znaczy, że będziesz niańczył dwoje bogatych ćpunów?
- Dokładnie tak.
- A niech to.

Wystartowaliśmy z Nassau i lecieliśmy teraz na północ. Otworzyłem dla nas dwa piwa i rozwinąłem mapę, którą Maggot trzymał między siedzeniami. Była zupełnie inna niż nawigacyjne mapy morskie, ale mniej więcej się domyślałem, o co chodziło w tych wszystkich oznaczeniach.

- Pewnie nie będzie to dla ciebie zabawne – powiedział nagle Maggot.
- Słucham?
- To nie zabawa niańczyć dwoje narkomanów. Kokaina to jeden z najgorszych towarów.

- Podobnie mówił senator.

- I nie ma żadnych magicznych pigułek, aby to wyleczyć. – Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby Maggovertski mówił tak poważnie. Zapalił papierosa. – Nie-  
nawidzę kokainy – stwierdził nagle. Zaskoczyło mnie to. Zawsze uważałem Maggota za kogoś, kto się wiecznie buntował. Jeżeli istniała gdzieś jakaś zasada, to Maggot był zawsze pierwszym, który ją łamał. Tak więc sądziłem, że będzie po stronie bliźniaków, które także w pewnym sensie buntowały się przeciwko prawu. Jednak, z tego co widziałem, Maggot był przeciwny braniu narkotyków. Musiał wyczuć, iż byłem zdumiony jego reakcją, gdyż zaczął mi tłumaczyć: – Znałem kiedyś dziewczynę, która brała kokainę. Była instruktorką w klubie sportowym: aerobik, zdrowy tryb życia, te sprawy. Jakiś czas później widziałem, jak na rogu ulicy w Nowym Jorku wypinała swe wdzięki w kierunku przejeżdżających tamtędy samochodów. Jezu, żebyś wiedział, jak ciężko jest wyciągnąć kogoś z tych kokainowych śmieci.

- Udało wam się?

Pokręcił głową.

– Ostatnio spotkałem ją w peep-show w Pittsburghu. Do diabła, Nick, chciałem ją stamtąd zabrać, ale jej po prostu nie zależało. Wszystko czego pragnęła, to móc sobie wypchać nos tym gównem. Dla niej już nic nie można było zrobić.

Maggot mówił to z takim przygnębieniem, że zastanawiałem się, czy ta dziewczyna nie była kimś więcej niż tylko jego przyjaciółką. Nie chciałem go jednak wypytywać.

Patrzyłem bezmyślnie na mapę. Nagle na przecięciu dwóch korytarzy powietrznych zauważyłem maleńką wyspę. Murder Cay. Mapa musiała zostać wydrukowana jeszcze przed oficjalną zmianą nazwy. Na wyspie zaznaczono siedmuset pięćdziesięciometrowy pas.

– Czy siedemset pięćdziesiąt metrów wystarczy, żeby wystartować? – zapytałem.

– Siedemset pięćdziesiąt? Trochę krótko – odpowiedział automatycznie. Chyba wciąż jeszcze myślał o tamtej dziewczynie.

– Czy latałeś kiedykolwiek na Murder Cay?

Kudłata głowa zwróciła się w moim kierunku. Maggot zaciągnął się papierosem. Miałem wrażenie, że moje pytanie zdenerwowało go, ale kiedy odpowiadał, jego głos brzmiał normalnie.

– To gniazdo żmij, Nick. Nie włącz w nie.

– Kim są te żmije?

– Ci, którzy kupili tę wyspę. – Pociągnął łyk piwa z butelki i wyrzucił pustą przez małe trójkątne okienko. – Parę razy zdarzyło mi się zawieźć tam kilku pasażerów, jeszcze zanim wyspa została kupiona dwa lata temu. Tam są same luksusowe wille dla superbogatych dupków. Kiedy wyspa przeszła w ręce tych żmij, na pasie startowym namalowano duży żółty krzyż. Wiesz, co to oznacza? Jeżeli kochasz życie, to lepiej trzymaj się z dala.

– No więc kim są ci właściciele? – Nie dawałem za wygraną.

– Nigdy nie miałem okazji poznać ich osobiście, Nick – stwierdził Maggot ironicznie.

– Ktoś z narkotykowej branży?

– Tego możesz być pewny.

Spojrzałem na mapę. Wyspa leżała niedaleko od kursu, którym lecieliśmy. Wiedziałem, że samolot ma pełen bak.

– Miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy się przyjrzeni z bliska tej wyspie? – spytałem.

Maggot zaśmiał się.

– Odkąd to ogarniają cię samobójcze zapędy? Znudziło ci się już czekanie, aż Ellen zdejmie majtki?

– Po prostu jestem ciekawy – powiedziałem niewinnie. – No, ale jeżeli ty się boisz...

– A niech cię! – Tak jak sądziłem, zarzut tchórzostwa poskutkował. Maggot zmienił kurs. Wyrwał mi mapę i sprawdził położenie wyspy. – Dlaczego tak ci zależy na zdenerwowaniu tych łajdaków? – mruknął.

Opowiedziałem mu o Hironnelle i o kłamstwach Deacona Billingsleya. Wiedziałem, że nic nie mogę w tej sprawie zrobić, ale mimo wszystko byłem ciekawy.

– Billingsley to drań. – Maggot mieszkał na Bahamach wystarczająco długo, aby wiedzieć, którym plotkom należy dać wiarę. – Chcesz mu trochę nasmrodzić?

– McIlvanney twierdzi, że Billingsley jest właścicielem jednej z willi na Murder Cay.

– Jedno jest pewne, te kreatury doskonale wiedzą, jak sobie radzić. Jeśli chcą, żeby Amerykanie nie deptali im po piętach, to przekupują odpowiednie osoby i po kłopotcie. – Zdawało mi się, że w jego zachrypniętym głosie słyszę oburzenie. Tak jakby postępowanie właścicieli wyspy obrażało jego patriotyczne uczucia, a przecież to mieszkańcy wysp Bahama musieli akceptować prawa narzucone im przez inny naród.

Wyspy zawsze były rajem dla przemytników oraz miejscem, w którym magazynowano kokainę przed wysłaniem jej na rynek amerykański. Rząd Stanów Zjednoczonych zdecydował o wprowadzeniu własnej straży przybrzeżnej patrolującej rejon Bahamów. Na każdym statku i helikopterze znajdował się jeden bahamski oficer, ale jak wszyscy się domyślali, nie miał on tam zbyt wiele do powiedzenia.

– My, Amerykanie, też nie możemy tutaj działać – powiedział Maggot. – Nie możemy zatrzymać żadnej łodzi bez pozwolenia wydanego przez władze Bahamów. Założyłbym się o własny tyłek, że twój przyjaciel z policji potrafi się odpowiednio zakręcić, aby nikt nie mógł dostać pozwolenia na przeszukanie Murder Cay. Nawet jeżeli komuś się to uda, faceci na wyspie zostaną ostrzeżeni, zanim nasi chłopcy tam dotrą.



– Nasi? – Byłem zaskoczony tym, że Maggot utożsamia się z policją. – Nasi chłopcy?

– Nie mogę przestać myśleć o tej dziewczynie z Pittsburgha – powiedział ze smutkiem – i o tych łajdakach, którzy prowadzili peep-show. Wiesz, Nick, niżej już chyba nie można upaść. Dlatego kiedy widzę, że ktoś chce rozwalić bebechy tym bydlakom, którzy ją tam ściągnęli, uważam go za swego. – Zapalił papierosa i ruchem głowy wskazał na okno. – No, Nick, to już chyba twoje gniazdo zmij.

W oddali widać było jasnozielony punkt wyspy, którą otaczał pierścień raf koralowych. Wokoło nie było żadnego innego ładu. Maggot odwrócił się i z torby z aparatami wygrzebał starego nicony i rolkę czarno-białego filmu.

– Zrób parę zdjęć. Nigdy nie wiadomo, może jakiś klient zażyczy sobie kiedyś zdjęcie Murder Cay.

Zanim zdążyłem założyć film do aparatu, byliśmy już w pobliżu raf, które tworzyły Devil's Necklace. Cień samolotu mknął po powierzchni morza pod nami. Zbliżaliśmy się do wyspy od południowego wschodu. Murder Cay kształtem przypominała kotwicę. Domy wybudowano po jej zachodniej stronie. Wokół nich dostrzegałem palmy i niebieskie oka basenów. Resztę wyspy zajmowało wąskie pole golfowe. Obróciłem się trochę, aby lepiej przyjrzeć się jachtom kotwiczącym w małej zatoczce. Maggot szedł nieco niżej, mówiąc mi, żebym sfotografował kanał po zachodniej stronie wyspy. Przelecieliśmy ponad masztem radiowym i rzędem rezydencji. Żadna krzątanina nie mąciła spokoju wyspy.

– Na wybudowanie tego wszystkiego wydano fortunę – stwierdził Maggot – a później okazało się, że żadni bogacze nie mają ochoty tu przyjeżdżać, więc wyspę sprzedano tym dupkom od narkotyków.

Minęliśmy północną rafę.

– Przelecimy się jeszcze raz? – spytałem Johna.

– Dlaczego nie?

– Trochę niżej!

– Dobra, może. – Zawrócił, aby okrążyć wyspę od wschodu. Uważnie przyglądał się domom pod nami, wypatrując oznak niebezpieczeństwa, ale wyspa wyglądała na nie zamieszkaną. – O, do diabła! – zawołał Maggot, schodząc jeszcze

nizej i zawracając, aby przelecieć nad Murder Cay raz jeszcze. – Patrz, jakie miłe zaproszenie! – Wskazał przez okno na oznaczony żółtym krzyżem pas startowy. W poprzek pasa zaparkowano dwie ciężarówki, aby żaden samolot nie mógł tam wylądować. Czarne ślady opon świadczyły, że lądowiska wciąż używano, ale prawdopodobnie tylko wtedy, kiedy samolot dostawał specjalne zaproszenie od mieszkańców wyspy. Jeszcze raz przelecieliśmy nad zatoką, w której stały jachty. Lecieliśmy jednak za szybko, abym mógł się przyjrzeć łodziom dokładniej. Zrobiłem więc tylko zdjęcie. W tym samym momencie Maggot zaklął.

Samolot przechylił się na jedną stronę. Z wyciem silników opadał coraz niżej. Nie wiedziałem, co mam robić. Aparat uderzył w sufit kabiny. Maggot stęknął i pociągnął drążek do siebie, chcąc wyrównać lot. Bardzo szybko traciliśmy wysokość – byliśmy prawie na poziomie palm i dachów. Aparat spadł na podłogę obok mojego buta. Butelki z piwem wały się wszędzie. Jedna się potłukła. Jakaś jasnowłosa dziewczyna grająca w tenisa patrzyła na nas z przerażeniem. Pomimo iż drzewa, budynki i ogrody zlewały się w jedno pasmo kolorowych smug, zdołałem dostrzec, że dziewczyna była naga. Silniki samolotu zacinęły się. Lecieliśmy w kierunku morza.

– Co się, do diabła, stało? – zdołałem z siebie wykrztusić.

– Strzelali do nas! Jezu! – Maggot nie był wcale przerażony. Miałem wrażenie, że jest podekscytowany całą sytuacją. Byliśmy teraz nad laguną i lecieliśmy w kierunku północnych krańców Devil's Necklace tak nisko nad wodą, że podmuch z naszych śmigieł tworzył na powierzchni pienne zawirowania.

– Kurde! – Podziw, który słyszałem w głosie Maggota, był zupełnie nie na miejscu. Odwrócił głowę w kierunku wyspy. – Zrobmy to jeszcze raz!

– Nie jestem pewien, czy to mądry pomysł – stwierdziłem, ale równie skutecznie mógłbym dogadać się z powietrzem. Samolot nagle wzbił się w górę i zawrócił, lecąc szybko ku Murder Cay. Maggot mruzczał coś do siebie. Świetnie się bawił. Na chwilę oślepiło nas światło słońca odbite od jakiegoś okna. Byliśmy tuż nad poziomem morza. Zacząłem szukać aparatu. Miałem nadzieję, że nie zniszczył się podczas upadku. Zanim przód samolotu uniósł się, zdążyłem zrobić zdjęcie. Przemknęliśmy ponad wierzchołkami palm okalających plażę.

Maggot ostro skręcił w lewo, potem w prawo. Zmiany kierunku były tak gwałtowne, że na przemian uderzałem raz w boczne okienko kabiny, raz w szerokie

ramię Maggota. Nie były to uniki, John starał się po prostu dojrzeć tego, który strzelał.

– Tam! – wykrzyknął i znowu skręcił, opuszczając jednocześnie samolot niżej. Zauważyłem jadącego dżipa. Za samochodem unosiły się tumany kurzu. W tym samym momencie usłyszeliśmy kolejną serię z karabinu zamontowanego na tyle wozu.

– O, Jezu! – Zrobiłem ostatnie zdjęcie i schowałem się. Miałem dziwną obawę, że za chwilę okno rozprysnie się na milion kawałków.

– Pieprz się! – krzyknął Maggot w stronę tego, kto strzelał. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem palmy przesuwające się nad nami z szybkością ponad dwustu kilometrów na godzinę. Nad nami! Naprawdę! Pomyślałem wtedy, że w gruncie rzeczy moje życie nie było nudne. Nieźle się bawiłem, mimo że Ellen nigdy nie chciała pójść ze mną do łóżka. Zastanawiałem się, czy mój ojciec zauważy, że nie żyję. Maggot sapał radośnie. Pociągnął drążek i samolot znowu wzniósł się w niebo, gdzie nie groziły nam już żadne strzały. Olbrzym zaśmiał się i poklepał mnie po plecach.

– Czy to nie były najlepsze chwile twego życia? – spytał.

– A były?

– Nie widziałeś tego? – Maggot był zdumiony.

– Czego?

– Jak zmiotłem tego indyka z drogi! Ale go będzie bolała ta jego cholerna bańka!

– Mnie chyba też – powiedziałem, a potem ostrożnie wyprostowałem się i obejrzałem na Murder Cay. Wyspa została daleko w tyle. – Jesteś szalony – uprzejmie poinformowałem Maggovertskiego.

Zaśmiał się tylko.

– To ty chciałeś zobaczyć tę wyspę. No to ją widziałeś.

Zmierzałyśmy teraz na północ. Próbowałem się odprężyć. Zimne powietrze z wentylatora chłodziło moją spoconą twarz. Wciąż jeszcze przechodziły mnie dreszcze na myśl o tym, co się stało.

– Do diabła! Przecież oni nie mogą tak sobie strzelać do ludzi.

Miedzy kołtunami brody Maggota dojrzałem błysk uśmiechu.

– Nick, oni są bogatsi, niż ty sobie potrafisz wyobrazić, i jak wszyscy bogacze

uważają, że prawo ich nie dotyczy. – Mówił to spokojnym głosem, ale zauważyłem, że drży mu prawa ręka. Nie dziwiłem się temu. W końcu niecodziennie przytrafia się coś takiego. Gdyby strzelec był szybszy, zostałaby z nas marna kupka metalu gdzieś w gąszczu zarośli na wyspie.

Maggot potrząsnął głową.

– Masz pojęcie, jaką kupę forsy mają ci ludzie?

– Domyślam się, że nie małą.

– Wiesz, Nick, niedaleko stąd jest wyspa, na której mieszka tylko dwa tysiące ludzi. Bankier, którego czasem podrzucam do Miami, twierdzi, że tych dwa tysiące biednych bezrobotnych wyspiarzy złożyło w jedynym banku na tej wyspie dwadzieścia cztery miliony dolarów. – Maggot zaśmiał się. – Nieźle, co? Kto by uwierzył, że te dwadzieścia cztery miliony to zyski ze sprzedaży mleka kokosowego i muszli nadzianym turystom. Te pieniądze to marne dziesięć procent wartości kokainy, którą przechowują na tej wyspie do czasu przewiezienia jej do starych, dobrych Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ani ty, ani ja, ani żaden dupek z DEA, nie dowiemy się nigdy, ile forsy schowali w papierowych torebkach pod poduszkami. – Zdawało mi się, że te dane wprawiają go w zły nastrój, ale już po chwili Maggot rozchmurzył się i poprosił o piwo.

W bałaganie, jaki panował w kokpicie, znalazłem dwie butelki i otworzyłem je. Później lecieliśmy w milczeniu. Maggot odezwał się dopiero, kiedy zbliżyliśmy się do aerostatycznego balonu z radarem, który Amerykanie umieścili na Grand Bahama.

– Jeżeli chcesz dostać się na tę twoją mydelniczkę z żaglami, to chyba powinniśmy tym latającym gównem wylądować. Dziękuję za wspólną podróż z Maggovertski Airways. Proszę zwrócić stewardesie majtki, pomóc jej wstać i modlić się, żeby nie rozsadziło nam opon.

Nie rozsadziło. Bez żadnych przeszkód dotarłem na Wavebreaker.

Wstąpiłem na chwilę do nory Maggota, w której trzymał psa-zabójcę i kolekcję broni. Usiedliśmy na czymś w rodzaju werandy z widokiem na zaśmieconą i zatrutą zatoczkę. Kiedy sączyliśmy whisky, Maggot uraczył mnie jedną ze swych długich i nudnych opowieści o tym, jak to kiedyś wyrolował jakiegoś napastnika z San' Francisco Shugar Plums. Odwdziczyłem mu się równie interesującym opowiadaniem, jak w krykiecie powinno się podawać piłki leworęcznym graczom. W końcu

ogłosiliśmy rozejm i wspólnie podziwialiśmy, jak pięknie wyglądają tankowce w brudnej zatoczce o zachodzie słońca. Maggot zaproponował, żebym został u niego na noc, ale chyba nie mógłbym znieść smrodu panującego w tym urokliwym zakątku. Poza tym chciałem wcześniej rano zacząć przygotowywać Wavebreakera, więc od razu pojechałem autobusem na przystań McIlvanneya. Niestety, nikogo tam nie zastałem. Brama była zamknięta, a nie chciałem przechodzić przez ogrodzenie z drutu kolczastego. Swoją kluczek oddałem wcześniej, mając nadzieję, że moja współpraca z Cutwater Charters zakończyła się. Musiałem z całym swoim bagażem pójść do Ellen i pożyczyć od niej kluczek.

Stado kotów rozbiegło się na wszystkie strony, kiedy wszedłem na podwórze domu, w którym Ellen wynajmowała swoją kawalerkę. Ściana przy drzwiach wejściowych błyszcząca od miedzianych tabliczek z nazwami różnych przedsiębiorstw, które zarejestrowano pod tym właśnie adresem, aby uniknąć płacenia podatków w ich rodzimych krajach. Na podwórzu stały trzy kozły, przyglądając mi się złośliwie. Zewnętrzne klatki schodowe osłonięto niewielkimi daszkami. Okna mieszkań mrugały światłami telewizorów.

Wspiąłem się na pierwsze piętro i poszedłem do końca skrzydła, w którym znajdowało się mieszkanie Ellen. Gdzieś zza drzwi usłyszałem płacz dziecka. Prócz niego klatkę wypełniał szum telewizorów. Większość nastawiona była na amerykański teleturniej, w którym jakaś rodzinka właśnie wygrała podróż do Disneylandu i podskakiwała teraz z radości. Nagle dobiegł mnie oburzony głos Ellen:

– NIE! NIE!

Stałem na zewnętrznej klatce schodowej pod jej oknem. Pokój oświetlony był jedną żarówką. Ellen stała w drzwiach maleńkiej łazienki, zwrócona twarzą do okna. Nie widziała mnie. Patrzyła na McIlvanneya. Usłyszałem jego spokojny głos:

– Proszę tylko, żebyś to przemyślała.

– Już to zrobiłam – Ellen starała się nad sobą zapanować – i odpowiedź brzmi – NIE!

– Sześć setek. – McIlvanney na każdą odmowę reagował z równym spokojem i obojętnością. – Zrzekam się nawet mego udziału. Ty bierzesz wszystko. Pamiętaj, że uzgodniona cena to minimum tego, co możesz dostać. Dolicz jeszcze napiwki. Nie mam racji, Bellybutton?

– O, ten gość to zawsze daje niezłe napiwki, panno Ellen. – Bellybutton zaśmiał się znacząco. Stał obok drzwi frontowych, więc nie mogłem go zobaczyć.

– Zamknij się, ty czarna kanalio – uciął McIlvanney. Zapalił papierosa i wypuścił dym w kierunku Ellen.

– Breakspear nie zgodzi się na ten rejs z dziećmiakami senatora, tak więc stracisz tę forszę, ale jeżeli jedną noc w tygodniu popracujesz dla mnie, zarobisz tyle samo. Przecież chcesz zaoszczędzić trochę pieniędzy, by móc potem pisać tę swoją książeczkę? To niezły grosz, dziewczyno. Klient jest przystojny, prawda, Bellybutton? Już cię kiedyś widział i podobasz mu się. Zapłaci ci tak, jak profesjonalistce, choć wie, że jesteś tylko amatorką i...

– Nie – przerwała mu Ellen.

– On może podnieść stawkę do siedmiuset pięćdziesięciu – stwierdził McIlvanney, tak jakby zbyt niska cena była jedyną przyczyną, dla której Ellen nie chciała się zgodzić.

W tym momencie zdecydowałem się otworzyć drzwi mieszkania. Cała trójka patrzyła na mnie zdumiona. Rzuciłem swój worek na podłogę.

– Nie miałem klucza do bramy przystani – powiedziałem na przywitanie. – Pomyślałem, że pożyczę klucz od Ellen. Chyba w niczym nie przeszkodziłem?

– Nie, Nick! – Ellen prawie przefrunęła przez pokój i ku mojemu zaskoczeniu, pocałowała mnie.

– Co ty, u diabła, tutaj robisz? – spytał kwaśno McIlvanney.

Bellybutton tylko uśmiechnął się złośliwie.

– Sam wysłałeś senatora, żeby mnie przekonał. No i udało mu się. Zgodziłem się wziąć ten czarter. Podrzucił mnie Maggot. Jeżeli mamy ruszyć w niedzielę rano, to czeka nas jeszcze kupa roboty. O kurczę, jaki jestem głodny.

Ellen nadal trzymała mnie za ramię.

– Wyjdziemy coś zjeść na miasto – powiedziała szybko. – Za chwilę będę gotowa. – Poszła się przebrać do łazienki, która służyła jej również za garderobę. Zatrzasnęła za sobą drzwi, zostawiając mnie z McIlvanneyem i Bellybuttonem.

– Jeżeli propozycja, którą złożyłeś przed chwilą Ellen – powiedziałem do Irlandczyka – dotyczyła tego, o czym myślę, to lepiej jej nie powtarzaj.

McIllvanneya rozśmieszyły moje słowa.

– A kto mnie od tego powstrzyma?

– Ja.

Podszedł do mnie i dmuchnął mi w oczy dymem z papierosa.

– To, że byłeś śmierzącym marynarzykiem, nie czyni z ciebie twardziela.

– Odchrząń się od Ellen.

To go także rozbawiło.

– Czy coś zaszło między tobą a Ellen? Trzymasz u niej buty na zmianę? – zadrwił.

– Nie – powiedziałem stanowczo – i wynoś się stąd.

– Czy wiesz, że ona jest katoliczką? – zapytał, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Papierosem wskazał na wiszący nad łóżkiem krzyżyk, który Ellen trzymała tylko ze względów sentymentalnych. Krzyżyk należał kiedyś do jej ojca. McIllvanney nie mógł sobie jednak darować.

– Gdybym wiedział, że jest taka wierząca, nigdy bym jej nie zatrudnił. – Powiedział to z irlandzkim akcentem. Wiedział, że się go nauczyłem, kiedy służyłem w Belfaście. – Widać, że to katolickie ciało tak cię rusza, Breakspear, czyż nie? – zaśmiał się i natychmiast odskoczył, obawiając się, że go kopnę. Potem machnął mi niedopałkiem przed nosem. – Interesy robię, jak chcę, z kim chcę i kiedy chcę. Nie potrzebuję od ciebie specjalnego pozwolenia, Nicholasie Breakspearze. Dziewczyzna nie musi się zgadzać. Nie szantażuję jej przecież. Po prostu proponuję dobry interes. Rozumiesz?

– Wynoś się stąd – powtórzyłem.

McIllvanney nie przestawał patrzeć mi w oczy. Odezwał się do Bellybuttona, którego nieprzyjemny chichot słyszałem za swoimi plecami.

– Powinien założyć rajtuzy i przyłączyć się do swego tatuśka na scenie. – Złośliwość McIllvanneya nie miała granic. Przez chwilę patrzył na mnie beczelnie, po czym odwrócił się, pstryknął palcami na Bellybuttona i obaj wyszli.

Tego wieczora już nigdzie nie wyszliśmy. Ellen była zbyt zaszokowana propozycją McIllvanneya, a jednocześnie zła, że tak ją to poruszyło.

– Zdawało mi się, że potrafię sobie dać z czymś takim radę. Naprawdę sądziłam, że potrafię! Wiedziałam, że z ich strony nic mi nie grozi, że mnie nie zgwałcą, a jednak cała ta sytuacja cholernie mnie wkurzyła.

– Mnie też – przyznałem.

Ellen była za bardzo zła, żeby zauważyć okazane jej współczucie. Chodziła tam i z powrotem po pokoju opowiadając, co się zdarzyło, a ja siedziałem na łóżku i słuchałem jej. Jakiś facet, który widział Ellen, poprosił McIlvanneya, żeby ten zaproponował dziewczynie pewną sumę pieniędzy w zamian za jedną noc. Fakt, że McIlvanney traktował to jako interes, jeszcze bardziej denerwował Ellen.

– Co za idiota zapłaciłby tyle pieniędzy? – zapytała.

– Na pewno bogaty idiota – zasugerowałem. Nie wspomniałem o tym, że dla podopiecznych McIlvanneya sześć czy siedem setek to była zaledwie drobna sumka.

– A do tego ten dupek miał coś do rudowłosych. Zanim by mi wypłacił forszę, chciał się upewnić, czy moje włosy wszędzie są równie rude. Podły zarozumialec!

– Kto to był?

– McIlvanney nie chciał powiedzieć. – Wzruszyła ramionami. Ze stołu pod oknem zgarnęła jakieś zapisane kartki i wsadziła je do segregatora. Na podłodze stało mnóstwo kartonów z broszurami i ulotkami stowarzyszenia „Edukacja dla Wszystkich”, któremu Ellen pomagała w wolnych chwilach. Obojętnie podniosłem jedną z kartek. Były na niej dwa zdjęcia. Jedno z nich przedstawiało szczęśliwą czarną rodzinę. Wszyscy, odświętnie ubrani, czytali, siedząc przy stole, na którym stały talerze z jedzeniem i dzbanek z napisem „Mleko”. Drugie zdjęcie prezentowało uroki życia w zgodzie z naturą; jakiś kostropaty autochton w spódniczce z trawy dzielił się śniadaniem z małpką. Ellen zauważyła, że oglądam tę beznadziejną reklamówkę. Spojrzała na mnie i oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

– Wiem, że są absurdalne. – Ellen śmiała się do łez. – Wydrukowano je w latach pięćdziesiątych dla akcji pomocy Afryce. ONZ przysłało je, nie wiadomo dlaczego, do naszego stowarzyszenia. Jest ich za dużo, aby wyrzucić wszystkie za jednym razem, więc codziennie wynoszę po trochu i wtykam do cudzych koszy na śmieci. Nie mam pojęcia, do czego mogłyby się przydać. Och, Nick! – westchnęła nagle, opadając ciężko na łóżko tuż przy mnie. – Jesteś dobrym facetem i czasem



zastanawiam się, czy nie chciałabym się związać z kimś takim.

– Jestem do usług.

Pocałowała mnie w nos, a potem szybko wstała.

– Śmierdzisz whisky! Na pewno zabawiałeś się z tym okropnym Maggover-tskim.

– Przesyła ci wyrazy najgłębszego szacunku i miłości.

Skrzywiła się.

– Jak chcesz kanapkę, to w kredensie jest margaryna i trochę sera. Na stole znajdziesz chleb, niestety, niezbyt świeży.

– Jesteś pewna, że nie wolisz wyjść i zjeść coś na mieście?

Potrząsnęła głową.

– Chcę zrobić notatki.

– O tym, co się zdarzyło dziś wieczór? – Byłem zaskoczony.

– A dlaczego by nie? Ale najpierw muszę wziąć prysznic. – Ellen poszła do łazienki, a ja zrobiłem sobie kanapkę, zjadłem ją i poszedłem na Wavebreakera. Sam.

Ellen była dziwnie nieszczęśliwa z powodu przyjęcia czarteru Crowninshilda. Najpierw sama prosiła mnie, abym go wziął, a teraz zachowywała się, jakbym postąpił niewłaściwie, zgadzając się.

– Senator chce najwyraźniej, abyśmy utopili mu dzieciaki. Przynajmniej nie będzie musiał się tłumaczyć podczas kampanii prezydenckiej – powiedziała mi następnego dnia rano, kiedy przybyła na przystań. Przyniosła melona i kawę. Zjedliśmy więc spóźnione śniadanie na pokładzie Wavebreakera.

– Zrzuciłem mu to – stwierdziłem z dumą, że udało mi się przewidzieć reakcję Ellen. – Ale on twierdzi, że wolałby raczej przegrać wybory, niż stracić swoje dzieci.

Ellen odstawiła filiżankę z kawą i popatrzyła na mnie jak na wariata.

– On jest politykiem, Nick – powiedziała w końcu tonem, jakim strofuje się trzyletnie dzieci – a politycy, żeby wygrać wybory, sprzedaliby własne matki, nie mówiąc już o dzieciach. On nas po prostu wykorzystuje!

Wzruszyłem ramionami. Patrzyłem, jak Bellybutton myje nie opodal jakąś łódź.

McIllvanney wziął sobie chyba kolejny wolny dzień. Być może unikał spotkania z nami. Na pewno nie wstydził się tego, co zrobił. Ludziom, takim jak on, uczucie wstydu było zupełnie obce.

– Boże – rzekła Ellen tonem, który oznaczał: „znovu nic nie rozumiesz, a ja muszę ci wszystko tłumaczyć”. Zwykle, wyjaśniając cokolwiek, używała typowo feministycznych argumentów, co oznaczało po prostu robienie idioty z każdego przedstawiciela płci męskiej. Dla Ellen zadanie to było dziecinnie proste.

– Mówimy tutaj o wizerunku polityka. Jeżeli za rok Crowninshield zechce się ubiegać o fotel prezydenta, to musi być czysty, a więc problem dzieci uzależnionych od narkotyków trzeba jakoś rozwiązać. Ponadto Rickie nie może trafić do więzienia, dlatego wysyłają go tutaj. Po zakończeniu rejsu chłopak ma wyglądać tak, żeby sędzia poklepał go tylko po ramieniu i puścił do domu.

– Czy to źle?

– Po prostu nie lubię być wykorzystywana przez bogatych polityków – powiedziała Ellen ze złością. Nie miała jednak nic przeciwko temu, żeby brać ich pieniądze.

– Przynajmniej możemy wyciągnąć z narkotyków te dzieci – rzekłem spokojnie. – Z czegoś takiego moglibyśmy być dumni.

Ellen prychnęła.

– Nienawidzę cholernych ćpunów, a jeszcze bardziej nienawidzę bogatych ćpunów. Nawet nie mogą usprawiedliwiać się, że biorą, by zapomnieć o biedzie.

– Przykro mi – powiedziałem, choć to nie moja wina, że dzieci Crowninshieldsa to narkomani. Nie byłem też winien, że ich ojciec chciał wynająć Wavebreaker. Powiedziałem Ellen, że nienawidzę kokainy podobnie jak ona.

– Nie bądź taki beznadziejnie głupi, Nick. Oczywiście, że ja NIE nienawidzę kokainy. Pamiętaj, że sama kiedyś studiowałam.

Zastanawiałem się, jaki może być związek między studiami i kokainą, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– Ale chyba nie popierasz brania narkotyków?

– Ani nie popieram, ani nie ganię. Kokaina jest niebezpieczna, kiedy ludzie biorą ją bez umiaru, ale to samo można przecież powiedzieć o alkoholu czy papierosach. Zażywana w rozsądnych dawkach, mogłaby stać się źródłem przyjemności, a nawet pobudzenia intelektualnego. Jedz swego melona.

– Nie wierzę, że naprawdę tak sądzisz – patrzyłem na nią zdumiony. Przypomniała mi się dziewczyna z pittsburskiego peep-show, która trafiła tam właśnie przez kokainę. – Czy właśnie taki rodzaj intelektualnej stymulacji serwowałeś swoim studentom?

Spojrzała na mnie.

– Nicholasie Breakspearze, czasem jesteś nudny jak flaki z olejem. – Określenie to wydało jej się chyba mało obraźliwe, bo dorzuciła: – Jak purytańskie flaki z olejem!

– Rickie Crowninshield już nie widzi na lewe oko. Wszystko z powodu kokainy. Jeżeli nie przestanie brać, to albo przedawkuje, albo skończy w więzieniu.

– Bo Rickie Crowninshield jest nieodpowiedzialnym idiotą – stwierdziła zimno Ellen – ale przecież nie można opierać się na założeniu, że wszyscy są opóźnieni w rozwoju. W każdym społeczeństwie zdarzają się tacy, jak on. Jeżeli tak ci zależy, aby wszyscy żyli jak najdłużej, dlaczego nie zakazasz wspinaczki wysokogórskiej? Albo jazdy na motorach? Albo surfingu? Albo picia alkoholu? Już raz w Ameryce próbowano zlikwidować handel alkoholem i jakie są tego rezultaty? Kraj, który szczycił się wolnością, stał się kolebką zorganizowanej przestępczości. Tego już nie da się cofnąć. Najmądrzejszym rozwiązaniem w tej chwili byłaby legalizacja kokainy, tak, by móc kontrolować cały handel. Niestety, nie ma sposobu na przekonanie o tym pustogłowych z Kongresu. Jeżeli nie chcesz melona, to ja go zjem.

– Naprawdę sądzisz, że powinno się kontrolować handel? – Szukałem jakiegoś sposobu, aby zakończyć tę dyskusję.

– Osobiście uważam, że zyski, jakie mają dealerzy z handlu narkotykami, są zupełnie niezasłużone. To wstrętne, że ktoś w ogóle w taki sposób zarabia. Tylko dlatego, że tak uważam, zdecydowałam się wziąć kokainę jedynie parę razy. Nie powiem, żeby mi się to szczególnie podobało. – Ellen wlała sobie resztkę kawy. – Och, daj spokój, Nick! Nie bądź takim niewiniątkiem! No i nie przejmuj się, bliźniakom nie wspomnę o tym, co sądzę na temat kokainy. Te głupiutkie stworzonka na pewno potrzebują pomocy. Obiecuję nie mieszać im w głowach.

– Robin-Anne nie jest głupia. Skończyła studia.

– Mój drogi Nicholasie, nawet opóźnieni w rozwoju z łatwością kończą ten wydział. To tak samo, jakbyś ukończył kurs czytania i pisania albo kurs oglądania telewizji. – Ellen spojrzała na mnie ze współczuciem. – Ale przyznaje, że dla osób

niewykształconych nawet tytuł magistra Nauk Wolnych brzmi imponująco.

Po tej dyskusji kokaina stała się kolejnym tematem, którego unikaliśmy, podobnie jak tego, czy Bóg istnieje, mojej marynarskiej przeszłości, feminizmu i komiksów w *New Yorkerze*. Ellen uparcie sprzeciwiała się dwóm pierwszym i popierała dwa ostatnie, podczas gdy moje poglądy były mniej więcej odwrotne. Nie wiadomo dlaczego, chcieliśmy razem żeglować do Nowej Zelandii. Nasza przyjaźń była naprawdę dziwna.

Zaczęliśmy przygotowywać Wavebreakera do rejsu. Takielunek mogłem sprawdzić z Tesym podczas dwutygodniowego rejsu próbnego, ale niektóre prace należało wykonać już teraz. Wyniosłem z jachtu wszystkie niepotrzebne graty i sprzęt, a zainstalowałem dodatkowe pojemniki ze świeżą wodą i kanistry z paliwem. Zrobiłem też zasłony sztormowe do okien w kabinach i świetlików. Atlantyk to nie to samo, co spokojne laguny archipelagu Bahama. Gdyby podczas sztormu jacht wyrzucił się, większa fala mogła wybić okna i jacht momentalnie poszedłby na dno. Wykonałem stalowe zabezpieczenia, które można było założyć na okna przy pierwszych oznakach nadchodzącego sztormu. Uchwyty mocujące te pokrywy musiałem wtopić w kadłub. Nie wyglądało to zbyt pięknie, ale wolałem mieć nieco brzydszą łódź na powierzchni, niż idealnie piękną dwadzieścia metrów pod wodą.

Pracowaliśmy ciężko przez cały dzień. W sobotę, żeby jakoś uczcić ostatnie chwile przed rejssem, pojechaliśmy w południe do Mama Sipcott's Cafe, położonej tuż nad brzegiem morza. Zjedliśmy homary i wypiliśmy zbyt dużo słodkiego białego wina. Ellen wzniosła toast za swój pierwszy rejs przez Atlantyk.

Spełniłem ten toast, ale wcale nie byłem przekonany, że uda nam się dokonać tego na Wavebreakerze. Najlepszy sezon do żeglugi na wschód już minął. Teraz musieliśmy płynąć daleko na północ i przeciąć ocean na dużych szerokościach geograficznych, gdzie należało spodziewać się mgły, deszczu i zimna. Ellen nie nawidziła zimna. Opowiadałem jej o zielonych morzach, na których od rufy będzie wiał lodowaty wiatr, mroząc czubki fal.

Ellen uśmiechnęła się, słysząc mój opis.

- Jesteś romantykiem, Nick. – Przechyliła głowę i zaczęła mi się przyglądać, jakby nigdy wcześniej mnie nie widziała. – Jednak wiele odziedziczyłeś po ojcu.
- Zobaczysz, że morza na północy są dziwnie przerażające – zignorowałem jej

uwagę. – Tam słońce sprawia, że woda nie wydaje się tak wspaniała jak tutaj. Zresztą, jeżeli wybierzemy trasę północną, to najprawdopodobniej nie ujrzymy słońca przez długie tygodnie. Dni są tam zawsze szare, a morze szarozielone. Nocą widać jedynie białe wierzchołki fal, które z sykiem wyłaniają się z mroku. – Dziwnie się czułem, siedząc pod palmami na plaży i opisując lodowato zimne morza. Mój wzrok przyciągnęła grupka pelikanów, które ustawiły się tuż pod błyszczącą kulą słońca.

– Musisz wziąć długie spodnie i ciepłą bieliznę, kilka wełnianych swetrów, i czapkę, i szalik, i dobry sztormiak, żeby morską wodą nie wlatywała ci za kołnier. Również dobre buty gumowe, i tyle par rękawic, ile masz...

– Zamknij się – przerwała mi Ellen.

– Sądziłem, że chcesz popłynąć?

– Chcę i popłynę, ale nie psuj mi tej podróży swoją wyliczanką.

Uśmiechnąłem się.

– Módl się tylko, żebyśmy nie trafili na północnoatlantycką mgłę. Na tych szerokościach moglibyśmy całymi dniami sunąć, okryci szarą chmurą jak całunem, nie wiedząc, czy przypadkiem nie zderzymy się za chwilę z jakimś tankowcem. Taka bryła zmiotłaby nas z powierzchni wody, nie wiedząc nawet, że na kogoś wpadła.

– O, nie płyn ze mną, starożytny żeglarzu – zadeklamowała Ellen i zabrała się do jedzenia kolejnego homara. – Nick, jeżeli nad Atlantykiem dopadnie nas mgła, to ściągniemy żagle, włączymy silnik i będziemy obserwowali radar. Mamy koniec dwudziestego wieku, to nie są czasy twego imiennika papieża, który, tak nawiasem mówiąc, był bardzo średnim papieżem.

– Był bardzo dobry – sprzeciwiłem się.

– Autorytatywny, ale bez wyobraźni, nastawiony negatywnie do Irlandii, a do tego mierny polityk. – Ellen uśmiechnęła się, wkładając mi do ust kawałek mięsa homara. – Sama nie wiem, dlaczego cię lubię.

– Ponieważ mam zgrabne nogi – zapewniłem ją.

Roześmiała się. Broda błyszcząca jej od sosu. Wyglądała wspaniale. Zawsze sądziłem, że piękno jest związane z charakterem, jaki zdradza nasza twarz.

– Myślę, że cię lubię – powiedziała po chwili zastanowienia – ponieważ nie ma w tobie obludy. Przypominasz mi spaniela, którego kiedyś miałam.

– Hau-hau, serdeczne dzięki.

– Wolałbyś być inny?

– Zawsze chciałem być tajemniczy, trochę niebezpieczny i żeby pożądały mnie wszystkie kobiety, które spotkam. – Zdałem sobie sprawę, że zabrzmiało to zupełnie, jakby padło z ust mego ojca.

Ellen rozśmieszyło moje pragnienie bycia tajemniczym.

– To nierealne, Nick, masz za szczerą twarz i za często się uśmiechasz. Poza tym jesteś zbyt uczciwy i chętnie pomagasz ludziom. Szczerze mówiąc, tajemniczości w tobie tyle, ile drzew na polu. Po prostu nie pasujesz mi na czarny charakter.

Odwrociłem się i spojrzałem w pęknięte lustro za barem Mama Sippott's. Przyglądał mi się stamtąd nie Makbet i nie Ryszard III, tylko właśnie Hamlet. Przeniósłem wzrok na Ellen – śliczną pieguskę z ładnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi, inteligentnymi zielonymi oczami, płomiennymi włosami i ironicznym uśmiechem. Zacząłem się zastanawiać, czy McIlvanney próbował z nią rozmawiać raz jeszcze.

– Czy McIlvanney... – zacząłem.

– Tak – ucięła Ellen. – Podwyższył stawkę do tysiąca dolarów. – Była zaskakująco dumna z tego, że jej wartość wzrosła. Znowu pomyślałem, że nie warto wspominać, iż panienki takie, jak na przykład Donna, mogły zarobić dwa razy tyle za jedną noc. – Posłałam go nad zatokę, żeby się trochę ochłodził – powiedziała Ellen spokojnie – i wspomniałam też, że gdy tylko powrócę z rejsu z dziećmi Crowninshielda, odpływam stąd – stuknęła swoją szklanką w moją – z tobą.

Po raz pierwszy wyraźnie oświadczyła, że ze mną popłynie. Nie kryłem zadowolenia. Ellen widząc, jaką przyjemność sprawiły mi jej słowa, uśmiechnęła się.

– Oczywiście, że z tobą popłynę! Zawsze tego chciałam! Myślisz, że mogłabym przepuścić taką przygodę?

Przestałem się przejmować moją zbyt uczciwą twarzą. Byłem Nickiem Szczęściarzem, ona była Piękną Ellen, więc zamówiłem drugą butelkę słodkiego białego wina i pozwoliłem rozwinąć skrzydła swoim marzeniom. W końcu przecież mieliśmy płynąć razem.

Jeszcze przez półtorej godziny siedzieliśmy z Ellen w Mama Sipcott's Cafe, robiąc to, co zwykle robią żeglarze na łądzie, czyli planując nasz wspaniały rejs. Postanowiliśmy pożeglować z wysp Bahama do Panamy, a później na Galapagos, gdzie chcieliśmy zobaczyć olbrzymie żółwie Darwina. Potem skierowalibyśmy się na północ ku Wyspie Wielkanocnej, na której zamierzaliśmy zabawić się w badaczy tajemniczych, kamiennych posągów. Potem mieliśmy w planach Pitcairn Island i Tahiti. Widziałem, jak w Ellen narasta podniecenie przyszlą podróżą. Na pewno zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo realne są te plany. Byłem chyba równie podekscytowany co ona. Jeszcze nigdy nie żeglowałem po morzach południowych. Przez wiele lat snułem plany, że kiedyś odwiedzę te małe wyspy o magicznych nazwach, które jakiś czarodziej rozrzucił po jednej trzeciej naszego globu. Przy trzeciej butelce wina mijaliśmy Nową Zelandię, kierując się na północ, ku Nowej Kaledonii. Byliśmy szczęśliwi.

Wróciliśmy autobusem do mieszkania Ellen, żeby zabrać jej rzeczy i jakieś notatniki. Wprowadzała się z powrotem na Wavebreakera. Następnego dnia wyruszyliśmy wcześniej rano. Zaniósłem jej bagaż na przystań. Feminizm Ellen jakoś wyparował, wobec perspektywy targania dwóch ciężkich toreb w tropikalnym upale.

Już na przystani Ellen wyprzedziła mnie, chcąc szybko znaleźć się w klimatyzowanych kabinach Wavebreakera. Na pomoście zatrzymała się gwałtownie.

– Co, do diabła... Och, nie! – Ellen pobiegła w stronę jachtu.

Kiedy doszedłem do pomostu, zrozumiałem jej przerażenie. Obok Wavebreakera zacumowano wielką sportową motorówkę. Niedbale zakotwiczona, bez

wywieszonych odbijaczy, wyłobliła w burcie Wavebreakera brzydkie głębokie rysy.

Jednak nawet te szramy nie wyglądały tak okropnie, jak łódź, która je zrobiła. Cumy były całkiem zwyczajne, za to cały kadłub, pokład, a nawet wewnątrz dość dużej kabiny pomalowano kolorami maskującymi. Nieregularne plamy niebieskiego, czarnego, srebrnego i białego koloru miały wtapiać motorówkę w tło, którym była woda. Te kolorowe plamy wyglądały nieco śmiesznie na rekreacyjnej łodzi w rejonie Bahamów. Z kadłuba sterczały na wszystkie strony różne drążki i anteny, upodabniając łódź do olbrzymiego owada. Ponad najwyższą platformą znajdowała się aluminiowa osłona z anteną radaru. Siedzenie na rufie zdobiły pasy białej skóry, co sprawiało, że przypominało ono krzesło elektryczne. Łódź nazwano Dream Baby. Na dziobie miała wymalowany numer 666 – czarne cyfry obwiedzione srebrnym konturem, zupełnie jak na okrętach wojennych. W ogóle, całe wyposażenie Dream Baby było dziwne jak na turystyczną motorówkę. Szyby z ciemnego polaryzowanego szkła jeszcze bardziej szpeciły całość.

Ellen była już na Wavebreakerze. Z bakisty wyjęła dwa plastikowe odbijacze, zeskoczyła na pokład Dream Baby i wsunęła je między kadłuby obu jachtów.

– Jak to wygląda? – spytałem, kiedy objuczony torbami Ellen wgramoliłem się na Wavebreakera.

- Rysy są głębokie, zdrapane wszystko, aż do metalu.
- Pomaluję to.

Kadłub Wavebreakera wykonano ze stali. Tego typu kadłuby należały do niezwykle mocnych i bezpiecznych, jeżeli jednak stal wystawiona była na bezpośrednie działanie morskiej wody, bardzo szybko ulegała korozji. Musiałem pomalować uszkodzone poszycie jak najprędzej.

Ellen rozejrzała się po tej śmiesznie pomalowanej łodzi motorowej.

– Nie sądzisz, że ktoś na tyle bogaty, żeby sobie pozwolić na kupienie takiego dziwadła, mógłby zafundować także parę odbijaczy?

– Nic mnie to nie obchodzi! Po prostu odetnij tę cholerną motorówkę – powiedziałem mściwie.

Ellen nie zareagowała.



Kierując się zasadą, że pilnej roboty nie należy odkładać, znalazłem puszkę z białą farbą i przekopałem schowek w poszukiwaniu czystego pędzla. Niespodziewanie usłyszałem za sobą nieznamomy głos.

– Otóż i nadchodzą gospodarze. – Głos brzmiał przeciągle i leniwie.

Przez chwilę oślepiiony słońcem, nic nie widziałem, ale już za moment, gdy moje oczy przyzwyczyły się do ostrego blasku, zdołałem dostrzec jakąś długą sylwetkę. Zdawało mi się, że wysoki mężczyzna ma na sobie, zupełnie niestosowny, jak na tę porę dnia, przezroczysty szlafrok. Stał na trapie Wavebreakera. Teraz widziałem go dokładniej. Był wysoki, chudy, włosy miał ściągnięte z tyłu w kucyk. Rysów twarzy nie mogłem dojrzeć.

– Kim, do diabła, jesteś?

Mężczyzna zignorował mnie. Podszedł do Ellen, która w szortach i bluzeczce z krótkim rękawem wspinała się na nadburcie Wavebreakera.

– Nie pędź tak, serce moje. – Mężczyzna miał silny głos.

Z powolnego sposobu mówienia można było wywnioskować, że pochodził z południa Stanów Zjednoczonych. – O Pani, pomyśleć, że mogłem przeżyć całe życie i nie ujrzeć cię. Och, pragnę spocząć w twych ramionach!

Ellen, która zwykle potrafiła błyskawicznie znaleźć jakąś zgryźliwą odpowiedź, teraz stała cicho i patrzyła na eleganckiego nieznanomego. Mężczyzna zatrzymał się tuż przy niej, ujął dziewczynę za rękę, a następnie skłonił się, ucałował powietrze centymetr nad dłonią Ellen i zamknął oczy.

– Panie w niebiosach, dzięki Ci, iż okazałeś swą łaskę i pozwoliłeś ujrzeć mi tę piękną niewiastę. – Ku mojemu zdumieniu Ellen nie cofnęła ręki. Mężczyzna otworzył oczy i uśmiechnął się do niej. – Me imię Jesse Isambard Sweetman. A kimże ty jesteś, słodka istoto?

Ellen wciąż milczała. Wyprostowałem się i przesunąłem nieco w bok, aby słońce nie świeciło mi prosto w oczy. Teraz mogłem dobrze widzieć tego, który podawał się za Sweetmana. Nie spodobał mi się. Jego twarz wyglądała zarazem młodo i staro, sardonicznie i inteligentnie. Była to twarz człowieka, który poznał wszelkie dziwactwa tego świata i doskonale umiał się w nim odnaleźć. Długie, czarne włosy związał aksamitką. Miał białą jak pergamin skórę i czarne oczy. Jego wiek oceniałem na gdzieś około czterdziestki, ale nawet wśród facetów o dwadzieścia lat

młodszych uchodziłby za przystojnego. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę i był bardzo pewny siebie. Wydawał się świetnie bawić. Ellen uświadomiła sobie nagle, że pozwoliła mu na zbyt wiele. Szybko wyrwała dłoń z jego ręki.

Jesse Sweetman odwrócił się w moją stronę. Szlafrok okazał się długim stylowym prochowcem z delikatnego białego materiału. Pod nim Sweetman miał czarną koszulę i czarne spodnie wsunięte w długie czarne buty. Był to bardzo teatralny i niepraktyczny strój, w rodzaju tych, jakie się widuje zwykle w pismach prezentujących modę. Jednak na Sweetmanie wyglądał on elegancko, a zarazem nonszalancko. Jedynym nie pasującym elementem jego stroju był okrągły, czerwono-żółty znaczek z napisem: PO PROSTU POWIEDZ – NIE!

– Jak sądzę, pan nazywa się Nicholas Breakspear. – Powiedział to niedbale, jakby było mu wszystko jedno, czy tak się nazywam, czy nie.

– Czy ten pstrokaty dziwoląg obok należy do pana? – wskazałem na Dream Baby.

Sweetman obrócił się i udał, że dopiero teraz zauważył motorówkę.

– Nie – stwierdził i obdarzył mnie protekcyjnym uśmiechem. – Jest pan bardzo podobny do ojca. Naprawdę niesamowicie.

– A czy to pan zacumował tutaj tę łódź? – Nie dawałem za wygraną.

– Ach, rzeczywiście, to ja. Pańska matka to Malise Fielding? A może jest pan synem Lucy de Sill?

– Dlaczego, do diabła, cumując, nie wywiesił pan odbijaczy?

Westchnął, okazując w ten sposób, że go nudzę.

– Nie zrobiłem tego, ponieważ gardzę wszelkimi środkami ostrożności. Są dobre dla małych zastraszonych umysłów. Ostrożnością nie zdobywa się imperiów i nie buduje miast. Środki ostrożności nie przekształcają twych marzeń w prawdziwe złoto i nie przewiozą przez ocean, ale przede wszystkim nie zdobywa się dzięki nim pięknych pań. – Stał naprzeciwko Ellen i pożądliwie spojrzał na jej długie gołe nogi. Dziewczyna odwróciła się, a Sweetman zachichotał, widząc jej zmieszanie. Zszedł do kokpitu Wavebreakera z miną, jakby to on był jego właścicielem. Przeciągnął dłonią po poduszkach siedzenia za sterem i usiadł na nich.

- Pozwoliłem sobie rozejrzeć się po jachcie. Ile kosztuje tygodniowy rejs?
- Proszę zapytać o to Matthew McIlvanneya. Jego biuro mieści się w tamtym różowym budynku. W tym tygodniu, niestety, nie ma go, ale może pan zadzwonić w przyszłym.

Sweetman wyjął z kieszeni koszuli okulary przeciwsłoneczne, założył je i przyjrzał mi się ponownie. Wyglądało na to, że nie bardzo podoba mu się to, co widzi.

- Nie jest pan szczególnie uprzejmy – powiedział po chwili – może więc zaczniemy jeszcze raz? Czy zechciałby mnie pan poinformować, jaka jest sezonowa cena czarteru tego jachtu na jeden tydzień?

- Ilu pasażerów? – spytała Ellen, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

Sweetman zapalił długiego jasnoniebieskiego papierosa. Wzruszył ramionami.

- Dwóch, czterech, sześciu? Czy to ma jakieś znaczenie?

- Tydzień w sezonie kosztuje tysiąc dolarów za dwie osoby. Za każdą dodatkową parę, dodatkowy tysiąc – głos Ellen brzmiał chłodno – do tej kwoty dolicza się koszty utrzymania jachtu i różne inne.

- To znaczy? – spytał niedbale Sweetman.

- O, jest ich bardzo wiele – stwierdziła Ellen z równą niedbałością. – Paliwo, jedzenie, napoje plus wszelkie dodatkowe życzenia takie, jak: sprzęt do nurkowania, narty wodne czy windsurfing.

Sweetman zaciągnął się i wydmuchnął dym w stronę rufy Wavebreakera. Leniwie uśmiechnął się do Ellen.

- Powiedz mi, słodka istoto, czy ty też się liczysz jako „dodatkowe życzenie”? Czy może jest to już wliczone w te podstawowe tysiąc dolarów?

- Wynoś się – powiedziałem.

- Milcz – zwrócił się w moją stronę z jadowitym sykiem. – Jesteś zwykłym wynajętym marynarzykiem, Breakspear, więc się zamknij. – Spojrzał na puszkę farby i pędzel, które wciąż trzymałem. – Idź coś pomaluj. Staraj się być użytecznym. – Patrzył mi w oczy wyzywająco. Kiedy nic nie odpowiedziałem, spojrzał znowu na Ellen. – Zadałem ci, ślicznotko, pytanie. Bądź więc grzeczna i odpowiedz.

– Wynoś się stąd – powtórzyłem ze złością, ale to tylko rozśmieszyło Sweetmana.

– Odpieprz się – rzucił w moją stronę.

Zaskoczyło mnie to, że szukał zaczepki. Nie należałem do słabeuszy, ale Sweetman wyraźnie mnie ignorował. Chwilę później wiedziałem już dlaczego. Z kieszeni eleganckiego prochowca wyciągnął małą dwudziestkędwójkę i wymierzył prosto w moją twarz.

– Babska broń, ale zadziwiająco skuteczna na niewielkie odległości – powiedział.

– Nick! – zawołała Ellen ostrzegawczo, tak jakbym sam nie zauważył pistoletu.

Nie przestraszył mnie, wiedziałem, że to tylko blef i że Sweetman nie pociągnie za spust. Poza tym trening, jaki przeszedłem w marynarce, dawał mi nad nim niezłą przewagę. Odwagi dodawało również najgorsze białe wino od Mama Sipcott's.

Sweetman wyglądał tak, jakby naprawdę zastanawiał się, czy nie strzelić. Trzymał broń wymierzoną prosto w moje oczy. Uświadomiłem sobie, jak głupia była ta konfrontacja dwóch męskich ego, i to o dziewczynę, która przysięgła żyć w celibacie.

– Przestańcie! Obaj! – krzyknęła Ellen. Na dźwięk jej głosu odwróciliśmy się w kierunku dziewczyny. W rękach trzymała jedną z gaśnic Wavebreakera. Wystarczyłaby sekunda, aby pokryć nas śmierdzącą pianą. – Odsuń się, Nick!

– Ja chcę go tylko zabić – powiedziałem.

– To głupie i niemęskie wdawać się w jakieś rozróby z takim skunksem – stwierdziła zimno Ellen. – Lepiej się cofnij. – Pogroziła mi wylotem gaśnicy. Wiedziałem, że Ellen nie żartuje. Posłusznie odsunąłem się. Ellen zwróciła wylot gaśnicy w stronę Sweetmana. – Zostaw nas w spokoju – powiedziała.

– Posłuchaj, słodziutka...

– Powiedziałam, zostaw nas!

Uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Kochana, ja chcę tylko...

Ellen pociągnęła za dźwignię. Zawór gaśnicy zgrzytnął, a z wylotu wyciekło trochę żółto-białego płynu. Sweetman zachłysnął się ze śmiechu, trochę za wcześnie,

gdyż gaśnica wydała dziwny dźwięk i chwilę później piękną koszula Sweetmana pokrywała warstwa białego świństwa. Twardziel w prochowcu zaczął się niepewnie cofać. Ellen, zadowolona z odniesionego zwycięstwa, szła za nim, rozpryskując maż po jego włosach i ubraniu, a następnie, kiedy Sweetman w panice wskoczył na Dream Baby, także po pokładzie motorówki.

– Nick! – zawołała – to się nie chce wyłączyć. – Ellen śmiała się, próbując zatrzymać jakoś strumień piany, która ciągle wydostawała się z gaśnicy. Sweetman, bezpieczny pod dachem kabiny Dream Baby, włączył silniki. Kiedy wychylił się na chwilę, żeby odcumować łódź, znowu dosięgła go piana. Ellen cieszyła się, jak małe dziecko w sklepie ze słodyczami.

– To się nie chce wyłączyć! – powtórzyła.

– Wyzuć ją za burtę! – Nie miałem zamiaru spędzić reszty popołudnia na sprzątanii pokładu Wavebreakera.

Ellen cisnęła wciąż działająca gaśnicę. Pojemnik odbił się od Dream Baby i wpadł do wody. Jeszcze kiedy leżał na dnie, z wylotu wydobywała się ohydna piana. Sweetman zwrócił ku nam wysmarowaną białym obrzydlistwem, rozwścieczoną twarz. Odbijając od przystani, tak pokierował motorówką, że pozostawiła na burcie Wavebreakera kolejne głębokie zadrapania. Dream Baby z godną podziwu szybkością opuściła przystań, pozostawiając za sobą biały ślad kilwateru.

– A niech go... – przechyliłem się przez burtę, aby obejrzeć nowe rysy.

– Czyż nie poradziłam sobie świetnie? – spytała z dumą Ellen.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Nieźle się spisałaś!

– On miał broń! – Dopiero teraz dotarło do niej, co mogło się stać.

– Jak na kogoś, kto nienawidzi przemocy, używasz jej z niezwykłą wprawą.

Wygrałaś z tym śmieciem, moje gratulacje.

– Ze śmieciem? – Ellen odwróciła głowę w stronę, gdzie zniknęła łódź. – Był nawet interesujący.

– Interesujący? – zdumiałem się. – Ten parchaty gnój był interesujący?

– No – próbowała się bronić – w pewnym sensie.

– Do diabła! – zachnąłem się, myśląc w duchu, że chyba nigdy nie zrozumieję kobiet. – Lepiej sprawdź, czy ten twój interesujący przyjaciel nie ukradł czegoś, kiedy „rozglądał się” po Wavebreakerze.

Naprawienie szkód wyrządzonych przez Sweetmana zabrało mi dwie godziny. W tym czasie Ellen wyczyściła tekowy pokład z piany i sprawdziła kabiny. Stwierdziła, że Sweetman nie ukradł i nie zniszczył niczego, prócz kłódki przy drzwiach zejściówki. Oboje doszliśmy do wniosku, że facet naprawdę był zainteresowany czarterem Wavebreakera.

Zapomniałem o nim.

Tego wieczoru uczyłem Ellen, jak posługiwać się sekstansem. Próbowwała zgłębić tajniki nawigacji według ciał niebieskich.

– Czy 666 coś oznacza? – zapytałem nagle. Przypomniały mi się cyfry wymalowane na dziobie Dream Baby.

– No pewnie. Ta liczba oznacza antychrysta, uosobienie wszelkiego zła.

– Ja pytam poważnie. Czy to coś znaczy?

Ellen spojrzała na mnie.

– Ja nie żartuję, Nick. To z Biblii. Jak chcesz, spytaj jutro Tesy'ego. Podobno to zła wróżba.

Popatrzyłem na morze, tak jakbym spodziewał się zobaczyć tam chmurę dymu, z której wylania się bestia z krowim ogonem.

– Naprawdę sądzisz, że Sweetman był interesujący? – spytałem Ellen.

– Sądzę, że lepiej go unikać – powiedziała poważnym głosem.

Mimo że noc była ciepła, poczuliśmy dziwny dreszcz.

W niedzielę na przystani McIllvanneya panowało niezwykle zamieszanie. Pierwszy przyjechał Tesy, zmęczony po całonocnej podróży promem. Pięć minut później pojawił się Bellybutton z puszką farby i kieszeniami wypchanymi jakimiś szmatami i pędzlami. Rozłożył się z tym wszystkim na długim dziobie Starkissera. Widząc moją ciekawość, wyjaśnił:

– Pan Mac chce, żeby namalować tutaj gwiazdę, a jak on czegoś chce, to ma.

Po kolejnych dziesięciu minutach zjawił się pan Mac we własnej osobie. Z pi-skim hamulców zatrzymał się przed swoim biurem, a potem wysiadł i podszedł do nadbrzeża, sceptycznie przyglądając się Wavebreakerowi.

– Wygląda nieźle – stwierdził z niechęcią i wszedł na trap z zamiarem dokonania dokładniejszej inspekcji.

– Jak tam wakacje? – spytał Tesy'ego.

– W porządku, proszę pana. Dziękuję.

– Dla ciebie właśnie się skończyły, leniwy czarnuchu. Klient zażyczył sobie trzech kompletów sprzętu do nurkowania. – Rzucił Tesy'emu klucze do składu. – Więc idź i je przynieś.

– Sprzęt do nurkowania? – spytałem, kiedy Tesy pobiegł w stronę hangarów.

– Pan Rickie Crowninshield lubi sobie ponurkować – powiedział kwaśno McIlvanney. – Jego ojciec płaci za wszystko, więc będą mieli wszystko. Dzień dobry, Ellen – spojrzał na dziewczynę, która skinęła chłodno w jego kierunku. McIlvanney odwrócił się do mnie i nieco ciszej spytał: – Ellen mówi, że płynię z tobą w rejs, to prawda?

– Tak.

– Szczęściarz z ciebie. – Z uwagą przyjrzał się obudowie kompasu, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie ukradł jej zawartości. – Pieprzysz ją, Nick?

– Odchrzań się.

Zachichotał. Był w świetnym humorze.

– Senator mówi, że najpierw zabierasz jego dzieciaki na dwa tygodnie, na próbę?

– Zgadza się.

– Nie, nie zgadza się – stwierdził, celując palcem wskazującym w moją pierś. – Zrobisz cały trzymiesięczny rejs. Nie zamierzam stracić swego udziału, rozumiesz? – Zawsze, kiedy rejsu dokonano u McIlvanneya, bez pośrednictwa agencji w Londynie lub w Fort Lauderdale, Irlandczyk zgarniał piętnaście procent. To oznaczało, że za całą tę wycieczkę McIlvanney dostanie co najmniej osiemnaście tysięcy dolarów. – Jak skrócisz – znowu wycelował we mnie palcem – to ja też ci skrócę, tak że będziesz śpiewał falsetem.

– Czy ktoś mówił ci już, że jesteś zawoszonym łajdakiem? – spytałem McIlvanneya, jakbym pytał, co jadł na śniadanie.

– Ostatni, który próbował, trafił do zieleniaka. Wiesz, co znajduje się w zieleniakach? Warzywka, na wózeczkach – parsknął śmiechem. – To jak, wszystko gotowe? – spytał nagle, wracając do interesów.

Skinąłem głową, a potem pod wpływem jakiegoś nagłego impulsu, spytałem go, czy spotkał kiedyś gościa, który nazywa się Jesse Sweetman.

McIllvanney zaprzeczył.

– Co to za imię? Jesse?

– Pewnie z Południowej Karoliny albo z Georgii. Ten facet pływa motorówką o nazwie Dream Baby pomalowaną w maskujące wzory.

– Dream Baby? – Ta nazwa brzmiała chyba dla McIllvanneya znajomo, gdyż zawahał się, ale już po chwili wzruszył ramionami. – Widziałem gdzieś taką łódź, ale nie pamiętam gdzie. Coś się stało?

– Sweetman był tutaj wczoraj po południu, rozrył swoją łodzią poszycie Wavebreakera i wyłamał zamek w zejściówce. Niczego nie ukradł, tylko mnie rozzłościł.

– Włamał się do środka? To łajdak. – McIllvanney prowadził niezłą przystań i wkurzał się na samą myśl, że ktoś mógłby coś zniszczyć. – Bellybutton! – wrzasnął.

– Przecież słyszę. – Bellybutton malował właśnie kontury pięcioramiennej gwiazdy na dziobie Starkissera. Już teraz było widać, że gwiazda będzie wyglądała wspaniale. Bellybutton namalował jej długi ogon i otoczył iskrami odbijanego światła.

– Co wiesz o łodzi motorowej Dream Baby? – krzyknął McIllvanney.

Bellybutton, klęcząc na dziobie, rozłożył ręce w geście oznaczającym, że nic nie wie.

– Pierwszy raz o niej słyszę, szefie.

– Jak ją zobaczysz, to rozwal tę gnidę na jej pokładzie! – powiedział McIllvanney ze złością i odwrócił się w stronę bramy przystani. Właśnie nadjechała srebrnoszara limuzyna z przydymionymi szybami. Zatrzymała się przed budynkiem, w którym znajdowało się biuro. McIllvanney jęknął. Nigdy nie lubił spotkań z klientami. W samochodzie na pewno siedziały bliźniaki Crowninshilda.

Ellen podeszła do mnie. Byliśmy bardziej zdenerwowani niż zwykle przy pierwszym spotkaniu z pasażerami. Żadne z nas nie wiedziało, czego spodziewać się po dzieciach senatora. Pomimo zapewnień Crowninshilda, że jego bliźniaki wyglądają normalnie, obawiałem się, iż zobaczę jakieś chodzące ludzkie wraki. Żalowałem, że zgodziłem się na przyjęcie tego rejsu.



Moje obawy okazały się niepotrzebne. Rickie Crowninshield wyglądał zupełnie zwyczajnie. Sądziłem, że przynajmniej on będzie wątpliwy i znerwicowany, wyniszczony długotrwałym ćpaniem i przerażony zarzutami, które przedstawiono mu w sądzie. Rickie zdawał się tryskać energią. Przebiegł po trapie z takim entuzjazmem, jakby zamierzał właśnie przystąpić do zbierania głosów wyborczych dla swego ojca. Podeszedł do nas z wyciągniętą ręką.

– Ty pewnie jesteś, Nick. Tato opowiadał mi o tobie. Mówił, że niezły z ciebie gość. Naprawdę! – Uścisk jego ręki był ciepły i mocny. – I... o, kurczę. Wiem, kim pani jest. Ellen Skandinsky! Rany! – Posłał w jej stronę pełen podziwu uśmiech, który przywiódł mi na myśl zniewalający urok senatora.

– Witam – powiedziała Ellen chłodno. Już wcześniej postanowiliśmy, że nie będziemy się rozplýwali w uprzejmościach. Nie włożyliśmy nawet naszych niebiesko-białych strojów. Nie był to zwykły rejs. Żadne z nas nie miało zamiaru obsługiwać Rickiemu i Robin-Anne Crowninshieldom. Nasza praca tym razem ograniczała się raczej do pracy strażników. Przedstawiłem Rickiego McIlvanneyowi, który wykrzywił twarz. W jego pojęciu był to zapewne uprzejmy uśmiech. Po wymianie kilku idiotycznych uwag, McIlvanney szybko zmył się do swego biura.

– Niezła krypa, Nick! Serio! – Rickie z uznaniem rozglądał się po pokładzie Wavebreakera. Zapalił papierosa. Zauważyłem, że na prawej dłoni miał żółte plamy od nikotyny. – Po prostu wspaniała! Mama opowiadała mi, że w zeszłym roku świetnie się bawiła podczas rejsu z wami. Mówiła, że było super! No i pomyślałem, że my też moglibyśmy spędzić razem parę fajnych chwil, nie?

– Mam taką nadzieję – odpowiedziałem uprzejmie.

– Po prostu super! – stwierdził Rickie, ale nie wiedziałem, do czego to odnieść. Rickie wyglądał jak koszykarz, był wysoki i szczupły. Zauważyłem nieznaczne przebarwienie tęczówki lewego oka, ale poza tym wyglądał na zdrowego jak ryba. Tak jak ojciec, miał czarne włosy i opaloną twarz. Zdawało się, że wypełnia go jakaś szaleńcza energia. Widać było, że ma zamiar wesoło spędzić czas na pokładzie Wavebreakera.

– Kurczę, wyglądasz zupełnie jak on – powiedział do mnie – to znaczy jak

twój ojciec. To dopiero facet! Rany! – odwrócił się w kierunku Tesy'ego, który taszczył na Wavebreakera ciężki sprzęt do nurkowania. – Ty pewnie jesteś Tesy, nie? Fajnie! Czy wolisz, jak do ciebie mówią Tesy czy Tesalonik?

Tesy, który na chwilę musiał odłożyć cały sprzęt, aby ucisnąć rękę Rickiego, wybąkał, iż jest mu wszystko jedno, ale Rickie już zapomniał o pytaniu.

– Hej! Jackson! – krzyknął do czarnego mężczyzny, który szedł wolno wzdłuż nadbrzeża. – Chodź, na pewno ci się tu spodoba. Jest fantastycznie!

Mężczyzna był równie wysoki jak Rickie, ale w przeciwieństwie do młodego Crowninshielda miał szerokie ramiona i był umięśniony jak byk. Wyglądał jak czarne odbicie Maggota, ale nie miał w sobie nic z jowialności tamtego. Mógł mieć gdzieś około czterdziestu lat, twarz o surowych rysach i małe oczy o bystrym spojrzeniu. Mocno kręcone czarne włosy były przycięte bardzo krótko.

– To jest Jackson Chatterton – przedstawił go Rickie. – Mój ochroniarz. Serio! No nie, Jacko?

Chatterton właśnie wnosił na trap dwie ciężkie walizy, więc nie zwrócił uwagi na Rickiego, który zamarkował dwa ciosy w lewe ramię olbrzyma. Kiedy postawił bagaż na pokładzie, zwrócił się do mnie.

– Chatterton. Jestem paramedykiem z kliniki Rinkfels.

– Będzie ci mówił, że jest pielęgniarzem – rzekł Rickie – ale tak naprawdę, to jest moim ochroniarzem. Wielkim, złym i czarnym ochroniarzem. Czyż nie tak, Jacko?

Chatterton wciąż nie zwracał uwagi na chłopaka. Podobnie zresztą jak ja.

– Nazywam się Breakspear – powiedziałem do olbrzyma. – Witam na pokładzie.

Jackson Chatterton nie podał mi ręki i zdawał się nie zauważać mojej wyciągniętej dłoni. Nie przedstawił się też ani Ellen, ani Tesy'emu. Niepewnie spoglądał na takielunek jachtu, który wydawał mu się pewnie bezładną płataniną.

– Byłeś żołnierzem? – spytałem. Jego wygląd i zachowanie załatywało mi wojskiem.

– Był zabójcą! – potwierdził Rickie zamiast Chattertona. – Serio! Bach! Bach! I koniec.

– Lotnictwo – stwierdził krótko Chatterton. – Sierżant.

- Wietnam?
- Oczywiście! I jestem z tego dumny!

Ellen otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale na szczęście jakieś przeczcucie kazało jej zamknąć je.

- A ty? – Chatterton najwyraźniej nie lubił używać pełnych zdań.
- Marynarka Królewska. Sierżant. – Krótko podsumowałem moją wojskową karierę, tak jak to wcześniej zrobił Jackson.

Wielkolud skinął z uznaniem głową, a potem wskazał na walizki.

- Nie moje. Bliźniaków. Gdzie?
- Ellen ci wskaże.

Ellen posłała mi jadowity uśmiech, ale nie miałem czasu przejmować się jej niechęcią do wojskowego pielęgniarza. Patrzyłem w kierunku, z którego nadchodziła bardzo szczupła dziewczyna w towarzystwie elegancko ubranej kobiety.

– To Robin-Anne – powiedział Rickie – i Denise. Przeszedłem po trapie. Rickie podążał za mną

- Naprawdę byłeś marynarzem?
- Tak.
- Sierżantem? Dlaczego nie oficerem?
- Nie chciałem być oficerem.

– Nie chrzanisz? Serio? – Rickie niemal tańczył wokół mnie. Raptownie stanął, żeby zapalić kolejnego papierosa. Zastanawiałem się, co za zezowaty los sprawił, że właśnie on miał odziedziczyć sześć milionów dolarów.

- To twój motor? – spytał, patrząc na kawasaki McIlvanneya.
- Nie.

– Niezła maszyna, co, Nick? Serio! Ma niezłego kopa! – Wyprzedził mnie i krzyknął do siostry: – Jeszcze jeden rzeźnik, Robbie! Serio! Był marynarzem! Nieźle, co?

Robin-Anne Crowninshield nieśmiało podała mi rękę. Tak jak brat była chuda, ale to jedyna wspólna ich cecha. Byli do siebie niepodobni. Robin-Anne, tak jak jej matka, miała blond włosy. Tak jasne, że wyglądały jak wypłowiałe. Była delikatna i bardzo błada. Miałem wrażenie, że słońce za chwilę spali jej skórę. Jej dłoń zdawała się lekka jak skrzydło ptaka.

– Jest bardzo gorąco – powiedziała.  
– Na morzu będzie chłodniej – zapewniłem dziewczynę, a potem spojrzałem na jej towarzyszkę, przystojną, czarną kobietę. – Nazywam się Breakspear – przedstawiłem się.

– Denise Harriman – odparła – pomagam senatorowi Crowninshieldowi.

– Ona jest z Waszyngtonu – wyjaśnił Rickie takim tonem, jakby sądził, że to mi zaimponuje. – Musiała nas tu odwiedzić, ale nie płynię z nami. Ma chorobę morską. Prawda, Denise? Rzygasz na statkach. – Rickie zaczął udawać, że wymiotuje.

– Tak się składa, że na statkach nie tylko wymiotują. – Denise Harriman spojrzała na Rickiego ze złością.

Chłopak nawet tego nie zauważył. Nagle zeszytniał. Na jego twarzy pojawił się grymas strachu. Zastanawiałem się, czy nie powinienem zawołać wielkiego Jacksona Chattertona na pomoc, ale w tym momencie Rickie zwrócił na mnie przerażony wzrok.

– Jezu! – Stuknął pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki. – Mój tato obiecał, że cię o coś zapyta, ale zapomniał. O, kurczę! – Przerwał na chwilę, niepewny, jaka będzie odpowiedź, aż w końcu zebrał się na odwagę i wypalił: – Czy na jachcie jest stereo?

– Pewnie. Jest magnetofon i odtwarzacz kompaktowy.

Odetchnął z ulgą.

– Serio? Kompakt? Nieziemsko! Chodź, Robbie! – Chłopak odzyskał dobry humor. Złapał siostrę za rękę i pociągnął ją w stronę Wavebreakera. Robin-Anne wyglądała na zalekzioną. Zdawało mi się, że niechętnie wchodzi na pokład.

Denise Harriman wydała z siebie ledwo dosłyszalne westchnienie, które ja przyjąłem za wyraz ulgi. Tutaj jej opieka nad bliźniakami kończyła się. Z teczki wyjęła grubą kopertę.

– To są ich dokumenty: paszporty, powrotne bilety lotnicze na wszelki wypadek oraz karty zdrowia. Jest tu także pełna lista numerów telefonów, pod którymi można zastać senatora. – Wręczyła mi kopertę, a następnie wyjęła z torby drugą. – A to są papiery wystawione na pana Łódź. – Podała mi formularze, których wypełnienie było konieczne, aby senator przejął kierowanie remontem Masquerade. W tej chwili mój jacht stał na Straker's Cay. Jego naprawa miała się rozpocząć pod warunkiem, że po próbnym dwóch tygodniach zgodzę się zabrać bliźniaki na całe lato.

Masquerade miała wtedy zostać przewieziona na przystań na Florydzie.

Używając siodełka motoru McIlvanneya jako stołu, wypełniłem wszystkie konieczne dokumenty, ubezpieczenie i jeszcze tuzin innych dodatkowych papierów. Miałem nadzieję, że na cle nie odkryją mego starego webleya, schowanego w skrytce pod pokładem. Oddałem Denise jej pióro, które razem z podpisanymi dokumentami schowała z powrotem do teczki. Złośliwym spojrzeniem obrzuciła Rickiego, który przekopywał swój bagaż w poszukiwaniu nie wiadomo czego.

– *Bon voyage* – zawołała do niego i wsiadła do limuzyny z wyraźną ulgą.

Bellybutton malując swoją gwiazdę, uśmiechał się do rodzeństwa, pokazując odbarwione zęby. McIlvanney obserwował wszystko zza szyb swego biura. Z limuzyny przyniesiono resztę bagaży. Tesy i ja przygotowaliśmy jacht do odpłynięcia. Rickie sprawdzał sprzęt muzyczny, odtwarzając na nim jakąś kakofo niczną muzykę. Robin-Anne szukała ciemnej i cichej dziury, w której mogłaby się schować. Jackson Chatterton patrzył na wszystkich wilkiem, Ellen wyglądała na zrozpaczoną, a Tesy był przerażony tym, co się wokół niego działo. Odbiliśmy od pomostu. Włączyłem silniki Wavebreakera. Wychodziliśmy w morze z kupą nie-szczęścia i obłądu na pokładzie.

# Część 2

**P**rzez cały pierwszy dzień naszego rejsu żeglowaliśmy na północ. Wavebreaker rozcinał dziobem błyszczące morskie fale, gnany niezmiennym południowo-wschodnim pasatem. Rodzeństwo pojawiło się na pokładzie dopiero podczas lunchu, którego Rickie nawet nie tknął. Robin-Anne za to zaatakowała kanapki i sałatę z zaciekłością wygłodzonego wilka. Później, ubrana w płaszcz przeciwdeszczowy, poszła na dziób i przez jakiś czas wpatrywała się w hipnotyczny ruch morskich fal, które rozбивały się o kadłub jachtu i pieniać, uciekały na boki. Wkrótce jej się to znudziło, więc umknęła przed słońcem do kabiny rufowej, którą miała zajmować razem z Ellen. Kontrast między obiema Amerykankami był prawie szokujący: Ellen – silna i zdrowa, Robin-Anne – żałośnie chuda i osowiała.

– Co o niej sądzisz? – spytałem Ellen tego dnia po południu.

Ellen uśmiechnęła się.

– O małej sierotce Annie? Trudno uwierzyć, że jest warta sześć milionów. To chyba jej główna zaleta.

– Aż tak źle? – Ocena Ellen była czasami zbyt surowa.

– Ona ma zastanawiająco ograniczony umysł. Nie ma w nim miejsca na dwie myśli równocześnie. W tej chwili nie istnieje dla niej nic, prócz kokainy. Ma na tym punkcie obsesję, która graniczy niemal z monomanią. Cały czas powtarza, że musi najpierw zrozumieć działanie narkotyku, zanim zacznie z nim walczyć.

– A co według ciebie powinna robić?

– Sądzę, że znacznie rozsądniej byłoby spróbować zrozumieć siebie – powiedziała Ellen szorstko. – Przecież sama pozwoliła chłopakowi wciągnąć się w narkotyki. Winić może tylko siebie. Powinna raczej skoncentrować się na swym

zmiennym charakterze, niż studiować efekty działania kokainy.

– A co myślisz o Rickiem?

– Dokładnie tak wyobrażałam sobie wyrzuconego z college'u, grającego w kosza i opóźnionego w rozwoju gnojka. To dupek z mózgiem żuczka gównojada. Przypomina mi twego neandertalskiego przyjaciela, Maggota, z tą różnicą, że Rickie jest o niebo przystojniejszy.

– Naprawdę?

Zaśmiała się, podejrzewając mnie o zazdrość.

– Tak, Nicholasie. Jest przystojny, ale nie jest interesujący.

Kolację Robin-Anne zjadła z równie wilczym apetytem, co lunch. Rickie znowu ledwie dzióbął swoją porcję.

– Nie lubisz makaronu? – spytała Ellen, która była dumna ze swych kulinarnych osiągnięć.

– Jest świetny. Serio. Cholernie świetny. – Rickie zapalił papierosa. – Po prostu nie jestem głodny.

Robin-Anne przełożyła sobie na talerz porcję brata.

– Ja natomiast umieram z głodu – usprawiedliwiła się, dolewając sobie trochę dietetycznego napoju. Tym razem nie mieliśmy na Wavebreakerze żadnego wina. Klinika Jacksona Chattertona stanowczo zabroniła bliźniakom zbliżać się do jakiegokolwiek alkoholu, twierdząc, że opóźniłby on efekty kuracji odwykowej. Oficjalnie więc na jachcie nie było nic, ale tylko oficjalnie, gdyż w maszynowni miałem schowaną irlandzką whisky. Sądziłem, że Ellen też „magazynowała” gdzieś trochę wódki na własny użytek.

Jak się potem okazało, nie tylko my mieliśmy prywatne zapasy. Późnym wieczorem na pokład wygramolił się Chatterton, niosąc butelkę w wielkiej łapie.

– Bourbon – wyjaśnił krótko. – Chcesz trochę?

– Chorego pytają.

Zachichotał i wyciągnął dwa kubki. Byliśmy sami na pokładzie. Z głównej kabiny dobiegały nas głosy Rickiego i Ellen. Miałem nadzieję, że Tesy już mocno śpi. Miał poranną wachtę.

– Na zdrowie – powiedziałem.

Chatterton uniósł kubek w cichym porozumieniu, a potem spojrział prosto przed siebie, w stronę, gdzie wielka smuga światła prześlizgiwała się po wodzie i niebie.



– Latarnia?

Przytaknąłem.

– Nazywają ją Hole in the Wall, czyli Dziura w Rafie. Kiedy ją minimy, weźmiemy kurs na pełne morze. Atmosfera się wtedy trochę ożywi.

– Ożywi?

– No wiesz, więcej morza, większe pole do manewru. – Mówiłem z entuzjazmem, ale Chattertona jakoś ta wizja nie zachwycała.

– Jakie mamy plany? – spytał.

Nie planowałem niczego szczególnego. Mieliśmy po prostu pożeglować po otwartym oceanie. Ze względu na niebezpieczne tropikalne sztormy nie zamierzałem wypuszczać się zbyt daleko od bezpiecznego schronienia, jakim były laguny archipelagu Bahama. Jednak zawsze lubiłem, kiedy długie oceaniczne fale rozbijały się o burty jachtu i choć nie mieliśmy zbyt wiele czasu, sądziłem, że kilka dni na otwartym oceanie dobrze zrobi nam wszystkim. Powiedziałem to Chattertonowi, zaznaczając, że przy najmniejszych oznakach nadchodzących kłopotów, zawrócimy.

Pewnie uważał, że chodziło mi o kłopoty z bliźniakami, bo nagle stał się gadatliwy.

– Nie będą ciężarem przez tych kilka dni. Teraz, kiedy nie mają dostępu do kokainy, załamają się.

Skrzywiłem twarz.

– Czy to oznacza, że będą widziały te niebieskie węże i zielone małpy huśtające się na wantach?

Chatterton dolał sobie bourbona i postawił butelkę na półce tak, bym mógł jej dosięgnąć.

– Niezupełnie tak to wygląda, kiedy przestaje się brać. Najpierw tylko jesz i śpisz. Odwrotnie, niż kiedy jesteś naćpany. Potem nadchodzi najgorszy etap. Po dwóch czy trzech dniach zaczyna się prawdziwe piekło.

– A my będziemy musieli brać w tym udział.

– Na pewno nie będzie łatwo – powiedział olbrzym ponuro, a ja nagle zdałem sobie sprawę, iż cieszę się, że Chatterton płynie z nami. On przynajmniej wiedział, czego się można spodziewać po bliźniakach.

– Zauważyłem, że Rickie dziś nie jadł – powiedziałem.

Chatterton potwierdził skinieniem głowy.

Rickie mógł przestać brać dzień czy dwa temu i prawdopodobnie jest już po pierwszym kryzysie. O jednym mogę cię zapewnić, nie zabrał nic na pokład. Sprawdziłem go, był czysty. – Wielkolud zaśmiał się. – To dobrze. Dla tego kurczaka jest to jedyna szansa uniknięcia więzienia. Jeżeli z niej nie skorzysta, to sędzia wyśle go do pudła, gdzie posiedzi sobie w miłym towarzystwie złodziejasków i gwałcicieli. – Chatterton nie wydawał się zmartwiony takim rozwiązaniem.

– Czy możemy być pewni, że Robin-Anne też nie zabrała żadnych narkotyków na pokład?

– To nie w jej stylu. Ta dziewczyna myśli poważnie o rzuceniu tego świństwa. Naprawdę poważnie! Widać, że się stara. Wiesz, że chce się nawet dowiedzieć wszystkiego o kokainie z naukowego punktu widzenia? Chce zbadać to świństwo jak własnego wroga. – W głosie Chattertona brzmiał podziw.

Rzuciłem okiem na kompas i żagle, a potem spojrzałem przed siebie, gdzie światło latarni rozciągało ciemność nocy.

– Jakie mają szanse wyjścia z nałogu?

– To zależy, czy posiadają wystarczająco silną wolę. Nic innego im nie pomoże. Na to nie ma pigułek czy proszków. Tylko siłą woli można to pokonać, a wyjście z koki – to chyba najtrudniejsza rzecz na świecie. Szczęście mają ci, których bogaty tatusiek zapłaci odpowiednim osobom za to, by trzymały ich pocięchy za rączkę, kiedy będą przechodziły przez to piekło. Ojciec bliźniaków wywalił kupę forsy na mnie, na ciebie i na tę całą krypę, ale nawet takie pieniądze nie gwarantują sukcesu.

– Czy to jest aż tak trudne? – Przypomniałem sobie dziewczynę Maggota.

– Tak, a może nawet jeszcze trudniejsze dla tych biedaków, którzy nie mają nikogo, kto mógłby im pomóc. – Z tonu głosu Chattertona wywnioskowałem, że musiał kiedyś przeżyć jakiś dramat.

– Dlaczego rzuciłeś wojsko? – spytałem po chwili.

– Sądzę, że się domyślasz.

– To w wojsku pomogli ci poradzić sobie z tym?

– Próbowali, naprawdę chcieli mi pomóc, ale wtedy ja odrzuciłem każdą pomoc.

– Ale jakoś ci się udało?

– W końcu tak. – Światło przy kompasie rzucało na jego twarz czerwoną

poświęcę. Nie patrzył na mnie. Bezmyślnie gapił się na Hole in the Wall. – Ale zanim się opamiętałem, utraciłem wspaniałą kobietę. Walka z tym świństwem była najtrudniejszą rzeczą w moim życiu i kiedy ją zakończyłem, przyrzekłem sobie, że będę pomagał innym.

– Nawet tym bardzo bogatym? – spytałem prowokacyjnie.

– Bogata hołota płaci rachunki, panie Breakspear. Resztę czasu poświęcam biednej hołocie.

Spojrzałem w jego surową twarz o twardych rysach.

– Czy bliźniaki to też hołota?

Zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział.

– Ona jest w porządku, ale on... – Nie musiał kończyć. Cisza była bardziej niż wymowna. Po chwili Chatterton zaniósł się śmiechem. – Chciałbym, żeby Rickie znalazł się w moim plutonie chociaż na pięć minut.

– Dobrze mieć kogoś takiego jak ty na pokładzie. – Również zacząłem się śmiać.

– Mnie też nie jest tutaj źle – powiedział, wyciągając do mnie rękę. Uścisnąłem ją.

O północy zostałem sam na pokładzie. Lubiłem samotną nocną żeglugę. Lubiłem przyglądać się nikłym błyskom, odbijającym się w lśniących burtach Wavebreakera i ginącym w ciemnej toni, za rufą. Lubiłem być sam pod obojętnym sklepieniem z gwiazd, mając wokoło morze z jasną smugą księżycy na powierzchni.

Lubiłem wszystkie dźwięki, którymi jacht rozbrzmiewał w nocy. Niby były te same co za dnia, a jednak noc dodawała skrzypieniu bloków, westchnieniom wiatru w wantach, pluskowi wody rozcinanej dziobem Wavebreakera, i łopotowi żagli – jakiejś niesamowitej magii. Lubiłem to dziwne wrażenie, że jacht obiera własną drogę przez pustą o tej porze planetę i podąża nią niczym tajemnicza zjawka. Zawsze z niechęcią myślałem o nadchodzącym świcie. Był jak zdrada. Jak coś, co ściągało człowieka z powrotem w rzeczywistość, po tych kilku chwilach obcowania z nieskończonością.

Kilka minut po północy przełożyłem się na drugi hals. Z kabiny dochodziły mnie odgłosy rozmowy Ellen z Rickiem. Pozostali już spali. Chciałem, żeby ta dwójka też się w końcu położyła. Szelest ich głosów był intruzem w bezkresie nocy, przez którą sunął Wavebreaker.

Właśnie wybierałem sztaksla, kiedy usłyszałem jakąś salwę. Instyktownie schyliłem się. Odgłos wybuchu zmieszał się ze straszhwym hałasem. Przypominało to wycie zwierzęcia dręczonego koszhmarnym bólem. Potem doszły do tego metaliczne dźwięki i zgrzyty. Hałas nasilał się. Zostawiłem żagle i zbiegłem do kokpitu. W pośpiechu wpadłem na obudowę kompasu. Do połowy wciągnięte żagle szamały się teraz na wietrze. W uszach rozbrzmiewał mi straszhwy krzyk.

Szarpnięciem otworzyłem drzwi zejściówki i chwytając się oburącz nadburcia, wskoczyłem do środka. Ładując pośliznąłem się i uderzyłem w ściankę. Wstałem i jednym susem dopadłem magnetofonu. Wcisnąłem guzik otwierający kieszeń. Okropny hałas ustał.

– Co jest, do cholery? – Rickie, wciąż jeszcze trzęsąc się w takt „muzyki”, podskoczył na kanapie. – Hej! To moja taśma, człowieku! Ja tego słucham!

Na drugiej kanapie siedziała Ellen. Śmiała się. Mnie jednak nie było do śmiechu.

– Na litość boską! Tesy śpi. Ma ranną wachtę – powiedziałem do niej. Zastanawiałem się, dlaczego pozwoliła puścić Rickiemu coś tak ogłuszającego o tej porze.

– My tylko słuchaliśmy muzyki! – powiedział zaczepnie chłopak, idąc w moją stronę tanecznym krokiem. Uniósł rękę, jakby chciał mnie uderzyć. Popiół z jego papierosa spadł na podłogę.

– Rickie! – zawołała Ellen ostrzegawczo.

Jakieś resztki zdrowego rozsądku jeszcze kołatały się w tej jego biednej łepetynie, bo opuścił dłoń i uśmiechnął się do mnie pojednawczo.

– Powinieneś to lubić, Nick – stwierdził radośnie. – To angielska kapela.

Spojrzałem na kasetę, widniała na niej nazwa Pinkoe Dirt-Box Band.

– Wprowadzam nową zasadę: żadnej angielskiej muzyki na tym jachcie, chyba że cicho albo przez słuchawki. – Rzuciłem kasetę Rickiemu. Nie zdołał jej złapać.

Podniósł taśmę z podłogi.

– Czy to znaczy, że nie mogę słuchać mojej muzyki? – Znowu zaczynał się złościć.

– To znaczy, że możesz jej słuchać, ale cicho. I tak właśnie będziesz robił. – Jackson Chatterton stanął w drugim końcu kabiny. Miał na sobie kanarkowo-żółtą pizamę. Jego nagłe pojawienie się przestraszyło Rickiego, który pisnął coś tylko o tym, że chciał puścić Ellen swoją ulubioną kapelę i że nie miał zamiaru tak namieszać. A tak w ogóle to nie miał co robić na tej przeklętej łodzi. Mruczał coś przez cały czas, ale wzrok Chattertona był nieustępliwy i Rickie pomaszerował potulnie do ich wspólnej kabiny. W drzwiach obok pojawiła się przerażona twarz Tesy'ego. Dałem mu znak, że wszystko jest w porządku i że może iść spać.

– Przepraszam, Nick – powiedziała Ellen bez cienia skruchy w głosie.

– Daj spokój. – Wciąż byłem zły, ale kłótnia nie miałaby sensu, więc wróciłem na pokład. Pięć minut później światło w głównej kabinie zgasło. Wkrótce potem zgaszono również lampę we wspólnej kabinie Ellen i Robin-Anne. Tylko w kabinie po prawej burcie wciąż było jasno. Zastanawiałem się, czy nie zapomnieli po prostu wyłączyć światła. Jego blask denerwował mnie. Miałem ochotę odłączyć fazę, ale oparłem się pokusie.

Znowu było cudownie cicho. Wavebreaker spokojnie płynął nowym kursem. Za nami zostały światła wyspy, a przed dziobem czekał wielki ocean. Jacht płynął prawym halsem, gnany przez pasat coraz dalej od płytkich akwenów wokół wysp Bahama. Wavebreaker nic sobie nie robił z małych fal wód przybrzeżnych. Dopiero czując potęgę otwartego oceanu, jacht pokazywał, co potrafi. To była prawdziwa żegluga.

Ciesząc się wolnością, Wavebreaker zanurzył dziób w wodzie, wzbijając w górę fontannę kropel. Jakaś większa fala przeszła dreszczem wzdłuż kadłuba. Czysta przyjemność. Zaśmiałem się głośno, a potem, jak zawsze, kiedy byłem sam na morzu, zacząłem recytować Szekspira. Znałem na pamięć wiele fragmentów jego dzieł. Umiałem całe kilometry wierszy, których ojciec nauczył mnie, gdy byłem mały. Lubilem słuchać poezji, lubilem też ją deklamować, ale tylko wtedy, kiedy nikt mnie nie słyszał. Wiedziałem, że mój głos ma taki sam rytm i ton, jak głos mego sławnego ojca.

Tego wieczoru wyrecytowałem jeden z moich ulubionych fragmentów, z drugiej części dziejów Króla Henryka IV, w którym nowy król – Henryk V – odrzuca przyjaźń Falstaffa.

*Nie znam cię, starcze. Oddaj się modlitwie.*

*Razi włos siwy u głupca i błazna!*

*Długo śnił mi się ktoś wielce podobny,*

*Opaty, stary i czci pozbawiony;*

*Po przebudzeniu ów sen jest mi wstrętny. \**

\* Przekład Maciej Słomczyński.

Urwałem nagle. Ktoś się za mną poruszył. Odwróciłem się i zobaczyłem Robin-Anne, ubraną tylko w białą koszulę nocną.

– To było naprawdę świetne – powiedziała. Trzęsa się z zimna.

– W schowku pod schodami znajdziesz kurtkę od sztormiaka – powiedziałem – a na kuchence Ellen zostawiła termos z kawą. Mnie też przynieś. Z mlekiem, bez cukru. Mleko znajdziesz w lodówce, na prawo od kuchenki.

Skinęła głową na znak, że wszystko zapamiętała, i zniknęła pod pokładem. Po kilku minutach wróciła opatulona w jeden z obszernych, ocieplanych sztormiaków, niosąc kubek z kawą.

– To chyba jest z kofeiną? – spytała.

– Tak, to prawdziwa kawa – potwierdziłem. – Jeżeli chcesz, to w szafce nad zlewem stoi słoik kawy bezkofeinowej. A może jesteś głodna?

– Nie, dziękuję. – Usiadła blisko mnie i podkuliła nogi, okrywając je sztormiakiem. Głowę wtuliła głęboko w gruby kołnierz. Widziałem tylko jej ogromne, srebrne od światła księżycy oczy i jasną, krótką grzywkę. Ziewnęła. – Kiedy będzie świtało?

– Mniej więcej za godzinę. Nie mogłaś spać?

– Nastawiłam sobie budzik. Chciałam wstać wcześniej. Mama mówiła, że trzeba zobaczyć świt na morzu. – Oparła głowę o poduszkę. Mogła teraz patrzeć prosto na gwiazdy, które płonęły zimno ponad topami masztów. – Gdzie teraz jesteśmy?

– North-East Providence Channel został daleko za nami. Jesteśmy na pełnym morzu. Czy wcześniej nie zbudziła cię muzyka twego brata?

Pokręciła przecząco głową i jeszcze bardziej się skuliła.

– Jesteś szczęśliwy – powiedziała niemal oskarżycielsko.

– Tak, oto ja: ciemny, prosty i szczęśliwy Angol.

Chciałem ją rozśmieszyć, ale ona tylko zmarszczyła brwi tak, jakby moje szczęście stanowiło zagadkę, którą koniecznie musiała rozwiązać.

– Czy będziesz jeszcze recytował?

– Nie.

– To był Szekspir, prawda?

– Tak.

– Fajne.

– Tak, Szekspir był świetnym poetą – stwierdziłem tak, jakby ktoś tego nie wiedział.

– Miałam na myśli twój głos i sposób mówienia – rzekła.

– To tylko imitacja – powiedziałem – tylko imitacja. – Nagle przypomniało mi się, że mój ojciec zawsze powtarzał: „Aktorstwo, Nick, to tylko imitacja i zwykłe przebijanie się. Nigdy nie zrozumie, dlaczego ludzie traktują to tak poważnie”.

Poczułem, jak koło sterowe mocniej oparło się na mojej lewej dłoni. Miałem wrażenie, że morze i wiatr koncentrują swe moce na Wavebreakerze. Ustawiłem jacht bardziej na wiatr i znowu odpadłem od poprzedniego kursu. Jakiś wierzchołek fali rozbił się o dziób, wysyłając w górę fontannę piany. Takie żeglowanie sprawiało mi przyjemność. To było jak gra z całym światem. Przypomniałem sobie, jak senator mówił, że Robin-Anne lubi żagle. Zapytałem ją, czy chciałaby przejąć ster.

Zadrżała.

– Za bardzo mnie to przeraża.

– Ale umiesz żeglować, prawda?

– Kiedyś trochę umiałam, ale tylko na małym kaczorku. To było tak dawno temu. Moja babcia miała dom nad zatoką, ale ona już nie żyje – powiedziała ze smutkiem.

– Nigdy nie zrozumie popularności takich łodzi jak kaczorki. To tak, jakby ktoś chciał wypłynąć na morze furą z sianem.

Robin-Anne skinęła głową z powagą, ale kiedy zadała następne pytanie, zdałem sobie sprawę, że w ogóle nie zwracała uwagi na to, co mówiłem.

– Co o nas sądzisz?

Spojrzałem na nią, starając się wymyślić jakąś odpowiedź, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Udałem więc, że sprawdzam kurs. Obserwowałem morze przed dziobem.

– Wiesz, bo ja się czuję dziwnie – Robin-Anne starała się uzasadnić swoje pytanie. – I jest mi głupio.

– Jestem tylko szyprem, nie musisz mi niczego wyjaśniać.

– Czuję się, jak w jakimś cyrku – Robin-Anne jakby nie słyszała tego, co powiedziałem. – Wszyscy spodziewają się, że będę robiła to, czego oczekują, a ja nie wiem, czy potrafię.

– A czego oczekują?

– Że przestanę brać – zmarszczyła brwi. – Ciągłe mnie obserwujecie, licząc na to, że się uda.

– Co w tym złego?

– Kierujecie mną, a ja tego nienawidzę. I nienawidzę samej siebie za to, że pozwalam sobą kierować.

– Och, daj spokój! Przecież wszyscy cię lubimy!

– No właśnie. – Na chwilę umilkła. Obserwowała długie fale dźwigające swe spienione wierzchołki aż do burt jachtu. Nagle zapytała:

– Brałeś kiedyś kokę?

– Nie.

– I nigdy cię nawet nie kusiło?

– Nie.

– Szczęściarz z ciebie. Kokainowy prawiczek. Tylko tak dalej, bo jak już raz się zacznie... – ostatnie słowa wypowiedziała niemal złowrogo.

Wzruszyłem ramionami.

– A heroina, alkohol czy papierosy? – spytałem.

– To nie to samo. Potrzeba sporo czasu, żeby się od nich uzależnić, a po jednej działce kokainy nie ma już odwrotu.

Kliwer przestał pracować, więc trochę odpadłem od kursu.

– Ale prawdziwe niebezpieczeństwo tkwi w tym, że kokaina wyzwała silne emocje, powoduje ekstazę. Pod wpływem kokainy mózg produkuje substancję zwaną dopaminą. Oczywiście, oprócz niej jest wiele innych, ale dopamina jest najwięcej. – Głos Robin-Anne brzmiał bardzo poważnie. Najwyraźniej zależało jej na tym, abym zrozumiał, o czym mówi. – To może się wydawać dziwne – ciągnęła – ale wszystkich przyjemnych odczuć doznajemy, gdy z mózgu uwalniane są naturalnie tam występujące substancje chemiczne. Kokaina jest jakby ich wyzwalaczem. Czy potrafisz sobie wyobrazić cały dzień czystej przyjemności?



Nie musiałem sobie nic wyobrażać. Pamiętałem wiele takich dni. Pamiętałem pewien deszczowy dzień, który spędziłem w łóżku z piękną dziewczyną, pamiętałem Masquerade, dzielnie spisującą się przy silnych wiatrach. Myślałem też o wielu dobrych dniach, które miały jeszcze nadejść. Myślałem o czekającym mnie rejsie z Ellen. Chyba się uśmiechnąłem.

– Pomyśl o całym tym szczęściu – powiedziała dziewczyna – i wyobraź sobie, że po jednej działce kokainy człowiek czuje się sto razy bardziej szczęśliwy niż w najszcześniejszym dniu swego życia. Sto razy! To jest jak seks z Bogiem! Jak morze euforii!

Nie zareagowałem. Robin-Anne zinterpretowała moje milczenie jako niedowierzanie i zaczęła tłumaczyć:

– Wiesz, ja starałam się dowiedzieć jak najwięcej o kokainie. Chciałam, żeby Rick z tym skończył. On i jeszcze jeden chłopak, więc nauczyłam się wszystkiego, czego mogłam.

– Czy uczenie się czegoś, oznacza także próbowanie, jak to smakuje?

– Tak.

– W ten sposób odkryłaś tę euforię?

– To właśnie ta euforia uzależnia. Jeżeli raz trafi się do nieba, to rzeczywistość wydaje się później strasznie nudna, więc zaczyna się brać więcej i jeszcze więcej. Wszystko po to, żeby otworzyć sobie bramy do raj. A kiedy już się tam trafi, to chciałoby się pozostać na zawsze. I znowu bierzesz więcej, ale wtedy kokaina przestaje już działać...

Urwała, jakby w obawie, że może mnie to nudzić, ale ja czekałem na to, co powie dalej.

– Problem polega na tym, że kiedy kokaina uwolni całą dopaminę z mózgu, następuje koniec niebiańskich przyjemności. Trudno jest się z tym pogodzić, więc zażywa się coraz większe dawki. Kokaina zaczyna zwężać ci arterie i w ogóle robić różne dziwne rzeczy z twoim organizmem. To dlatego Rickie nie widzi na lewe oko.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć, więc mruknąłem tylko coś pod nosem.

– Ale może być gorzej – Robin-Anne potrząsnęła niecierpliwie głową – dużo gorzej.

– Masz na myśli atak serca?

– Nie... – odwróciła wzrok od ciemnego morza. Patrzyła mi teraz w oczy. –

Najgorsze jest to, że po jakimś czasie zaczyna się wpadać w depresję tak wielką i straszną, że nie dałoby się jej porównać z żadnymi okropieństwami tego świata. Żeby ją zwalczyć, niektórzy biorą barbiturany, ale na to już nie ma rady. Lekarze wymyślili nawet specjalną nazwę tego stanu: anhedonia, niezdolność odczuwania przyjemności. To jest jak piekło, z którego nie ma ucieczki. Nie można nawet zasnąć, gdyż kokaina powoduje chroniczną bezsenność.

Zastanawiałem się, jak to jest, że niektórzy mogli spróbować kokainy, a potem po prostu z niej zrezygnować, a inni kończyli w piekle... albo w peep-show, ale to chyba niewielka różnica.

– Oczywiście po kilku dniach – ciągnęła Robin-Anne – mózg wytwarza znowu pewną ilość dopaminy i można skoczyć na chwilę do nieba. Zaczyna się huśtawka: góra, dół, góra, dół – poruszała białą, szczupłą dłońią w takt słów – niebo, piekło, niebo, piekło. W niebie czeka cię bezgraniczna euforia, a w piekle... lepiej o tym nie myśleć.

– Pamiętaj więc o tym piekle, może ono powstrzyma cię od powrotu do czarodziejki-kokainy – wygłosiłem swą radę za trzy grosze.

– Jest jeszcze inne piekło – powiedziała Robin-Anne stłumionym głosem. – Wtedy, kiedy próbuje się przestać brać. Pamiętasz euforię i musisz się jej wyrzec. Na razie jest mi łatwo. Chce mi się tylko jeść i spać, ale już niedługo zaczniesz się mój czyściec.

Na morzu, za plecami dziewczyny, ciągnęła się księżycowa ścieżka. Spojrzałem przed siebie. Na horyzoncie pojawiła się inna jasna smuga.

– Świta – powiedziałem z nadzieją.

Robin-Anne nie zwróciła na to uwagi. Pochyliłem się ku niej. Płakała. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Powinienem był objąć ją ramieniem i przyrzec, że wszystko będzie dobrze, że zdoła uwolnić się od anhedonicznego piekła, i że jest jeszcze Bóg, który posiada wystarczającą moc, aby jej pomóc zerwać z kokainą, tak jak udało się to innym. Powinienem był ją zapewnić, że istnieje również szczęście bez narkotyków, ale tego nie zrobiłem. Pozwoliłem jej płakać.

Wavebreaker mknął w stronę wschodzącego słońca, do piekła.

Wywabiałem Tesy'ego z łóżka filiżanką herbaty, a kiedy chłopak przejął ster, poszedłem spać. Śniła mi się Masquerade tonąca w morzu stali i ognia.

Wstałem na lunch. Wavebreaker wciąż żeglował na wschód. Ellen pokazywała Rickiemu wszystkie elektroniczne urządzenia: radia, radary, faksy, łącza satelitarne. Chłopak słuchał tego z zadziwiająco jak na niego uwagą. Kiedy mnie spostrzegł, zawył i szybko wsadził sobie na uszy słuchawki, dając tym do zrozumienia, że nie zamierza się do mnie odzywać. Ellen skwitowała to obojętnym wzruszeniem ramion.

– Jak tam pogoda? – spytałem.

– Bez zmian.

Wyjrzałem na zewnątrz. Niebo było niebieskie i bezchmurne.

– Przesłali już faksem mapę?

– Pewnie. – Wręczyła mi szarą kartkę papieru z mapą synoptyczną.

Udawałem, że gardzę takimi nowoczesnymi urządzeniami, bo wiedziałem, że na Masquerade nie będę miał takiego sprzętu. Na mapie nie było żadnych obszarów niskiego ciśnienia. Dokładnie tego sobie życzyłem. Spadek ciśnienia mógł oznaczać początek sztormu.

– Dzień dobry, Rickie – powiedziałem głośno, chcąc pokazać, że już zapomniałem o jego nocnych wybrykach.

– No – chłopak nagle odwrócił się do mnie, zdjął słuchawki i zdawało mi się, że ma zamiar przeprosić za ostatnią noc. Ale on tylko zapytał, czy to prawda, że jesteśmy na pełnym morzu i nie przybijemy do żadnego lądu przez jakiś czas.

– Tak, to prawda – potwierdziłem.

– Ale ja chciałem ponurkować – powiedział z oburzeniem.

– Będziesz jeszcze miał okazję, obiecuję.

– Rany! – Chłopak odwrócił się z irytacją. Czekałem, że powie coś jeszcze, ale najwidoczniej nie pragnął mojego towarzystwa. Wymieniłem z Ellen porozumiewawcze spojrzenie i wyszedłem na zewnątrz. Tesy włączył autopilota, a sam, razem z Jacksonem Chattertonem, mocował dodatkowy komplet want z prawej burty. Obaj wisieli właśnie, uczeplieni mniej więcej w połowie wysokości głównego masztu. Robin-Anne pewnie jeszcze spała. Chatterton opuścił się na pokład i poinformował mnie, że dziewczyna zjadła olbrzymie śniadanie.

– A Rickie?

– Ten tylko bawił się jedzeniem. – Chatterton zmarszczył brwi. – A to oznacza, że jest już po pierwszym etapie i może sprawiać kłopoty.

– Jeszcze większe? – zapytałem przerażony.

– Nick, niewiele dotychczas widziałeś – zaśmiał się olbrzym.

Wyglądało na to, że Jackson Chatterton miał rację. Wszyscy zauważyliśmy straszną przemianę, jaka zaszła w Rickiem. Kiedy wchodził na pokład, był pełen energii, dokazywał jak młody szczeniak. Teraz stał się ponury. Podczas lunchu patrzył wilkiem na siostrę, która, opatulona w szlafrok, pochłaniała kanapki z takim apetytem, jakby nie jadła od tygodnia.

Rickie nawet nie spróbował. Odstawił talerz i zapalił papierosa. Siornął łyk dietetycznego napoju z puszki i skrzywił się.

– Czy jest na tej krypie jakieś piwo? – spytał nagle.

– Nie – odparła Ellen spokojnie. – Zalecenia lekarzy.

– Niech się wypchają!

Nikt nie odpowiedział. Rozzłościło to Rickiego. Wpatrywał się w białą twarz siostry, która wydawała się teraz jeszcze bledsza, gdyż dziewczyna posmarowała się jakimś kremem z filtrem przeciwsłonecznym.

– A tobie smakują te siki, Robin?

Dziewczyna przytaknęła. Była zbyt zajęta jedzeniem, aby poświęcić bratu więcej uwagi. Wymruczała tylko coś o tym, że napój jest w porządku.

– Według mnie to świństwo. – Rickie popatrzył zaczepnie. – Ty na pewno masz coś mocniejszego na pokładzie, Nick?

– Ani kropelki – skłamałem.

– To zupełnie jak nie Angol. – Chłopak próbował naśladować mój brytyjski akcent. – Sądziłem, że wszystkie statki Imperium Brytyjskiego napędzał rum, pedały i bat. Czyż nie tak?

– Tak mówią. – Nie zamierzałem dać się sprowokować.

– Czy ty jesteś pedałem, Nick? – spytał Rickie z udaną powagą. Nie odpowiedziałem. Rickiego to wkurzyło. Cisnął puszkę z napojem przez pokład. – Gówniany soczek! – krzyknął.

– Wytrzymaj to – powiedziałem spokojnie.

– Rum, pedały i bat! – śpiewał Rickie, patrząc mi prosto w oczy.

Jackson Chatterton poruszył się tak, jakby sam zamierzał wyczyścić pokład. Powstrzymałem go gestem.

– Wytrzyj to – powtórzyłem.

– Sam to wytrzyj. Ja jestem na wakacjach i nie zamierzam bawić się w jakiegoś cholernego służącego, no nie, Robin-Anne?

Dziewczyna ciągle jadła.

– Wytrzyj to.

Rickie chwycił puszkę Tesy'ego, otworzył ją i rzucił tak jak poprzednią.

– A co mi zrobisz? Wychłószczesz mnie? – Zaśmiał się i spojrzał na Ellen, którą uważał za swego sprzymierzeńca. – Z Angolem to nigdy nie wiadomo, albo chłószcze, albo pieprzy.

Ellen nie odezwała się. Tesy wyglądał na przestraszonego. Tylko Jackson Chatterton był przyzwyczajony do wyskoków Rickiego.

– Ten pan powiedział ci, że masz to sprzątnąć – rzekł spokojnie. – Więc zrób to!

Rickie przestał panować nad sobą.

– Ja mam wakacje! – wrzasnął w moją stronę. – Więc dlaczego tu siedzimy? Ja chcę zobaczyć plażę! Plażę! Wiesz, co to jest plaża? Piasek? Surfing? Chcę popływać na desce z żaglem albo na nartach wodnych! Chcę ponurkować, do cholery!

Zignorowałem ten wybuch. Z achterpiku wyciągnąłem wiadro z przywiązany do rączki sznurkiem i szmatę. Spuściłem wiadro za rufę, nabrałem wody i wylałem ją tuż pod nogi Rickiego.

– Pokład ma być wyczyszczony. – Rzuciłem mu szmatę.

Nie zauważył jej. Widziałem, że bierze oddech, aby sprzeciwić mi się. Powiedziałem więc szybko:

– Albo to zrobisz, albo wytrę plamę twoją czupryną.

Chłopak zaczął szlochać. Robin-Anne popatrzyła na niego i posmarowała musztardą kolejną kanapkę z bekonem.

– Nieźle żarcie – stwierdziła entuzjastycznie.

– Pomogę ci – powiedziała Ellen do Rickiego i włożyła mu do ręki szmatę. – Chodź.

Rickie zabrał się do czyszczenia pokładu, jego siostra wciąż jadła, a nasz cyrk pod żaglami płynął dalej.

**K**iedy jeszcze przed rejsem próbowałem przewidzieć, jak będzie wyglądała ta jachtowa kuracja odwykowa, naiwnie sądziłem, że to niezwykle trudne, ale owocne doświadczenie. Wyobrażałem sobie, że bliźniaki Crowninshilda pełne skruchy i chętne do naprawy swojego dotychczasowego życia, będą za dnia pomagały w pracach na jachcie, a w nocy, wyczerpane pracą i morzem, nie będą miały siły na nic prócz snu. Widziałem tę dwójkę jako partnerów doceniających nasze wysiłki i próby pomocy im. Mój optymizm wynikał z faktu, że to Rickie zaproponował tę drastyczną kurację – wypłynięcie na morze.

Nie myliłem się co do jednego. To było trudne. Żeglowaliśmy bez celu, gnani cierpliwym wiatrem. Bagaż wzajemnej rozpaczki z każdym dniem stawał się cięższy. Chociaż ciągle pracowaliśmy nad wzmocnieniem takielunku Wavebreakera przed rejssem przez Atlantyk, to już zacząłem zastanawiać się nad argumentami, którymi mógłbym przekonać Crowninshilda, że cały pomysł nie ma sensu. To się nie mogło udać, a przynajmniej nie mogło się udać z Rickiem.

Chłopak nie wykazywał żadnej chęci współpracy. Jego nastroje zmieniały się tysiąc razy w ciągu dnia. Raz siedział w kącie, uzalając się nad sobą, to znów rzucał się do wszystkich. Magnetofon stał się dla niego czymś w rodzaju broni. Puszczał na nim swoją kakofoniczną muzykę na tyle głośno, żeby nas denerwować, a jednocześnie na tyle cicho, żebym nie mógł się do niczego przyczepić. Jackson Chatterton spytał mnie, dlaczego nie odłączę sprzętu muzycznego od sieci, ale wiedziałem, że wtedy Rickie znalazłby coś innego. Zapytałem Chattertona, jak długo może trwać taki stan.

- Całą wieczność – odpowiedział.
- Wieczność? – byłem zdziwiony.
- Myślę, że on w tej chwili jest sobą – stwierdził Chatterton – czyli wiecznym dupkiem.

- A jego ojciec ma zostać prezydentem – westchnąłem.
- I niech nam długo żyje! – zakpił Chatterton. – Mówię ci, Nick, jeżeli ten facet myśli poważnie o wygraniu wyborów, to im szybciej wsadzi Rickiego do czubków, tym dla niego lepiej.

Były też jednak chwile, kiedy Rickie zdawał się uświadamiać sobie, jakim jest dupkiem. Wtedy próbował nieudolnie pomagać w pracach na jachcie, a nawet przeproszał za swoje nieznośne zachowanie. Przeprosiny kierował zwykle do Ellen, Chattertona lub Tesy'ego. Bardzo rzadko przeproszał mnie. Chyba go denerwowałem, bo nawet podczas swoich spokojniejszych momentów starał się mnie unikać. Tylko raz podszedł do mnie z mapą i zapytał, gdzie jesteśmy. Zaznaczyłem ołówkiem naszą pozycję i pokazałem dotychczasowy kurs, który zawsze biegł z dala od wszelkich wysp.

- Dlaczego? – zapytał chłopak.
- Bo to nam wszystkim dobrze zrobi. Gdybyśmy ciągle stawali przy jakichś wyspach i schodzili na ląd, to nie zdołalibyśmy się przyzwyczaić do wspólnego życia na jachcie – zawahałem się. Nie wiedziałem, czy powinienem mu powiedzieć całą prawdę, ale zdecydowałem, że nie muszę niczego ukrywać. – Cały pomysł jachtowego odwyku polega na tym, żeby was odizolować. To byłoby niemożliwe, gdybyśmy ciągle gdzieś się zatrzymywali.

- Pewnie, pewnie. – Patrzył na zakreślone przeze mnie na mapie miejsce. – Ale w końcu wrócimy na wyspy?

- Oczywiście. – Tak naprawdę, to już powinniśmy byli zawrócić. Nieodpowiednie ustawienie wacht powodowało, że obaj z Tesym byliśmy coraz bardziej zmęczeni. Jednocześnie jednak zdawałem sobie sprawę, że Rickiego mogłem pokonać, tylko trzymając go na pełnym morzu. On używał magnetofonu, ja nawigacji. Inni nie wtrącali się do tej wojny.

- No to kiedy wracamy na wyspy? – zapytał.
- Może za kilka dni? – Specjalnie nie chciałem podawać dokładnej daty.
- Zamierzam trochę ponurkować. Zabawić się! – powiedział obrażonym

tonem, tak jakby zabawa była warunkiem przetrwania amerykańskiej młodzieży, a ja mu jej w okrutny sposób odmawiałem. – Może się boisz, że jak gdzieś zakotwiczymy, to zwieję?

– Zrobiłbyś to? – zapytałem.

– Ja chcę tylko ponurkować. – Wciąż był obrażony. – Dobra?

– Dobra – powiedziałem pojednawczo.

– I żeby to było niedługo. – Wyrwał mi mapę i złożył ją niedbale. – A niedługo, to znaczy jeszcze zanim osiwieję.

– Najpóźniej za tydzień – obiecałem mu.

Ze złością cisnął za burtę niedopałek papierosa. Nie trafił i niedopałek wpadł do luku odpływowego. Wiedziałem, że chłopak chętnie by go tam zostawił, ale kiedy napotkał mój wzrok, podniósł papierosa i wrzucił go do wody. Zszedł pod pokład i po chwili doszły mnie stamtąd piekielne dźwięki Pinkoe Dirt-Box.

Robin-Anne umiała być znacznie miłą towarzyszką, ale ona z kolei wpadła teraz w stan obojętności i odrętwienia. Przestała jeść, zamknęła się w sobie i miewała, podobnie jak brat, napady złego humoru. Najbardziej chyba lubiła Tesy'ego. Często widziałem, jak razem siedzą i rozmawiają. Kiedyś spytałem chłopca, o czym tak mówią, a on stwierdził, że próbuje wskazać Robin-Anne drogę do Chrystusa i skarżył się, że dziewczyna go nie słucha i interesuje ją tylko kokaina.

– Wiem – uśmiechnąłem się.

Wiedziałem, gdyż co wieczór Robin-Anne wychodziła na pokład i opowiadała o swojej obsesji – o kokainie. Mówiła, że w stanie anhedonii bierze się barbiturany albo pije alkohol, żeby złagodzić skutki braku dopaminy. Każdy ćpun dochodzi w końcu do paranoicznego stanu obawy, że ktoś może mu podwędzić narkotyki. Narkomani kradną, kłamią i sprzedają się, żeby zarobić na kolejną działkę.

– Wtedy, kiedy są mniej więcej przytomni, nienawidzą się za to, co robią i żeby zapomnieć o tym, biorą jeszcze więcej.

Chciałem zapytać ją, czy kiedykolwiek próbowała zdobyć kokainę na własną rękę, ale zanim zdążyłem to zrobić, Robin-Anne powiedziała ironicznie:

– Rickie i ja zawsze byliśmy w pewnym sensie popularni.

– Ponieważ mieliście pieniądze?

– Nie. Dlatego, że mieliśmy mnóstwo towaru. – Patrzyła bezmyślnie na morze. Olbrzymie chmury przesłoniły gwiazdy i przykryły ciemnym płaszczem



wodę. Wciąż wiał spokojny wiatr z południowego wschodu. Robin-Anne uśmiechnęła się.

– Przyjaciele nie opuszczą cię tak długo, jak długo będziesz miał pieniądze na kokainę.

To był jeden z ostatnich uśmiechów Robin-Anne podczas tego rejsu. Dziewczyna pogrążała się coraz bardziej w czymś, co Chatterton nazywał fazą abstynencji. Co wieczór siadała opatulona w sztorniak i starała mi się wszystko wyjaśnić. Jej głos brzmiał miękko i spokojnie, ale widziałem, jak mówiąc, wykręca szczupłe, blade palce. Opowiadała o torturach, jakie przechodzi. Dla niej najgorsza była pamięć o stanach euforii, której doświadczała pod wpływem kokainy. Wspomnienia wywołanego chemią nieba bardzo utrudniały jej wytrwanie w postanowieniu rzucenia koki. Kusiło ją, żeby jeszcze raz spróbować magicznego proszku. Od jednego razu nic się przecież nie może stać.

– Jak długo trwa faza abstynencji? – zapytałem.

– Jeżeli będę miała szczęście – trzy miesiące, jak nie – dwa lata. Już wkrótce zacznę mieć halucynacje. Będę śniła o kokainie, będę pragnęła jej bardziej niż czegokolwiek w życiu. Nic innego nie będzie się liczyło. Gdybym była zakochana, zapomniałabym o mojej miłości, gdybym była matką, zapomniałabym o moich dzieciach. Mogłabym myśleć tylko o narkotykach. – Wielkie oczy dziewczyny rozplywały się w blasku lampki przy kompasie. Jakaś samotna gwiazda wyjrzała zza chmury. Starałem się namówić Robin-Anne, żeby spróbowała, jak działa sekstans, ale ona była jakby nieobecna.

– Nie chcę być chora – stwierdziła nagle.

– Chora?

– Uzależnienie jest jak choroba. To nie jakaś tam słabostka czy brak silnej woli.

Wypiłem łyk kawy i skrzywiłem się. Robin-Anne posłodziła ją i zapomniała o mleku.

– Co następuje po tej fazie?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Kiedy wyzwolę się już z „uroków wspomnień”, będę żyła tak jak wszyscy, jak ty, Ellen, czy Tesy.

– Chciałbym, żeby to nastąpiło jak najszybciej – powiedziałem, ale Robin-Anne nie zareagowała. Zeszła pod pokład. Kiedy kilka minut później poszedłem

zrobić sobie nową kawę, zastałem ją ze słuchawkami na uszach. Kiwała się rytmicznie w tył i w przód, jakby okropna muzyka brata mogła wypędzić zniemawidzonego i ukochanego demona, który zakorzenił się w jej duszy. Lubilem tę dziewczynę. Czulem się straszliwie bezsilny, kiedy tak patrzyłem, jak coraz bardziej pogrąża się w prywatnym piekle. Godzinę później wachtę przejął Tesy. Podałem mu kurs i poszedłem spać.

Ellen zbudziła mnie godzinę po brzasku. Byłem zaspany. Po omacku starałem się znaleźć włącznik światła. Ellen odsunęła zasłony, wpuszczając do małej kabiny szare światło.

– Kłopoty, kapitanie, mój kapitanie! – powiedziała wesoło.

– Och nie – usiadłem. Ellen trzymała w ręku szarą kartkę z faksu. Na mapie pogody izobary zmniejszyły swój zasięg, a wokół nich, daleko na wschodnim Atlantyku, pojawiła się strefa niskiego ciśnienia. Ellen dobrze zrobiła, budząc mnie. Oboje wiedzieliśmy, jak szybko i niezauważalnie taki niż mógł zamienić się w sztorm. Odgarnąłem włosy z twarzy i w skupieniu przyglądałem się mapie. – O, kurczę – powiedziałem.

– I to nawet blade! – zakpiła sobie Ellen.

Spojrzałem na nią ponuro, starając się szybko wymyślić jakąś miażdżącą replikę, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Ziewnąłem.

– Muszę przyznać, że z rana wyglądasz słodko, Nicku Breakspearze. I pomyśleć, że będę mogła codziennie oglądać twoją zaspaną buźkę podczas naszego rejsu przez południowy Pacyfik.

– Pozwolę sobie przypomnieć, że ty zwykle z samego rana nie grzeszysz dobrym humorem. – Spojrzałem na anemometr. Wskazywał, że prędkość wiatru spadła nieco, wahając się teraz między siłą trzech i czterech stopni. Wiał obecnie trochę bardziej na południe. Na barometrze wyraźnie było widać, że ciśnienie spadło od momentu, kiedy kładłem się spać. Przechyliłem się przez łóżko i postukałem w szklaną osłonę. Wskazówka opadła jeszcze bardziej.

– Czas się zbierać – powiedziałem.

– Jest aż tak źle? – spytała Ellen.

– To nie huragan – stwierdziłem. Było jeszcze za wcześnie. Sezon huraganów miał dopiero nadejść, ale ten niż mógł wywołać tropikalny sztorm. Właściwie

trudno było stwierdzić, czym taki sztorm różni się od huraganu. Nie mogłem ryzykować, mając na pokładzie zmęczoną załogę. Poza tym było nas za mało i ostrożność nakazywała szukać schronienia. Musieliśmy zmienić kurs i popłynąć na zachód, aby uniknąć nie sprzyjającej pogody. Spuściłem nogi na podłogę i sięgnąłem po spodenki.

– Czy jest jeszcze trochę kawy?

– Na kuchence, Wielki Przywódco.

– Powiedz Tesy'emu, żeby na razie płynął na zachód. Za chwilę przyniosę mu dokładne namiary kursu.

– Każde twe życzenie jest dla mnie rozkazem – powiedziała Ellen i szybko wyszła, abym nie miał czasu na wypowiedzenie żadnego życzenia. Przetarłem oczy i włożyłem koszulę. Na małym stoliku między łózkami leżała stara, podniszczona Biblia Tesy'ego. Szttywne czarne okładki były miejscami odbarwione i mocno pogięte od częstego używania. Tesy dostał ją od ojca i miał przykazane przeczytać całą; wszystkie nudne, brudne, czy krwawe fragmenty, bez różnicy. Chłopakowi niezbyt to szło i zwierzył mi się, że chciałby już być przy Księdze Pieśni. Niestety, jak na razie zdołał dotrzeć do mało ważnego i bardzo ponurego proroka ze Starego Testamentu. Zaznaczyłem miejsce, w którym Tesy przerwał czytanie, a potem znalazłem Psalm 55 \*.

*Zrzuc swą troskę na Pana*

*a On cię podtrzyma.*

\* Biblia Tysiąclecia, Wyd. Pallottinum, Poznań 1965

Czytałem znajome słowa, które zwykle przynosiły mi ulgę.

Poczułem, że jacht zawraca. Jakaś silniejsza fala lekko szarpnęła kadłubem, ale już po chwili Wavebreaker wyrównał kurs prowadzony pewną i silną ręką Tesy'ego. Chłopak był świetnym żeglarzem i wspaniałym człowiekiem. Poszedłem do kuchni, nalać sobie kawy i pomyśleć nad kursem, jaki należało obrać, aby w miarę szybko znaleźć się w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Co się dzieje? – spytał Rickie ze swego miejsca przy stereo. Właśnie szukał czegoś ciekawego w radiu.

– To twój szczęśliwy dzień! – powiedziałem. – Przed zmierzchem staniemy gdzieś na kotwicy.

– Fajnie! – zawołał. Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju entuzjazmu, jakim był przepełniony pierwszego dnia rejsu. Klasnął w dłonie, a potem wrócił do szukania jakiejś stacji radiowej.

Nakreśliłem kurs do San Salvador i zaniósłem go Tesy'emu na pokład. Wiatr znowu się wzmógł. Czekał nas dzień prawdziwej żeglugi. Niebo chmurzyło się, a woda stawała coraz bardziej niespokojna, przypominając nam, jak szybko ocean potrafi się zmieniać. Nie oznaczało to, że mieliśmy warunki sztormowe. Nie musieliśmy jeszcze refować żagli, ale na wierzchołkach fal pojawiły się grzywy, a Wavebreakerem zaczęło trochę mocniej kołysać.

Stałem tak, aby się nie przewrócić na rozkołysanym pokładzie. Tesy poluzował trochę grotu i uśmiechnął się, kiedy sprzed dziobu jachtu trysnęła fontanna białych kropli, zalewając przedni pokład. Warunki nie zmieniały się przez dwie kolejne godziny. Obserwowałem, jak zielona woda przetacza się po pokładzie. Tesy pokrzykiwał z radości, kiedy bom zahaczał o wierzchołki fal z prawej burty. To był świetny dzień na żeglugę.

Po południu niebo pociemniało, a fale zmieniły się w pomarszczone potwory wyglądające na znacznie groźniejsze, niż były w rzeczywistości. Jackson Chatterton wyniósł na pokład aparat fotograficzny i poprosił, żeby mu zrobić zdjęcie na tle wzburzonego szarego morza.

– Na zdjęciach fale zawsze wyglądają na mniejsze! – starałem się przekrzyknąć szum wiatru.

– Co?

– Nic takiego, Jacko. Uśmiechnij się!

Obok nas przelewały się tony wody, a my płynęliśmy sobie bezpiecznie. Wiatr wiał z siłą siedmiu stopni, a w porywach dochodził do ośmiu, wciąż jednak nie musieliśmy refować żagli. Ellen przygotowała wielki talerz kanapek, które skusiły tylko Tesy'ego, Chattertona i mnie. Bliźniaki ignorowały jedzenie. Nie zauważały zresztą niczego wokół siebie, nawet tego, jak pięknie wyglądał teraz ocean. Kiedy zszedłem pod pokład, zobaczyłem Robin-Anne patrzącą w stronę okna kabiny, za którym jakiś zabłąkany promień wyjrzał na chwilę zza chmury, rzucając na wzburzoną wodę srebrny blask. Dziewczyna zdawała się tego nie widzieć. Siedziała wciśnięta w róg kanapy z nieobecnym wyrazem twarzy. Obok niej leżała otwarta książka. Rickie zniknął gdzieś. Być może dostał morskiej choroby i pobiegł opróżnić żołądek z tego, co jeszcze tam zostało.

Zaniosłem Tesy'emu kubek herbaty. Chłopak nie chciał, aby zastępować go przy sterze. Żeglowanie przy takiej pogodzie sprawiało mu wielką frajdę.

- Jak długo jeszcze będziemy płynąć, Nick? – zapytał.
- Gdzieś z pół godziny.

Kiedy zbliżyliśmy się do wysp, zaczął padać deszcz, ograniczając nam widoczność. Morze unosiło Wavebreakera i pchało go naprzód. Tesy z twarzą błyszczącą od deszczu uśmiechał się z zachwytem. To on pierwszy zauważył ład, a właściwie wielką wieżę z białego kamienia na Dixon Hill. Światła wieży górowały nad San Salvador.

Zaczęło mocniej padać. Kaskady deszczu spływały z żagli.

- Chcesz sztormiak? – krzyknąłem do Tesy'ego.

Pokręcił przecząco głową. Byłem chyba bardziej zmęczony niż on, a może po prostu starszy. Czułem, że muszę się przebrać w suche rzeczy. Zostawiłem więc Tesy'ego przy sterze i poszedłem na dół do luksusowych kabin Wavebreakera, gdzie zastałem Robin-Anne. Dziewczyna, na chwilę wyrwana z letargu, próbowała znaleźć w telewizji jakiś program bahamski.

Kiwnęła do mnie głową i odwróciła się znowu w stronę telewizora. Nagle usłyszałem jej krzyk.

W drzwiach pojawił się Rickie. Z nosa leciała mu krew.

– Jackson! – krzyknąłem i rzuciłem się w stronę chwiejącego się na nogach chłopaka. – Co się stało? Upadłeś?

– Spadaj! – Żrenica jego zdrowego oka wyglądała na nienaturalnie wielką. Drzwi do toalety były uchylone, a na desce klozetowej zauważyłem ślady krwi. Przypuszczałem, że jakiś gwałtowniejszy ruch jachtu sprawił, że chłopak trafił nosem w brzeg sedesu, kiedy wymiotował.

– Wszystko w porządku, Rickie – starałem się go uspokoić, ale odepchnął mnie.

– Pieprz się! – Miał suchy, mocno zachrypnięty głos, jak jakiś potworek z kreskówki dla dzieci. Krew ściekała mu z bryły na dywan. Na jego czole pojawiły się krople potu.

Nadbiegł Jackson Chatterton. Kiedy zobaczył twarz Rickiego, przystanął.

- Coś ty zrobił? – zapytał dziwnie oskarżycielskim tonem.
- Wy wszyscy – Rickie zakreślił ręką koło – odpierdolcie się ode mnie. Serio – zaszlochął.

– Myślę, że musiał się przewrócić – powiedziałem.

Chatterton popatrzył na mnie lekceważąco.

– On nie upadł! Spójrz na niego! Nie ma nawet jednego siniaka. Po prostu pękła mu jakaś żyłka w nosie! – Wielką łapą chwycił Rickiego za włosy i pchnął go ku mnie. – Przyjrzyj się! – Nienawiść, z jaką mówił Chatterton, zaskoczyła mnie.

Łzy płynące z oczu chłopca, mieszały się z krwią na jego brodzie. Mazał się jak małe dziecko i chwiał w rytm kołysania Wavebreakera.

– Przyjrzyj mu się dobrze! – krzyczał Chatterton. Był zły nie na mnie, lecz na Rickiego.

Spojrzałem na twarz chłopaka. Pomimo płynącej z nosa krwi, zauważyłem wokół nozdrzy ślady białego proszku.

– O, Boże!

– Pieprzony gnojek! – Chatterton pociągnął Rickiego w stronę ich kabiny. – Ty cholerny przemądrzały dupku! Przeszmuglowałeś to świństwo na pokład!

– Ma kokainę na pokładzie? – zapytałem naiwnie.

– Nabierał nas! – Chatterton pchnął Rickiego, ale niezbyt mocno. Zauważyłem, że wściekłość Chattertona była również skierowana przeciwko niemu samemu. Wpadł w złość, bo nie okazał się wystarczająco czujny. Zakładał, że Rickie przechodzi właśnie fazę abstynencji, gdy tymczasem chłopak kołysał się na huśtawce euforii.

Robin-Anne skuliła się na kanapie, nie zwracając już uwagi na telewizor. Wyglądała na przestraszoną. Przez cały tydzień walczyła ze sobą i może zaczęła mieć nadzieję, że tę walkę wygra, podczas gdy Rickie nawet nie podjął próby. Gdzieś na Wavebreakerze miał zapas kokainy. Stanąłem w drzwiach kabiny Rickiego. Chatterton zatamował krew płynącą z nosa chłopca, a potem zaczął czyścić go delikatnie pędzelkiem.

– Co robisz? – zapytałem.

– Może pójdziesz przebrać się w suche rzeczy? – odparł Chatterton. W rękę trzymał jakąś małą butelkę z oleistym płynem, w którym zanurzał pędzelek. Kiedy nie ruszyłem się, wyjaśnił: – To jest środek znieczulający i neutralizujący działanie koki, Nick. Kiedy wciągasz nosem to świństwo, przeżera ci przegrodę nosową i struny głosowe i w ogóle zaczynasz wyglądać jak trędowaty. Twój nos staje się zgniłą jamą z glutami! Głupota! – cisnął w stronę Rickiego. – Gdzie schowałeś tę swoją rajską kokę, Rickie?

– Odpieprz się – pisnął chłopak. Przypomniało mi się, co Robin-Anne mówiła o paranoicznej obawie uzależnionych, że ktoś chce im odebrać kokainę. Widziałem, jak rośnie niepokój Rickiego. Na każde pytanie Chattertona reagował coraz bardziej nerwowo, a w pewnym momencie rzucił się na opiekuna. To był błąd. Chatterton cisnął chłopaka z powrotem na łóżko i pochylił się nad nim.

– No, chłopaczku, dograłeś się! Naprawdę się dograłeś! Jesteś tylko nędznym, przerośniętym i ślepym wypierdkiem, który rozumu ma tyle, co zasrany kleszcz. Rób tak dalej, a mózg wycieknie ci przez jakąś cholerną dziurę w tej twojej idiotycznej mordzie! – Przez lata służby w wojsku głos Chattertona nabrał ostrej, nieprzyjemnej barwy. Rickie patrzył, przerażony, w pochyloną nad nim twarz. – Zostanie z ciebie obrzydliwa kupa białego gówna i jak trafisz do pierdła, to nawet ślepi współtowarzysze zza kratki nie będą cię chcieli przelecieć! Dociera to do ciebie? – Olbrzym zaczekał, aż Rickie, szlochając, skinął lekko głową.

Ellen zaniepokojona hałasem pojawiła się w drzwiach za mną. Zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, co się stało. Rickie płakał.

Wyjaśniłem, że chłopak przedawkował i że mamy gdzieś na pokładzie ukrytą kokainę.

– Przecież przeszukałem bagaż tego indyka! – Chatterton znowu zajął się opatrywaniem nosa Rickiego. – Wszystko dokładnie sprawdziłem. To niemożliwe. Nie mógł przeszmużlować tyle towaru, żeby doprowadzić się do takiego stanu. To niemożliwe!

– Prawdopodobnie tego nie zrobił. – Ellen przyglądała się Rickiemu obojętnie, a potem spokojnie przedstawiła rozwiązanie całej tej zagadki. – Przypuszczam, że zrobił to ktoś inny.

– O, Boże! – jęknąłem. Przypomniałem sobie wysokiego przystojniaka z południa, tego, który nosił znaczek z napisem: PO PROSTU POWIEDZ – NIE. Pamiętałem, że kiedy Jesse Sweetman opuścił pokład, prosiłem Ellen, żeby sprawdziła, czy nic nie zginęło, ale żadnemu z nas nie przyszło do głowy, że facet mógł coś ukryć na Wavebreakerze. Ale jeżeli nie on, to kto?

– Sweetman – powiedziałem.

Czułem się idiotycznie. Wypływaliśmy w morze z przeświadczeniem, że wszystko zostało sprawdzone i z nadzieją, że może nam się udać. Przez ten cały czas

Rickie kpił sobie z nas wiedząc, że jego koleżka Sweetman zrobił wszystkich w balona, chowając zapas kokainy gdzieś na pokładzie.

Teraz musieliśmy się dowiedzieć, gdzie.

Wieczorem stanęliśmy w bezpiecznej lagunie w pobliżu Sea Rat Cay – płaskiej i nudnej wyspy o wydłużonym kształcie, porośniętej gdzieniegdzie kępami palm. Laguna była wystarczająco głęboka dla Wavebreakera i miała piaszczyste dno, którego dobrze się trzymała kotwica. Sea Rat Cay, wygięta w kształcie litery C, stanowiła znakomitą ochronę przed wszystkimi wiatrami z wyjątkiem, rzadko tu spotykanego, wiatru wiejącego w kierunku zachodnim. Zanim zapadł zmrok, sprawdziliśmy z Tesym, czy wszystkie trzy kotwice znalazły zaczepienie w dnie. Wzrastał się wiatr. Coraz niżej przyginał palmy, targając im pióropusze liści. Coraz wyższe fale unosiły fragmenty połamanych pni palmowych. Laguna kipiała jak małe morze złości. Na szczęście przestało padać, choć niebo wciąż było zasnuwane brudnoszarymi chmurami. Zszedłem na dół. Ciśnienie przestało spadać. Zapisalem wskazanie barometru w księdze pokładowej i poszedłem do głównej kabiny, w której Chatterton odsuwał i sprawdzał wszystkie meble. W ich wspólnej kabinie nie znalazł nic, prócz kilku czarnych kapsulek z metedryną.

– Mówią na to przyspieszacz. Ten palant wziął to pewnie na wypadek, gdyby skończyła mu się kokaina. Te tutaj, to deksamyl. – Pokazał mi jakieś inne pigułki, które znalazł w głównej kajucie. Nie mógł tylko znaleźć kokainy. Przeszukiwał wszystko bardzo dokładnie. Ellen przyglądała mu się z założonymi rękami. Robin-Anne wyglądała, jakby wszystko było jej obojętne. Rickie, ciągle szlochając, zapewniał, że całe te poszukiwania są zupełnie niepotrzebne.

– Nic nie mam! Nic! O, Jezu! Dlaczego mi nie wierzycie? – Zapalił kolejnego papierosa. Poprzedni, ledwie zacząty, dymił w popielniczce.

– Gdzie spotkałeś Jessy'ego Sweetmana? – spytałem.

– Spadaj – rzucił w moją stronę, a następnie powtórzył swoją starą śpiewką. – Rum, pedały i bat! Rum, gwałt i bat!

Tesy siedział skulony na schodkach zejściówki. Z przerażeniem, patrzył na to, co się wokół niego działo. Stałem za nim, chcąc w ten sposób dodać mu odwagi.



– Lubisz tego czarnego, kiepscioch, co? – Rickie wyszczerzył się szyderczo.  
– Och, zamknąłbyś w końcu tę swoją głupią mordę! – wtrąciła nagle Ellen. Rickiego zaskoczyła wrogość w jej głosie. Odwrócił się do niej.

– To przecież Angol – tłumaczył się przed Ellen. – Rum, bat i pedały. Pierdolenie czarnych dupków – śmiał się.

Ruszyłem w jego kierunku. Byłem wściekły. Jeszcze chwila, a mój gniew wybuchnąłby z całą siłą. Powstrzymały mnie słowa Ellen:

– Gdybym chciała ukryć narkotyki na tym jachcie – powiedziała – schowałabym je w jedynym miejscu, gdzie człowiek może być zupełnie sam.

Chatterton spojrzał na mnie pytająco.

– Sprawdźmy toaletę – rzekłem zastanawiając się, dlaczego nie wpadłem na to wcześniej.

– A niech was! – Rickie był zrozpaczony. Jego zachowanie potwierdziło nasze przypuszczenia.

Wszyscy ruszyli ku drzwiom toalety, jedynie Rickie poszedł w drugą stronę. Ciągle płakał. Wsadził na uszy słuchawki i zatopił się w swoim nieszczęściu. Dla niego to było nieszczęście. Znaleźliśmy jego kokainę.

Pierwszą torebkę Chatterton odkrył wciśniętą pod uchwyt na papier toaletowy. Reszta schowana była w spluczce i za boazerią. Więcej nie znaleźliśmy, ale Chatterton znający zwyczaje i zapobiegliwość narkomanów, oświadczył, że będzie miał oczy szeroko otwarte.

Zabrałem znalezione torebki do głównej kabiny. Po raz pierwszy widziałem kokainę z bliska. Wyglądała bardzo niewinnie, małe kryształki z lekkim połyskiem, jak nie oczyszczona sól. Trudno było sobie wyobrazić, że ten niewinnie wyglądający biały proszek, może być tak niebezpieczny. Robin-Anne spojrzała na torebki i zbladła, kiedy poznała, co zawierają. Zagryzła wargi.

Minąłem ją i podszedłem do Rickiego. Był odwrócony w stronę magnetofonu. Klepnąłem go w ramię. Skulił się i odsunął ode mnie. Gwałtownie ściągnąłem mu z uszu słuchawki.

– Hej, ty!

– Idź pobaw się ze swoim czarnym chłopaczkiem, Breakspear.

Uderzyłem go. Mocno. Rozległ się głuchy odgłos. Rickie zachwiał się. Otworzył usta. Chciał krzyknąć, ale zanim wydobył z siebie jakikolwiek dźwięk, chwyciłem go jedną ręką za koszulę i podniosłem z krzesła. Obróciłem go i pchnąłem w kierunku ściany. Uderzył w boazerię, czarne włosy opadły mu na czoło. Z nosa znowu zaczęła lecieć krew. Miał szeroko otwarte, przerażone oczy. W lewej ręce trzymałem kokainę, więc prawą uderzyłem go w brzuch. Jęknął i zgiął się. Chwyciłem go za włosy i zmusiłem, by stanął. Oparł się o ścianę.

– Piśnij tylko – syknąłem do niego – a zbiję cię tak, iż pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś.

– Nick? – zaczęła Ellen niepewnie, a potem podniosła głos. – Nick!

– Zostaw nas – ostrzegłem ją. Ellen nienawidziła przemocy.

Robin-Anne chyba nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że coś się wokół niej dzieje. Jackson Chatterton stanął w drzwiach kajuty i pokazał mi znak OK.

Rickie oddychał gwałtownie, chwytając powietrze. Krew ciekła mu z nosa na brodę. W jego niewidzącym oku odbijała się lampa z kabiny. Zdrowe było przekrwione i przerażone. Milczał. Zwróciłem go twarzą w moim kierunku.

– Wyjdiesz ze mną na pokład.

Skinął głową. Pomyślałem, że pewnie nigdy nie zmuszano go do niczego siłą. Chyba właśnie to najbardziej go szokowało. Wyglądał jak ofiara, która gotowa jest spełnić każde polecenie. Wyszliśmy na zewnątrz. Krew z jego nosa kapała na deski pokładu. Wiatr przeganiał nad nami szare, deszczowe chmury. Wzburzona woda laguny unosiła na powierzchni jakieś szczątki drzew. Wiatr szalał między masztami i wantami Wavebreakera. Jacht szarpał się, uwięziony przez trzy kotwiczne liny.

– Popatrz sobie teraz.

Rickie skomlał, kiedy – jedną po drugiej – rozrywałem torebki i wysypywałem ich zawartość na wiatr. Klucze do bram nieba rozpląły się w morzu i deszczu. Bóg wie, ile była warta ta kokaina. Rickie płakał, patrząc, jak cenny proszek znika w ciemnościach. Kiedy już wszystkie torebki były puste, wypłukałem je w wiadrze z morską wodą, którą następnie wylałem za burtę.

– Czy coś jeszcze zostało na pokładzie? – zapytałem.

– Nie – powiedział szybko. – Nic! Naprawdę!

– Jeżeli znajdę coś jeszcze, to dostaniesz tak, jak powinienes. – W tej chwili nienawidziłem tego chłopaka. Nienawidziłem jego łez i jego pieniędzy. Nienawidziłem jego obłudy i bezsilności. – To może opowiesz mi teraz o Sweetmanie? To on ukrył to świństwo na pokładzie?

– Tak, to on.

– Kim on jest?

Rickie wyglądał na zaskoczonego moim pytaniem, tak jakby to, kim jest Sweetman, było oczywiste.

– To nasz dostawca – powiedział w końcu.

– Dostawca? Do domu?

– Pewnie.

– Ale Bahamy są dwa tysiące mil od twego domu! Co, do diabła, ten facet robi tutaj?

– Nie wiem. – Rickie znowu zaczął płakać. – Po prostu nie wiem.

– Dlaczego, do cholery, chciałeś się wybrać w ten rejs, jeżeli nawet nie miałeś zamiaru rzucić tego świństwa? – spytałem ze złością.

– Ależ ja chcę to rzucić! Serio, że chcę! – Szlochał żałośnie, jak duże, nieszczęśliwe dziecko.

– Możesz sobie iść. – Nie potrafiłem ukryć niechęci, ale nie sądzę, aby chłopak ją zauważył. Zszedł na dół.

Zostałem na pokładzie pod pretekstem sprawdzenia, czy kotwice trzymają. W rzeczywistości jednak nie miałem ochoty patrzeć dłużej na załzawioną twarz Rickiego i bezmyślną obojętność Robin-Anne. Usiadłem w kokpicie, kuląc się przed wiatrem i deszczem. Nad wzburzonymi falami laguny zawisła noc. Sztorm chyba minął nas, przechodząc bardziej na północ.

– Spodziewałeś się po nim czegoś innego? – Głos Ellen brzmiał wyraźnie na tle szumu wiatru i wody. Wyszła na zewnątrz, trzymając w ręku sztormiak. Rzuciła mi go.

– Sam nie wiem. – Nałożyłem kurtkę na ramiona i posunąłem się, robiąc jej miejsce obok siebie. Padał mały deszczyk.

Ellen wyciągnęła z kieszeni sztormiaka butelkę mojej irlandzkiej whisky.

– Nie schowałeś swoich butelek tak dobrze, jak Rickie kokainę. Czego się po nim spodziewałeś? – powtórzyła pytanie, podając mi szklanę.

– Żeby chociaż spróbował – odparłem. – Ten cały cyrk był przecież jego pomysłem.

Ellen jęknęła.

– Daj spokój, Nick! Przecież to nie wycieczka dla skautów. On jest naprawdę chory!

– W takim razie powinien być w szpitalu, a nie tutaj. Nikt nas nie uczył, jak postępować z takimi jak on.

Ellen nałała sobie whisky. Patrzyła w stronę, gdzie laguna otwierała się na pełne morze. Było prawie zupełnie ciemno, ale widzieliśmy, jak na otwartym morzu wiatr rozwiewa białe grzywy większym falom.

– Pewnie powiesz senatorowi, że nie damy sobie rady z Rickiem?

– Coś w tym sensie – potwierdziłem.

Spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Mnie naprawdę przydałaby się ta forsa za trzy miesiące, Nick.

Jeszcze nie tak dawno temu Ellen miała do mnie pretensje o to, że bez jej wiedzy zgodziłem się na rejs z bogatymi ćpunami, a teraz chciała ciągnąć to dalej.

– Nie wytrzymam trzech miesięcy z Rickiem – powiedziałem gwałtownie.

– Co cię w nim tak wkurza? – spytała Ellen. – Przypomina ci ciebie samego?

– Nie bądź śmieszna – odciąłem się.

– Jest taki sam jak ty. Odrzucił świat swego słynnego ojca. Nick, czy ty wiesz, że wszyscy ci aktorzy, politycy i pisarze drugiego pokolenia posiadają naturalny talent do tego, co robią? Oni po prostu dziedziczą notatniki z odpowiednimi adresami, znają odpowiednich ludzi, od dzieciństwa „oswajają się” z pracą własnych rodziców, podczas gdy my, zwyczajni śmiertelnicy, musimy sobie sami na wszystko zapracować. Rickie tak jak ty odrzucił świat swego ojca. Przyznaję, że jest między wami pewna różnica, ale wątpię, czy twój ojciec jest zadowolony z tego, że jego syn pracuje jako marynarz. Na pewno nie bardziej niż ojciec Rickiego, że jego syn jest ćpunem.

– Nie jestem taki jak Rickie – powiedziałem dobitnie.

– Buntujesz się. Twój bunt przybrał niezwykle formę poszukiwania ludzkiego

szacunku. Dlaczego zaciągnąłeś się do marynarki?

Szukałem jakiejś wykrętej odpowiedzi, ale żadna nie przychodziła mi na myśl, więc powiedziałem prawdę.

– Dlatego, że mój ojciec protestował w ambasadzie amerykańskiej przeciwko wojnie w Wietnamie i brał udział w kampanii przeciwko zbrojeniom nuklearnym. Zawsze nienawidził wojska. Starczy? – Według mnie cała reszta była oczywista.

Ellen uśmiechnęła się.

– Słodki przystojniaczku, czy ty w ogóle mógłbyś być aktorem?

– Nie.

– Ale pewnie chciałeś nim zostać, a wspaniałość twego ojca sprawiła, że czułeś się zupełnie nie na miejscu. Tak właśnie czuje się teraz Rickie. I czuł się tak całe życie. A teraz jakiś Angol drze się na niego, miesza go z błotem, upomina, żeby nie nastąpił na żagiel albo że nie tak położył linę na kabestanie. Jak on ma się w tym wszystkim odnaleźć? Dziwisz się, że jest żalosny i roztrzęsiony jak kot podczas burzy?

Mruknąłem niechętnie wobec takiej fali krytyki.

– Bądź dla niego miły. Znajdź coś, za co mógłbyś go pochwalić!

– Co mam zrobić? – skrzywiłem się. – Powiedzieć mu, że ma fajną fryzurę?

– Przynajmniej widać, że posiada grzebień i że go używa – zauważyła Ellen złośliwie. – Od czegoś trzeba zacząć. Interesują go urządzenia elektroniczne na jachcie, może to byłby dobry punkt zaczepienia? Dzisiaj przez dwie godziny siedział przy radiu. Może chciałby usłyszeć od ciebie jakąś pochwałę. W końcu zdołał się przecież nauczyć obsługi tego sprzętu. – Uśmiechnęła się do mnie zachęcająco. – Każda podróż może się ciągnąć przez tysiące mil, ale zawsze rozpoczyna od jednego kroku. – Czasami Ellen wpadała w takie sentymentalne tony. – Daj mu szansę, Nick! – westchnęła.

– A niech go.

– Typowo angielska elokwencja. – Ellen przez chwilę patrzyła w niebo, jakby szukając tam natchnienia. Potem spojrzała na mnie. – Nie powinieneś był go bić.

– Dlaczego nie? Zasłużył sobie.

– Nikt nie zasługuje na to, aby go bito. Przemoc nigdy nie była dobrym

rozwiązaniem problemów, ona po prostu tłamsi prawdę. Twój ojciec ma rację co do jednego – armia to nic dobrego.

– Mój ojciec – odchyliłem się do tyłu – wzięłoby udział w marszu Ruchu Palenia Dzieci, gdyby to mogło mu przysporzyć sławy. Ja nie buntuję się przeciwko jego poglądom, gdyż on nie ma żadnych poglądów. Buntuję się przeciwko jego obłudzie.

Ellen westchnęła.

– Jesteś okropnie zasadniczy, Nick. To pewnie dlatego Robin-Anne tak cię podziwia.

– Podziwia? – uniosłem głowę.

– Jest w tobie zakochana. – Ellen zauważyła moje zdumienie i rozśmieszyło ją to. – Ona uważa cię za siłacza, który ją obroni przed kokainą. Jesteś jej wyjściem, jej magiczną odtrutką. – Ellen nabijała się ze mnie. – Gratulacje, Nick, możesz się ożenić z sześcioma milionami dolarów. Będziesz zięciem prezydenta! Nieźle! Będziesz mógł zaprosić mnie kiedyś do Białego Domu. Wystarczy tylko, że zadasz jej TO pytanie.

– Ale to nie jest tak, jak myślisz. Robin-Anne rozmawia ze mną tylko o kokainie. Jeżeli mogła się w kimsz zakochać, to w Tesym. Są nierozłączni.

– Ależ ty jesteś! Jak sądzisz, na jaki temat rozmawia z Tesym?

– Rozmawiają o Bogu i o kokainie. Tesy mi powiedział.

– O Bogu, kokainie i o tobie – sprostowała Ellen. – Spytaj Tesy'ego, jeśli mi nie wierzysz. Wyciąga od niego wszystko na twój temat: spod jakiego jesteś znaku, jaki jest twój ulubiony kolor, co lubisz jeść i tak dalej. – Ellen wciąż się śmiała, ale wiedziałem, że mówi poważnie.

– O, Boże. – Odchyliłem głowę tak, że drobny deszczyk chłodził mi teraz twarz. – W takim razie jest to jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy zakończyć ten rejs. Robin-Anne musi sama dać sobie radę ze swoim uzależnieniem.

– Szlachetnie gruboskórny twardzielu, ten dzieciak ci ufa! – Ellen dołała mi whisky.

– O, kurczę. – Nie chciałem brać na siebie takiej odpowiedzialności.

– Trzy miesiące, Nick. To wszystko, co możemy im dać. Trzy miesiące, czeki za wypełnione zadanie, a potem pozeglujemy sobie przez Pacyfik. Umowa stoi?

Odwróciłem się w jej stronę i uśmiechnąłem. Przez ostatnie dni moje marzenia o morzach południowych rozplynęły się. Zdawały się teraz prawie nierealne.

– Naprawdę ze mną popłyniesz? – Co prawda, Ellen już wcześniej mi to obiecała, ale chciałem, aby odpowiedziała jeszcze raz.

Udała, że się zastanawia, a po chwili skinęła głową.

– Lubię cię, Nicku Breakspearze. Jesteś uosobieniem moich wyobrażeń o mężczyznach.

– Mam to traktować jako komplement?

– Nie. Mówi się co prawda, że kobiecie mężczyzna jest potrzebny jak rybie rower, ale ja jestem chyba taką dziwną rybą, która lubi rowery, a szczególnie takie staromodne, proste i uczciwe rowery. Mogę być szczerą?

– Oczywiście.

– Twój ojciec był najprzystojniejszym Hamletem, jaki kiedykolwiek istniał – zaśmiała się, pocałowała mnie i zniknęła.

Rozmowa z Ellen i odrobina irlandzkiej whisky poprawiły mi nastrój. Więcej już tego wieczoru nie piłem. Sprawdziłem kotwice i zamierzałem pójść spać. Do kabiny zszedłem przez przedni luk, aby nie natknąć się na Rickiego i Robin-Anne tkwiących w głównej kajucie przed telewizorem.

Wiatr zelżał i jacht przestał szarpać się na linach kotwicznych. Przestało również padać. Spomiędzy chmur wyrzwał błądy księżyc, rzucając lekką mglistą poświatę na wyspę. Wydawało się, że najbliższe drzewa zanurzone są w stopionym srebrze.

– Sztorm przeszedł – powiedziałem Tesy'emu. – Z samego rana wypływamy.

– Dzięki Bogu. – Chłopak spojrzał na mnie znad swojej Biblii.

– Powiedz mi – starałem się, by mój głos brzmiał zwyczajnie – czy rozmawiasz o mnie z Robin-Anne?

Tesy zmieszał się okropnie i przytaknął.

– Cały czas, Nick. Ona mówi, że recytujesz poezję, kiedy jest ciemno.

Zaśmiałem się i potrząsnąłem głową na znak, żeby nie brał tego poważnie.

– Ellen twierdzi, że powinniśmy wytrwać te trzy miesiące. – Chciałem zobaczyć, jak chłopak zareaguje.

Zmarszczył brwi i skinął głową.

– Myślę, Nick, że Bóg nie dałby nam tego zacząć, gdyby chciał, żebyśmy się teraz poddali.

To miało jakiś sens.

– Dziękuję, Tesy.

– Dobrej nocy, Nick.

I rzeczywiście ta noc okazała się dobra. Śniłem o Masquerade i o dalekich morzach północnych, zimnych jak stal. Śniłem o domu.



Nad ranem zbudził mnie szum wiatru w wantach Wavebreakera. Nie musiałem sprawdzać wiatromierza. Sztorm minął. Na sąsiedniej koi lekko chrapał Tesy. Cicho wysliznąłem się z łóżka, naciągnąłem spodenki i wyszedłem na pokład. Świtało. Białe światło sączyło się zza trędowato-żółtych chmur. Wavebreaker, uwięziony przez trzy kotwice, lekko kołysał się na fali. Od strony wyspy poczułem zapach wilgotnej roślinności. Ciśnienie powoli rosło i nie widziałem żadnej przyczyny, dla której nie mielibyśmy wkrótce wypłynąć.

Zszedłem pod pokład i zrobiłem sobie kawę. Resztę gorącej wody przelałem do naczynia, które zabrałem ze sobą na pokład. Obudowę kompasu wykorzystałem jako podpórkę do lusterka i zacząłem się golić, podśpiewując sobie cicho. Wiatr zwiewał mi z brzytwy skrawki piany i niósł je za burtę. Z brzegu Sea Rat Cay dochodził głośny szum drzew. Fale rozbijały się o krawędź rafy koralowej. Mimo to ranek wydawał mi się dziwnie cichy. W pewnej chwili uświadomiłem sobie wyraźnie niezwykłość tego spokoju. Przerwałem golenie. Z brzytwą zatrzymaną w pół ruchu, tuż przy gardle, musiałem wyglądać, jak ktoś rozważający możliwość popełnienia samobójstwa. Dlaczego było tak cicho?

Wyprostowałem się i nagle zdałem sobie sprawę, czego brakuje wśród porannego chóru dźwięków towarzyszących budzącemu się jachtowi. Brakowało w nim dzwonienia łańców o maszty. Przez chwilę zastanawiałem się, czy Ellen albo Tesy nie naciągnęli ich w nocy, aby nie robiły hałasu, ale natychmiast wykluczyłem tę możliwość. Spojrzałem w górę. Łańców po prostu tam nie było.

Jeszcze wieczorem znajdowały się na swoich miejscach, ale teraz zniknęły.

Patrzyłem ogłupiały w górę, zapomniawszy o brzytwie, którą wciąż trzymałem przytkniętą do gardła. Podszedłem do grotmasztu i odsłoniłem pokrowiec grotu. Z rogu fałowego sterczały końce stalowej linki. Została ucięta.

Odwrociłem się, kompletnie osłupiały. Wszystkie fały zdjęto w ten sam sposób. Bez nich nie mogłem postawić żagli! Na dziobie, gdzie jeszcze wczoraj sam knagowałem liny kliwra sztaksła i foka sztormowego, nie było teraz nic, prócz cęgów leżących przy kluzie kotwicznej. Podniosłem je. Przypuszczałem, że to Rickie tak urządził Wavebreakera. Któż inny mógł zrobić coś takiego?

Zakląłem. Cała reszta była w porządku. Co za bezmyślny wandalizm! Uderzyłem go i otrzymałem właśnie odpowiedź. Dziecinna zemsta. Wystarczyłoby, gdyby włączył Pinkoe Dirt-Box na cały regulator. Nie musiał podkraść się w nocy i przecinać stalowych linek fałów. To, co odciął, wyrzucił pewnie za burtę. Oczyma wyobraźni widziałem Rickiego, jak śmieje się z całego bałaganu, którego był sprawcą.

Przeklęty smarkacz! Jeżeli zrobił to tylko dlatego, że chciał nas zmusić do pozostania w tej lagunie, to się przeliczył. Zamierzałem odpłynąć Wavebreakerem na silnikach. Postanowiłem, że jeszcze przed odejściem założę z Tesym nowe fały. Mieliliśmy ze sobą zapas stalowej linki, tak więc wandalizm Rickiego nie był absolutną katastrofą dla jachtu. Oceniałem, że do wieczora zdołamy naprawić wszystkie szkody.

Włączyłem generator, który zasiliał wszystkie urządzenia jachtu, klimatyzację, windy kotwiczne, zwijacze żagli, podnośniki na dziobie. Moja złość na Rickiego przeszła w pewnego rodzaju determinację. Postanowiłem, że nie dam mu się. Zamierzałem złośliwie zafundować gówniarzowi dzień niewygodnej żeglugi pod wiatr i fale. Byłem zdecydowany wystraszyć go tak, żeby nie miał już ochoty na niszczenie czegokolwiek na jachcie.

Tesy, obudzony buczeniem generatora, wyszedł na pokład ziewając.

– Jesteś mi potrzebny – powiedziałem. – Przez każdy blok fałowy trzeba przeciągnąć rzutkę. Znajdź jakąś linkę, a ja wyciągnę zapasową stalówkę na fały. Mamy trochę roboty! – Biedny Tesy, patrzył na mnie jak na szaleńca. – Ma to także swoje dobre strony – ciągnąłem. – Nadarzyła się okazja, by założyć nowe fały,

zanim się wybierzemy tą krypą przez ocean.

– Fały? – Chłopak spojrział najpierw na grotmaszt, a potem na mnie. – Co się stało?

Pokazałem mu odcięte końcówki.

– Myślę, że to robota Rickiego, ale jeżeli sądzi, że w ten sposób może mnie pokonać, to się grubo myli!

Tesy zmarszczył brwi.

– Pan Crowninshield zrobił coś takiego?

– A kto inny mógłby to zrobić?

Obejrzał jeszcze raz poucinane końce fałów, a potem spojrzął w górę na chmury, które wiatr przeganiał ponad laguną.

– Będzie dzisiaj nieźle wiało – powiedział z zadowoleniem.

– Im mocniej, tym lepiej! – Chciałem, żeby mój ukochany żywioł dał się Rickiemu we znaki, chciałem, by poczuł tę dzikość oceanu po sztormie. Miałem zamiar dać mu robotę na pokładzie. Z pewnością nie nadawał się do bardziej skomplikowanych prac, ale nawet dla kogoś takiego jak on było mnóstwo roboty. Nie obchodziło mnie to, że mogło mu być niedobrze.

– Mój błąd polegał na tym, że pozwoliłem bliźniakom na lenistwo, tak jakby to była wakacyjna wycieczka. Powinienem był kazać im pracować! Muszą poczuć się chociaż w części odpowiedzialni za własne życie. Nie będą wałęsać się po jachcie jak salonowe pieski. Rickie obejmie normalne wachty, a Robin-Anne pomoże Ellen w kuchni i... – Przerwałem, gdyż generator nagle przestał pracować. Silnik zawył i umilkł. Na pokładzie Wavebreakera zrobiło się przeraźliwie cicho.

– Och, nie! – jęknąłem.

– Paliwo? – zapytał Tesy.

Modliłem się, aby chłopak miał rację, choć wiedziałem, że zwykły brak paliwa nie spowodowałby takiego wycia silnika. Zszedłem do maszynowni. Paliwo dostarczane było z baków, które znajdowały się na śródookręciu. Do systemu doprowadzającego paliwo podłączony był odwadniacz. Naczynie wypełniał czerwony olej. Nic nie blokowało przewodów, ale w paliwie zauważyłem ślady jakiejś rozpuszczonej substancji. Odkręciłem zawór i zanurzyłem palec w cieczy. Biała substancja była krystaliczna. Trochę przypominała kokainę, którą zeszłego wieczoru

wysypałem za burtę. Przez głowę przemknęła mi szalona myśl, że może Rickie schował część swoich zapasów w zbiornikach z paliwem, ale kiedy jej spróbowałem, wiedziałem, że to nie kokaina. Wyłowiłem kolejny kryształek.

– Spróbuj – podsunąłem palec Tesy'emu. Ostrożnie dotknął go językiem i instynktownie wykrzywił twarz, zanim jeszcze poczuł smak białej substancji.

– Cukier?

– To łajdak! Cholerny łajdak!

Generator był w tej chwili do niczego. Rickie wsypał cukier do zbiorników z paliwem, a silnik pompując tę „mieszanke”, zatarł się. Wavebreakera trzeba teraz zabrać do stoczni, gdzie wyczyszczono by generator, zbiorniki i przewody.

– Do diabła! – Byłem bezsilny.

– Przynajmniej główne silniki są czyste. – Tesy szukał jakiegoś rozwiązania.

– Zabiję go! – zagroziłem, gramoląc się z maszynowni na pokład. Ze złości kopnąłem osłonę wentylatora. Zaboląło.

Tesy trzymał w ręku mój kubek z zimną kawą.

– Główne silniki są w porządku – powtórzył. Miał rację, ale nie mieliśmy paliwa, to co znajdowało się w zbiornikach, zostało posłodzone. Mogłem najwyżej odciągnąć trochę czystej ropy z wierzchu i zainstalować prowizoryczny system doprowadzający ją do głównych silników, ale to zabrałoby sporo czasu, tak samo jak założenie nowych fałów. Znowu zakląłem. Byliśmy uwięzieni w tej lagunie na co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

– Tylko jedna rzecz mnie pociesza – powiedziałem do Tesy'ego, otwierając schowek. – Utknęliśmy tu na trochę, ale ten indyk jest bez koki. Mam nadzieję, że poczuje, co to znaczy być na głodzie. I mam nadzieję, że to naprawdę boli! – Wyjąłem ze schowka linę, której zwykle używaliśmy jako cumy. Ku zdumieniu Tesy'ego szybko zawiązałem na końcu liny pętlę.

– Przerzuć to przez saling, Tesy, a potem zejdź na śniadanie. Musimy coś zjeść, zanim zaczniemy pracę.

Tesy niepewnie spojrzął na linę, którą mu rzuciłem. Po drabince wantowej wspiął się na główny maszt i posłusznie przewiesił pętlę przez saling. Miałem nadzieję, że nie będę jej musiał używać.

Na śniadanie zjadłem jajecznicę. Tesy'emu przyrządziłem jego ulubione danie,

na które składały się smażone banany i grzanki. Potem z zapalem zabraliśmy się do pracy.

Rickiego nie widzieliśmy przez cały dzień. Po południu Robin-Anne zaniósła mu jakieś kanapki. Później w kabinie zauważyłem pusty talerz – jedyny ślad, że chłopak wciąż jeszcze jest na Wavebreakerze. Jackson Chatterton zaproponował, że wyciągnie Rickiego na pokład, abym mógł wykorzystać przygotowaną pętlę. Olbrzym stwierdził, że Rickie przyznał się do wszystkiego i nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Narzekał tylko na zasrane jachtowe życie, a szczególnie na zasranego szypra. Zdecydowałem, że lepiej będzie, jeśli ten prosiak zostanie sobie w tej swojej ciemnej i wilgotnej kabinie bez klimatyzacji. Musiałem oszczędzać prąd. Bez generatora nie mogłem naładować akumulatorów i baterii zasilających wszystkie urządzenia na jachcie. Odłączyłem wszystko poza radiem. Musieliśmy się obejść bez telewizji, suszarek do włosów, elektrycznych maszynek do golenia, klimatyzacji, lodówki, no i, oczywiście, bez Pinkoe Dirt-Box Band.

Robin-Anne była zażenowana tym, co zrobił jej brat. Nawet przeprosiła mnie w jego imieniu. Zapytała, co teraz zrobimy. Powiedziałem jej, że musimy wrócić do portu, aby przeczyścić przewody i naprawić generator.

- To znaczy, że kończymy rejs? – Dziewczyna zmarszczyła brwi.
- Nie mamy innego wyjścia.
- A Rickie pójdzie do więzienia? – spytała, jakby to zależało tylko ode mnie. –

A co będzie ze mną?

– Ty dajesz sobie świetnie radę – zapewniłem ją. – Nie potrzebujesz nas i tego jachtu. Poradzisz sobie!

– Udaje mi się tylko dlatego, że jestem tutaj! Że ty tutaj jesteś! – powiedziała ze łzami w oczach. Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Widziałem, że Ellen nas obserwuje. Odwróciłem się więc i mruknąłem coś o czekającej mnie pracy.

Nie potrafiłem zapewnić jej tego, czego ode mnie oczekiwała. Praca to tylko wymówka. W czwartek po południu wszystkie fały były już założone. Uczciłem to, wciągając grotą i pozwalając mu łopotać na wietrze.

Fały założył Tesy. Ja tym czasem zająłem się założeniem prowizorycznego układu paliwowego. Przydały się teraz dodatkowe zbiorniki paliwa, które założyłem jeszcze podczas postoju w przystani McIllvanneya. Udało mi się przefiltrować paliwo z zanieczyszczonych zbiorników. Przez resztę popołudnia i część wieczoru

zakładaliśmy przewody. Ich ostatni odcinek trzeba było poprowadzić pod maszynownią. Tesy trzymał latarkę, a ja próbowałem zamontować ostatni zawór. Ellen, stojąc w maszynowni, usiłowała mnie przekonać, żebym włączył zasilanie kuchni mikrofalowej. Chciała podgrzać zamrożoną *lasagne*. Starła się przekrzyczeć huk fal obijających się o kadłub.

– Jeżeli to zadziała – zawołałem do niej – to będziesz sobie mogła podgrzać wszystko, co zechcesz. – Akumulatory mogły być również ładowane przy użyciu głównych silników. – Zostaw *lasagne*, na miłość boską! W tej cholernej lodówce na pewno znajdzie się coś jadalnego.

– Sama wsadzę cię w tę cholerną lodówkę – zagroziła Ellen. – Co masz do mojej *lasagne*?

Nie chciałem się sprzeczać, musiałem skończyć pracę.

– Jeżeli upuszczę śrubokręt – powiedziałem ni z tego, ni z owego – będzie to znaczyło, że Bóg nie istnieje.

Coś szczęknęło o kadłub. Ellen zaśmiała się sądząc, że to dźwięk padającego śrubokrętu.

– To nie ja – powiedziałem. – Czy któreś z was spuszczało skifa? – Zdawało mi się, że dźwięk dochodził z zewnątrz. Tesy i Ellen zapewnili mnie, że skif był na swoim miejscu, kiedy ostatnio sprawdzali.

– To pewnie jakaś pływająca kłoda – zasugerowała Ellen. – W lagunie jest ich pełno.

– Być może. – Skończyłem pracę. – Zrobione. Tak więc jednak Bóg istnieje.

Nagle cały kadłub zabrzmiał jak jakiś gigantyczny dzwon. Coś ciężkiego otarło się o burtę Wavebreakera. Nagle uświadomiłem sobie, że to, co poprzednio wzięłem za szum fal, było odgłosem silnika.

– Mamy gości. – Zaskoczyło mnie to.

Tesy wciąż trzymał latarkę, więc Ellen pobiegła sprawdzić, co się dzieje. Właśnie wyczołgiwałem się spod gretynków, kiedy nad moją głową rozległy się kroki. Skrzywiłem się do Tesy'ego przypuszczając, że czeka nas kontrola straży przybrzeżnej, ale kiedy wygramoliłem się z maszynowni, usłyszałem jakiegoś mężczyznę, krzyczącego coś po hiszpańsku. Ellen stała na schodach z dziwną miną. Po chwili doszedł mnie jej krótki krzyk.

– Co, u diabła... – zacząłem i urwałem, gdyż na schodach, za Ellen, pojawił się mężczyzna. W rękach trzymał kałasznikowa.

Zdałem sobie sprawę, że Rickie mnie przechytrzył. Okazał się sprytniejszy i wygrał. Powinienem był przewidzieć, że ktoś tak uzależniony jak Rickie, nie ryzykowałby uszkodzenia jachtu, przedłużając tym samym czas własnej abstynencji. Zrobił to, bo wiedział, że do Sea Rat Cay przyślą mu jego ukochany proszek. Zrozumiałem, dlaczego chłopak tak się interesował radiem. Po prostu wezwał swoich przyjaciół.

– O, Boże! – Chwyliłem długi, stalowy klucz, który zresztą wyglądał żałośnie w porównaniu z wycelowanym w nas kałasznikowem.

Mężczyzna z karabinem stał przy schodach. Miał na sobie czarny kombinezon, pod szyją zawiązał niebieską chustkę. Był młody. W jego opalonej twarzy błyszczały drapieżne oczy. Na brodzie miał bliznę. Ruchem kałasznikowa nakazał wszystkim wyjść na pokład. Widząc, że się wahamy, zaczął krzyczeć coś po hiszpańsku.

– Musimy zrobić to, co on nam każe – stwierdził Tesy rozsądnie.

Obcy znowu coś krzyknął. Prawdopodobnie chciał, żeby Tesy się zamknęły. Potem gestem nakazał mi rzucić klucz.

Kiedy wychodziłem z maszynowni, mężczyzna odsunął się i wycelował kałasznikowa prosto w mój brzuch. Wskazał lufą, że powinienem iść za Ellen i Tesym.

Posłuchałem.

Wieczne słońce oświetlało z ukosa Sea Rat Cay. Wiatr złagodniał, a morze, widoczne przez wąskie wejście do laguny, uspokoiło się. Fregata o szerokich skrzydłach samotnie szybowiała nad wyspą. W drugim końcu laguny polował rybołów. Po sztormie pozostały jedynie, czerwone od blasku słońca, strzępy chmur i pasma piany na ciemniejącej powierzchni wody.

Na pokładzie Wavebreakera, z miną pirata-zdobycy, stał Jesse Sweetman w swoim czarnym ubraniu i białym prochowcu. Ukłonił się, kiedy Ellen wyszła na pokład.

– Słodki, choć rzadki aniele – pozdrowił ją. – Najdroższa, gdy cię ostatnio widziałem, w mej duszy rozgorzał ogień wielki, który ty jedynie możesz ugasić, ale czymże, najśłodsza, zdołasz to uczynić?

Ellen nie odpowiedziała.

Dwóch stojących za Sweetmanem mężczyzn obserwowało nas z nieprzyjemnym wyrazem twarzy. Wzdłuż burty Wavebreakera cumowała łódź motorowa z szatańskim numerem na dziobie. Dream Baby – Lalunia – zafundowała nam niezły koszmarek. Triumfujący Rickie wyłonił się ze swojej kabiny i widząc, co się dzieje, zapiał z zachwytu.

Łącznie ze Sweetmanem było ich czterech. Wszyscy uzbrojeni. Mieli dwa karabinkowy, amerykańskiego M16, dwa pistolety i izraelskiej roboty uzi. Być może na Dream Baby było tego więcej, ale nawet to, co widziałem, wystarczyło mi w zupełności. Dwaj faceci za Sweetmanem wyglądali jak bezmózgie mięśniaki, automatycznie wykonujący każde polecenie. Trzeci, którego Sweetman nazywał Miguel, był chyba ich przywódcą. To on wydawał rozkazy mięśniakom i nawet Sweetman traktował go z wyraźnym szacunkiem. Miguel miał zaciśnięte usta i niskie czoło, które sprawiało, że wyglądał jak małpa. Oczy błyszczały mu dziwnie. W rękę miał pistolet maszynowy.

Nas również było czworo. Ellen, Chatterton, Tesy i ja znajdowaliśmy się w kokpicie. Jeden z mięśniaków stał przed nami, a drugi przy głównym maszcie, za naszymi plecami. Wiele razy w życiu miałem już do czynienia z bronią, ale nigdy dotąd nie doświadczyłem takiego dziwnego skurczu żołądka jak teraz, kiedy stałem nie uzbrojony przed facetami, którzy we mnie celowali. Żadne z nas nie wątpiło, że te zbiry będą strzelać bez wahania. Bałem się i widziałem, że Chatterton też miał pietra. Mogłem sobie jedynie wyobrazić, jak przerażeni byli Tesy i Ellen.

Bliźniaki z początku stały w pobliżu Sweetmana. Rickie wyjaśniał siostrze, co się działo i dlaczego. Mówił zbyt cicho, abym mógł cokolwiek zrozumieć. Nagle Robin-Anne odepchnęła brata i podbiegła do nas. Zarzuciła mi ręce na szyję. Objąłem jej szczupłe ramiona.

– Ja nigdzie nie jadę! – krzyknęła do brata. – Nigdzie! Nigdzie!

Sweetman zaśmiał się. Rickie był zachwycony zamieszaniem, jakie wywołał. Pierwszą rzeczą, jakiej zażądał od razu po wyjściu na pokład, była oczywiście kokaina. Sweetman wyciągnął ją z czarnej, skórzanej torebki przy pasku. Patrzyłem,



jak chłopak wciągał biały proszek do nosa. Po chwili nastrój Rickiego zmienił się. Nagle chłopak znalazł się na szczycie, zdolny dokonać wszystkiego, co niemożliwe.

Najbardziej zależało mu chyba na tym, by się na mnie odegrać, ale Sweetman i Miguel powstrzymali go.

– Jeszcze będzie na to czas, Rickie – powiedział Sweetman i dał chłopakowi izraelskiego uzi. Rickie wymierzył broń w kierunku ciemniejącej laguny i palm, i nacisnął spust. Na szczęście nie była naładowana. Sweetman nie zwracał na niego uwagi. Z przerażeniem patrzyłem, jak chłopak stara się dociec, co zrobić, żeby broń wystrzeliła.

Miguel zszedł pod pokład, aby przeszukać jacht. Musiał włączyć cały system zasilania, gdyż nagle światła pokładowe, umieszczone na wysokości salingów na obu masztach, zatopiły Wavebreakera w oślepiającej jasności. Rickie, z bronią przewieszoną przez ramię, chwalił się Sweetmanowi, w jaki sposób udało mu się unieruchomić jacht. Sweetman słuchał tylko jednym uchem. Patrzył na Robin-Anne, która drżąc, wciąż trzymała się mnie kurczowo.

– Podejdz tu – powiedział nagle.

– Nie – wykrztusiła dziewczyna i powtórzyła jeszcze raz, nieco pewniejszym tonem. – Nie!

– Biedna Robin-Anne. – Sweetman uśmiechnął się do niej i wyjął z czarnej torebki błyszczący pojemnik z kokainą. Powoli, z elegancją zszedł do kokpitu. Wciąż patrzył na dziewczynę. Otworzył wieczko pojemnika i zaczął wysypywać jego zawartość na podłogę aż do miejsca, gdzie stał Rickie. Ten kokainowy szlaczek musiał być wart majątek.

Sweetman zamknął pojemnik, a z saszetki wyjął krótką białą słomkę, którą rzucił Robin-Anne pod nogi.

– Chodź, słodziutka, chodź – zanucił – chodź do mnie, mała. Wiem, że tego chcesz, tęskniłaś za tym, kochasz to, pragniesz tego, a to po prostu tutaj jest. Wystarczy sięgnąć.

Trzymałem dziewczynę mocno i czułem, jak drży, patrząc na długą białą smugę.

– Robin-Anne! – zawołała Ellen ostrzegawczo. – Nie!

– Wytrzymaj, dziewczyno – dorzucił Jackson Chatterton.

– Z tego zrobione są sny, Robin-Anne. – Sweetman niczym zły Prospero

wskazał dłonią biały szlak. – To najlepszy boliwijski towar. Czysta jak łza, smakuje nieziemsko. Wybierz się ze mną i ze swoim bratem do rajy, w którym rozkoszy jest w bród. Wybierz się do miejsca wiecznej radości. Tam nigdy nie będziesz sama ani znudzona. Tam nigdy nie będziesz musiała się martwić. Jeżeli zostaniesz tutaj, to kto się tobą zajmie, kiedy odpłyniemy? Chodź, maleńka.

– Nie! – powiedziałem.

– Nie słuchaj go! – Przystojny Sweetman posłał w stronę Robin-Anne uroczy uśmiech. Dziewczyna spojrzała mu w oczy. – Chodź do mnie, jesteś jedną z nas, Robin-Anne. Nie pasujesz do tych nudnych betoniarzy. Jesteś od nich lepsza, bardziej delikatna, czystsza! Takich jak my nie obowiązują żadne ograniczenia. Nie musimy być ostrożni. Mamy marzenia, możemy szybować ku niebu. Ci zwykli śmiertelnicy nigdy tego nie doświadczą. Nienawidzą nas właśnie za to, że jesteśmy szczęśliwi, podczas gdy oni tkwią w swojej beznadziejnej nudzie.

– Nie, Robin-Anne – powtórzyłem, ale ona strząsnęła moją rękę ze swych ramion i wpatrywała się poządliwie w kokainę. Była jak zahipnotyzowana. Chciałem ją przytrzymać, ale jeden ze zbirów podniósł swego kałasznikowa. Znieruchomiałem.

Robin-Anne nie widziała nic poza białym proszkiem. Kochała go i nienawidziła równocześnie. Nagle opadła na kolana, chwyciła słomkę i pochyliła się ku tej śmiertelnie białej dróżce.

Sweetman roześmiał się.

Robin-Anne wciąż klęczała pochylona. Przez materiał koszuli widać było wyraźnie jej kręgosłup. Zdawało mi się, że płacze. Schyliłem się, aby podnieść ją z podłogi, ale wtedy jeden z mężczyzn wystrzelił. Ellen krzyknęła. Pocisk przeleciał mi nad głową. To było ostrzeżenie. Wyprostowałem się, pozostawiając Robin-Anne klęczącą na podłodze.

– To było takie proste – stwierdził Sweetman pogardliwie.

Wiatr rozwiewał czarne końce tasiemki, którą miał przewiązane włosy. Gdyby nie znaczek z napisem: PO PROSTU POWIEDZ – NIE, mógłby uchodzić za wędrowca z czasów rycerzy i zaginionych skarbów.

Robin-Anne wzięła głęboki oddech, tak jakby wracała do życia. Odchyliła głowę i ujrzałem, że się śmieje, chociaż oczy ma pełne łez.

Wyglądała jak ktoś, kto zrzucił z siebie olbrzymi ciężar. Wstała i nieświadoma tego, że deptce po ścieżce wyznaczonej przez białą proszek, podeszła do brata.

– Robin? – zawołała Ellen.

– W porządku, Ellen. – Robin-Anne odwróciła się w naszą stronę. – Teraz wszystko jest w porządku – uśmiechnęła się do mnie. – Będzie dobrze, Nick. Obiecuję!

Sweetman wskazał na resztę kokainy.

– Czy ktoś jeszcze ma ochotę na magiczny pył? Może ty, kochanie? – zwrócił się do Ellen.

Ellen nie odpowiedziała.

– Dlaczego się do nas nie przyłączysz? – namawiał Sweetman. – Chodź do nas.

– To śmieszne – stwierdziła Ellen tonem mędrca, który z doświadczenia wie, że w końcu i tak zwycięży zdrowy rozsądek. – Wiesz, że nie możesz nas do niczego zmusić.

Sweetman był zachwycony.

– Zmusić? Mój słodki skarbie, nigdy bym cię do niczego nie zmuszał. Mogę sprawić, że będziesz jęczała z rozkoszy. Skusić cię, abyś skosztowała nieba w mych ramionach. Ale zmuszać cię? Przenigdy!

– Ty kretynie! – Spokój Ellen nagle gdzieś wyparował. Krzyknęła. Pod pokładem usłyszeliśmy serię z pistoletu maszynowego. Miguel przeładował broń i znowu rozległy się strzały.

– To tylko radio, jak przypuszczam. – Sweetman wziął uzi od Rickiego i załadował broń. Przeraziłem się, że chce oddać chłopakowi gotową do strzału broń, ale on przewiesił ją sobie przez ramię i zapalił bladoniebieskiego papierosa. – Zamknijmy was – poinformował znużonym tonem, wskazującym na to, że zabawa z nami przestała go interesować – a nad ranem pożegnamy się. Rickie, oczywiście, odpływa ze mną. W ten sposób uniknie tego całego nudnego procesu, czyż nie tak, Rickie?

Wszystko zostało zaplanowane. Rickie zaproponował ten jachtowy odwyk tylko po to, aby odzyskać swój paszport i znaleźć się na Bahamach, gdzie jego przyjaciel miał go „uratować”. Chłopak nie musiał w ten sposób stawać przed sądem. Jediną przeszkodą było to, że zdecydowałem się wypłynąć na otwarty ocean, gdzie

Sweetman nie mógłby nas odnaleźć. Ale nawet taka ewentualność została przewidziana. Chłopak posiadał na Wavebreakerze zapas kokainy. Rickie nigdy nie miał zamiaru przestać brać, ale również nie chciał stawać przed sądem. Jedyne, czego pragnął, to zanurzyć się w kokainowej euforii i właśnie to gwarantował mu Sweetman. Niewątpliwie Rickie obiecał mu w zamian sporą część tego, co miał odziedziczyć, może nawet cały spadek. Za sześć milionów można było zafundować sobie kokainowe niebo, a za dwanaście milionów – spojrzałem na Robin-Anne, która uśmiechała się do nas naiwnie – można było kupić o niebo więcej.

– Ale zanim powiemy sobie dobranoc – Sweetman zaciągnął się papierosem – czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co to jest? – Wskazał na pętlę, której zapomniałem zdjąć, i która dyndała teraz głupio w świetle jachtowych lamp. – No?

– Spodziewałem się, że nas odwiedzisz – powiedziałem niezbyt głośno.

– Och, jesteś zabawny. – Sweetman odwrócił się do Rickiego. – Możesz go, chłopcze, nagrodzić za tę przednią rozrywkę, jakiej nam dostarczył.

Rickie zaśmiał się i zeskoczył do kokpitu. Zbliżał się do mnie powoli. Widać było, że jest zdenerwowany, ale jednocześnie pewny, że mu nie oddam. Sweetman przyglądał się temu z pogardą. Wiedziałem, że chce, aby chłopak zrobił z siebie głupka.

– No dalej, Rickie – zachęcał – uderz go.

Rickie uderzył. Włożył w to całą swą siłę, ale ja odchyliłem głowę tak, że cios nie był bolesny. Chłopak zaczął walić we mnie pięściami, ale otumaniony kokainą nie miał wystarczająco dużo siły, żeby uderzyć porządnie. Kiedy zdał sobie sprawę, że nic sobie nie robię z jego ciosów, zaczął okładać mnie jeszcze bardziej rozpaczliwie. Plunął mi w twarz i rąbnął słabą pięścią w żołądek. Uśmiechnąłem się, widząc jego nieudolność. Chłopak zamierzył się, chcąc kopnąć mnie w krocz, ale nie trafił. Stracił równowagę i zwałił się na podłogę kokpitu.

Siedział tam dysząc. Mężczyzna przed nami śmiał się szeroko, ukazując złote koronki na zębach. Sweetman potrząsnął szyderczo głową.

– Pokażę ci, jak to się robi, Rickie.

– Nie! – krzyknęła Ellen. – Nie!

Robin-Anne zachichotała.

– Wszystko w porządku, Nick! – zawołała. Widziałem, że dziewczyna nie wie, gdzie się znajduje i co się wokół niej dzieje. Wyglądała jak ktoś, kto się na chwilę przeniósł się z epoki dzieci-kwiatów na pokład Wavebreakera.

Sweetman zeskoczył do kokpitu i odsunął Rickiego na bok. Chłopak został na podłodze, gdzie wciągnął kolejną dawkę koki. Spod pokładu dochodził szum działającej klimatyzacji. Praca tego urządzenia obciążała sieć i światła pokładowe chwilami przygasaly.

Sweetman stanął tuż przede mną. Prawą ręką podniósł uzi, celując prosto w mój brzuch. Patrzył mi w oczy i uśmiechał się. Widziałem krople potu spływające mu z czoła. W jego oddechu czułem zapach tytoniu. Zastanawiałem się, czy chce mi wsadzić lufę w splot słoneczny, czy też pociągnąć za spust i wrębać mi w brzuch cały magazynek. Rickie znieruchomiał na podłodze, czekając, aż pociski rozerwą mi żołądek, ale Sweetman wyciągnął lewą rękę i chwycił Ellen. Cofnął się o krok i pchnął ją przed siebie, traktując jak tarczę.

Instynktownie ruszyłem, aby jej pomóc, ale przeszkadzał mi siedzący na podłodze Rickie. Poza tym Sweetman wciąż celował we mnie ze swego uzi. Ellen oddychała głośno. Z całej siły wparła się w trzymające ją mocno ramię, ale Sweetman po prostu cofnął się jeszcze o krok, ciągnąc dziewczynę za sobą bez najmniejszego wysiłku.

– Przecież nie chcesz spędzić nocy pod kluczem, kochanie? Czy nie będzie ci przyjemniej w mych ramionach?

– Niech cię piekło pochłonie! – Ellen znowu zaczęła się szarpać, tym razem mocniej, bo musiał puścić uzi i użyć obu rąk, aby ją przytrzymać. Złapał ją mocno, a potem uśmiechając się złośliwie, położył jej rękę na piersi.

– Chciałbyś ją, Rickie? – spytał. Chłopak uśmiechnął się. Sweetman rozpiął guzik koszuli Ellen. – Jesteś dla mnie niezwykle miła. – Wsunął prawą rękę pod jej koszulę. Oczy Ellen rozszerzyły się z gniewu. – I nie będę się tobą dzielił z nikim. Zatrzymam cię tylko dla siebie. Biednemu Miguelowi na pewno się to nie spodoba, ale on potrafi być taki okrutny wobec kobiet. Często kończy się to krwawo.

Ellen, oburzona groźbą, szarpnęła się, wbijając prawy łokieć w żebra Sweetmana,

a potem kopnęła go piętą w goleń. Jego słowa wyzwoliły w niej jakąś demoniczną siłę. Jednocześnie z jej oczu płynęły łzy. Wymierzyła jeszcze jeden cios łokciem i rzuciła się do przodu, chcąc wyrwać z uścisku. Bandzior, który stał przed nami, ruszył na pomoc Sweetmanowi, ten, który stał za nami, śmiał się, obserwując zaciętą walkę dziewczyny. Sweetman klął, starając się ją przytrzymać.

Ellen szarpnęła się raz jeszcze. Tym razem Sweetman stracił równowagę i krzyknął. Nie dlatego, że szarpnięcie go zabolalo, ale dlatego, że zauważył, iż ruszyłem ku niemu. Jackson Chatterton rzucił się w przeciwną stronę, odciągając Tesy'ego od strażnika, który stał za nami.

Drugi bandzior wymierzył we mnie swego kałasznikowa, ale Rickie wlaź mu przed lufę i chwycił mnie za nogi. Uderzyłem go kolanem w głowę, ale straciłem równowagę i upadłem na niego. Chatterton wrzasnął. Usłyszałem strzał. Nie chciałem zaczynać walki przeciwko tak uzbrojonym przeciwnikom, ale teraz nie było już odwrotu. Sweetman usiłował chwycić broń, ale jęknął, gdyż Ellen kopnęła go w krocze. Złapałem jego uzi. W jednej chwili przypomniałem sobie wszystko, czego nauczyłem się w wojsku. Zrobiłem unik. Palce prawej ręki same trafiły na spust. Szukałem celu. Na prawo ode mnie stał jeden ze strażników, ten, który rzucił się na pomoc Sweetmanowi. Przetoczyłem się na brzuch i wystrzeliłem. Zobaczyłem serię białych błysków. Broń miała niewielki odrzut.

Zdawało mi się, że uzi nie był zbyt głośny. Robin-Anne szlochała i dyszała ciężko ze strachu. Ktoś inny wystrzelił gdzieś z tyłu. Zdawało mi się, że nad moją głową przeszła przerażająca, purpurowa fala krwi. Mężczyzna, do którego strzelałem, leżał na podłodze wstrząsany spazmami. Odwróciłem się w kierunku, z którego dobiegły mnie strzały. Rickie, sparaliżowany ze strachu, leżał skulony obok mnie.

– Nick! – krzyknął Chatterton. W jego głosie słyszałem przerażenie, ale nie widziałem go i nie mogłem mu pomóc.

– Nick! Uciekaj! – ostrzegła mnie Ellen, której udało się w końcu wyrwać. Sweetman biegł zygzakiem do zejściówki. Jedną rękę przyciskał dół brzucha. Twarz wykrzywił mu ból.

Wystrzelił kałasznikow. Kula świsnęła mi nad głową. Drugi ze zbirów skrył się

prawdopodobnie na rufie. Stamtąd nie mógł mnie widzieć. Czekał chyba, aż Sweetman albo Miguel mnie wykończą.

Po lewej stronie miałem Ellen. Dopadła do nadburcia i obejrzała się. Zdążyła odskoczyć, zanim seria pocisków trafiła w miejsce, gdzie przed chwilą stała.

– Nick! Szybko! – krzyknął znowu Chatterton. Jakiś cień przemknął po dziobie poza zasięgiem światła. Widziałem, jak wyskakuje za burtę. Rozległ się głośny plusk. Rozejrzałem się za Tesym, ale nigdzie go nie widziałem. Przypuszczałem, że poszedł z Chattertonem. Sweetman skrył się pod pokładem. Rickie skomlał na podłodze obok mnie, a jego siostra skuliła się przy grotmaszcie, krzycząc ze strachu. Mężczyzna, którego trafiłem, był w stanie agonialnym. Z trudem łapał powietrze, od czasu do czasu wydając z siebie jakiś jęk. Zwróciłem uwagę na jego czarne eleganckie buty.

Uderzały o pokład, mężczyzną wstrząsały śmiertelne spazmy. To był pierwszy człowiek, którego zastrzeliłem. Zrobiło mi się niedobrze.

Przecież właśnie tego uczyli nas w *marines*. Uznano mnie tam nawet za specjalistę do spraw broni. Niezależnie od tego, ile na ten temat wiedziałem, jeszcze nigdy nikogo nie zabiłem.

Z trudem przełknąłem ślinę. Sprawdziłem, ile mam naboí. Wystarczyłoby na trzy sekundy ciągłego ognia, co, miałem nadzieję, umożliwi mi opuszczenie jachtu.

– Tesy! – krzyknąłem. Musiałem się upewnić, czy chłopak już wyskoczył.

Jedyną odpowiedzią było stukanie butów umierającego mężczyzny o pokład. Usłyszałem jakiś hałas w zejściówce i wystrzeliłem w tamtą stronę. Hałas ustał. Wciąż słyszałem tylko te buty. Pragnąłem, aby ten człowiek już umarł. Na filmach ludzie umierali tak łatwo i szybko, a ten wciąż szarpał się w agonii. Spod pokładu dobiegł mnie dźwięk odbezpieczanej broni.

– Tesy! – zawołałem znowu. W odpowiedzi usłyszałem strzał z rufy. Kula odbiła się rykoszetem od klapy forpiku i poleciała w ciemność.

Rickie próbował mnie szarpać, więc uderzyłem go łokciem mówiąc, żeby się zamknął, jeżeli nie chce mieć w brzuchu połowy magazynku uzi. Jęknął cicho, ale uspokoił się. O reflektory jachtowe obijały się ćmy. Podłogę w kokpicie pokrywała kokaina zmieszana z krwią. Nie była to moja krew, a Rickie też nie był ranny. Pod pokładem usłyszałem głosy, wiedziałem, że muszę działać szybko. Ściągnąłem

Rickiemu jeden but i rzuciłem go nieco dalej. Strzelec na rufie złapał przynętę i wystrzelił w tamtym kierunku.

Wstałem. Po nikłych błyskach poznałem, że skrył się za schowkiem z tratwą ratunkową. Dojrzałem jego głowę i ramiona. To był facet w czarnym kombinezonie i z niebieską chustką. Zauważył mnie i wycelował w moim kierunku z kałasznikowa, ale ja już strzeliłem. Zapomniałem o mdłościach. Patrzyłem, jak kule przezywają mu klatkę piersiową, rzucając czerwony wzorek na jego apaszkę. Jakiś pocisk trafił go w zęby. Mężczyzna upadł do tyłu. Widziałem teraz jedynie fontannę krwi, która zabarwiła flagę Wavebreakera na bardziej czerwony kolor. Z tyłu usłyszałem brzęk wybijanej szyby. Odwróciłem się i ujrzałem strzelbę Miguela wystającą ze świetlika. Po raz ostatni nacisnąłem spust uzi. Niestety, magazynek był pusty.

Sweetman krzyczał coś, stojąc w zejściówce. Należało zrezygnować z bohaterskich wyczynów i pomyśleć o własnym bezpieczeństwie. Tak szybko jak tylko mogłem, rzuciłem się w stronę burty. Poczulem piekący ból w ramieniu i plecach, ale byłem już przy okrężnicy. Zdołałem wyczołgać się na samą krawędź. Spadłem w dół. Woda okazała się niespodziewanie ciepła.

Nagle wszystko ucichło.



**J**ackson Chatterton chwycił mnie mocno i pociągnął w stronę stalowego kadłuba Wavebreakera. Ellen też się tam znajdowała. Na razie byliśmy bezpieczni. Miguel i Sweetman wychylając się nawet przez nadburcie, nie zdołaliby nas trafić, gdyż schroniliśmy się tuż przy kadłubie jachtu. Wiedziałem jednak, że prędzej, czy później będziemy musieli się stamtąd ruszyć. Miguel i Sweetman mogli przecież wziąć Dream Baby. Wtedy nie mieliby żadnych problemów z odnalezieniem naszej kryjówki.

– Gdzie jest Tesy? – spytałem.

Ellen poruszając lekko nogami, utrzymywała się na powierzchni tuż za mną. Chatterton patrzył na smugi światła rzucanego na wodę przez lampy pokładowe.

– Gdzie jest Tesy? – powtórzyłem.

– Był ze mną – powiedział Chatterton takim tonem, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że zadaję nieodpowiednie pytania. – Musimy się stąd wydostać. Cholera! – Seria pocisków z pistoletu maszynowego rozpruła wodę nie więcej niż pół metra od twarzy Chattertona. Usłyszałem, jak ktoś zmienia magazynek. Po chwili znowu rozległy się strzały. Ujrzeliśmy strumień wpadających w wodę pocisków. Strzelec musiał wystawić broń za burtę i strzelać pod kątem. Pociski przechodziły niebezpiecznie blisko nas.

– Wy pierwsi – powiedziałem do Ellen i Chattertona. – Weźcie głęboki oddech i zanurkujcie do jednego z łańcuchów kotwicznych, jasne? Chwyćcie się go i odciągnijcie jak najdalej od jachtu. Wynurzyć się możecie dopiero tam, gdzie będzie zupełnie ciemno. W ten sposób nie zauważą was.

Kolejne strzały naznaczyły na powierzchni wody jakiś chaotyczny wzór. Kilka pocisków uderzyło w kadłub tuż nad naszymi głowami, zostawiając głębokie rysy w burcie Wavebreakera.

– Ty też płyniesz z nami? – upewniła się Ellen.

– Chcę poszukać Tesy'ego.

– Mówiłem ci już, on jest bezpieczny! – Chatterton powiedział to trochę za głośno i karabiny Miguela, i Sweetmana znowu się odezwały. Zanurkowaliśmy. Ze zdumieniem patrzyłem na strumienie bąbelków powietrza powstające tam, gdzie w wodę wpadały kule, tracąc natychmiast swą prędkość. Woda miała żółtą od światła reflektorów barwę. Popłynęliśmy ku dziobowi, trzymając się jak najbliżej kadłuba, a potem kolejno nurkowaliśmy do najbliższego łańcucha kotwicznego. Sweetman i Miguel wciąż jeszcze strzelali w miejsce, gdzie się poprzednio znajdowaliśmy.

Ja nurkowałem ostatni. Mocno odepchnąłem się nogami od dna jachtu i zszedłem głęboko. Przez chwilę bałem się, że nie natrafię na łańcuch i wynurzę na tyle blisko, że będą mogli mnie łatwo trafić. Na szczęście zahaczyłem nogą o jakieś ogniwo. Powoli odciągałem się coraz dalej od jachtu. Czułem, że za chwilę rozsadzi mi płuca. Puściłem łańcuch i wypłynąłem na powierzchnię. Złapałem oddech spodziewając się, że za chwilę dosięgną mnie strzały. Dopiero po chwili zauważyłem, że znajduję się daleko poza kręgiem światła. Nasi wrogowie wciąż jeszcze strzelali w wodę przy burcie. Zawróciłem w kierunku brzegu, starając się nie myśleć o rekinach. Spostrzegłem w pobliżu głowę Ellen, a nieco dalej Chattertona.

Nagle światła Wavebreakera zgasły. Robin-Anne zaczęła krzyczeć z przerażenia. Ktoś chyba zakrył jej usta, bo krzyk urwał się nagle. Dopiero teraz zauważyliśmy, że nie było jeszcze całkiem ciemno. To tylko w świetle reflektorów wydawało się, że zapadła już noc.

Popłynęliśmy w kierunku brzegu. Zapadający zmierzch okazał się wystarczającym schronieniem. Z pokładu nas nie widzieli. Wystali w ciemność kilka serii, ale żadna nas nie dosięgła. Dopiero kiedy usłyszeli, jak gramolimy się na brzeg, kule zaczęły świstać niebezpiecznie blisko.

Na szczęście żadne z naszej trójki nie zostało trafione. Po jakimś czasie strzały ustały i ponownie zapalono na Wavebreakerze światła. Dream Baby, wcześniej przycumowana do tej strony jachtu, której nie widzieliśmy z brzegu, krążyła teraz

po lagunie, błędząc reflektorami po zaroślach i palmach. Ten, kto nią kierował, nie widział nas. Nie próbował też zejść na brzeg. Bardzo możliwe, iż Sweetman i Miguel obawiali się, że wciąż jeszcze mam broń. W rzeczywistości uzi leżał teraz na dnie laguny pod Wavebreakerem, ale o tym nasi wrogowie nie wiedzieli. Żadne z nas nie było ranne, nie licząc draśnień na moich plecach i ramieniu, no i ukąszeń komarów, które opadły nas, kiedy wyszliśmy na brzeg.

Przedzierając się przez kolczaste zarośla, przedostaliśmy się na małą plażę od strony otwartego oceanu. Schroniliśmy się za jakimiś wapiennymi skałami. Tam mogliśmy odpocząć, wsłuchując się w monotony szum fal. Nad nami, niczym opiekuńcze ramię, wyginała się palma. To właśnie na tej plaży dowiedziałem się, jak poważne były ciosy, które nam zadano. O wiele bardziej poważne od kilku ukąszeń czy powierzchownych ran postrzałowych.

Zginął Tesy.

Ellen krzyknęła i nagle zaczęła szlochać i trząść się nerwowo. Przytuliłem ją mocno. Dla mnie to także był szok. Jackson Chatterton opowiedział nam, jak to się stało.

Tesy zginął w pierwszych sekundach walki. Zmarł szybko. Pocisk kałasznikowa trafił go w głowę. Zamknąłem oczy. Ta czerwona fala ponad moją głowę, to była krew Tesy'ego.

Jackson Chatterton próbował chłopca ratować. Odciągnął go w stronę, gdzie stała Robin-Anne, mając nadzieję, że bandzior nie strzeli w obawie, iż mógłby trafić dziewczynę. On jednak strzelił. Dostał Tesy. Chatterton, bardziej doświadczony, padł na podłogę. Pociągnął za sobą Tesy'ego, ale wtedy mały już nie żył.

– Jesteś pewien? – spytałem.

– Człowieku, on na pewno nie żył! Dostał dwa razy w kręgosłup i raz tutaj. – Chatterton przyłożył dłoń do własnej czaszki pokazując, jak wielka była tamta rana. Ellen nie widziała tego. Szlochała, przytulona do mego ramienia. Ja nie mogłem płakać. Tesy był moim przyjacielem, a ja nie mogłem płakać. – Nic nie czuł – stwierdził krótko olbrzym.

Chatterton obwiniał siebie za śmierć Tesy'ego. Twierdził, że powinien był wyrzucić chłopca za burtę, gdy tylko to wszystko się zaczęło. Ellen, szlochając, mówiła, że to ona wszczęła walkę. Ale jeżeli można było kogoś uważać za winnego,

to tylko mnie. To ja zabrałem broń Sweetmanowi i zacząłem ten horror.

– Zabiłem tego łajdaka, który zastrzelił Tesy'ego – powiedziałem, ale to chyba nikogo nie pocieszyło. Śmierć chłopca pozostawiła wielką wyrwę w moim życiu, wielką, przeklętą wyrwę.

Siedziałem bez ruchu. Nie potrafiłem płakać. Nie mogłem sobie uświadomić, że tego niewinnego siedemnastolatka już po prostu nie ma. W każdym najmniejszym szmerze, słyszałem kroki zbliżającego się do nas chłopca. Wciąż się rozglądałem, spodziewając się zobaczyć gdzieś jego twarz albo usłyszeć głos, ale to tylko wiatr poruszał cieniami drzew i to tylko morze szumiało, opadając na rafy.

Nie mogłem przestać myśleć; może gdybym wcześniej wystrzelił, Tesy byłby teraz z nami. Dlaczego właśnie on? Czym zasłużył sobie na śmierć? Zamknąłem oczy. Modliłem się, aby naprawdę istniało niebo, w którym chłopak ze Straker's Cay mógł odnaleźć swoje wieczne szczęście.

Modliłem się też, aby istniało piekło, prawdziwe piekło, gorsze nawet niż anhedonia uzależnionych od kokainy. Piekło, w którym znalazłoby się miejsce dla Sweetmana i jemu podobnych.

– Przecież on nie doszedł nawet do Księgi Pieśni – powiedziałem nagle. Zobaczyłem Tesy'ego, jak marszcząc poważnie brwi, pochyła się nad swą starą, zniszczoną Biblią. To wspomnienie sprawiło, że zacząłem szlochać jak małe dziecko. Ellen wzięła mnie za rękę.

Ponad nami w nieskończoność ciągnęły się gwiazdy, w których czas zapisywał historię świata. Miałem nadzieję, że gdzieś tam jest teraz Tesy i znalazł szczęście, w które zawsze wierzył.

Tej nocy niewiele spaliśmy. Co jakiś czas budziły nas strzały z Wavebreakera. Poza tym dręczyliśmy się odpowiedzialnością za śmierć Tesy'ego. Kiedy udawało mi się na chwilę zdrzemnąć, śniłem jakies koszmary. Budziłem się zlany potem. Ellen, drapiąc się, przeklinała komary.

Tuż przed świtem znowu przysnąłem. Ze snu wyrwał mnie kakofoniczny wrzask. To Rickie słuchał jednej ze swych taśm z angielską muzyką. Na brzegu ptaki podniosły krzykliwy protest. Sz torm minął bez śladu. Poza rafą gładka tafla morza połyskiwała szaro-stalowo, jak lufa karabinu. Świt czekał na słońce.

- Zabiję ich – przywitałem nowy dzień.
- Amen – mruknął Chatterton. – Amen.

Nad pustym morzem ukazała się słoneczna kula.

Wavebreaker wyglądał bardzo pięknie w świetle porannego słońca. Przeszliśmy na drugą stronę wyspy, aby obserwować naszych wrogów. Leżeliśmy teraz w ukryciu, patrząc na piękno tropikalnej laguny, w której długi, biały kadłub i smukłe maszty jachtu odbijały się tak wyraźnie, jakby woda była wypolerowanym lustrem.

Rickie wyszedł na pokład z kałasznikowem i zaczął ostrzeliwać dla zabawy pobliskie palmy. Cały magazynek posłał w stronę przelatującego pelikana, ale spudłował. Robin-Anne przyniosła mu kubek herbaty albo kawy i uciekła przed hałasem na dziób. Tam usiadła skulona i dziwnie żałosna. Rickie strzelał bez opamiętania. Hałas był nie do zniesienia.

- Nienawidzę broni – powiedziała Ellen. – Naprawdę nienawidzę broni.

Jakąś godzinę później Miguel włączył silniki Dream Baby. Niebieskie spaliny unosiły się tuż nad powierzchnią wody. Wyglądało na to, że zamierzają odpłynąć. Rickie i Sweetman ładowali na Dream Baby wszystko, co zrabowali z Wavebreakera. Niektóre rzeczy mogły im się przydać, ale w większości brali to, co im wpadło w ręce: telewizor, lampy, obrazy, a nawet dywany z głównej kajuty. Robin-Anne nie zwracała na nich uwagi.

Rickie zszedł na pokład łodzi motorowej, a Sweetman przyciągnął do burty ciało mężczyzny, którego butom przyglądałem się zeszłej nocy. Zwłoki bezceremonialnie wrzucono na Dream Baby. Rickie odskoczył od padającego trupa, a Miguel upchnął zwłoki w jakimś schowku. Nigdzie nie widziałem ciała Tesy'ego i znowu ogarnęła mnie beznadziejna, cudowna, idiotyczna nadzieja, że jeszcze żyje.

Sweetman odebrał Rickiemu kałasznikowa. Podeszedł do Robin-Anne i dotknął jej pleców. Obejrzała się, a on wskazał na Dream Baby, dając jej do zrozumienia, że czas odpływać. Miałem nadzieję, że dziewczyna okaże choć cień niechęci. Sądziłem, że opuszcza pokład jachtu wbrew własnej woli, ale ona po prostu wstała i poszła w kierunku motorówki. Przytrzymała nawet Sweetmanowi kałasznikowa,

gdy ten podawał na łódź sprzęt do nurkowania. Potem oddała karabin i lekko zeskoczyła na Dream Baby. Miguel coś do niej powiedział. Jej czysty śmiech rozległ się echem po lagunie. Pragnienie, by rzucić narkotyki, stopniało przez noc w gorączce kokainowej euforii.

Na Wavebreakerze został już tylko Sweetman. Na parę minut zszedł pod pokład. Potem wyszedł, zapalił papierosa, odbezpieczył broń i zaczął systematycznie ostrzeliwać brzegi laguny.

– Jezu! – jęknął Chatterton. To było o wiele bardziej niebezpieczne od wcześniejszej beładnej strzelaniny Rickiego. Sweetman, domyślając się, że znaleźliśmy kryjówkę gdzieś powyżej linii przyływu, metodycznie ostrzeliwał ocienione drzewami brzegi plaży. Strzał po strzale, coraz bardziej zbliżał się do miejsca, gdzie leżeliśmy. Musiał zmienić magazynek. Objąłem Ellen i przycisnąłem ją bardziej do ziemi. Kolejne pociski świsnęły nam tuż nad głowami. Posypały się na nas drzazgi z pni palm. Stado ptaków poderwało się do lotu.

Nagle strzały ustały. Bałem się podnieść głowę. Sweetman mógł zauważyć mój ruch. Po chwili silnik Dream Baby zawył głośniejszy i motorówka zaczęła oddalać się od Wavebreakera. Patrzyłem osłupiały na biały kadłub jachtu.

Wavebreaker tonął!

Zdawało mi się, że śnię. Sweetman otworzył pewnie komory wypornościowe. Jacht zaczął lekko osiadać na rufie. Wiedziałem, że w ciągu paru minut pójdzie na dno.

– Łajdaki! – jęknąłem.

Dream Baby z numerem antychrysta na dziobie, powoli okrążała lagunę. Za sterem stał Miguel. Sweetman uważnie obserwował brzegi. Chatterton odczołgał się trochę do tyłu, a ja znowu przycisnąłem głowę Ellen do piasku. Chyba wszyscy wstrzymaliśmy oddechu. Czekałem, aż odezwą się strzały, ale widocznie byliśmy dobrze ukryci, gdyż z motorówki nikt nas nie zauważył. Miguel skierował łódź ku skalistej plaży. Byłem pewien, że Sweetman chce zejść na brzeg i zacząłem się już zastanawiać, czy w ogóle istnieje jeszcze jakaś możliwość ucieczki. Wtedy zauważyłem, że Sweetman wziął do ręki bosak i, stojąc na dziobie, przyciągnął ciało drugiego bandziora, którego zastrzeliłem z rufy. Razem z Miguelem wciągnęli je na pokład i motorówka zawróciła w stronę Wavebreakera. Sweetman ostrzelał jeszcze

skifa, wciąż wiszącego na rufie, a potem podniósł lufę i posłał serię w kierunku bandery.

- Łajdak – powtórzyłem.
- Nie bądź śmieszny – powiedziała Ellen – to tylko flaga.

Ostatnie strzały znowu dosięgły zarośli i Dream Baby opuściła lagunę, pozostawiając za sobą pas piany.

Wavebreaker wciąż jeszcze się zanurzał. Wstałem i podszedłem do brzegu.

- Uwważaj, Nick, te zbiry mogą jeszcze wrócić – ostrzegł Chatterton.

Gdyby Dream Baby pojawiła się nagle w wąskim wejściu do laguny, byłbym łatwym celem, ale słyszałem oddalający się warkot silnika. Stałem na brzegu i patrzyłem na tonącego Wavebreakera.

Jego maszty zaczęły się pochyłać. Jacht był nieźle przygotowany. Nawet przy tak mocnym przechyle nic się nie złamało i nie pękło. Prawą burtą osiadł na dnie laguny. Zaczekałem jeszcze chwilę, aby mieć pewność, że już więcej się nie zanurzy, i popłynąłem do niego. Wspiąłem się na prawie pionowo ustawiony pokład i usiadłem okrakiem na nadburciu, które wystawało około metra ponad powierzchnią wody. Teraz wiedziałem, co to znaczy stracić łódź. Co prawda nigdy nie byłem zbyt przywiązany do Wavebreakera, ale mimo wszystko, to ja pełniłem na nim obowiązki sternika. Teraz jacht był tylko zatopionym wrakiem.

Ellen i Chatterton przyплыли za mną.

– Nie uda nam się wyciągnąć go – stwierdziłem. Na pewno jacht można było uratować, ale my nie mieliśmy potrzebnego do tej operacji sprzętu. – Musimy wezwać pomoc.

Ellen ostrożnie podciągnęła się i usiadła obok mnie. Nerwowo rozejrzała się dookoła. Bała się, że zobaczy gdzieś ciało Tesy'ego, ale nie było go nigdzie widać. Na wystającej z wody części pokładu pozostały jedynie ślady krwi.

– Co robimy? – spytała Ellen.

– Najpierw musimy znaleźć świeżą wodę i jedzenie, a potem jakoś się stąd wydostać. – Starałem się, by mój głos brzmiał optymistycznie, lecz nie poprawiło to humorów Ellen i Chattertona. Ześliznąłem się w dół i popłynąłem w stronę rufy. Woda była zadziwiająco przejrzysta. Widziałem leżącego na piaszczystym dnie uzi. Obok niego tkwiły zwoje odciętych fałów, które Rickie wyrzucił za burtę.

Otwierając schowek, w którym przedtem znajdował się sprzęt do nurkowania, spłoszyłem jakąś płaszczkę. W schowku zostały jedynie stare maski, których używaliśmy z Tesym, aby sprawdzić, czy kotwica dobrze trzyma się dna. Wyciągnąłem jedną z masek i włożyłem ją.

Podpłynąłem do zatopionej zejściówki, wziąłem głęboki oddech i zanurkowałem. Wewnątrz jachtu było czarno jak w Hadesie. Straciłem orientację i wpadłem w panikę. Miotąłem się, próbując trafić do wyjścia, ręką uderzyłem o kant kuchenki. Dopiero po chwili zacząłem odróżniać przyćmione, zielonkawe światło dochodzące z kierunku, gdzie znajdowały się schodki zejściówki. Rzuciłem się w tą stronę. Czułem ból w płucach. Wypłynąłem na powierzchnię i z ulgą odetchnąłem.

Ellen wzięła drugą maskę, zaczerpnęła tchu i z elegancją zeszła pod wodę. Popłynąłem za nią niezdarne i ociężale. Tym razem podniosłem pokrywę luku, wpuszczając do środka więcej światła. Zszedłem niżej. Ellen otwierała już szafki spiżarni. Bąbelki powietrza, które wypuściła, mieszały się z unoszącymi się wokół płatkami kukurydzianymi. Wzięła dwie wody perrier. Usunąłem się z przejścia, nie chcąc jej przeszkadzać.

Usiedliśmy we trójkę na nadburciu i zjedliśmy prowizoryczne śniadanie, popijając je wodą. Potem popłynąłem na rufę i pociągnąłem ściąg więzi otwierający tratwę ratunkową. Pomarańczowa kopuła zaczęła się automatycznie rozkładać. Na tratwie były żelazne porcje żywnościowe i dwie płaskie butelki z wodą o gorzkim smaku. Na szczęście dla nas tratwa wyposażona też była w nadajnik radiowy wysyłający dane dotyczące pozycji. Sweetman i Rickie zapomnieli o nim, a może nie wiedzieli, że coś takiego istnieje. Wyciągnąłem antenę urządzenia i po prostu wrzuciłem je do wody. Unosiło się na powierzchni, wysyłając sygnały do jakiegokolwiek satelity.

– W ciągu pięciu minut straż przybrzeżna w Nassau będzie знаła nasze położenie. Być może zaczną przypuszczać, że sygnał nadano przypadkowo, ale na pewno to sprawdzą.

Dwie godziny później, kiedy wciąż czekaliśmy na mającą nadejść pomoc, Ellen przypomniała sobie o swoich notatkach.

– Muszę je wydostać – nalegała.

Wiedziałem, że trzymała je w kabinie na rufie, ale nie mogłem pozwolić, aby ryzykowała życiem, próbując się tam dostać. Usiłowałem wyperswadować jej ten



pomysł mówiąc, że notatki i tak już pewnie przemokły i nie będzie ich można odczytać.

– Masz mnie za idiotkę? Zawsze trzymam je w wodoodpornej walizce – powiedziała ze swą dawną uszczypliwością, ale nawet ona zdawała sobie sprawę z tego, że dopłynięcie do kabiny rufowej było niemożliwe. zaproponowała, żebyśmy wybili okno w kajucie.

– Trzeba mieć coś ciężkiego, żeby to zrobić – powiedziałem niepewnie. Przypomniały mi się cęgi, którymi Rickie poprzecinał fały. Włożyłem je do dużej bakisty w kokpicie. Jeszcze raz założyłem maskę i zanurkowałem. Mocno szarpnąłem klapę schowka.

Wypląnął stamtąd Tesy.

Zachłysnąłem się wodą i rozpaczliwie machając nogami wydostałem się na powierzchnię. Starałem się opanować. Podo mną ciało Tesy'ego powoli unosiło się ku powierzchni. Morska woda wymyła ranę w czaszce chłopca, nie zostawiając nawet śladu krwi.

Ellen zaczęła krzyczeć.

W tym samym momencie nad naszymi głowami pojawił się helikopter straży przybrzeżnej. Nadajnik zadziałał. Niestety, na sprawiedliwość było już za późno. Dream Baby zniknęła.

Wyciągnęliśmy ciało Tesy'ego i notatki Ellen. Zdjąłem też podziurawioną kulami flagę i odlecieliśmy.

Tesy'ego pochowano na cmentarzu Straker's Cay, w pobliżu małego kościółka z czerwonym dachem i białą drewnianą dzwonnica. Wielkie okna w niebieskich ścianach zasłonięto palmowymi liśćmi. Po smołowanych belkach łążyły jaszczurki.

Wszystkie miejsca na ławkach były zajęte. Mieszkańcy wyspy tłoczyli się też pod ścianami i przy ołtarzu. Tylko ja i Ellen byliśmy biali. Wszyscy płakali. Śpiewaliśmy aż do zachrypnięcia. Potem Bonefish chciał zaśpiewać coś jeszcze i całe zgromadzenie znowu zaczęło kołysać się przód i w tył, nucąc. Odprowadzali w ten sposób Tesy'ego do lepszego świata, do świata, w którym żyje się wiecznie, do świata bez łez, smutku i grzechu, do świata szczęścia.

Kwiaty piętrzyły się przy trumnie. Kaznodzieja obiecywał wszystkim zmarłych wstanie. Zgromadzeni ludzie zaśpiewali „Alleluja” i zanieśliśmy trumnę na

piaszczysty cmentarz z malowanymi drewnianymi krzyżami i zwiędłymi kwiatami. Przyglądało nam się stadko kozłów. Z cmentarza rozciągał się widok na bezkresny ocean, który Tesy tak kochał. Jackson Chatterton pomagał nieść kwiaty. Bonefish prosił mnie, abym pomógł nieść trumnę. Wciąż zwracał się do mnie „sir”. Chłopiec miał pod głową podziurawioną kulami flagę Wavebreakera. To bandera, pod którą żeglował i z której był zawsze dumny.

Bonefish przemawiał przy grobie. Obiecywał, że spotkamy Tesalonika w błogosławionym świetle niebieskim. Prosił, byśmy nie płakali, gdyż jego syn połączył się właśnie z Jezusem. Wszystkie głosy znowu zaintonowały „Alleluja”. Zauważyłem Denise Harriman, która przybyła z Waszyngtonu, aby reprezentować senatora Crowninshielda na pogrzebie. Wydawała się skrepowana całą ceremonią.

Spuściliśmy trumnę do suchej ziemi i każdy rzucił na nią garść piasku. Potem pastor odczytał dwudziesty trzeci psalm, a ludzie składali kwiaty u stóp rosnącego powoli grobu. Senator przesłał naręczę białych lilii i kartę, w której wyrażał swój głęboki żal i przeproszał, iż nie mógł się stawić osobiście. Obiecywał, że wkrótce odwiedzi Straker's Cay i spróbuje wszystko jakoś wyjaśnić. Tak jakby było tu cokolwiek do wyjaśniania.

Bonefish i Sarah klęczeli przy grobie, płacząc i kołyszając się. Ukląkłem obok nich. Chciałem powiedzieć Bonefishowi, jak mi przykro, ale słowa nie przechodziły przez gardło. Promień słońca padł na moje skulone ramiona. Wtedy on objął mnie przez plecy i powiedział, że jest szczęśliwy, iż Tesy miał we mnie przyjaciela. Mówił, że dla jego syna byłem bohaterem. Nie mogłem powstrzymać łez. Słyszałem, jak morze rozbija fale o pobliską plażę i cieszyłem się, że Tesy'emu ten szum będzie towarzyszył przez całą wieczność, a według tego, w co wierzył chłopiec, do momentu, kiedy zmarli powstaną z grobów, aby spotkać Pana.

Ostatnie kwiaty ułożono na świeżo wzniesionym kopczyku. Nawet John Maggoverski, który niewiele znał Tesy'ego, przysłał wiązankę. Nie było nic od McIlvanneya i od właścicieli Cutwater Charters. McIlvanney wkurzył się, kiedy powiedziałem mu, co się stało z jachtem, i teraz użerał się pewnie z towarzystwami ubezpieczeniowymi. Dowiedziałem się, że Wavebreakera ściągano właśnie na przystań, ale już nie ja miałem na nim żeglować. Ellen również nie, gdyż McIlvanney zwolnił ją. Zamiast kwiatów, ten typ przysłał wezwanie do swojego

biura. Chciał, żebym podpisał jakieś papiery. Wyrzuciłem tę kartkę.

Po pogrzebie wszyscy udali się do domu Bonefisha, gdzie przez cały dzień mieli śpiewać. Ellen dyskretnie popchnęła mnie w przeciwną stronę.

– Chcę z tobą porozmawiać – powiedziała.

Nie widziałem jej od dnia, kiedy straż przybrzeżna zabrała nas z tamtej laguny. Zostałem zatrzymany na posterunku policji. Kiedy zwolniono mnie, poszedłem od razu do Bonefisha. Zobaczyliśmy się dopiero w dzień pogrzebu. Razem z Chattertonem przyплыła promem. W pierwszej chwili nie poznałem Ellen. W ciemnoczerwonej sukni wyglądała dziwnie obco i niezwykle pięknie.

Nie mieliśmy jednak okazji porozmawiać na osobności. Jackson Chatterton, domyślając się, że chcemy zostać sami, taktownie odszedł, ale kilka sekund później złapała nas Denise Harriman. Towarzyszył jej jakiś wysoki, krótko ostrzyżony mężczyzna, którego nie widziałem ani w kościele, ani później, na cmentarzu. Był w średnim wieku, miał opaloną twarz o ostrych rysach i czujne oczy.

– To jest pan Warren Smedley – przedstawiła go Denise Harriman. – Pan Smedley jest agentem DEA.

Smedley skłonił się lekko, ale nie wyciągnął ręki. Był oszczędny w ruchach i małowówny. Miał na sobie ciemnoniebieski garnitur, wykrochmaloną, białą koszulę i szary krawat.

– Senator prosił pana Smedleya, aby z wami porozmawiał – wyjaśniła Denise Harriman i przerwała czekając, aż Smedley coś powie, ale agent zapatrzył się na białe pasy piany na powierzchni wody. Zatrzymaliśmy się nad brzegiem morza. Ellen wzięła mnie z ręką i odciągnęła krok do tyłu.

– Czy wie pan, że Robin-Anne dzwoniła do biura swego ojca? – spytała Denise Harriman, chcąc przerwać krępującą ciszę.

– Nie – powiedziałem. – Czy chciała, aby ją zabrał do domu?

– Wprost przeciwnie. Zadzwoiła, aby poinformować, że ona i brat są cali i szczęśliwi i że nie zamierzają wracać. – Denise Harriman wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne – Nie chciała powiedzieć, gdzie się ukrywają. Głupie dzieciaki!

– Wszystko zostało zaplanowane – powiedziałem.

– Wiemy. – Zdawało się, że Denise Harriman nie jest tym zainteresowana, a może denerwowała ją obecność nachmurzonego i małowównego Warrena

Smedleya, który przysłuchiwał się naszej rozmowie milcząco.

– Sądzę, że Rickie zaproponował ten jachtowy odwyk, aby odzyskać swój paszport i dotrzeć do „przyjaciół” – stwierdziłem. – Nabrał nas wszystkich.

– A w szczególności senatora – potwierdziła Harriman sucho. Może uważała, że to co przeżyliśmy my, było niczym w porównaniu z cierpieniem senatora. – Senator Crowninshield zapłacił za syna pół miliona dolarów kaucji.

Ellen parsknęła z niechęcią. Pewnie porównała wysokość kaucji z sumami, jakie Crowninshield wydawał na swoją kampanię wyborczą.

– Przeklęty Rickie – powiedziałem szybko, zanim Ellen zdążyła wtrącić jakąś uwagę. Myślałem o tym, co stracił Bonefish. Czy to w ogóle można było porównywać?

Smedley zwrócił się nagle w moją stronę, jakby ostatnie słowa go zaintrygowały.

– Czy wie pan coś może, gdzie Rickie obecnie przebywa? – spytał nosowym głosem.

– Chyba jasne, że nie! – Denerwował mnie sposób, w jaki ten facet nas traktował.

– Prowadzimy poszukiwania dzieci senatora – Smedley nie zwrócił uwagi na moją złość – a chyba najlepszym tropem jest Jesse Sweetman. Co pan o nim wie?

Stwierdziłem tylko, że wiem, iż Sweetman jest Amerykaninem, pochodzi z Południa i że Rickie nazwał go swoim dostawcą.

– No i nieźle się ubiera – uzupełniła Ellen sarkastycznie.

Warren Smedley wyjął notes i zanim zadał następne pytanie, zanotował to wszystko.

Czy któreś z nas słyszało imiona zabitych na Wavebreakerze? Nie.

A Miguel? Czy moglibyśmy dorzucić jakieś szczegóły do opisu, jaki podaliśmy na policji? Nie. A Dream Baby?

– Jej nie można nie zauważyć – powiedziałem kwaśno. – To chyba najdziwaczniej pomalowana łódź na Bahamach!

Smedley pilnie zanotował: „najdziwaczniej pomalowana”. Zadawał zwykle

pytania. Czulem, że to tylko rutyna. Tak naprawdę nie spodziewałem się usłyszeć niczego nowego.

– Czy mogliby państwo dodać coś do zeznań złożonych na policji?

– Nie – stwierdziliśmy równocześnie. Oboje powiedzieliśmy już wszystko i przekopaliśmy się przez stosy fotografii, próbując zidentyfikować zastrzelonych mężczyzn. Ani my, ani Jackson Chatterton nie zdołaliśmy rozpoznać Miguela i dwóch pozostałych. Policja była najbardziej zainteresowana moimi zeznaniami i trzymano mnie na posterunku przez dwa dni. Byłem prawie pewny, że to sprawka Deacona Billingsleya. W każdej chwili spodziewałem się oskarżenia o morderstwo, ale nagle cała sprawa przycichła. Nikogo nie oskarżono, a policja uznała tych dwóch zabitych bandziorów za twór mojej wyobraźni, gdyż nie odnaleziono ciał i nie było żadnych zgłoszeń o zaginięciu. Sprawa morderstwa Tesy'ego trafiła do szuflady pod hasłem „sprawca nieznany”.

Wyglądało na to, że w lagunie Sea Rat Cay nic się nie zdarzyło. Nie interesowała się tym żadna gazeta. Dziennikarze nie dowiedzieli się, że na pokładzie jachtu były dzieci Crowninshielda, tak więc ambasadorowi oszczędzono wstydu i konieczności tłumaczenia się. Nie zginął żaden amerykański obywatel, więc gazety na kontynencie również nie wspominały o zatonięciu jachtu. Lokalna prasa zamieściła notatkę o śmierci nastolatka ze Straker's Cay, ale na Bahamach wielu młodych ludzi ginęło z rąk handlarzy narkotyków. Nie zwrócono nawet specjalnej uwagi na fakt, że było to morderstwo.

Cała sprawa przycichła. Wypuszczono mnie z aresztu i zwrócono wilgotny paszport, który wraz z innymi rzeczami wyłowiono z Wavebreakera. Stało się jasne, że senatorowi i jego asystentce ten brak zainteresowania był na rękę.

– Bylibyśmy wdzięczni, gdyby państwo nie rozgłaszali szczegółów tej sprawy. – Denise Harriman skierowała te słowa do mnie i do Ellen. – I tak dobrze się złożyło, że jak dotąd media nie zainteresowały się tą historią. I lepiej, żeby tak zostało do czasu, aż senator znajdzie jakieś wyjście z sytuacji. Mam nadzieję, że wyrażam się dość jasno?

– Całkowicie – powiedziałem ironicznie. – Chce pani po prostu, żebyśmy się zamknęli.

– Właśnie. – Denise Harriman nagrodziła moją domyślność zimnym uśmiechem.

– Niech mi pani powie prawdę, czy to dzięki senatorowi uwolniono mnie z aresztu? – Nagle zrozumiałem, że Crowninshield chciał za wszelką cenę uniknąć rozgłosu, bo wyczyny dzieci mogły go pozbawić prezydentury. Zastanawiałem się, jak zamierza to wszystko zatuszować. Na razie nie musiał się martwić. Szum w prasie zacząłby się dopiero wtedy, gdyby Rickie nie pojawił się na rozprawie.

Denise Harriman nie zamierzała mi niczego wyjaśniać. Spojrzała na zegarek i powiedziała coś o czekających ją obowiązkach. Powtórzyłem pytanie, ale Ellen przerwała mi mówiąc, że niepotrzebnie strzępię sobie język. Odpowiedź była przecież oczywista.

Asystentka senatora odwróciła się i sądziłem, że to już koniec rozmowy, ale Warren Smedley zaskoczył nas stwierdzeniem:

– Mam obowiązek ostrzec przed prawdopodobieństwem akcji odwetowej.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Co takiego? – Ellen zmarszczyła brwi.

– Możliwe, że współtowarzysze Jessy'ego Sweetmana zechcą pomścić śmierć swoich kolegów. Handel narkotykami prowadzą zwykle rodziny, które szcycą się tym, że zawsze biorą odwet za śmierć krewnych. Mój wydział może jedynie doradzić państwu opuszczenie wysp Bahama, na jakiś czas. Czy to jasne?

– Sądzi pan, że będą próbowali nas zabić? – Zrozumiałem ostrzeżenie Smedleya, ale wydawało mi się to kosmicznie nierealne.

– Dokładnie tak, panie Breakspear. I to nie będzie tylko zemsta. Wy jesteście jedynymi świadkami, którzy mogliby zeznawać w procesie o morderstwo. – Smedley wskazał na grób Tesy'ego.

Nie obawiałem się. DEA ostrzegało w podobny sposób wszystkich, którzy wplątali się nieopatrznie w sprawy związane z handlem narkotykami. Moim zdaniem Sweetman i Rickie zdobywszy to, na czym im zależało, nie pakowaliby się w nic więcej.

– Będę uważał – powiedziałem.

– Lepiej opuśćcie wyspy – poradził Smedley i poszedł sobie. Denise Harriman skinęła nam lodowato głową i podążyła za agentem. Byli siebie warci. Oboje agresywni i zimni.

– Niech się wypchają – rzuciła Ellen w stronę oddalającej się pary. – Czy nie masz wrażenia, że Tesy zginął na darmo? – Ellen położyła mi dłonie na ramionach i

oparła głowę o moją pierś. Jej włosy pachniały szamponem. – Och, Boże – odezwała się nagle – nigdy nie wiedziałam, że istnieje tyle pieśni żałobnych. – Dziewczyna rozplakała się. Przytuliłem ją mocno. Na cmentarzu Jackson Chatterton usiłował powstrzymać kozły od zjadania kwiatów z grobu Tesy'ego. Podszedł do niego Warren Smedley.

– Przejdziemy się? – wyszlochała Ellen. Wzięła mnie za rękę i poszliśmy wzdłuż brzegu małej laguny. – Myślisz, że naprawdę będą próbowali się na nas zemścić?

Wzruszyłem ramionami.

– Możliwe.

– I co zamierzasz zrobić?

– Nie wyjadę stąd. Muszę wyremontować łódź. – Nasz trzymiesięczny rejs nie doszedł do skutku, więc senatora nie obowiązywała zawarta umowa.

Milcząc doszliśmy aż do małego basenu powstałego w naturalnym zagłębieniu skały. Właśnie tutaj Tesy został ochrzczony. Dwie jaszczurki przyglądały nam się, siedząc na kamiennym brzegu tuż przy tafli wody. Uciekły, kiedy podeszliśmy bliżej.

– Powinnaś wyjechać – powiedziałem.

Ellen uśmiechnęła się.

– Ty męski szowinisto. Nigdy nie zdołam cię zmienić. Ty zostajesz, a ja mam uciekać?

– Ja nie brzydzę się używać przemocy.

– Ja też nie, zwłaszcza kiedy ktoś grozi mi gwałtem. Miałeś okazję przekonać się o tym – powiedziała ponuro. Puściła moją rękę i przykucnęła. Wrzuciła do basenu małą muszelkę, która wirując opadła na dno. – I tak miałam wyjechać z Freeport.

– Naprawdę? – Nie umiałem ukryć rozczarowania. Nie chciałem, aby strata Wavebreakera oznaczała koniec naszej przyjaźni.

– Stowarzyszenie zdecydowało, że ktoś musi przeprowadzić badania na Great Inagua, a ja naprawdę chciałabym to zrobić. Zresztą, tam będę bezpieczna.

– Nie spodoba ci się na Great Inagua – powiedziałem gwałtownie. – Tam są komary wielkie jak mewy.

Słyszac to porównanie, Ellen uśmiechnęła się.

– Mogę jeszcze pilnować jachtu Marge i Barry'go. – Marge i Barry Steinway byli profesorskim małżeństwem. Kiedyś wykładali na tym samym uniwersytecie co Ellen. Odchodząc na emeryturę, kupili sobie katamarana i nazwali go Addendum. Żeglowali nim teraz pomiędzy Florida Keys a archipelagiem Bahama. – Chcą odwiedzić swego wnuczka w Vermont – wyjaśniła Ellen, więc poprosili mnie, żebym popilnowała Addendum przez kilka tygodni. Zastanawiałam się nawet, czy nie podrzucić Marge katamaranem do Keys. To byłaby niezła praktyka, nie sądzisz?

– Praktyka przed naszym rejsem?

– A przed czym? – Ellen uśmiechnęła się do mnie. – Wiem, że jeszcze nie umiem posługiwać się sekstansem, ale mogę przecież używać loranu. To byłaby moja pierwsza samotna noc na morzu. Poza tym nikomu nie przyjdzie do głowy szukać mnie w Keys. – Zdawało mi się, że Ellen mówi tylko po to, by nie płakać. – Chociaż tak naprawdę, wolałabym znaleźć jakąś dobrze płatną pracę. Marge i Barry powiedzieli, że nie muszę się nimi przejmować, jeżeli dostanę jakąś propozycję. Katamaran i tak będzie bezpieczny w swojej przystani. Ale ja chciałabym udowodnić, że potrafię sama żeglować.

– Na pewno sobie poradzisz.

– Muszę wybrać między Addendum a Great Inagua. – Wstała i strzepnęła z dłoni małe kawałki muszelek.

– Mogłabyś zostać tutaj – powiedziałem z nadzieją.

Uśmiechnęła się tylko i zaczęła iść z powrotem w stronę cmentarza.

– Mogłabyś?

– Nie mam tu nic do roboty, Nick. – Wyciągnęła do mnie rękę. – A ty co zamierzasz?

– Zajmę się Masquerade.

Zmarszczyła brwi.

– A jeśli zaczną cię tu szukać?

– Będę ostrożny.

Z pasa startowego poderwał się samolot. Zabrał pewnie Denise Harriman i Warrena Smedleya. Przestraszone kozły przestały się na chwilę interesować grobem Tesy'ego.

– Gdzie się spotkamy przed naszą wyprawą?



– Miami? Fort Lauderdale? Key West? Napiszę do ciebie, jeżeli zostawisz mi adres.

– Kiedy wypłyniemy?

– Gdzieś pod koniec września, może w październiku.

Zatrzymała się. Położyła mi na policzkach ciepłe, suche dłonie.

– No to, Nick, uważaj na siebie.

– Będę.

– Naprawdę uważaj. Przecież mamy żeglować razem przez całą wieczność i jeszcze jeden dzień. – Uśmiechnęła się, a ja nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo ją kocham. Odpływała promem jeszcze tego samego wieczoru.

– Ty też na siebie uważaj – powiedziałem.

– Dobrze. – Opuściła ręce.

Jackson Chatterton szedł w naszą stronę.

– Chyba lepiej będzie, jeśli przyłączymy się do śpiewających.

I tak zrobiliśmy.

# Cześć 3

**K**iedy odprowadzałem Ellen i Chattertona na prom, u Bonefisha wciąż jeszcze rozbrzmiewały żałobne pieśni. Na molo czekała już gromadka ludzi. Zatoka była zbyt płytka, aby prom mógł podплыnąć do nadbrzeża. Pasażerów i ładunek zabierano czerwoną motorówką, która stała teraz przycumowana do niebezpiecznie wąskiej, żelaznej drabinki na końcu mola. Jedną z atrakcji podróży na Straker's Cay była wspinaczka po rdzewiejących szczeblach.

Przybyliśmy na molo, kiedy już zmierzało. Prom jeszcze nie przyплыł, ale to nic niezwykłego. Wielogodzinne opóźnienia były tu na porządku dziennym. Czas oczekiwania umilało się rozmowami z wyspiarzami albo sącząc ciepłą colę w małej chatce krytej palmowymi liśćmi.

- Nie musisz czekać – powiedziała Ellen.
- Chcę zaczekać.
- Nie, proszę.

Nie chciała, żebym czekał, bo nie mogła być ze mną sama. W obecności tylu osób nie dało się spokojnie porozmawiać. Pożegnałem się więc z Chattertonem, który wracał do swojej kliniki w Ameryce, i pocałowałem Ellen na do widzenia.

- Głupio mi, że tak się to wszystko skończyło – powiedziałem.
- Pomyśl o tym, jak skończyło się to dla Tesy'ego. – Ellen znowu miała łzy w oczach. Objęła mnie. – Mam nadzieję, że wzięłam jakieś spodnie – powiedziała nagle. – Najadłabym się wstydu, schodząc po tej drabince w sukience.

- Ale jaki to byłby widok dla pozostałych – zaśmiałem się i przytuliłem ją mocniej. Poradziłem Ellen, żeby zrezygnowała z Great Inagua i popłynęła Addendum do Florida Keys.

- Pewnie tak zrobię – pociągnęła nosem.
- Jeszcze raz uściśnąłem dłoń Chattertonowi.
- Bezpiecznej podróży – powiedziałem do olbrzyma. – I opiekuj się Ellen.
  - Dobra, Nick.

Samotnie wróciłem do mojej Masquerade. Noc była jasna i gwieździsta. W domu Bonefisha paliły się naftowe lampy. Wciąż jeszcze śpiewano pieśni. Chciałem być sam, poszedłem więc na przechadzkę dookoła domu. W zaroślach usłyszałem jakiś hałas, tak jakby ktoś zwałisty pędził prosto na mnie. Z bijącym z przerażenia sercem odwróciłem się. To tylko jedna ze świń Bonefisha gnała spłoszona w kierunku światła.

Masquerade w ciemnościach wyglądała jak góra cienia. Niezdarnie wspiąłem się na drewnianą drabinkę i odśloniłem brezent, który i tak nie chronił łodzi przed gnieźdzącymi się w jej kokpicie kurami. Drewniane stemple podpierające jacht zaskrzypiały lekko, kiedy wszedłem na pokład.

W kabinie panował zaduch. Przeszedłem do kajuty na dziobie, którą tymczasowo przekształciłem w warsztat, i otworzyłem przedni luk, wpuszczając do środka świeżą, nocną bryzę. Zapaliłem świecę pod szklanym kloszem lampy naftowej. Małe migotliwe światelko zatańczyło na ścianach. Dziwnie było tak po prostu wrócić na swoją łódź. Kiedy zamykałem oczy i wsłuchiwałem się w szum fal, potrafiłem sobie wyobrazić, że Masquerade kołysze morze. Jakiś silniejszy podmuch wiatru przesunął jacht o milimetr, dopełniając tej doskonałej iluzji.

Na dźwięk buczących syren promu oznaczających jego przybycie, otworzyłem oczy. Przez otwarte drzwi zejściówki widziałem kołyszące się nade mną palmy. Cudowny sen o morzu skończył się. Otworzyłem szafkę nad zlewem i wyjąłem stamtąd butelkę ciepłego piwa. To i puszka ciasta, które zostały jeszcze z Bożego Narodzenia, musiało mi wystarczyć na kolację.

Wewnątrz jachtu wciąż jeszcze było straszliwie gorąco. Czuję, jak kropelki potu spływają mi po plecach. Pomyślałem, że przed zaśnięciem muszę znowu zasłonić wejście. Chwilę później zapomniałem o piekielnym zaduchu. Łódź znowu się poruszyła, ale tym razem to nie był wiatr. Ktoś wszedł na drabinkę.

Znieruchomiałem. Słyszałem wyraźnie, jak ktoś wspina się po grubo ciosanych szczeblach.

– Kto tam? – zawołałem.

Odpowiedziało mi jedynie skrzywienie drabiny. Mój gość wszedł do kokpitu.

– Kto tam? – powtórzyłem i znowu nikt mi nie odpowiedział.

Przypomniały mi się słowa Smedleya. Zacząłem grzebać w schowku, szukając starego webleya, ale nawet gdybym go znalazł, nie zdążyłbym wypłatać go z plastikowej taśmy, w którą był owinięty. Czułem, jak w skroniach pulsuje mi krew. Zastanawiałem się, czy te łajdaki znalazły już Ellen. Byłem zły na siebie. Nie powinienem tak jej zostawiać.

Znalazłem pistolet. Intruz stał już w drzwiach zejściówki, zasłaniając gwiazdy i patrząc na mnie. Nogi się pode mną ugięły. Wypuściłem z ręki webleya. Wpadł z powrotem do schowka.

– Nie chciałam wracać do domu – wyjaśnił mój gość. Suknia koloru ciemnoczerwonego wina opływała łagodnie jej sylwetkę. Objąłem Ellen i pocałowałem. Bardzo się cieszyłem, że została.

– Już nie jestem kuchcią? – spytała szeptem.

– Nie, nie jesteś.

– Jak tu gorąco.

– Tak.

Suknia spłynęła na podłogę kabiny. Zdmuchnąłem świecę.

Rano znalazłem Ellen nad brzegiem laguny. Siedziała, obejmując rękami kolana i patrząc w morze. Płomienne włosy zwinęła w kok. Miała na sobie moje stare szorty i koszulkę, która wisiała na niej jak żagiel przy bezwietrznej pogodzie, ale nawet ten strój nie szkodził jej urodzie. Uśmiechnąłem się do Ellen nieśmiało. Odpowiedziała mi również uśmiechem. Widziałem, że nie ma ochoty na rozmowę. Wzięła moją dłoń i lekko ją pocałowała.

Na spirytusowej kuchence zagotowałem wodę na kawę. Na śniadanie mieliśmy ciasto owocowe z puszki. Śnieżnobiałe czaple wystartowały do lotu.

– Czy są tutaj flamingi? – Ellen przerwała ciszę.

- Nigdy ich nie widziałem.
- O czym myślałeś, kiedy zabijałeś tamtych facetów na Wavebreakerze? – spytała nagle poważnym tonem.

Dlaczego właśnie teraz o to pytała?

- Byłem zbyt przerażony, żeby myśleć o czymkolwiek.
- Przerażony? – Miała minę, jakby mi nie dowierzała.
- Bałem się i było mi niedobrze. Jeżeli chodzi o postępowanie z takimi ty-pami, nie mam żadnego doświadczenia. – Powiedziałem to lekko, ale nocami budziłem się zlanym potem. Co by się stało, gdybym nie złapał tego uzi i nie zastrzelił dwóch zbirów? Śniły mi się koszmary. Dręczyło mnie przeświadczenie, że gdybym zastrzelił najpierw drugiego faceta, Tesy nadal by żył.

- Największą zaletą żołnierza – stwierdziłem ponuro – jest brak wyobraźni.

Moja wyobraźnia działała sprawnie. Wiedziałem, co mogłoby się stać, gdyby Sweetman albo jego przyjaciele nas znaleźli, więc zaraz po śniadaniu odwinąłem z taśmy webleya i wyczyściłem go. Wsadziłem pistolet do kieszeni spodenek, ale świadomość, że śmiesznie wyglądam z taką wypchaną kieszenią, skłoniła mnie do wyjęcia broni i ukrycia jej na Masquerade.

Resztę popołudnia spędziłem z Bonefishem. Nie robiliśmy nic szczególnego. Nawet nie rozmawialiśmy o Tesym. Próbowaliśmy naprawić stary silnik. Obiecałem Bonefishowi, że napiszę do kilku naszych dawnych klientów i zapytam, czy nie posiadają jakichś fotografii Tesy'ego, gdyż jedyne zdjęcie, które miał Bonefish, zostało zrobione, gdy chłopak liczył sobie osiem lat. Ellen zauważyła, że podobnie wyglądał jako siedemnastolatek.

Spędziliśmy razem z Ellen bardzo przyjemny weekend. Trochę pracowałem przy Masquerade, ale przez większość czasu chodziliśmy na spacer, pływaliśmy i rozmawialiśmy. Najwspanialszym dniem okazała się niedziela. Nazajutrz Ellen miała wyjechać. Wzięliśmy skifa Bonefisha i popłynęliśmy na jedną z bezludnych wysepek. Wokół nie było nic prócz morza, palm, ptaków i jaszczurek. Pływaliśmy nago w lagunie. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek będę jeszcze tak szczęśliwy, a potem uświadomiłem sobie, że przecież podczas rejsu na Masquerade nasze życie będzie wyglądało podobnie: palmy, plaże i zapomniane wyspy.

Wysuszyło nas słońce. Rozmawialiśmy o jakichś głupich rzeczach, tak jak to

zwykle robią zakochani. Byliśmy zaskoczeni własnym szczęściem i przeświadczeni, że nikt przed nami nie doznał takiego uczucia. Przypomniałem sobie, jak Robin-Anne opowiadała, że przyjemność powstaje zwyczajnie i zupełnie nieromantycznie pod wpływem wydzielanych substancji chemicznych. Przypuszczam, że również o miłości można powiedzieć, iż jest koktajlem instynktów i testosteronu, ale ja w to nie wierzyłem. To właśnie było szczęście o smaku nieba. Nie wiedziałem, dlaczego kocham Ellen. Uważałem część jej poglądów za szalone, a ona prawdopodobnie myślała to samo o moich. Jednak potrafiłiśmy razem się śmiać i zależało nam na wspólnych smach, nadziejach i życiu.

Ellen zabrała na naszą wyspę książkę, ale była zbyt szczęśliwa i rozleniwiona, by ją czytać.

– „Feministyczno-symboliczne postrzeganie Goethego” – przeczytałem na głos tytuł. – O rany, kobieto!

– Nie będzie ci się podobała – powiedziała leniwie Ellen – nie ma w niej obrazków.

– Możesz mi kupić wersję komiksową. – Przerzucałem kartki książki, zatrzymując się tam, gdzie Ellen zrobiła na marginesie jakieś notatki. Nota na okładce głosiła, iż autor jest pracownikiem Wydziału Studiów Kobięcych na Uniwersytecie Kalifornijskim.

– Dlaczego nie ma wydziału studiów męskich? – spytałem.

– Badanie bezmózgich brutalni pozostawiamy studiom behawiorystyki zwierzęcej. – Ellen aż podskoczyła, ciesząc się ze swego małego zwycięstwa. – Czy chciałbyś, żeby cię przestudiowano? – zapytała.

– Nie.

– Ale ja cię właśnie studiuję. – Ellen odwróciła się na brzuch. Wciąż byliśmy nadzy. Do ciepłej skóry przyklejały się ziarenka piasku.

– I czego się o mnie dowiedziałaś?

– Tego, jak bardzo twardzielowi Nickowi zależy na uznaniu i miłości – wygłosiła swój werdykt, a potem musnęła palcami moją twarz. – Co się stało z innymi dziewczynami?

– Jakimi innymi?

Westchnęła i przewróciła się z powrotem na plecy.

– Czyżbyś pozostał jedynym marynarzem prawiczkim?

Zaśmiałem się.

– Niektóre były niezłe, inne takie sobie, a jeszcze inne chciały po prostu poznać mojego ojca.

– Tak więc nauczyłeś się nie ufać kobietom?

– Może... Niektórym zależało na tym, abym był bardziej ambitny. Jedna nawet stwierdziła, że nie wyjdzie za mnie, dopóki nie zostanę oficerem.

– I dlaczego nie zostałeś oficerem?

– Ponieważ tego oczekiwano by od syna Toma Breakspare'a.

– A-ha! – zawołała tryumfalnie Ellen. – A więc zaciągnąłeś się do marynarki tylko po to, by rozzłościć swego ojca! Chciałeś, aby zwrócił na ciebie uwagę. Czy ignorował cię, kiedy byłeś mały?

– Nie bardziej niż cokolwiek czy kogokolwiek innego – powiedziałem. – Na niebie mego ojca błyszczą tylko jedna gwiazda.

– Biedny Nick.

– Nie, nie potrzebowałem litości. W końcu przecież wzrastałem w bogatej rodzinie. Mieszkałem w wielu wspaniałych domach – od angielskich posiadłości, po francuskie zamki i rezydencję w Beverly Hills. Jeszcze pamiętam samotne godziny spędzone w labiryncie marmurowych korytarzy, wśród fontann i basenów. Pamiętam przytłumiony śmiech służby w pokojach nad garażami. Kiedyś, gdy miałem osiem lat, mój ojciec wykupił cały sklep z zabawkami i kazał je przewieźć do rezydencji. Wszystkie te zabawki wrzuciłem do basenu, aż wypełnił się kolejkami elektrycznymi, misiami, klockami, strojami kowbojskimi, rowerkami i domkami dla lalek. Ojciec powinien mnie zbić na kwaśne jabłko.

– Och, Nick. – Ellen rozkroiła mango i podała mi kawałek. – Myślę, że polubiłabym twojego ojca.

– Polubiłabyś go, gdyby on tego zechciał. Potrafi być taki, jakim chcesz go widzieć. Jeżeli zależy ci, aby był skromnym, uprzejmym, wykształconym erudytą, to właśnie taki będzie. Nigdy nie uwierzyłabyś, że pieprzy wszystko, co się rusza, niezależnie od płci, i że jego mózg to szambo.

– Ale go kochasz.

– Tak.

– I jesteś jego ukochanym dzieckiem? – Zabrzmiało to nieco mniej pewnie niż jej poprzednie stwierdzenie, ale była to prawda.



– Pewnie tak– przyznałem i patrzyłem, jak Ellen, zadowolona z rezultatów przesłuchania, leżała z zamkniętymi oczami. – A jak to było z tobą?

– Co ze mną?

– Kim byli twoi kochankowie?

To dziwne pytanie podyktowane zostało przez zazdrość, ale Ellen chyba nie uważała, że źle robię, zadając je.

– Akademy i aktywiści – wzruszyła ramionami, tak jakby żaden z nich nie miał dla niej żadnego znaczenia. – Powtarzali mi, że nie kieruje nimi zwierzęce pożądanie, że chcą ze mną współpracować, wspólnie badać kosmos, ale jedynym, na czym im zależało, było pieprzenie.

– Nie możesz ich za to winić.

Ellen odwróciła się do mnie i spojrzała surowo. Sądziłem, że za chwilę zostaną ochrzaniony za brak powagi, ale ona tylko uśmiechnęła się.

– Biedny sir Tom – westchnęła.

– Masz na myśli to, że ma mnie za syna?

– Nie, to że właśnie ciebie nie ma – sprostowała i przyciągnęła moją twarz ku swojej.

Drobne fale marszczyły piasek. Wiał ciepły wiatr. Na świecie panował pokój. We mnie – miłość.

Wróciliśmy na Masquerade. Na kolację usmażyliśmy sobie świeżo złowioną rybę. Kiedy płynęliśmy na tamtą opuszczoną plażę, nie zabrałem webleya, za to teraz trzymałem go cały czas przy sobie. Ellen denerwował widok broni. Mówiła, że nie jest nam potrzebna.

– Ten facet, Smedley, nie twierdził, że Sweetman i jego kolesie zemszczą się. Wspominał tylko, że istnieje taka możliwość. Sądzę, że gdyby naprawdę chcieli nas zabić, to już by to zrobili.

Jednak ja wciąż byłem niespokojny. Nie miałem teraz tyle pewności siebie, co wtedy, gdy Smedley nas ostrzegał. Na Straker's Cay czułem się bezpiecznie. Mieszkańcy wyspy natychmiast zawiadomiliby nas, gdyby pojawił się jakiś obcy. Z pewnością właśnie to komfortowe poczucie bezpieczeństwa sprawiło, że Ellen odzyskała pewność siebie. Trochę mnie to martwiło, tym bardziej że chciała na jutro koniecznie wracać do Freeport. Po kolacji przekonywałem ją, że powinna pozostać na Straker's Cay.

– Nie mam tu nic do roboty, Nick – potrząsnęła głową. – Nie chciałabym się czuć jak pasożyt.

– Mogę cię nauczyć stolarki.

– Serdeczne dzięki, ale nie. – Rozśmieszyła ją sama myśl, że wywija piłą albo dłutem. – Dam sobie radę – zapewniła. – Pożegłuję Addendum do Keys i zaszyję się tam. Nikt mnie nie znajdzie.

– To pozwól przynajmniej, żebym odstawił cię na to Addendum – nalegałem.

Spojrzała na mnie. Blask bijący od ogniska rzucał na jej twarz cudowne cienie.

– Nie potrzebuję opiekunki, Nicholasie Breakspearze. – Zawsze używała mego pełnego imienia, kiedy miała do mnie o coś pretensję. Do głównych męskich grzechów zaliczała się, według Ellen, nadopiekuńczość.

– Chcę tylko, abyś była bezpieczna – tłumaczyłem.

– Pozwól, że sama będę się martwiła o swoje bezpieczeństwo – stwierdziła opryskliwie. – Odpłynę stąd na bezpiecznie zatłoczonym promie, bezpiecznie się spakuję, bezpiecznie pożegnam ze stowarzyszeniem i bezpiecznie zniknę na Addendum. Czy mój bezpieczny plan zyskuje twą aprobatę?

– Jednak wolałbym upewnić się osobiście, że wszystko jest w porządku – upierałem się.

– Po co miałbyś jechać do Freeport. – Ellen pochyliła się, aby dolożyć do ognia. – Nie jestem trzęsącą się przed wszystkim małą kobietką, która potrzebuje opieki.

Była nieugięta. Nie zdołałem jej przekonać, więc wieczorem poszedłem do wioski i bez wiedzy Ellen zadzwoniłem do Maggota. Co prawda wiedziałem, że szanse dodzwonienia się do niego są takie same, jak szanse wysłania wiadomości do jakichś istot, które istnieją, albo i nie, gdzieś w odległych galaktykach. Cały system telefoniczny był straszliwą mieszaniną starych aparatów, światłowodów, przestarzałych central i łączy krótkofalowych. Trzeba było mieć niesamowite szczęście, aby chociaż dwie z tych rzeczy ze sobą współdziałały. Jednakże tym razem los okazał się dla mnie łaskawy i cały system działał cudownie sprawnie. Maggot akurat był w domu. Poprosiłem go o przysługę, a on zgodził się.

– Tylko nie mów nic Ellen – przestrzegłem go.

- Ani słowa – obiecał.

Oznaczało to, że Ellen, czy jej się to podobało, czy nie, miała zapewnioną opiekę.

Tej nocy źle spałem. Najpierw śniły mi się zwłoki Tesy'ego objijające się o klapę schowka na zatopionym jachcie, a potem buty umierającego mężczyzny wystukujące o pokład śmiertelny rytm.

Spałem tak niespokojnie, że obudziłem Ellen. Leżeliśmy cicho, wsłuchując się w fale załamujące swój bieg na rafie wokół laguny i w szum liści palm kołyszących się ponad Masquerade.

- Nie chciałbym, aby Tesy zginął na darmo – odezwałem się w końcu.
- Czy śniłeś o zemście, mój szlachetny i naiwny Nicku?
- Tak.

Przesunęła dłonią po mojej piersi.

- Zostaw to policji.
- Policja nic tutaj nie zdziała. Wszyscy są przekupieni.
- Co więc zamierzasz zrobić? – spytała kpiąco. – Zabawić się w kowboja? „Nick w samo południe”? Morska wersja westernu? Skończysz tak jak Tesy. Zostanie po tobie kupka brudnego piachu na cmentarzu.

– Nie mów tak – zaprotestowałem. – Tesy jest w niebie. Nie musi tam czytać ponurych mądrości jakichś proroków. Codziennie rano dostaje smażony chleb z bananami i może żeglować wspaniałym jachtem przez całe dni, ma mnóstwo przyjaciół, i opowiada o pewnej fajnej parze – o Nicku i Ellen – którzy pewnego dnia do niego dołączą.

Ellen zaśmiała się i pocałowała mnie. Jej ciepła łza spadła na mój policzek.

- Co zrobisz? – spytała cicho.
- Nic. – Nawet nie wiedziałem, gdzie szukać Sweetmana.
- To dobrze. – Ellen położyła głowę przy moim ramieniu. – Teraz śpij.

Obudziłem się zmęczony. Po śniadaniu zabrałem się do remontu Masquerade. Ellen czytała książkę w cieniu kadłuba. Jej prom odpływał dopiero wieczorem. W południe przyleciał Maggot. Ellen na widok brudnego samolotu zmarszczyła brwi.

– Czy mi się zdaje, czy to przyleciała ta kreatura?  
– Maggot? – starałem się, by mój głos brzmiał niewinnie. – Maggot to fajny gość.

– Jak na robaka – powiedziała Ellen – to niezła z niego glista.

Dwadzieścia minut później Maggot wszedł na podwórze Bonefisha. Wyglądał tak zwyczajnie i niewinnie, jak każdy facet ubrany w jaskrawą, hawajską koszulę. Udawał, że wpadł tak sobie, pogadać ze mną. Na widok Ellen zrobił zdziwioną minę. Nie mógł powstrzymać się od złośliwego uśmiešku.

– Jak się bawimy? – spytał Ellen.

Ellen uśmiechnęła się lodowato.

– Na pewno macie sobie wiele do powiedzenia, więc was zostawiam. Możecie sobie urządzić sesję chrząkania. – Z trzaskiem zamknęła książkę i wstała. Zatrzymała ją moje słowa. Udałem, że wpadłem nagle na wspaniały pomysł.

– Lecisz z powrotem do Freeport? – spytałem Maggota, wiedząc oczywiście, że leci.

– Pewnie, Nick. – Chyba trochę przesadził z tym udawaniem, ale na szczęście Ellen nic nie zauważyła.

– Ellen, po co masz płynąć promem? Znacznie szybciej dostaniesz się do domu, jeżeli polecisz z Maggotem. I trochę zaoszczędzisz. Wyświadczysz mi tę przysługę, John? – zwróciłem się do Maggota.

– Ma to u mnie całkowicie gratis – stwierdził tak, jak wcześniej uzgodniliśmy. Miał nie tylko odstawić Ellen do Freeport, ale także zawieźć ją z lotniska do domu, a potem z jej mieszkania na Addendum. Czy chciała tego, czy też nie, miała zapewnioną opiekę, chociaż nie byłem pewien, czy kiedy już doleczą do Freeport, pozwoli Maggotowi wozić się po wyspie. To było jednak wszystko, co mogłem zrobić.

Wciąż wahała się, czy przyjąć ofertę Maggota. Byłem prawie pewien, że się zgodzi. Nienawidziła promów. Samolot był znacznie wygodniejszy. Jej długie wahanie świadczyło o tym, jak bardzo nie lubiła Maggota. W końcu jednak skinęła głową, a nawet mu podziękowała.

– To bardzo miło z pana strony, panie Maggovertski.

– Cała przyjemność jest po mojej stronie, złotko. Czy godzinka wystarczy ci na przygotowanie się?

To „złotko” zmroziło Ellen.

– Oczywiście, że tak, panie Maggovertski – potwierdziła chłodno.

Maggot podrapał się w brodę.

– Mów mi Maggot, jak wszyscy.

– Ja nie jestem wszyscy, panie Maggovertski – powiedziała Ellen i poszła się przygotować.

Maggot obserwował ją. Kiedy już nie mogła nas słyszeć, powiedział z zazdrością:

– Ty szczęściarzu, jeszcze nigdy nie widziałem, żeby wyglądała tak wspa-  
niale! – Wyjął papierosa zza ucha i zapalił go. – Teraz widać, czego jej naprawdę  
było potrzeba. Może i ona jest tym profesorem, ale baba to baba. Nawet tytuł jej nie  
zmieni.

Czasami w zupełności zgadzałem się z tym, co Ellen mówiła na temat Maggota,  
ale i tak byłem mu wdzięczny za to, że mi pomagał. Nie zwracałem uwagi na jego  
grubiaństwo. Podziękowałem mu.

– Kurczę, Nick. To dla mnie frajda. Naprawdę sądzisz, że grozi wam niebez-  
pieczeństwo? – spytał sceptycznie. Przez telefon powiedziałem mu o tym, że Swe-  
etman może szukać zemsty. Według mnie Ellen znajdowała się w niebezpieczeń-  
stwie. Maggot, chociaż nie wierzył mi, był na tyle taktowny, że nie szydził z moich  
przypuszczeń. Chciał wiedzieć dokładnie, co się wydarzyło na Sea Rat Cay. Zmusił  
mnie, bym opowiedział mu całą historię.

– Czy widziałeś już kiedyś Dream Baby? – spytałem, kiedy zdałem mu relację  
z wydarzeń na Wavebreakerze. Sądziłem, że mógł ją kiedyś widzieć.

– Zapamiętałbym taką łódź, Nick – pokręcił przecząco głową.

– Jesteś pewien?

– Przecież nie zapomniałbym pstrokatej motorowej o nazwie Dream Baby.  
Czy to ma jakieś znaczenie.

– Chciałbym po prostu wiedzieć, gdzie się ukrywają?

Maggot klepnął mnie w ramię. Miałem wrażenie, że przez plecy przejechał mi  
spychacz.

– Nie staraj się dowiedzieć, gdzie oni są, lepiej zrób wszystko, aby nie do-  
wiedzieli się, gdzie ty jesteś.

Jakąś godzinę później odprowadzałem Ellen i Maggota. Samolot smażył się w  
skwierczącym upale. Wyglądał okropnie – poplamiony olejem i brudny. Ellen  
wzdrygnęła się na jego widok.

- Czy TO jest bezpieczne? – spytała.
- Jasne – odpowiedział Maggot – chociaż z drugiej strony, nigdy nie można przewidzieć, co jest bezpieczne, a co nie. Czyż nie tak? Pamiętam, kotku, jak ci frajerzy z New Orleans chcieli wykorzystać swoją przewagę, ale wiesz, te kozły nie potrafiły nawet pierdnąć porządnie, no i...
- Maggot, zamknij się – jęknąłem.
- No tak, na nas już chyba czas. – Wspiął się na skrzydło samolotu i otworzył drzwiczki. Pomógł Ellen wejść do środka. Nie chciała pocałować mnie przy Maggotcie, ale uśmiechnęła się, kiedy nie widział, i ucałowała powietrze.
- Napiszę do ciebie z Florydy! – zawołała.
- Jak najszybciej! Będę czekał – odkrzyknąłem.

Maggot włączył silniki. Ruch śmigła wzbili w powietrze tumany kurzu i żdźbła trawy. Cofnąłem się, kiedy samolot ruszył. Sunął coraz szybciej po pasie startowym, aż w końcu gładko wzbili się w powietrze. Patrzyłem, jak samolot zmniejsza się do rozmiarów plamki na północnym niebie, a potem znika. Zostałem sam.

Jak się później okazało, miałem powód, by jechać do Freeport. Był na tyle dobry, że Ellen nie mogłaby mieć nic przeciwko temu, abym jej towarzyszył.

Po tym jak pożegnałem Ellen i Maggota, poszedłem na pocztę mieszczącą się w czymś w rodzaju kurnika. Czekał tam na mnie list z przystani McIllvanneya. Jego sekretarka – Stella – przepraszała, iż nie przesłała jeszcze pieniędzy za rejs z proktologiem. McIllvanney nie zezwolił jej na jakiegokolwiek wypłaty do czasu, kiedy pojawią się na przystani i podpiszę wszystkie formularze ubezpieczeniowe wystawione na Wavebreakera.

Zakląłem ze złości. Powinienem domyślić się, że McIllvanney będzie kręcił z forszą, którą był mi winien. Poza tym, gdybym poszedł na pocztę wcześniej, mógłbym teraz lecieć z Ellen do Freeport, a tak musiałem zmarnować dzień i dwie noce na podróż promem.

Nie miałem jednak pieniędzy, więc musiałem wybrać się na przystań tego draba. Dwa dni później spuściłem się po żelaznej drabince na końcu mola do czerwonej motorówki, która zawiozła mnie na prom. W Nassau miałem przesiadkę. W czwartek rano byłem już we Freeport. Pojechałem autobusem na przystań. McIllvanney odcumowywał właśnie swój jacht motorowy. Najwidoczniej zamierzał

gdzieś wypłynąć, gdyż silniki Junkanoo pracowały. Na pokładzie jachtu piętrzyły się bagaże. McIlvanney miał gości, chyba że sam zmienił upodobania i woził swoje rzeczy w różowych torbach i lawendowych walizkach. Na szczycie tej kupy leżała rakietka tenisowa w lawendowym pokrowcu z inicjałem „D”. McIlvanney miał towarzyszkę. Tłumaczyło to niechęć, z jaką mnie przywitał.

- Czego, kurde, chcesz, Breakspear?
- Chciałeś, żebym coś tam podpisał, więc przyjechałem – wyjaśniłem.
- To przyjedź jeszcze raz, za tydzień, Wasza Świątobliwość.
- Co to, to nie. Przyjechałem tylko na jeden dzień i nie zamierzam zostawać tu dłużej. Wyślę ci nakaz zapłacenia forsy, którą jesteś mi winien.
- Czekaj, łajdaku!

Zaczekałem. Ponownie zacumował Junkanoo, wskoczył na pokład i zgasił silnik. W tym samym momencie drzwi kabiny otworzyły się i stanęła w nich wysoka, jasnowłosa dziewczyna, którą raz już spotkałem w apartamencie McIlvanneya. Wciąż miała na sobie niewiele więcej niż buty na wysokich obcasach. Poznała mnie i uśmiechnęła się.

- Nick! Jak miło znów cię widzieć! Co u ciebie?
- W porządku. A u ciebie? – odpowiedziałem, starając się przypomnieć, jak ma na imię. Pamiętałem jej ciało odziane w prawie nie istniejące bikini, ale imię po prostu wyleciało mi z pamięci.
- Nieźle, dziękuję – odparła ze szczerym entuzjazmem. – Naprawdę nieźle!

Wciąż szukałem w pamięci jej imienia. Jediną wskazówką była litera „D” na pokrowcu rakiety. Jak to było? Debbie? Dolly? Denise? Donna! Oczywiście!

- Cieszę się, że znowu się spotykamy, Donna.
- Przepraszam cię na małą chwileczkę, Nick – powiedziała takim tonem, jakby nasze spotkanie było najważniejszą rzeczą w jej życiu. Odwróciła się do McIlvanneya.

– Chciałam cię tylko uprzedzić, Matt, że wyłączyła się klimatyzacja, chyba powinieneś o tym wiedzieć.

– No pewnie, że się wyłączyła, ty głupia krowo! Przecież zgasilem silnik. A jak nie ma cholernego zasilania, to się wyłącza.

– Och, jaka jestem niemądra! Powinnam się była domyślić! – Znowu miałem okazję sprawdzić doskonały stan jej uzębienia. – Wejdiesz na pokład, Nick? Mamy szampana w chłodziarce.

– Nie, do cholery! On nie wejdzie na pokład, tylko pójdzie ze mną. – McIlvanney zeskoczył na pomost. – Zaczekaj tutaj na mnie – rzucił w stronę dziewczyny.

– Miło się z tobą rozmawiało, Nick – zawołała Donna, kiedy odchodziliśmy.

– Korzystasz z „inwentarza” własnej firmy? – spytałem, gdy oddaliliśmy się nieco.

– Ja ją tylko odstawiam! – uciął, zły, że się z niego nabijam. – Dostarczam tę cizię klientowi!

– Dobra, dobra! Ja przecież nic nie mówiłem! – oświadczyłem pojednawczo.

– Najpierw ją zawożę, a kiedy już klient nacieszy się tą głupią krową, to zabieram ją z powrotem. Żadnych prywatnych przyjemności, rozumiesz? – wypalił gotując się ze złości.

Przy pomocy kołysał się Starkisser. Na jego dziobie widniała namalowana przez Bellybuttona gwiazda. Sam Bellybutton jednym susem pokonał schody i skrył się w biurze. Odniosłem wrażenie, że chciał uniknąć spotkania ze mną.

Weszliśmy z McIlvanneyem tymi samymi schodami i kiedy otwieraliśmy drzwi do biura, Bellybutton właśnie kończył rozmawiać przez telefon. Skrzywienie, jakim mnie przywitał, niewiele przypominało uśmiech. Stella przygotowała już wszystkie papiery. Rozkładała je teraz na biurku McIlvanneya.

– Podpisz wszędzie tam, gdzie jest zaznaczone ołówkiem – zażądał McIlvanney. Bellybutton, wychodząc, jeszcze raz uśmiechnął się kpiąco i zniknął za drzwiami.

Zacząłem czytać dokument, który leżał na samym wierzchu.

– Na litość boską! – jęknął McIlvanney. – Zamierzasz wszystko czytać?

– Tak.

Mruknął coś pod nosem. Stella wysliznęła się z biura pod pretekstem kupienia mleka. Zostałem sam z McIlvanneyem, który patrzył ze złością w okno, podczas gdy ja brnąłem przez uwagi i podpunkty rozmaitych formularzy. Pomimo iż sporządzili je prawnicy, były całkiem jasno sformułowane. Dotyczyły rozmaitych



formalności: stwierdzenie stanu jachtu, sprawdzenie moich kwalifikacji i tak dalej.

- Słyszałem, że wyciągacie Wavebreakera – zwróciłem się do McIllvanneya.
- No.

Na niektórych dokumentach potrzebny był także jego podpis. Przez chwilę zdawało mi się, że nie ma ochoty udzielać mi dalszych wyjaśnień, ale chyba doszedł do wniosku, że w ten sposób zacznę szybciej składać podpisy.

- Mówią, że do jutrzejszego wieczora jacht będzie na wodzie.
- Byłbym wdzięczny, gdybyś odnalazł Biblię Tesy'ego i przesłał ją jego ojcu.

Sądziłem, że odmówi, ale on tylko skinął głową. Podpisane dokumenty wsunął do koperty. Na pokładzie Junkanoo Donna ćwiczyła aerobik. Taki widok niejednego mógłby przyprawić o zawał.

- Nie wiesz, co się dzieje z Ellen? – zapytał McIllvanney, adresując kopertę.

Przypuszczałem, że Ellen dopłynęła już Addendum do Florida Keys, ale nie miałem najmniejszego zamiaru mówić o tym McIllvanneyowi.

- A co, wyjechała? – spytałem naiwnie.

McIllvanney spojrział na mnie podejrzliwie.

– Tak, wyjechała na pogrzeb i od tamtego czasu nie pojawiła się. Wiem, bo chciałem do niej wpaść, ale nie było jej.

– Dlaczego nie zostawisz Ellen w spokoju? Ona nie jest do wynajęcia. Nie będzie jedną z twoich dziwek, odpuść sobie!

- To nie twój zasrany interes, dlaczego chcę się z nią spotkać i...

Dźwięk odbezpieczanej broni przerwał mu wyjaśnienia. Pierwszy raz widziałem, żeby McIllvanney tak zbladł. Patrzył w wylot lufy webleya 455, który rzeczywiście mógł robić wrażenie, głównie z powodu swych rozmiarów. Oczywiście, broń nie była naładowana, ale McIllvanney o tym nie wiedział. Krople potu wystąpiły mu na czoło.

- Ellen nie jest do wynajęcia – powtórzyłem wolno i wyraźnie.

– O, Jezu! – McIllvanney, wciąż bledy jak ściana, z przerażeniem patrzył na broń. – Po co to nosisz, idioto?

– Ponieważ paru kolesi może chcieć zemścić się za to, że zabiłem im dwóch kumpli. Taka mała rodzinna vendetta. Ale myślą się, jeżeli sądzą, że wykończenie mnie będzie łatwe.

Wyciągnięcie broni zza paska sprawiło mi ulgę, gdyż twardy metal uciskał mi

kręgosłup. Trzymałem pistolet oburącz, tak jakbym zamierzał wystrzelić McIlvanneyowi prosto w twarz.

– Ellen nie jest do wynajęcia – powiedziałem po raz trzeci. – Rozumiesz?

– Do diabła! Ja jej chciałem wyświadczyć przysługę! Ned Carraway potrzebuje kuka na swego Hobgoblina. Poprzednia dziewczyna dostała syfa albo coś podobnego i Ned zadzwonił do mnie z pytaniem, czy Ellen nie zastąpiłaby jej przez kilka dni.

Ned Carraway był właścicielem i szyprem wspaniałego jachtu Hobgoblin, trochę mniejszego niż Wavebreaker, ale za to tysiąc razy piękniejszego. Hobgoblin był drewniany. Nie posiadał tych wszystkich nowoczesnych urządzeń i wygod, i właśnie to było jego największą zaletą. Czysta przyjemność żeglugi drewnianym jachtem z pewnością wynagradzała pracę, jaką Ned i jego żona – Amerykanka – wkładali w utrzymanie jachtu i remonty kapryśnego silnika.

A więc Ned potrzebował kuka? Popatrzyłem na McIlvanneya, który wyczuł moje zmieszanie. Podsunął mi telefon.

– Jak mi nie wierzysz, to do niego zadzwoń!

Było mi głupio, opuściłem broń.

– Cholerny z ciebie pomylenieć! – krzyknął McIlvanney. Musiałem go nieźle wystraszyć, co było w pewnym sensie osiągnięciem, jeżeli nie brać pod uwagę tego, że czułem się jak idiota.

– Ellen ma pracę. Pilnuje jachtu przyjaciół – powiedziałem. – Tak więc nie wiem, czy będzie mogła pracować dla Neda. Jak się ze mną skontaktuje, to przekażę jej wiadomość.

– Ned już pewnie kogoś znalazł. Bardzo mu na tym zależało.

McIlvanney ze strachu zrobił się gadatliwy. W końcu patrzenie w lufę webleya nie należało do najprzyjemniejszych rzeczy pod słońcem.

Trzymałem pistolet w lewej ręce.

– Nie jest naładowany – stwierdziłem, tak jakby to mogło poprawić mu humor.

– Powinni cię zamknąć! Kto według ciebie zamierza się zemścić?

– Sweetman i ten drugi, Miguel. Ci, którzy byli na Dream Baby. A właśnie! Pamiętasz może, gdzie widziałeś Dream Baby? Jeżeli znajdę tę łódź, to znajdę też facetów odpowiedzialnych za śmierć Tesy'ego.

– Jesteś szalony, jeżeli sądzisz, że ta łódź jeszcze gdzieś tutaj jest. Na pewno dawno się jej pozbyli. Nie chcą mieć przecież żadnych kłopotów, tak samo zresztą jak my.

Wsadziłem pistolet za pasek i przykryłem go koszulą.

– Mogę to wysłać po drodze – zaproponowałem, wskazując na kopertę.

– Pomylenieć. – McIlvanney powoli odzyskiwał równowagę. Otworzył okno i krzyknął do Bellybuttona, który udając, że jest niezwykle zajęty jakąś pracą na pomoście, puszczał oczka do Donny. – Hej, Bellybutton! Jeżeli Nick Breakspear pojawi się jeszcze raz na przystani, to go przejeżdź! Słyszysz mnie? Rozwal go!

Bellybutton i Donna gapili się, osłupiali, w okno biura. McIlvanney, zadowolony z siebie, zatrzaskał je i spojrzał na Stellę stojącą w drzwiach z kartonem mleka.

– To samo dotyczy ciebie! Jak go tu zobaczysz jeszcze raz, to wezwij policję.

– Dobrze, panie McIlvanney – powiedziała Stella nerwowo.

– A ty – Irlandczyk wskazał na mnie – wynoś się stąd!

– Najpierw mi zapłać. – Nie wspominałem mu o pieniądzach zarobionych podczas rejsu z Crowninshieldami, domyślając się, że zatonicie jachtu unieważniło kontrakt. Chciałem tylko odzyskać to, co zarobiłem podczas rejsu z proktologiem i prawnikami.

McIlvanney wypisał czek i rzucił go na biurko. Podziękowałem i posłuszny jego wcześniejszym życzeniom, wyniosłem się.

**P**rosto z przystani poszedłem do banku zrealizować czek. McIlvanney w swojej przewrotności mógł wstrzymać wypłatę. Zastanawiałem się, co zrobić z resztą dnia. Miałem jeszcze sporo czasu do odpłynięcia promu. Wpadłem na pomysł, aby zadzwonić do Maggota. Trochę liczyłem na to, że zaproponuje mi podzucenie na Straker's Cay, ale przede wszystkim chciałem się upewnić, czy Ellen trafiła bezpiecznie na Addendum.

Niestety, pogadać sobie mogłem jedynie z automatyczną sekretarką Maggota, która z trzaskiem i szumem poinformowała mnie, abym zostawił wiadomość. Posłusznie nagrałem się obiecując, że skontaktuję się z nim później, i że przy najbliższym naszym spotkaniu ma u mnie piwo.

Potem kupiłem egzemplarz *Nassau Guardian* i poszedłem do baru, gdzie przy piwie przeczytałem o nowej klinice zdrowia na Great Exuma, o tym, że połączone chóry baptystów z Great Abaco będą wyśpiewywały koncert-modlitwę w następną niedzielę oraz o tym, że na wschodnim wybrzeżu Andros znaleziono ciało, które zdołano zidentyfikować. Był to amerykański turysta Jackson Chatterton.

Gapiłem się na gazetę w osłupieniu. Jackson Chatterton utonął, a jego ciało znajdowało się jakiś czas w wodzie, zanim je odkryto. To co z niego zostało, przekazano władzom amerykańskim. W gazecie znajdowała się o tym tylko krótka wzmianka. Taki wypełniacz miejsca, ale ja byłem wstrząśnięty.

„O, Boże! Proszę nie” – modliłem się w myślach. Zacisnąłem powieki, ale to nie pomogło. Zabójcy Chattertona musieli na niego czekać na promie wiedząc, że

wszyscy będą nim wracali ze Straker's Cay po pogrzebie Tesy'ego. Złapali tylko Chattertona, a to oznaczało, że wciąż szukają Ellen i mnie. Przypomniałem sobie ostrzeżenie Warrena Smedleya. Poczulem się nagi i bezbronny w tym gorącym, jaskrawo wymalowanym barze. W panice rozejrzałem się dookoła, ale prócz mnie było tam tylko dwóch mężczyzn grających w domino i jakiś pies, który drapał się przez sen. Barman patrzył na mnie podejrzliwie. Pewnie sądził, że już jestem pijany.

Wydarłem stronę z gazety i schowałem ją do kieszeni. Zimny i twardy pistolet uwierał mnie w plecy. Byłem prawie pewny, że każdy widzi jego kształt pod koszulą. Serce waliło mi jak oszalałe. Byłem przerażony. Wciąż jeszcze nie mogłem uwierzyć w to, co przeczytałem.

Jackson Chatterton nie żył. Ten wielki, twardy, a jednocześnie wrażliwy facet nie żył. Przypomniałem sobie jego dzieciinną radość, kiedy prosił, by zrobić mu zdjęcie na tle morza przed sztormem, i poczułem nagły przypływ złości. Ci sami faceci, którzy zabili Chattertona, próbują załatwić Ellen i mnie. To nie była zwykła zemsta. Oni likwidowali wszystkich świadków morderstwa Tesy'ego.

A jeżeli ja pozostałem jedynym żywym świadkiem tamtych wydarzeń? Jeżeli Ellen nie popłynęła do Florida Keys? Zrobiło mi się zimno ze strachu. Zostawiłem nie dopite piwo i wyszedłem na zalaną słońcem ulicę. Nie widziałem żadnej taksówki. Do licha, nie było żadnej taksówki! Wokoło kłębili się amerykańscy marynarze. Pewnie jakiś okręt biorący udział w manewrach, kotwiczył gdzieś w pobliżu. Wydawało mi się, że ci weseli marynarze zajęli wszystkie taksówki. Przepychałem się przez sunące chodnikami tłumy, rozglądając podejrzliwie dookoła. Jakaś taksówka zatrzymała się przed salonem masażu. Wysiedli z niej kolejni trzej marynarze. Machnąłem ręką i krzyknąłem.

Wysiadłem przy przystani, miejsca postoju Addendum, z której dwa dni temu miała wypłynąć Ellen. Brama była otwarta. Nie zauważyłem żadnego strażnika. Przez uchylone drzwi znajdującego się obok biura widziałem wewnątrz pomieszczenia. Grało tam małe radio, ale poza tym biuro było puste.

Pobiegłem nad brzeg. Cumowało tam wiele jachtów i łodzi motorowych. Nigdzie nie widziałem katamarana. Poczulem ulgę, bo wiedziałem, że na oceanie nie znajdą Ellen. Tam była bezpieczna. Zacząłem się uspokajać. Kiedy uczucie panicznego strachu zaczęło już mijać, dostrzegłem Addendum. Duży, biały

katamaran stał wzdłuż ostatniego pomostu. Na pawęży miał wypisaną drukowanymi literami nazwę. Wyglądał na opuszczony.

Strach powrócił, chociaż wciąż powtarzałem sobie, że jest jeszcze nadzieja. Musiała być. Nie zniósłbym myśli, że... Może Ellen wciąż jeszcze przygotowywała jacht do wypłynięcia? Poszedłem na końcowy pomost i wskoczyłem na pokład Addendum. Widziałem, że nikogo tutaj nie było co najmniej od kilku dni. Wiatr zagnał jakieś śmieci w kąt kokpitu, a między listwami zamkniętych drzwi kabiny pająk rozpiął swoją sieć.

Zapukałem w drzwi i zajrzałem do środka przez jedno z okien kajuty. Była pusta. Przeszedłem na dziób i sprawdziłem luk przedni. Niestety, tak jak drzwi zejściówki był zamknięty. Kucnąłem przy wywietrzniku i wsunąłem palce między skrzydła wentylatora, chcąc sprawdzić, jaki zapach ma duszne powietrze wewnątrz jachtu. Obawiałem się, że dojdzie mnie woń rozkładającego się ciała. Z ulgą stwierdziłem, że jedyne, co czuję, to stęchły zapach długo nie wietrzonego pomieszczenia. Ellen tutaj nie było.

Nagle usłyszałem głośną muzykę. Jakiś robotnik wyszedł z jednego z hangarów, niosąc na ramieniu magnetofon. Idąc, kołysał się w takt melodii.

– Hej! – krzyknąłem do niego.

Był tak zaskoczony, jakby zobaczył anioła, który zdecydował się zstąpić na chwilę z nieba, aby obejrzeć sobie przystań z dołu. Odwrócił się, popatrzył na otwartą bramę, a potem znowu na mnie. Doszedł do wniosku, że jestem zwyczajnym człowiekiem, który wszedł tutaj normalną drogą.

– Co pan tu robi?

– Czy to jest jacht Steinwayów? – Bardzo chciałem wierzyć, że istnieją dwa katamarany o nazwie Addendum.

Robotnik wyłączył muzykę.

– Tak, to łódź Barry'ego Steinwaya. Jest pan jego znajomym?

Zszedłem na pomost i zacząłem iść wolno w jego stronę.

– Widział pan może na pokładzie Addendum dziewczynę? Miała zjawić się tu dwa dni temu. Taka ładna, rude włosy, zgrabne nogi.

Mój opis rozbawił go. Potrząsnął dredami.

– Nie, nie widziałem tu żadnej dziewczyny. – Odańczył dwa kolejne kroki

i rozciągnął usta w bezzębnym uśmiechu. – Naprawdę taka ładna?

Wyjąłem banknot pięciodolarowy.

– Jest wysoka i opalona. Miała pilnować katamarana Steinwayów. Zamierzała popłynąć nim na Florydę. Była tutaj? A może ktoś zostawił dla niej wiadomość? Na imię ma Ellen.

– Już mówiłem, człowieku, że nie widziałem żadnej dziewczyny!

Dałem mu pięć dolarów, które uznał za niewystarczającą zapłatę za jego niewiedzę. Spytałem, czy mogę skorzystać z biurowego telefonu. Zgodził się niechętnie.

Zadzwoiłem do Maggota. Znowu odezwała się automatyczna sekretarka. Odłożyłem słuchawkę.

Ellen zniknęła. Jackson Chatterton i Tesy nie żyli, a ja się bałem.

Pojechałem do szkoły, w której mieściło się stowarzyszenie „Edukacja dla wszystkich”. Zastałem sekretarkę – wysoką siwą Bahamkę o dość jasnej karnacji. Zdawało się, że przyginają ją do ziemi setki problemów, z którymi nie może sobie poradzić. Lillian Malleson – tak się nazywała – sądziła, że przyszedłem porozmawiać o tych właśnie problemach.

– Wszystkiemu winna jest telewizja – zaczęła się usprawiedliwiać. – Nigdy nie wygramy ze szklanym ekranem. Po co go w ogóle wynaleziono?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na jej pytanie. Wyjaśniłem, że szukam Ellen Skandinsky.

– Wpadła tu na początku tygodnia. – Lillian Malleson zamknęła okno, oddzielając nas od ogłuszających wrzasków dzieciaków na zakurzonej dziedzińcu szkolnym. – Chyba w poniedziałek. Mówiła, że weekend spędziła gdzieś na jednej z mniejszych wysp.

– Czy mówiła, dokąd się wybiera?

Lillian Malleson przyjrzała mi się uważnie.

– Ty jesteś Nick?

– Tak.

– Ellen mówiła mi o tobie. Lubi cię. Jesteś może zainteresowany pracą dla stowarzyszenia? Potrzebujemy każdej pary rąk. – Przeszła przez pokój i otworzyła

drzwi wysokiej szafy, w której piętrzyły się elementarze i podręczniki. – To wszystko na nic. – Wzięła ze stosu jedną książkę i podała mi ją. – Sam zobacz.

Była to „Ewangelia w opowiadaniach dla małych chrześcijan”. Na okładce grupka złotowłosych i niebieskokookich dzieciaków siedziała u stóp bardzo białego i dobrze odżywionego Chrystusa. Para pulchnych króliczków i niebieski ptak słuchały wraz z dziećmi ewangelicznego przesłania. Lillian wzięła ode mnie książkę.

– I to miałyby konkurować z „Miami Vice” i „Cosby Show”? – Wrzuciła książkę z powrotem do szafy i wyciągnęła inną, zatytułowaną: „Nasi futerkowi przyjaciele z odległej Australii”. – Ta chyba pochodzi z daru Wielkiej Brytanii. Jeżeli dobrze sobie przypominam, dostaliśmy tysiąc egzemplarzy. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o misiach koala albo o kangurach, to weź sobie taką książeczkę. Możesz nawet wziąć cały tysiąc. – Podeszła do stołu, na którym, obok kilku popielniczek, piętrzyły się kupy listów, książek i jakichś akt. W samym centrum tego bałaganu stał nowoczesny amerykański telefon. Lillian wpatrywała się w błyszczący aparat, tak jakby był dla niej źródłem natchnienia. – Pamiętam, jak Ellen mówiła, że wybiera się gdzieś jakąś łodzią – powiedziała nagle wracając do pytania, które zadałem na początku.. – Chyba wspominała, że płyńie na Florydę.

Wiedziałem już, że tam nie dotarła.

– A co z Great Inagua? – spytałem. – Wspominała mi, że stowarzyszenie chciało ją tam wysłać.

– Jestem pewna, że nie pojechała. – Lillian wytrząsnęła papierosa z pudełka. – Wiem, że nie powinnam – westchnęła – ale mój mąż jest lekarzem i też pali. Więc dlaczego ja mam się powstrzymywać? W ogóle to ten świat jest dziwnie urządzony.

– Czy na Great Inagua wysłano kogoś innego? – spytałem, przytaknąwszy poprzednio, iż rzeczywiście świat jest dziwnie urządzony.

– Nie – zapaliła papierosa – nie mieliśmy pieniędzy na opłacenie podróży. Kiedyś jedno z przedsiębiorstw na wyspie oferowało, że pokryje wszelkie koszty, ale nie jestem pewna, czy odpowiedziałam na ich list. Sądzisz, że mogłabym napisać teraz i przypomnieć im o propozycji? – zapytała poważnie.

– Z pewnością – odparłem z taką samą powagą. – Uważam nawet, że powinnaś tak zrobić. – Przerwałem na chwilę. – A może Ellen pojechała za własne pieniądze?



Lillian pokręciła przecząco głową.

– Nie wzięła kwestionariusza, a nie miałoby sensu, gdyby pojechała tam bez niego. Tak mi się przynajmniej zdaje, że go nie brała. – Lillian podeszła do starej szafki z aktami i wysunęła szufladę. Zaczęła w niej grzebać, a ja tymczasem oglądałem wiszące na ścianach plakaty, które miały pomagać w uczeniu abecadła. Lillian znalazła teczkę Great Inagua i wyciągnęła odpowiedni kwestionariusz UNESCO opatrzony napisem: „Nie wypełniać ołówkiem”.

– To jedyny egzemplarz, jaki mamy. Tak więc Ellen z pewnością go nie wzięła.

Wyrząłem przez okno. Zardzewiałe drabinki oblepiała kupka dzieciaków.

– Ellen zniknęła – stwierdziłem.

Lillian wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że takie rzeczy się zdarzają i że niepotrzebnie zawracam sobie głowę.

– Jeżeli ją zobaczysz, zadzwoń proszę do Johna Maggovertskiego. – Podałem jej zapisany na kartce numer Maggota. Miałem dziwne uczucie, że tracę tylko czas. Być może wpłynęła tak na mnie atmosfera pesymizmu i beznadziejności panująca w stowarzyszeniu.

Zapytałem, czy mogę skorzystać z telefonu. Chciałem sprawdzić, czy Maggot jest już w domu, ale, niestety, telefon nie działał.

– W zeszłym tygodniu był tu jakiś inżynier – poinformowała mnie Lillian – i powiedział, że ten aparat jest zbyt nowoczesny.

– Nie możecie kupić innego? – zapytałem.

– Nie, ten też pochodzi z darów. Można go przystosować do całego systemu, tylko... – urwała.

– Tylko co? Inżynier nie umiał przeczytać instrukcji? – spytałem z ironią.

Spojrzała na mnie zdziwiona, a po chwili powiedziała:

– Jak zobaczę Ellen, powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła.

Podziękowałem i wyszedłem na dziedziniec szkolny.

Ellen gdzieś zniknęła.

Ellen gdzieś zniknęła i wszystko, co mogłem zrobić, to szukać jej dalej. W pobliżu szkoły nie było taksówek, pojechałem więc do Straw Market autobusem. Szybko pokonałem kilka przecznic, mały dziedziniec i klatkę schodową prowadzącą do mieszkania Ellen. Zabębniłem w drzwi.

Nikt mi nie odpowiedział. W mieszkaniu po przeciwnej stronie płakał jakiś maluch, a pod schodami meczała koza. Z ulicy dobiegł mnie pisk hamulców zatrzymującej się ciężarówki. Do tego wszystkiego dołączał się szum telewizorów. Większość nastawiona była na jakiś amerykański program dyskusyjny, w którym grupa kobiet wykrzykiwała swoje opinie na temat uprawiania seksu przez osoby w podeszłym wieku.

Kopnąłem w drzwi mieszkania Ellen. W kilku miejscach odprysła żółta farba.

Sprawdziłem schowek przy balustradzie, miejsce, w którym Ellen zwykle trzymała zapasowy klucz, ale nic tam nie było. Musiałem wyłamać drzwi. Posiadałem sobie prawą stopę. W końcu zamek puścił i drzwi gwałtownie się otworzyły.

Niepotrzebnie się trudziłem. Mieszkanie było puste. Panował w nim taki sam nieład jak zwykle. Trudno było stwierdzić, czy ktoś je przeszukiwał. Nie zauważyłem też żadnych śladów walki. Łóżko było jako tako zasłane, nic nie zostało wyrócone ani rozlane. Czarny krzyżyk ojca Ellen wisiał na ścianie, przez którą słychać było wyraźnie, co się dzieje w mieszkaniu sąsiadów. Kwiatek, stojący na stole, wyglądał mizernie. Przyniosłem szklanek wody z łazienki i podlałem go. Na podłodze zauważyłem karalucha. Rozgniotłem owada obcasem.

Przejrzałem szafki i szuflady, nie wiedząc właściwie po co. Musiałem po prostu coś robić. Znalazłem list od matki Ellen z Rhode Island. Spisałem numer telefonu, mając słabą nadzieję, że tam pojechała.

Na pewno gdzieś wyjechała. Nie znalazłem nigdzie jej notatników, a wiedziałem, że zawsze brała je ze sobą. Tak naprawdę nie miało to większego znaczenia. Lillian Malleson potwierdziła przecież, że Ellen, zgodnie z tym co planowała, poleciała do Freeport, spakowała swoje rzeczy, pożegnała się ze stowarzyszeniem i... No, właśnie. I nigdy nie dotarła na przystań, z której miała wypłynąć.

Zaczęła mnie ogarniać rozpacz. Czuję, że muszę koniecznie porozmawiać z Maggotem. W mieszkaniu Ellen nie znalazłem niczego, co wskazywałoby na to, gdzie jej szukać. Kopnąłem jedno z pudeł z ulotkami stowarzyszenia. Na skutek gwałtownego ruchu zza paska wypadł mi pistolet.

Sąsiad Ellen, zaintrygowany hałasem, jakiego narobiłem włamując się do mieszkania, przyszedł sprawdzić, co się dzieje. Wszedł akurat w momencie, kiedy podnosiłem broń z podłogi. Na widok webleya cofnął się gwałtownie i zaczął krzyczeć:

– Wszystko w porządku, nic mnie to nie obchodzi! Proszę sobie mną nie zwracać głowy! Nie jestem niczego ciekaw! W ogóle!

– Hej! Wszystko w porządku! – Wypadłem na balkon łączący małe mieszkania i usiłowałem się wytłumaczyć. – Ja tylko szukam Ellen. Jestem jej przyjacielem. Na imię mam Nick.

Nie byłem pewny, czy mi uwierzył. Z pewnością denerwował go widok potężnie wyglądającego webleya. Podniósł ręce.

– Nie widziałem Ellen od kilku dni! Zresztą, to nie moja sprawa. Tak też powiedziałem tamtym ludziom.

– Jakim ludzior? – Znajdowaliśmy się już przy jego mieszkaniu.

– Po prostu ludziom! Byli tu w zeszłym tygodniu.

– Biali? Hiszpanie? Czarni?

– Różni, człowieku. Nie wiem, kto to był. Nie potrafię ci nic więcej powiedzieć! – Mężczyzna cofnął się w głąb swego małego mieszkania. Zdążyłem zauważyć tylko jakieś ciemne nogi na prześcieradle drukowanym w tygrysie pręgi, zanim zatrzaskał mi przed nosem drzwi.

– Wynoś się! – krzyknął, zamykając zasuwę. – Wynoś się!

Usłyszałem, że dziewczyna o coś pyta, ale mężczyzna nie zwracał na nią uwagi.

– Wynoś się! – krzyknął znowu wystraszoneg głosem.

Przypuszczałem, że ludźmi, o których wspominał ten facet, byli McIlvanney i Bellybutton. McIlvanney mówił przecież coś o tym, że odwiedzili mieszkanie Ellen.

Kupiłem zasuwę, kłódkę, osiem śrub i śrubokręt. Wróciłem do mieszkania Ellen i po zostawieniu listu, w którym przeproszałem za bałagan i błagałem, żeby zadzwoniła do Maggota, gdy tylko się pojawi, przymocowałem zasuwę. Następnie, na innej kartce, napisałem numer i adres Maggovertskiego sąsiadowi, przeproszając go jednocześnie za zamieszanie i poprosiłem, aby dał mi znać, gdy tylko dowie się czegoś o Ellen. Klucz do kłódki położyłem tam, gdzie Ellen chowała zwykle swój. Sąsiad Ellen obserwował mnie zza zasłony, ale nie reagował na pukanie. Włożyłem wiadomość w szparę pod drzwiami i zostawiając go w towarzystwie dziewczyny w łóżku i kilkunastu kobiet debatujących na szklanym ekranie, odszedłem.

Musiałem zadzwonić. Budka telefoniczna obok bloku Ellen służyła raczej jako toaleta publiczna. Aparat miał oderwaną słuchawkę. Poszedłem na przystań McIlvanneya.

– Miałam dzwonić na policję i kazać cię wyrzucić – przywitała mnie Stella – ale może najpierw chciałbyś dostać swoją pocztę i napić się herbaty?

– Dzięki. – Podeszedłem do okna i wyjrzałem. Miejsce Junkanoo było puste. McIlvanney zabrał Donnę do klienta. Nigdzie nie widziałem Bellybuttona. Przy jednym z pomostów kołysał się Starkisser. Przystań zdawała się dziwnie pusta bez Wavebreakera.

– Mogę skorzystać z telefonu? – spytałem Stelli. – Zamiejskowa.

– Dzwon gdzie chcesz, nawet na Księżyc. Nie ja płacę rachunki.

Zadzwoiłem do matki Ellen, mieszkającej w Providence, na Rhode Island. Nie chciałem jej niepokoić, przedstawiłem się więc jako dawny kolega Ellen. Kobieta poinformowała mnie, że córka jest na Bahamach. Podziękowałem jej. Kolejna możliwość została wykluczona.

Zadzwoiłem jeszcze raz do Maggota, ale znowu odpowiedziała mi ta cholerna automatyczna sekretarka.

– John? – powiedziałem do maszyny – tu Nick. Ellen zaginęła. Muszę z tobą pomówić. Jak już się pojawisz, to na, litość boską, nie wychodź, póki ze mną nie porozmawiasz. Będę jeszcze próbował się z tobą skontaktować. – Odłożyłem słuchawkę.

Stella słyszała wiadomość, którą nagrałem na sekretarkę Maggota.

– Ellen zniknęła?

Skinąłem głową.

– Nie ma jej w mieszkaniu, nie pojechała do matki, nie ma jej też na jachcie przyjaciół, ani w tym stowarzyszeniu. Nie mam pojęcia, gdzie jeszcze mogłaby być? Stella próbowała mnie pocieszyć mówiąc, że Ellen to dzielna dziewczyna, która umie sobie świetnie dawać radę. Uśmiechnąłem się i podziękowałem jej za te słowa. Chciałem Stelli wierzyć. Usiadłem w fotelu McIlvanneya, aby przejrzeć pocztę. Większość listów i kartek przyszła z Anglii. Jakiś dziennikarz z Londynu pisał biografię mego ojca i prosił, bym poświęcił mu trochę czasu i opowiedział o moich wspomnieniach z dzieciństwa. Jeden z inspektorów podatkowych Jej Królewskiej Mości przypominał, że przez trzy lata nie złożyłem zeznania i Jej Królewska Mość byłaby wdzięczna, gdybym jak najszybciej dał znak, że żyję. Poza tym jakiś bank oferował mi kartę kredytową. Zgniotłem to wszystko w kulę i wyrzuciłem do kosza.

Stella przyniosła mi kubek kawy.

– Wiem, że on próbował znaleźć Ellen w niedzielę. – „On” oznaczało oczywiście McIlvanney.

– Mówił mi – powiedziałem, zastanawiając się jednocześnie nad tym, co usłyszałem od sąsiada Ellen. Mówił o ludziach, a nie tylko o jednej osobie. Spytałem, czy Bellybutton był z McIlvaoneyem. Jeżeli nie, oznaczało to, że mężczyzna widział ludzi Sweetmana.

Stella, która nie lubiła Bellybuttona, wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – stwierdziła, a potem nagle zmarszczyła brwi i wycelowała we mnie łyżeczką od herbaty. – Ale dziś rano, kiedy przyszedłeś podpisać te papiery, Bellybutton gdzieś dzwonił. Chodziło o ciebie, bo słyszałam, jak wymienił twoje imię.

– Co mówił?

– Tego nie słyszałam – uśmiechnęła się przeprasząco – ale możesz go zapytać sam.

– Bellybutton jeszcze tu jest? – spytałem.

– Gra w pokera w żaglowni. – Zanim zdążyłem ją powstrzymać, Stella otworzyła drzwi biura i krzyknęła: – Hej! Bellybutton! Podnieś ten swój leniwy tyłek i chodź tutaj!

Wolałbym podejść Bellybuttona na swój sposób, ale teraz nie miałem już wyboru. Minąłem Stellę i wyszedłem na zewnątrz w tym samym momencie, gdy z żaglowni wyłonił się Bellybutton.

– O co chodzi, kobieto? – krzyknął i dopiero potem zauważył mnie. – Ty! Nie masz prawa tutaj być! Wynoś się!

– Najpierw odpowiesz na parę pytań Nicka, słyszysz, Bellybutton? – zażądała ostro Stella.

– Zamknij swoją czarną twarz, kobieto!

– Słuchaj – próbowałem się wtrącić.

– A ty zabieraj stąd swój biały tyłek! – wrzasnął do mnie. – Masz na to dwieście sekund! Zaczynam odliczać!

– Chciałbym tylko wiedzieć...

– Bellybutton! – zapiszczała Stella. – Zapomniałeś chyba o dobrych manierach!

– Mam w dupie dobre maniery! – Spojrzał na mnie. – Pięć sekund! Nie będziesz mnie o nic pytał, tylko się stąd wyniesiesz. Tak chciał pan Mac i tak będzie! Trzy sekundy, dwie, jedna! – Nagle z niezwykłą szybkością wyciągnął zza paska nóż, zwracając go ostrzem w moim kierunku. Podszedł do schodów biura. – Chcesz mnie wkurzyć? Proszę bardzo! Moja mamuśka nauczyła mnie, co robić z takimi, co wkurzają! – Jego trzech kumple od pokera stanęli w drzwiach żaglowni. Bellybutton, chcąc popisać się przed tą małą widownią, zaczął iść po schodach w moim kierunku.

– Wracaj tam, gdzie byłeś! – nakazała mu Stella. – I odłóż tego siekacza!  
– Zamknij swoją brudną gębę, babo!  
– Chcę ci tylko zadać parę pytań... – zacząłem spokojnie.  
– No, Breakspear, teraz to wpadłeś! – Bellybutton przeskakiwał po dwa stopnie.

Wyciągnąłem pistolet.

Stella jęknęła i cofnęła się do biura, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Jeden z graczy krzyknął ostrzegawczo do Bellybuttona, ale on zauważył już broń. Zatrzymał się i patrzył na webleya szerokimi ze strachu oczami.

– Nie! – wykrztusił.  
– Chciałem tylko spytać cię... – zacząłem tak samo spokojnie i uprzejmie jak przedtem.

– Nie! Nie! – Bellybutton cofnął się raptownie. Niezdarnie zeskoczył ze schodów, potknął się i upadł. Jakiś wystraszony kot czmychnął w krzaki.

– Słuchaj! – krzyknąłem.  
– Jesteś szalony! Szalony! – Bellybutton podniósł się z ziemi i zaczął biec w stronę pomostów. Jego przyjaciele, jeden po drugim, znikali.

– Zatrzymaj się! – krzyknąłem. Pobiegnęłam za nim. Był znacznie szybszy ode mnie. Już zdejmował brezent okrywający kokpit Starkissera. Klucze do motorówki miał przy pasku.

Wyjąłem z kieszeni kilka nabo i załadowałem webleya. Odbezpieczyłem broń.

– Stój! – krzyknąłem raz jeszcze.

Bellybutton przeciął nożem cumy Starkissera. Odepchnął motorówkę od nadbrzeża.

– Chciałem cię tylko o coś spytać...

Bellybutton włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił go. Bliźniacze silniki Starkissera wydały ogłuszający ryk. Z końca pomostu poderwał się przerażony pelikan, a z pobliskich dachów wzbily w górę gołębie. Bellybutton zwrócił w moją stronę przerażoną twarz, dodał gazu i motorówka zerwała się do biegu jak spłoszony koń.

– Stój, do cholery! – Strzeliłem, ale nie celowałem ani w Łódź, ani w Bellybuttona. Pocisk wpadł w wodę daleko od Starkissera, wzbijając w górę fontannę. Odgłos strzału zagubił się w ryku silników motorówki. Bellybutton chwycił koło sterowe w porę, aby uniknąć zderzenia ze skalną ścianą.

Strzeliłem po raz drugi, trafiając w skałę ponad głową Bellybuttona. W tym samym momencie Starkisser zawadził błyszczącą rafą o rafę. Rozległ się zgrzyt, który było chyba słycać aż w połowie drogi na Florydę. Łódź jednak nie zwolniła biegu, przeciwnie, przyspieszyła tak, że jej dziób uniósł się wysoko nad powierzchnię.

Bellybutton albo coś wiedział, albo do tego stopnia bał się broni. Niestety, nie mogłem się w tej chwili tego dowiedzieć. Schowałem pistolet. Woda w basenie przystani kotłowała się od wirów pozostawionych przez Starkissera.

Stella wyszła na schody. Ręką zakrywała usta, jakby powstrzymując się od krzyku.

– Przepraszam, Stella – podszedłem do schodów – przepraszam.

– W porządku, Nick.

Poprosiłem Stellę, aby poleciła Ellen skontaktować się z Maggotem. Zostawiłem numer telefonu i adres Maggovertskiego. Znowu ogarnęła mnie zimna fala beznadziejności. Jeszcze raz zadzwoniłem do Maggota, ale znowu usłyszałem trzeszczącą sekretarkę. Stella wezwała dla mnie taksówkę. Były jeszcze dwa miejsca, w których mogłem znaleźć Ellen.

Zapłaciłem taksówkarzowi za długi kurs do West Endu. Mogłem zaoszczędzić dzwoniąc, ale sam fakt, że coś robiłem, dawał mi nikłą nadzieję, odgradzał od pustki i bezsensu.

Była pora obiadowa. Wsiadłem przed Harbour Hotel, kupiłem butelkę piwa i poszedłem wzdłuż nadbrzeża. Już z daleka widziałem, że miejsce Hobgoblina było puste. Stała tam tylko mała pomalowana na kremowo łódka Neda Carrawaya. Kremowy dom Carrawayów porastały tropikalne pnącza. Wszystko, co należało do Neda i Julie, pomalowane było na kremowo. Łódź, meble, dom, rowery, furgonetka,

drewniane klocki dzieci – wszystko było kremowe. Ned kupił kiedyś od bankrutującego handlarz zapas kremowej farby i miał jej teraz tyle, że wystarczyłoby na pomalowanie całej kuli ziemskiej. Julie utrzymywała, że zawsze marzyła o takim kolorze. Otworzyłem kremową furtkę. O mało nie wpadłem na małego brzdąca, który umknął, drobiąc krótkimi nóżkami i krzycząc. Na sznurach suszyły się pieluszki. Zapukałem do kremowych drzwi.

– Julie!

– Nick! Mężczyzna moich marzeń! – Julie Carraway pojawiła się w drzwiach ze swoją najmłodszą pociechą na rękach. Dziecko miało kolor kawy z mlekiem. Julie, pulchna i wesoła dziewczyna z Cincinnati, była koloru piegów. – Niech zgodzę! Wpadłeś, aby mnie porwać. Za rogiem, przy Star Hotel czeka na nas rolls-royce, na lotnisku stoi prywatny samolot, a za plecami chowasz butelkę szampana?

Wyciągnąłem pełną do połowy butelkę piwa.

– Zadowolisz się tym?

– To właśnie jest moje życie – westchnęła, przysiadając na ławce kremowej werandy i automatycznie zaczęła karmić dziecko piersią. – Ten mały jest kropka w kropkę jak jego ojciec, to znaczy wiecznie głodny – uśmiechnęła się. – Siadaj, Nick. Przepraszam za nieład, jaki panuje w tym domu. Jeśli chcesz jeszcze piwa, to weź sobie z kuchni. Jest w wiadrze pod zlewem. Zepsuła nam się lodówka. – Zza domu dobiegały nas odgłosy zabawy maluchów. Julie miała sześcioro dzieci, które nazywała zabawnie „swoimi ślipeczkami”. Jedno z młodszych ślipeczków przez chwilę przyglądało mi się z uwagą, a potem ze śmiechem dołączyło do bawiącego się rodzeństwa..

Przysiadłem na balustradzie werandy.

– Szukam Ellen – powiedziałem z rozpaczą.

Julie spojrzała na mnie ze współczuciem.

– Nie widziałam jej od dość dawna, Nick – oświadczyła, a potem, jakby nagle coś wyczuła, spytała: – Czy wy w końcu jesteście ze sobą?

– Tak.

– To wspaniale, Nick! Zawsze uważałam, że do siebie pasujecie. Jesteście jak Ned i ja. Do tego stopnia się różnicie, że może wam się udać! – Radość Julie była szczerą.

Uśmiechnąłem się smutno.



– Ona zniknęła, Julie, a ten łajdak McIllvanney twierdzi, że Ned do niego dzwonił, gdyż potrzebował kuka na Hobgoblina. Zastanawiałem się, czy nie przyjęła jego propozycji?

– Ned dzwonił do McIllvanneya? – spytała z niedowierzaniem Julie. McIllvanney zawsze w stosunku do swoich rywali był nieuprzejmy, nawet jeśli ci rywale nie zagrażali jego interesom, jak w przypadku Neda i Julie. Byłoby dziwne, gdyby Ned zwrócił się z prośbą o pomoc właśnie do Irlandczyka.

– McIllvanney tak twierdzi.

– Kiedy to było?

– W zeszłym tygodniu.

Julie zastanawiała się przez chwilę.

– Ned miał jakieś problemy z Gwen. Znasz Gwen? – Julie, zanim została panią Carraway, też była kukiem na Hobglobinie. Potem Ned wykupił jacht i przez jakiś czas pływali razem. Teraz Julie musiała mieszkać na łądzie, gdyż klientom nie bardzo odpowiadała włączając im na głowy gromadka dzieci, więc miejsce Julie zajęła Gwen, daleka kuzynka Neda, mieszkająca na Family Islands. Potwierdziłem, że ją znam. Julie wygodniej ułożyła dziecko. – O ile dobrze sobie przypominam, jej mama zachorowała. Ned dzwonił osiem dni temu, ale nie wspominał o Ellen. Nie mówił też nic o Gwen. Wspominał, że musi zmienić uszczelkę kompresora. Napomknął coś tylko o tym, że Gwen się martwi, ale nie szukał nikogo na jej miejsce. Oni są dość daleko, Nick. Aż gdzieś u wybrzeży Turks Islands. Ned dzwonił z Sapodilla Bay.

Sapodilla Bay znajdowała się w rejonie Turks i Caicos Islands, około pięciuset mil od Bahamów.

– Czy możesz porozumieć się z Nedem? – zapytałem.

Julie gwizdnęła.

– Nie mamy takiego sprzętu jak na Wavebreakerze. Ned ma jakąś antyczną krótkofalówkę, która działa tylko wtedy, jak się ją dobrze rąbnie. Porozmawiać z nim będę mogła dopiero, gdy wróci. Chyba że wcześniej będzie miał jakieś problemy i do mnie zadzwoni.

– Kiedy wraca?

– Pojutrze.

– Poproś go, żeby zadzwonił do Maggota. – Próbowałem znaleźć chociaż iskierkę nadziei w tym, co mówiła Julie. – Jesteś pewna, że nie wspominał nic o Ellen?

– Ani słowem – powtórzyła cierpliwie. – Mówił o kompresorze, matce Gwen i o tym, że jestem dziewczyną jego marzeń, ale jeżeli jakiś przystojny Angol pojawi się na horyzoncie, to mam wolną rękę. – Urwała, czekając, aż zaczną się śmiać, ale ja byłem zbyt spięty. Julie poklepała mnie po ramieniu. – Nick, chciałabym ci pomóc, ale naprawdę nie wiem jak. Gdyby Ellen była z Nedom, na pewno by mnie o tym zawiadomił. Co prawda na jakiś czas wyjechałam z domu, ale on wiedział, gdzie można mnie znaleźć.

– Nie było cię? – Chwyciłem się tego źdźbła nadziei. Ned mógł właśnie wtedy skontaktować się z Ellen.

– W sobotę i niedzielę byłam z dziećmi w Nassau. Pojechałam do Okropnych Rodziców, którzy nie chcą do nas przyjechać, bo twierdzą, że toalety w tutejszych hotelach są brudne. Opłacają mi hotel w Nassau. Chcieli mnie nawet przekonać, abym się rozwiodła, porzuciła moje ślipeczki i wyszła za Elmera, miłego, białego maklera, który gra w golfa z moim Tatuśkiem, jeździ BMW i ma hipotekę. – Zaśmiała się. – Ned wiedział, w którym hotelu zatrzymaliśmy się, i nie dzwonił. Zawsze stara się uniknąć rozmowy z Okropnymi Rodzicami. Nie mam do niego o to pretensji. Właściwie to sama nie wiem, dlaczego jeszcze z nimi rozmawiam.

– Cholera! – zakląłem, mając oczywiście na myśli Ellen, a nie rodziców Julie. Przechyliłem się przez barierkę do tyłu i utopiłem wzrok w pnączach. Nawet one były kremowe.

– Aż tak źle? – spytała Julie.

– Może – odparłem.

– Czy to ma jakiś związek z tym, co się stało na Wavebreakerze? – Plotki dotarły już i tutaj. Nie miałem do Julie pretensji o to, że jest ciekawa. Opowiedziałem krótko, co się zdarzyło w Sea Rat Cay i później: Jesse Sweetman i jego ludzie, zabicie Tesy'ego i potem Jacksona Chattertona. Niecałe dwa tygodnie temu wydało mi się, że stoję u bram raj. Miałem w perspektywie rejs z Ellen, ale wtedy senator namówił mnie, żebym pomógł jego bliźniakom. Bramy raj zamieniłem na drzwi do domu żaloby i rozpaczy. Pociągnąłem łyk piwa.

– Gdyby Ned potrzebował kuka – wciąż trzymałem się tej samej, nadpiłowanej gałęzi – zadzwoniłby do Ellen?

– Jasne, że tak! Ned zawsze miał oko na ładne dziewczyny. – Julie zaśmiała się. – Gdyby Gwen musiała wyjechać, Ned miałby problem, gdyż planuje posezonnowy rejs z jakąś grupą fanatyków nurkowania z Niemiec. Ale mówię ci, że gdyby naprawdę miał problemy, zadzwoniłby do mnie, żebym załatwiła zastępstwo za Gwen.

– Ale nie wtedy, gdy byłaś w Nassau?

– Zadzwoniłby do mnie – powtórzyła cierpliwie, nie wiem który raz.

Czułem się beznadziejnie. Bezmyślnie wbiłem wzrok w szerokie deski werandy. Julie starała się mnie pocieszyć:

– Ona się znajdzie, Nick! Ellen to niezależna dziewczyna!

– Tak, znajdzie się – powtórzyłem bez wiary.

– Chcesz coś zjeść? Mam zupę i kanapki z mielonką, podgrzewaną papkę dla dzieci albo siekaną rzepę w kremowym sosie. Wybieraj.

Potrząsnąłem głową. Czułem, jak pistolet gniecie mnie w plecy.

– Mogę skorzystać z telefonu?

– Pewnie – gościnnie wskazała na drzwi.

– Chcę tylko zadzwonić po taksówkę.

– Dokąd jedziesz?

– Do Maggota.

– Daj spokój z taksówkami. – Julie wstała. – Pozbieramy wszystkie ślipeczki, wsadzimy je na tył furgonetki i podwiozę cię. Miło będzie zobaczyć znów tę paskudną gębę Maggota.

– Nie chcę sprawiać kłopotu.

– Zamknij się i potrzyj to. – „To” było, oczywiście, dzieckiem, które gdy tylko rzuciło na mnie okiem, wybuchnęło płaczem.

Modliłem się, aby Maggot był w domu. Sprawdziłem już wszystkie możliwości. Tego dnia, kiedy Ellen zniknęła, Maggot był z nią i jeżeli ktokolwiek mógł wiedzieć, co się stało, to właśnie on.

Jeżeli jeszcze żył.

**D**om Maggota stał w brudnej i zaniedbanej części dawnych terenów fabrycznych. Wokół piętrzyły się wraki samochodów i jakieś toksyczne odpady. W pobliżu znajdowała się zatoczka, ale byłoby przesadą nazywanie tego, czym była wypełniona, wodą. Przypominało to jakiś ohydny, śmierdzący, chemiczny horror. Okna domu Maggota wychodziły właśnie na ten ściek, w którym cumował jego kuter. Maggovertski zawsze chwalił się „wspaniałym widokiem z okien”. Twierdził, że to są tereny z perspektywą, a bliskość morza czyni jego dom atrakcyjną inwestycją.

Ta atrakcyjna inwestycja była kiedyś magazynem. Okna znajdowały się tylko na piętrze, tam, gdzie uprzednio mieściły się biura. Budynek miał grube betonowe ściany i ciężkie stalowe drzwi, które doskonale chroniły cenną kolekcję broni. Nawet Maggovertskiemu niezupełnie odpowiadało życie w stalowo-betonowym pudełku, kupił więc trochę drewna i dobudował werandę od strony „zatoki”. Ze swojej werandy mógł podziwiać wspaniałe składy odpadów ropopochodnych, znajdujących się po przeciwnej stronie tej niecki z chemiczną zupką.

Julie zaparkowała w pobliżu tego eleganckiego budynku, na którym wciąż jeszcze widniały oznaczenia: Ładunek na prawo. Rozładunek na lewo. Nigdzie nie widziałem firebirda – samochodu Maggota. Jedyną żywą istotą był rottweiler, który, gdy tylko Julie zaparkowała samochód przy ogrodzeniu, zaczął rzucać się i ujadać. Wychyliłem się przez okno furgonetki.

– Tatum! Zamknij mordę!

Tatum był wyszkolony i zabijał każdego, kto nie znał jego imienia. Tych, którzy

je znali, witał radośnie, obśliniając ich obficie. Pies zaskomlał i zaczął tańczyć, szczęśliwy, że go ktoś rozpoznał. Bestia nie wyglądała na zagłodzoną, ale to nie oznaczało jeszcze, że Maggot jest w domu. Wiedziałem, że kiedy wyjeżdżał, ktoś dokarmi psa przez ogrodzenie.

– Wygląda na to, że nikogo nie ma – powiedziała Julie niespokojnie. – Chcesz zaczekać?

Miejsce nie należało do najprzyjemniejszych. Miało się wrażenie, że w nieruchomym powietrzu czai się coś niedobrego. Ja jednak musiałem się spotkać z Maggotem.

– Pozwól, że zwrócę ci za benzynę – zaproponowałem.

– Daj spokój, Nick! – Julie uśmiechnęła się i pocałowała mnie w policzek, nakazując jednocześnie, żebym nie zachowywał się jak dziwak. Wysiadłem z samochodu. Ślipsecki zgodnym chórem powiedziały mi do widzenia.

– Nie zapomnij zaprosić mnie na wesele! – krzyknęła na pożegnanie Julie. Ze zgrzytem wrzuciła bieg i pojechała ze swymi małuchami na lody.

Tatum już trząśł się z radości, że znowu będzie miał kogo obślinić. Brama była zamknięta na kłódkę, ale wiedziałem, że Maggot trzymał klucz pod betonową płytką podtrzymującą jeden ze słupków ogrodzenia. Wyciągnąłem go i otworzyłem sobie. Natychmiast napadło na mnie pół tony oszalałego ze szczęścia rottweilera. Miałem wrażenie, że gwałci mnie owłosiony czołg. Jakoś udało mi się wytrzymać te wszystkie dowody miłości ze strony psa. Cudem dotarłem aż do schodów werandy. Tatum łaskawie zezwolił, abym wszedł na górę i popatrzył sobie na wspaniałe widoki. Bronco-Buster, kuter Maggota, cumował przy końcu betonowego nadbrzeża, z którego sterczały ujścia ścieków. Smród tego świństwa unosił się wszędzie, ale jak mawiał Maggot, w środku sezonu nie można być aż tak wybrednym, zwłaszcza że to i tak atrakcyjnie położona nieruchomość.

Drugi klucz Maggot chował na jednej z krokwi podtrzymujących dach werandy. Klucz pasował do kłódki przy oknie należącym do pomieszczenia, w którym kiedyś było biuro. Okno stanowiło zapasowe wejście do kuchni Maggota. Przelazłem przez metalową framugę i poczęstowałem się piwem z lodówki i puszką tuńczyka z kredensu. Stalowe drzwi do pozostałych pomieszczeń również były zamknięte, ale

klucze do nich miał tylko Maggot. Jego przyjaciele mogli sobie urzędować na werandzie i w kuchni, mogli podziwiać widoki i pić piwo, ale reszta mieszkania to prywatne królestwo Maggota.

Otworzyłem piwo i puszkę tuńczyka, i wyszedłem na werandę. Wyjąłem zza paska pistolet, aby mnie nie uwierał. Odłożyłem go na wiklinowy stolik. Usiadłem wygodnie w ulubionym fotelu Maggota. Kupił go w przedsiębiorstwie, które rozbiierało stare samoloty. Ten pochodził z boeinga B52 i był naprawdę wygodny.

Na powierzchni połyskującej ropą zatoki gromadziła się piana. Odpływ pozostawiał na odsłoniętych skałach tłusty osad. Wśród śmieci na brzegu biegały szczury. Maggot lubił siedzieć na werandzie i strzelać do nich z rozmaitych eksponatów ze swojej kolekcji. Zawsze jednak w miejsce zastrzelonych pojawiały się tuziny innych, tak się przynajmniej zdawało. To że mógł sobie strzelać do woli i nikt się nie skarżył, było kolejną zaletą tego miejsca. Tylko Maggot tutaj mieszkał. Wypiłem trochę piwa i poczekałem, aż reszta ogrzeje się do właściwej temperatury. Tatum leżał w cieniu werandy.

Jakaś ciężarówka z piskiem i klekotem przejechała po drodze, którą przesłaniał mi dom Maggota. Poza tym żaden dźwięk nie zmącił ciszy przez ponad pół godziny. Potem na drodze pojawił się samochód. Miałem nadzieję, że to Maggot, ale wóz podjechał pod sąsiedni magazyn, w którym składowano rozpuszczalniki. Wróciłem na lotniczy hotel.

Nie dopuszczałem do siebie myśli, że Ellen może już nie żyć. A jeśli zginęła razem z Maggotem? Może zostali zaatakowani w drodze z siedziby stowarzyszenia na przystań. Ale o takim napadzie z pewnością byłoby głośno w gazetach, więc może jeszcze żyją? Może ich porwano? A jeżeli Ellen wciąż jeszcze żyje i...? Nie! O czymś takim nie chciałem nawet myśleć. Na chwilę bardzo mocno zacisnąłem powieki.

Pewnie nic jej się nie stało. Po prostu zapragnęła nagle odwiedzić przyjaciół w Ameryce albo wróciła na uniwersytet, gdzie wykładała? Staralem się nie tracić nadziei. Pod werandą Tatum zaskomlał przez sen, a potem cicho warknął. Przytknąłem butelkę do ust.

Przekonywałem sam siebie, że Maggot wkrótce będzie w domu. Na pewno po

wie, że Ellen nagle zmieniła plany i poleciała do Stanów. Może nawet wysłała mi pocztówkę z lotniska i teraz ta kartka czeka na mnie na Straker's Cay.

Tatum zaczął szczeakać. Wyprostowałem się w fotelu. Pies ujadł jak oszalały. Kiedy na chwilę przerwał, aby zaczerpnąć tchu, usłyszałem szcęk łańcucha przy bramie. Odwróciłem się w tamtą stronę, ale nic nie mogłem dostrzec. Tatum wyskoczył nagle spod werandy. Usłyszałem huk wystrzału i pies, prawie że w locie, zamienił się w kupę zalanego krwią futra. Ktoś chciał przedostać się przez ogrodzenie. Chwyciłem broń i padłem na podłogę, przewracając fotel. Podczołgałem się do krańca werandy. To, co zostało z Tatumem, leżało teraz na dziedzińcu wśród innych śmieci.

Teren poza ogrodzeniem był zastawiony wrakami samochodów. Promienie słońca ślizgały się po niklowanych częściach i odbijały od szyb. Nie widziałem nikogo, kto próbowałby wejść przez ogrodzenie, ale znowu rozległy się strzały. Ktoś strzelał chyba pomiędzy samochodów.

Rozległa się trzecia seria, i jeszcze jedna. Wypełniły ciężkie od smrodu powietrze ogłuszającym hukiem. Na werandę posypał się grad ołowianych łusek. Kule roztrzaskały klosz lampy zwisającej z dachu. Leżałem schowany za balustradą i uważnie obserwowałem teren, wciąż jednak nie widziałem wrogów.

Wokół wznosiły się stosy rdzewiejących samochodów. Ogrodzenie było całe. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, iż wstrzymuję oddech. Wypuściłem powietrze bardzo wolno. Żyłem i nie byłem ranny. Z kieszeni spodni wyciągnąłem naboje i załadowałem sześć w webleya. Odbezpieczyłem broń i jeszcze raz rozejrzałem się. Wokół ciała Tatumem już krążyły muchy. Z przedziurawionego zbiornika lampy wyciekała nafta. W dalszym ciągu nie widziałem żadnego strzelca.

Czułem, jak podnoszą mi się włoski na karku. Psa zważył do ogrodzenia brzęk łańcucha. Jednakże łańcuch był na swoim miejscu. Napastnicy wycofali się między samochody. Nagle przyszło mi do głowy, że ten łańcuch to tylko przynęta. Jego zadaniem było zwrócenie uwagi psa i mojej w jedną stronę, tak aby można mnie było łatwo zejść od tyłu. Przekręciłem się na plecy i usiadłem, wycelowując pistolet w kierunku drugich schodów prowadzących na werandę. Bałem się, ale ze zdziwieniem zauważyłem, że nie trzęsą mi się ręce.

Nie mogłem widzieć, czy ktoś wchodzi po tych schodach. Nie widziałem też betonowego muru ogradzającego posesję z lewej strony. Stanowił on jednocześnie tylną ścianę magazynu, w którym składowano rozpuszczalniki przemysłowe. Przecież widziałem, że jakiś czas temu podjechał tam samochód. Wtedy nie zwróciłem na niego uwagi. Te strzały, które słyszałem, miały pewnie za zadanie zagłuszyć kroki moich przeciwników skradających się po dachu tamtego magazynu. Musieli już być w pobliżu werandy. Zastanawiałem się, czy wejdą po schodach, czy też będą strzelali od dołu, przez podłogę werandy.

Strach podchodził mi do gardła razem z piwem i tuńczykiem. Czulem kwaśny smak w ustach. Serce waliło mi jak oszalałe. Lewa noga drżała lekko, a jednak ręce, w których trzymałem broń, były nieruchome. Miałem świadomość, że moimi przeciwnikami są ludzie, którzy skrzywdzili albo zabili Ellen. Całą swą uwagę skoncentrowałem na paśmie światła u szczytu schodów. Sam leżałem w cieniu. Wiedziałem, że aby wejść na górę, każdy musi przejść tę jasną smugę, a tam nie mogłem go nie trafić. Ta myśl dodawała mi odwagi.

Nie przewidziałem jednego. Rzucili granat.

Zauważyłem jego cień na ścianie i wiedziałem, że przegrałem.

Na szczęście dla mnie, granat został rzucony za mocno. Trafił w jedną z krokwi podpierających dach, odbił się od niej i spadł na podłogę za przewróconym fotelem lotniczym. Liczyłem sekundy od chwili, kiedy zobaczyłem granat. Otworzyłem usta i podkuliłem kolana, chcąc osłonić przeponę. Broń trzymałem wciąż wycelowaną w jasną przestrzeń u szczytu schodów.

Rozległ się huk i tę jasną przestrzeń rozdarł wybuch. Z płóciennego dachu werandy zostały strzępy. Gorący podmuch powietrza uderzył we mnie z dużą siłą. Nie trafił mnie żaden odłamek. Wybuch przewrócił stół i przesunął ciężki fotel o dwa metry w moim kierunku. Zapaliła się rozlana nafta. Huk eksplozji wciąż jeszcze odbijał się echem od nadbrzeżnych skał. Właśnie wtedy usłyszałem na schodach czyjeś kroki.

Nie widziałem prawie nic w oślepiającym blasku słońca. Poza tym wciąż jeszcze byłem w szoku wywołanym wybuchem, ale zakodowane gdzieś w mózgu lata treningu nie poszły na marne, tak jakby moje ciało samo wiedziało, co ma robić. Napastnicy wchodzili po schodach. Jeden z nich wrzeszczał albo dla dodania sobie



odwagi, albo żeby mnie postraszyć. Słyszałem tylko jeden głos, ale dwie pary butów. Wiedziałem, że nie zobaczą mnie od razu. Leżałem w cieniu. Jakaś cząstka mojego mózgu, w której znajdowała się zaprogramowana u wszystkich żołnierzy umiejętność zabijania, kazała mi się wstrzymać ze strzelaniem do momentu, aż cel będzie pewny.

Pierwszy mężczyzna, ten który krzyczał, wpadł na werandę. Był to młody, czarnoskóry, krótko ostrzyżony chłopak. Przed sobą trzymał kałasznikowa. Zauważyłem blade błyski wystrzałów. Na szczęście dla mnie, chłopak, jak większość niedoświadczonych strzelców, celował zbyt wysoko. Wiedziałem, że był jeszcze drugi, i domyślałem się, iż miał znacznie większe doświadczenie. Zadaniem pierwszego było jedynie przyciągnięcie mojej uwagi, podczas gdy drugi miał mnie zabić. Przesunąłem ciężkiego webleya o milimetry w prawo i czekałem na drugiego mężczyznę. Nie drgnął mi nawet jeden mięsień. Mój najmniejszy ruch byłby równoznaczny ze śmiercią. Czekałem tak przez trwającą wieczność sekundę, podczas gdy pierwszy mężczyzna bombardował werandę kulami z kałasznikowa. W końcu pojawił się ten drugi. Wyglądał jak brat-bliźniak pierwszego. Krótkie spojrzenie wystarczyło mu, żeby mnie zauważyć. Krzyknął ostrzegawczo do swego kompana, który wciąż jeszcze mnie nie widział. Nacisnąłem spust.

Pomimo paraliżującego strachu, jaki odczuwałem, wyszkolone odruchy nie zawiodły mnie. Trzymałem broń oburącz, aby szybciej zapanować nad nią po strzale. Miałem całe pół sekundy, aby wycelować po raz drugi. W takich warunkach dobrze wyszkolony żołnierz nie mógł nie trafić. Strzeliłem jeszcze raz. Widziałem, jak pocisk rozrywa gardło drugiego strzelca. Jego krzyk przeszedł w bulgot. Od rzuciło go do tyłu. Fontanna krwi trysnęła na werandę. W słońcu zdawało się, iż jest jaskrawoczerwona. Pierwszy mężczyzna zwrócił broń w moim kierunku, ale nie wycelował dokładnie. Wiedziałem, że chcąc mi uciec, rzucił się w prawo i właśnie tam mierzyłem. Kolejne pociągnięcie za spust i zobaczyłem dziurę w miejscu, gdzie kula przebiła mu żebra. Rzuciło go na betonową ścianę domu Maggota i tak już został; oparty o mur, z szeroko otwartymi oczami i kałasznikowem wiszącym u boku.

Jęknął. Twarz wykrzywił mu straszliwy grymas. Próbował jeszcze podnieść broń, ale nie dał rady. Wyglądał teraz jak dziecko, któremu zabrano ulubioną

zabawkę. Oczy wypełniły mu się łzami. Patrzył na mnie z wyrzutem. Jeszcze raz spróbował podnieść kałasznikowa. Widziałem, jak lufa powoli unosi się. Ogarnął mnie nagły strach. Strzeliłem po raz ostatni. Pocisk webleya rozwalił mu twarz. Osunął się na podłogę, pozostawiając wąską smugę krwi na betonowej ścianie.

Nagle otoczyła mnie cisza. Rozlana nafta paliła się jeszcze niebieskawym płomieniem. W ustach miałem gorzki smak. Piekły mnie oczy. Zauważyłem, że zaczęły mi się trząść ręce.

Dzięki Bogu, że nie było ich tutaj, kiedy Julie mnie przywiozła. Kto wie, czy wtedy udałoby się uniknąć rzezi.

Skąd wiedzieli, gdzie mnie szukać? Na to pytanie nie było trudno odpowiedzieć. Przecież wszystkim ludziom, z którymi się dziś spotkałem, mówiłem, że znajduję mnie u Maggota. Z pewnością moi wrogowie wiedzieli od samego początku, że jestem na wyspie. Do kogo jeszcze zadzwonił Bellybutton? Do Billingsleya? Jeżeli ten facet chciał, żebym był martwy, to dlaczego nie wykończył mnie, kiedy siedziałem w areszcie? Być może dlatego, że śmierci w takich okolicznościach nie zdołałby ukryć. Nie obeszloby się bez pytań. Tysiące pytań i domysłów pojawiało się w mojej głowie, a jednocześnie wciąż byłem czujny. Czekałem, jaki będzie kolejny ruch przeciwnika.

O ile w ogóle można było mówić o jakimkolwiek kolejnym ruchu poza ucieczką, ponieważ pierwsza zasadzka zakończyła się totalną klęską. Jeżeli zostało im trochę rozumu, to powinni teraz uciec, jeszcze przed pojawieniem się policji. Spodziewałem się usłyszeć syreny policyjne w każdej chwili. Ktoś na pewno słyszał tę strzelaninę i zawiadomił władze. Poczulem zapach krwi. Cały świat śmierdzał krwią i palącą się naftą. Nawet smród tej wstrętnej zatoki nie zdołał tego przytłumić.

Przekręciłem się, oczekując w każdej chwili kolejnego strzału.

Cisza.

Ten, do którego strzelałem, dawno już spadł ze schodów i nie widziałem go teraz. Drugi wciąż leżał skulony pod ścianą. Podszedłem do niego, okrążając płomienie i podniosłem jego kałasznikowa. Stwierdziłem, że to wschodnioniemiecka wersja z czarnym, plastikowym łożyskiem. Broń zalana była krwią. Wytarłem ją. Wziąłem dwa zapasowe magazynki z przytroczonej do pasa sakwy. Od płonącej

nafty zajęły się słomiane maty pokrywające podłogę werandy. Ogień buchnął jaśniejszym płomieniem.

Zmieniłem magazynek w karabinie. Cały czas trzymałem się jak najbliżej podłogi. W kałużach krwi leżały łuski z kałasznikowa. Były polakierowane na zielono, tak jak te, które kiedyś znalazłem na Hironnelle. Oczywiście, nie oznaczało to, że właśnie ci ludzie zabili całą załogę tamtego jachtu. Mógł to być tylko zbieg okoliczności. Oba bloki, wschodni i zachodni, zalewały świat bronią. Mówieniem o pokoju i rozbrojeniu politycy mydlili ludziom oczy, w rzeczywistości handel bronią wpływał na zmniejszenie się bezrobocia i zwiększenie rozmiarów eksportu. Przeczłogałem się na tę stronę werandy, która wychodziła na cmentarzysko starych samochodów. Policja jeszcze nie przyjechała.

Rosła temperatura palącej się nafty i gęstniał dym, który nie stanowił dla mnie żadnej osłony, gdyż unosił się do góry. Myślałem, że w końcu i tak będę musiał opuścić płonąca werandę, wystawiając się na cel tym wszystkim, którzy, jak sądziłem, byli na dole. Spalić się albo zostać zastrzelonym? Podobnie jak Hamlet, nie mogłem się zdecydować. W końcu wstałem, wybierając drugą ewentualność. Trzymałem się blisko ściany domu, a webleya wsadziłem w kieszeń spodni. W oddali, ponad nieruchomymi stosami zniszczonych samochodów, widziałem otwarte morze. Nagle poczułem, że bołą mnie plecy. Miałem wrażenie, że odnowiły mi się rany odniesione na Wavebreakerze.

Odbezpieczyłem kałasznikowa. Kiedyś uczyłem marynarzy, jak się nim posługiwać. To niezła broń. Można ją było zgnieść, spalić czy utopić, a on wciąż działał. Ostrożnie zszedłem po schodach. Uderzył mnie ciężki odór psiej krwi. Nad Tatumem unosiły się chmury bzykających much. Strużki potu spływały mi po twarzy. Wytarłem je rękawem. Nikt nie strzelał. Jak najszybciej pobiegłem w stronę betonowego nabrzeża. Chciałem się dostać na Bronco-Bustera. Beton w wielu miejscach kruszył się. Ohydne zapachy odpadków, dymu, ropy i krwi łączyły się, tworząc mieszaninę nie do zniesienia. Odbiłem się rozpaczliwie od nabrzeża i wylądowałem ciężko na rufie kutra. Bronco-Buster miał dziewięć i pół metra długości, ruchomy mostek i poszarpany fotel z myśliwca. Skuliłem się przy kole sterowym i obserwowałem brzeg.

Z werandy wciąż jeszcze dobywały się płomienie i dym, ale ogień już przygasał. Strzępy płóciennego dachu powiewały teraz na wietrze. Sądziłem, że pożar nie obejmie domu Maggota. Ten stary magazyn zbudowano z materiałów, które się tak łatwo nie paliły.

Wciąż jeszcze nie było policji i wokół panował spokój, tylko w górze krążyły jakieś trzy ptaszyska. Zaczynałem wierzyć, że jestem bezpieczny i że poza tamtymi dwoma napastnikami nie ma już nikogo. Nie oznaczało to jednak, że mogę się odprężyć. Zdecydowałem bowiem, że aby uniknąć przesłuchiwań, wypłynę Bronco-Busterem na morze (pod warunkiem, że uda mi się uruchomić silnik łodzi). Chciałem popłynąć na Straker's Cay. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Zostając u Maggota, wpadłbym albo w ręce moich wrogów, albo policji. Została mi jedynie Masquerade. Nie miałem nic poza nią. Nie miałem Ellen.

Zdawało mi się, że słyszałem odjeżdżający samochód, ale nie byłem jednak pewien. Zaczekałem jeszcze dziesięć minut, a potem podniosłem się z podłogi Bronco-Bustera. Nikt do mnie nie strzelił. Wszystko na kutrze zamknięte było na kłódki. Musiałem też poradzić sobie jakoś bez kluczyka do stacyjki. Najpierw sprawdziłem, czy kuter ma pełen bak. Kałasznikowem podważyłem zamek pokrywy schowka, w którym znajdował się główny zbiornik paliwa.

Był prawie pusty. Przez wziernik widziałem, że został jakiś centymetr ropy na dnie. Wystarczało to na dopłynięcie do przystani McIlvanneya, gdzie mogłem pożyczyć albo ukraść Starkissera.

Właśnie miałem podważyć skobel zabezpieczający pokrywę silnika, kiedy usłyszałem zgrzyt bramy wjazdowej do domu Maggota. Spojrzałem w tamtą stronę.

Wrócił Maggot. Poczułem olbrzymią ulgę. Patrzyłem, jak wysiadł ze swego czerwonego firebirda, żeby otworzyć bramę. Krzyknąłem, chcąc go ostrzec, że ktoś może obserwować dom z ukrycia. Był jednak za daleko, a poza tym silnik samochodu pracował za głośno, aby John mógł mnie słyszeć. Strzeliłem z kałasznikowa w powietrze. Maggot wskoczył z powrotem do wozu i schylił się do jakiegoś schowka, prawdopodobnie po broń.

Wygramoliłem się z kutra na nadbrzeże. Maggot wjechał przez bramę, kurząc niemilosiernie. Nikt do niego nie strzelił. Samochód zatrzymał się gwałtownie tuż przed trupem rottweilera, nad którym wciąż bzycały muchy. Maggot nawet nie spojrzał na psa. Wyciągnął z samochodu gaśnicę i popędził w stronę werandy.

– Co się, do cholery, dzieje? – krzyknął do mnie.

– Gdzie, do cholery, jest Ellen? – odkrzyknąłem. Ogień z sykiem ustępował przed gaśniczą pianą. Z werandy uniosła się trująca mgiełka, śmierdząca chyba jeszcze bardziej niż wszystkie świństwa z tej zatoczki zebrane do kupy. – Gdzie jest Ellen? – krzyknąłem raz jeszcze, podbiegając do schodów.

– Ellen? – Maggot patrzył na mnie tak, jakby niezupełnie rozumiał, o co go pytam. – Przecież jest z tobą? Postanowiła, że wraca do ciebie!

Nędzne resztki nadziei, które jeszcze mi pozostały, ulotniły się wraz z tymi słowami.

– Poszliśmy do jej mieszkania. Zabrała trochę rzeczy i udała się do tego swojego stowarzyszenia. Potem stwierdziła, że nie ma ochoty płynąć tą kupą złomu do Florida Keys. Powiedziała, że woli wrócić do ciebie, więc podrzuciłem ją na prom.

– I zostawiłeś ją tam?

– No tak. Twierdziła, że sama potrafi świetnie dać sobie radę. – Maggot wyczuł, że mam do niego pretensje. Powinien był odwieźć ją na Straker's Cay. – Miałem zamówiony lot do Świątka Palantów. – Maggot nazywał tak Disneyworld, w którym przebrani za myszy ludzie witali turystów. – Trójka Wenezuelczyków zarezerwowała sobie ten czarter już parę tygodni temu – bronił się. – Nie mogłem ich przecież zawieść.

– Wiem o tym. Przepraszam. – Nie miałem prawa obwiniać Maggota za to, co się stało. I tak dużo mi pomógł.

– Szczerze mówiąc – uśmiechnął się mało przekonująco – Ellen nie czuła się zbyt dobrze w moim towarzystwie. Sam wiesz, jak na nią działałam. Jeszcze lepiej niż płachta na byka.

Zszedł z werandy, z której wciąż dobywały się kłęby dymu, chociaż ogień został już ugaszony.

– Ellen nie wróciła na Straker's Cay – powiedziałem. I nagle przyszło mi na myśl, że mogła tam przybyć już po moim wyjeździe. – A może jest na Straker's Cay i czeka na mnie?

Maggot pokręcił głową.

– Właśnie stamtąd przyleciałem. Szukałem ciebie. – Podeszedł do ciała mężczyzny, który spadł ze schodów, i zaczął przetrząsać kieszenie jego wojskowego kombinezonu.

– Dlaczego mnie szukałeś? – spytałem.

– Ten senator – Crowninshield – chciał się z tobą spotkać – wyjaśnił obojętnie. Nagle zaklął i odskoczył od leżącego na ziemi ciała jakby go ugryzło.

– Co jest?

– Jezu! – Maggot rzucił mi portfel, który wyjął z kombinezonu nieboszczyka. Jego spokój i obojętność gdzieś się nagle ulotniły.

Portfel był wypchany pieniędzmi, ale to nie forsa tak wzburzyła Maggota. W przegródce znajdowała się legitymacja. Facet był gliną. Zastrzeliłem policjanta, a właściwie dwóch.

– O, mój Boże! – Znowu zacząłem się trząść.

Maggot wstał. Wokół nas panowała cisza. Kumple tych dwóch zwiali. Brama sąsiedniego magazynu stała otworem. Na drodze zostały ślady opon. Wyraźnie widać było miejsce, w którym samochód przyspieszył. Odjechali, zostawiając zabitych. Zabitych policjantów. Maggot cofnął się. Chciał mnie opuścić i nie miałem o to do niego pretensji.

– Deacon Billingsley – powiedział nagle.

– To nie jest Billingsley – zaprzeczyłem. Wciąż nie mogłem opanować drżenia. Powoli dochodziło do mnie, w co się wplątałem. Cały świat kręcił mi się w głowie. Zaledwie miesiąc temu pomagałem filmować reklamówkę Pussy-Cute i moim największym zmartwieniem było pilnowanie, żeby jakiś kot nie zaplątał się w takielunek Wavebreakera. Teraz byłem mordercą. Czekala mnie wieczność w więzieniu albo nawet coś o wiele gorszego. – Czy na Bahamach istnieje kara śmierci?

– Nie rozumiesz? To Billingsley ich tutaj przysłał. – Maggot zabrał mi portfel i wyciągnął z niego banknoty. – Na miłość boską, Nick! Zastanów się! Byłeś świadkiem morderstwa Tesy'ego, a oni chcą się pozbyć wszystkich świadków.

Spojrzałem na trupa. Wokół ohydnej dziury w gardle kłębiły się muchy.

– Więc on nie był tutaj jako policjant? – zapytałem, nie mogąc się otrząsnąć z szoku.

– Oczywiście, że nie. – Zaciągnął ciało pod werandę, żeby było niewidoczne z drogi. – Bahamska policja nie szmugluje, jak dotychczas, narkotyków oficjalnie. Nie stój tak! Pomóż mi się stąd wynieść!

– Pomóż? – Nareszcie zaczęło do mnie docierać, że Maggot nie zamierzał zostawić mnie na pastwę losu. Poczułem wdzięczność dla tego olbrzyma.

– Wcześniej czy później ich kolesie zaczną nas szukać. – Maggot wyjął klucze i otworzył drzwi. – Musimy jak najszybciej się stąd ulotnić!

Zaczął wywlekać z mieszkania zielone płócienne torby. Kazał mi wrzucić je na tył samochodu. Worki były dosyć ciężkie, a przedmioty w nich schowane, obijając się o siebie, wydawały metaliczne dźwięki. Maggot zabierał najlepsze eksponaty ze swojej kolekcji broni.

– Nie zamierzasz już tutaj wrócić? – zapytałem.

Na moment przerwał pakowanie.

– Dwóch martwych policjantów przed moim domem? Możesz być pewien, że tutaj nie wrócę. – Wyrzucił na zewnątrz dwa plastikowe worki z ubraniami, teczkę oraz fotografię pięknej brunetki oprawioną w srebrne ramki. Dokładnie wiedział, co chce ze sobą zabrać. Był zawsze przygotowany do błyskawicznego opuszczenia domu. Drzwi zostawił otwarte i krzyknął, żebym wsiadał do samochodu.

W rękę trzymałem zdjęcie w ramkach. Silnik, na szczęście, zapalił. Maggot wycofał samochód na drogę i ruszył z piskiem opon.

Spojrzałem na fotografię. Dziewczyna miała cudownie delikatne rysy, kruczoczarne włosy, jasne oczy i zuchwały uśmiech. Jej ciało wyglądało na giętkie i sprężyste.

– Pittsburgh? – zapytałem Maggota.

– No – potwierdził. Gwałtownie skreślił kierownicą. Usłyszałem szczęk broni, która przemieściła się z tyłu samochodu.

– Jest piękna – powiedziałem z podziwem.

– Tak. Tylko że teraz ona świadczy usługi specjalne w peep-show – stwierdził Maggot smutno. – To zdjęcie zostało zrobione, jeszcze zanim odkryła kokainę. Później już nie wygląda się tak dobrze.

Zamknąłem oczy, mając nadzieję, że ciemność przytłumi wszystkie moje problemy. Ellen. Myśl o niej sprawiła, że nagle zachciało mi się płakać. Miała wrócić do mnie promem, a na promie został prawdopodobnie zamordowany Jackson Chatterton. Wszystko było nie tak jak trzeba.

A do tego musieliśmy jeszcze uciekać.



Załadowaliśmy bagaże do niewielkiego samolotu Maggota, a przynajmniej to, co zdołało się do niego zmieścić. Maggot bardzo niechętnie rozstawał się ze swoim samochodem. Na zderzaku firebirda widniała naklejka z napisem: „Może to nie jest rolls-royce, ale właśnie tu zaczęło się życie twojej córki”. Maggot próbował ostrożnie oderwać ją twierdząc, że już nigdzie takiej nie znajdzie, ale, niestety, cienki papier podarł się.

– Na litość boską! – ponaglałem go. – Ruszajmy już!

– Jeszcze tylko zgłoszę lot. Zaczekaj. – W końcu zostawił naklejkę w spokoju i zabrawszy mapę i jakieś papiery pobiegł w kierunku budynków lotniska.

Wdrapałem się do środka samolotu. Wewnątrz kabiny panował upał jak w tureckiej łaźni. Samolot stał w pełnym słońcu, na otwartej przestrzeni, a jednak miałem wrażenie, że stanowi dla mnie pewnego rodzaju schronienie. Wciąż nasłuchiwałem, czy nie rozlegną się gdzieś w pobliżu syreny policyjnych wozów. Niedaleko wylądował jakiś helikopter. Byłem prawie pewien, że na jego pokładzie znajdują się ludzie, którzy przybyli mnie aresztować. Zsunąłem się niżej i czekałem, aż z helikoptera wysiądą moi oprawcy. Tymczasem z kabiny wygramolił się jakiś grubas w obcisłych bermudach. Nawet nie spojrzął na samolot, w którym siedziałem.

Maggot nie wracał. Pot dosłownie lał się ze mnie. Policja już na pewno znalazła ciała obu zabitych. Ci, którzy uciekli, zdążyli pewnie zawiadomić kogo trzeba i podać mój rysopis. Teraz na każdym posterunku policji na wyspach wiedziano, jak wyglądam. Rozesłano polecenie: „Szukać Hamleta, Księcia Ciemności”. Zakląłem głośno i wałnąłem pięścią w deskę rozdzielczą samolotu. Chciałem, żeby Maggot

już tu był, ale on wciąż siedział w budynku wieży kontrolnej.

Dwóch czarnych mężczyzn w białych kombinezonach podeszło do firebirda. Stali tam, podziwiając linię samochodu. Według mnie ich kombinezony były zbyt czyste. Na plecach mieli wymalowane znaki jakiegoś przedsiębiorstwa, ale ja byłem pewien, że to policjanci. Jeden z nich zapalił papierosa. Gdzie, do licha, podziwiał się Maggot? Skuliłem się na siedzeniu.

Straciłem Ellen. Straciłem Masquerade. Mogłem tylko mieć nadzieję, że uda mi się ocalić życie. Ellen ostrzegła mnie, żebym się nie mieszał w sprawy handlarzy narkotyków właśnie tego ranka, kiedy znaleźliśmy wrak Hirondelle. Ale ja jej nie posłuchałem. Teraz ona, tak jak Chatterton i Tesy, już nie żyła, a może nawet gorzej. Wzdrygnąłem się. Nie wiedziałem, czy będę umiał pogodzić się z tym wszystkim, ale mój smutek i tak był niczym w porównaniu z tym, co musiała przejść Ellen.

Dwaj odziani na czarno mężczyźni odeszli w stronę baraków. Dobiegł mnie ich śmiech. Na głównym pasie lotniska wylądował duży pasażerski samolot, wypełniając wszystko dookoła nieznośnym hukiem. Gdzie był Maggot?

– Jezu! – jęknąłem bezsilnie. – Co jest?

Na parking sto metrów dalej wjechał wóz policyjny, z którego wysiadł umundurowany komisarz. Patrzył wprost na mnie. Rozprostował ramiona, a mnie się wydawało, że to początek moich tortur. Miałem ochotę rzucić się do ucieczki. Oskarżono by mnie przecież nie tylko o morderstwo, ale także o nielegalny przewóz broni. W samolocie Maggota było jej pełno. Zauważyłem wśród niej rosyjski karabin maszynowy. Maggot twierdził, iż odkupił go od jakiegoś kolekcjonera z Florydy. W samolocie były również pudełka z amunicją. Zauważyłem na nich napis: *Oficina Economica Cubana*. Leżąca obok torba zawierała czeskie skorpiony. Wyglądały jak zabawki, ale na małe odległości były niezwykle niebezpieczne. Któż, zastanawiałem się, myślałby o taszczeniu czegoś takiego podczas ucieczki? I dla czego właściciel tego arsenału na tak długo zostawił mnie w samolocie?

– Co jest? – ponaglałem nieobecnego Maggota.

Policjant odwrócił się i odszedł w kierunku terminalu. Wiatr podnosił kurz z pola startowego. Ellen, Ellen, Ellen. Nie umiałem pogodzić się z tym, co się jej przytrafiło. Sweetman zabił Ellen albo porwał. Staralem się wymyślić jeszcze jakiś sposób,

aby ją odnaleźć, a może tylko pomścić. Byłem jednak bezsilny. Nie wiedziałem, gdzie mam szukać Jesse'ego Sweetmana, a nawet gdybym wiedział, to co mógłbym zrobić? Zastanawiałem się, skąd Maggot mógł mieć pewność, że to właśnie Deacon Billingsley wysłał tamtych policjantów do domu Maggota, aby mnie zabili. Przecież nic nie wskazywało na to, że Sweetman i Billingsley współpracują ze sobą.

W końcu Maggot wyszedł z budynku. Posuwał się w moim kierunku tak wolno, jakby miał przed sobą całą wieczność. Zatrzymał się nawet, żeby pogadać z mężczyznami w białych kombinezonach. Potem spokojnie obszedł samolot, oglądając go z każdej strony.

– Nic jeszcze nie odpadło – poinformował mnie wsiadając. – I mamy zatwierdzony lot do Fort Lauderdale.

– Dzięki Bogu.

– Nie znaczy to, oczywiście, że musimy tam lecieć. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy odwiedzić Coffinheada Portera. Znasz go?

Znałem Coffinheada, choć nie tak dobrze jak Maggot. Był to Bahamczyk, który zbił majątek na szmuglu. Słyszałem, że ostatnio „odszedł na emeryturę”. Miał małą przystań na Berry Islands. Jego przydomek – Trumienny Łeb – wzięło się stąd, że Coffinhead miał dziwnie wydłużoną czaszkę, przypominającą kształtem trumnę. Często zajmował się organizowaniem egzotycznych wypraw podwodnych dla naszych klientów. Z tego co wiedziałem, Coffinhead nie był prawnikiem, tak więc nie mógł mi pomóc uwolnić się od zarzutów popełnienia morderstwa.

– Dlaczego właśnie do niego? – spytałem oschle.

– Ponieważ tam właśnie czeka senator Crowninshield – stwierdził Maggot takim tonem, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Trzymaj swoje gacie. Sprawdźmy, czy ten złom potrafi jeszcze latać.

Potrafił. To było cudowne uczucie, móc się wzbić w górę i szybować z dala od policji i kłopotów. Wiedziałem jednakże, iż policjanci będą wszędzie, gdziekolwiek wylądujemy. Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś będę mógł nie obawiać się pościgu. Z żalem patrzyłem na niewyobrażalnie niebieskie morze w dole i starałem się raz jeszcze przemyśleć ostatnie wydarzenia. To wszystko nie miało żadnego sensu.

- Co Crowninshield robi u Coffinheada? – spytałem.
- Chciał się z tobą zobaczyć. Może cię lubi? – Maggot uśmiechnął się znacząco.

– Maggot, o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi?

Popatrzył na mnie jak na szaleńca.

– A jak sądzisz? Senator chce odzyskać swoje dzieciaki. Poprosił mnie o pomoc, a ja powiedziałem, że się zgodzę, jeżeli ty również przyłączysz się do tej całej zabawy. Właśnie dlatego polecałem po ciebie na Straker's Cay i stąd wiem, że Ellen tam nie ma.

– Czy senator wie, gdzie są jego bliźniaki?

– Oczywiście! – Maggot był zdziwiony, że w ogóle o to pytam.

Poczułem, po raz pierwszy tego dnia, słaby cień nadziei. Jeżeli senator wiedział, gdzie są jego bliźnięta, to wiedział też, gdzie jest Jesse Sweetman, a tam mogła być również Ellen. Jeżeli jeszcze żyła. W końcu znalazłem jakiś trop, za którym mogłem podążać.

– Jak, do diabła, zdołał się tego dowiedzieć?

– To nie on, to ty. – Maggot skierował samolot na południe, wpuszczając do wnętrza kabiny ostre promienie słońca. Czuliśmy teraz chłodniejszy powiew wiatru.

– Ja? – Części tej układanki nijak nie pasowały do siebie.

– Zobacz tam. – Maggot wskazał na tylne siedzenie, gdzie pomiędzy bronią i jakimiś papierami leżała brązowa koperta.

Otworzyłem ją. Zawierała czarno-białe fotografie. Były to zdjęcia Murder Cay, które zrobiłem podczas poprzedniego lotu z Maggotem.

Nie należały do najlepszych. Jedno przedstawiało zamazaną panoramę wyspy. Właściwie widać było tylko rozmyte kontury rafy i masę drzew palmowych. Nieco lepiej wyszło zdjęcie kanału. W kopercie było też świetne zdjęcie dwóch domów. Na fotografii wydawały mi się większe. Oba miały baseny, korty tenisowe, białe tarasy i anteny satelitarne na dachach. Reszta zdjęć była potwornie zamazana. Zdołałem jeszcze rozpoznać na jednym z nich dwie ciężarówki blokujące pas startowy, na którym widniał namalowany żółty krzyż.

– Być może umiesz sobie radzić z handlarzami narkotyków – uśmiechnął się Maggot – ale zdjęcia to robisz jak dupa.

Przyjąłem to do wiadomości i szybko przejrzałem resztę fotek, z których

większość była prześwietlona. Ostatnie zdjęcie zostało zrobione, kiedy Maggot gwałtownie skręcił, aby umknąć przed strzałami. W jednym z rogów widniało coś zamazanego, co było chyba kawałkiem kokpitu. Chciałem sfotografować całą przystań, ale zdołałem uchwycić jedynie jakiś jacht i mały biały holownik. Ich kadłuby rzucały wyraźne cienie na jasne, piaszczyste dno laguny. Spojrzałem na Maggota, który właśnie przypalał sobie papierosa.

– I co z tego? – spytałem. Rzadko zdarzało mi się oglądać gorsze zdjęcia. Nie rozumiałem, w jaki sposób można z nich było wywnioskować, że dzieciaki senatora są na Murder Cay.

– Przyjrzyj się uważnie ostatniej fotografii. – Maggot starał się przekrzyczeć hałas silnika. Przyjrzałem się. Na niewyraźnym zdjęciu były tylko jacht i holownik.  
– Ile widzisz łodzi? – Maggot świetnie się bawił.

– Dwie.

– A ile cieni na dnie laguny?

– Dobry Boże!

– Bingo! – zaśmiał się Maggovertski. – Dwie łodzie, ale trzy cienie. Świetne ujęcie, Nick.

Patrzyłem zdumiony na fotografię. Na pierwszy rzut oka rzeczywiście wydawało się, że przedstawia ona tylko dwie łodzie, ale nie można było mieć wątpliwości co do tego, że na piaszczystym dnie laguny wyraźnie widniały trzy cienie. W momencie, kiedy zauważyłem trzeci cień, spostrzegłem również trzecią łódź. Była to sportowa motorówka pomalowana w barwy maskujące, które sprawiały, że zlewała się z poplamioną słońcem powierzchnią wody. Tą trzecią łodzią była Dream Baby. Wydawało mi się teraz, że bardzo wyraźnie odcina się od otoczenia. Zastanawiałem się, jak mogłem przeoczyć ją, kiedy pierwszy raz oglądałem zdjęcie. Mogłem teraz dostrzec nawet jej zakrzywioną antenę i białe pasy na obiciu fotela.

– Znalazłeś więc Dream Baby. Na pewno już jej nie ma na Murder Cay, ale była tam, kiedy razem przelatywaliśmy nad tą wyspą. Postawiłbym cały kram dziwek przeciwko jednemu naparstkowi piwa, że Sweetman mieszka na Murder Cay.

Pamiętałem, że Billingsley też miał tam dom. Nagle zrozumiałem, dlaczego Maggot był pewien, że to właśnie ten gliniarz próbował mnie załatwić. Nareszcie

wszystko miało jakiś sens. Sweetman musiał zatrzeć ślady i poprosił o pomoc Jaśnie Glinę. Ale Ellen? Zamknąłem oczy.

– Skąd wiesz, że Dream Baby nie ma już na Murder Cay?

– Ponieważ senator pociągnął za parę sznurków w Waszyngtonie. W tej niebieskiej teczce są zdjęcia zrobione dwa dni temu.

Na teczce wytłoczona była pieczęć Wydziału ds. Narkotyków. Wyciągnąłem ją spod płóciennego worka z bronią. Pierwsza fotografia przedstawiała całą wyspę otoczoną rafami Devil's Necklace. Na następnej widać było osiem luksusowych willi. Kolejne odbitki ukazywały poszczególne domy, przy których znajdowały się baseny, korty tenisowe, prywatne doki i kwatery dla służby. Na szczycie największego z domów była wieżyczka, z której sterczała antena radaru. Kiedyś na wypisie stał jeszcze dziewiąty dom, wybudowany na plaży, bliżej pasa startowego. Teraz zostały z niego tylko ruiny. Na zdjęciu przypominało to wykopaliska archeologiczne. Wszystkie wille zbudowano po zachodniej stronie wyspy. Wschodnią zajmowało długie i wąskie pole golfowe, obok którego niespodziewanie wyrastał maszt radiowy.

Wszystkie odbitki były kolorowe. Cienie kładły się po zachodniej stronie. Włączony system nawadniający pola golfowego wysyłał w górę fontanny kropel, które podświetlało nisko wiszące słońce. Nie widać było żadnego z właścicieli domów, jedynie służbę. Jakaś dziewczyna zamiatała taras, czarny ogrodnik podlewał grządki kwiatów, ktoś jeszcze ściągał liście z basenu. Kucharka myła na tyłach jednego z domów owoce, a obok niej siedział pręgowany kot i ziewał. Nikt z tych ludzi nie zdawał sobie sprawy z tego, że ktoś ich fotografuje. Zdjęcia robiono prawdopodobnie z dużej wysokości, mimo to wszystkie były bardzo wyraźne. Widziałem nawet rozrzucone obok kortu piłki tenisowe. Na innej fotografii z łatwością mogłem przeczytać tytuł pozostawionej na leżaku przy basenie gazety. Jedno ze zdjęć przedstawiało dżipa, który miał zamontowany z tyłu karabin maszynowy typu brauning.

– Niezła wysepka, co? – stwierdził Maggot. – Trzeba trochę pogrzebać w narkotykach albo być bardzo dobrym rozgrywającym, by móc sobie pozwolić na jeden z tych domków.

– Sądzisz, że Sweetman jest ich właścicielem?

– Nie! Wyspa należy do kolumbijskiej rodziny Colonów! – Zaśmiał się wymawiając to hiszpańskie nazwisko. Rzeczywiście w angielskim wydaniu brzmiało ono nieco zabawnie. – Produkuje kokainę i szmugluje ją na Bahamy. Sweetman dla nich pracuje i senator przypuszcza, że jeden z domów należy do tego gnojka. Na pewno wiemy, że Deacon Billingsley i jeden z ministrów mają na wyspie swoje wille. Największy dom, ten z radarem, należy do Colonów. Spotkałeś już Miguela Colona. To ten przyjemniaczek, który pomógł Sweetmanowi zatopić Wavebreakera.

Ten przyjemniaczek, jak go nazwał Maggot, zupełnie nieźle się urządził. Miał w kieszeni nie tylko Głównego Inspektora Policji Bahamów, ale także członka rządu. Na pewno nie użyczył im skrawka swego prywatnego rajku tak zupełnie bezinteresownie. Pomyślałem sobie, że Amerykanie mieliby ochotę przetrząsnąć Murder Cay. Nad wyspą zawisłoby stado helikopterów typu blackhawk, wody wokół zaroilyby się od łodzi blue thunder. Każdy metr kwadratowy przeczesaliby uzbrojeni ludzie z psami. Wyszłoby z tego coś na kształt Grenady albo Panamy. Aresztowano by wszystkich, którzy mieliby cokolwiek, choćby aspirynę produkowaną bez licencji. Amerykanie jednakże nie mogli nic zrobić bez zezwolenia władz Bahamów, a o to, aby takiego pozwolenia nie otrzymali, rodzinka Colonów potrafiła się świetnie zatroszczyć, opłacając odpowiednich ludzi.

– I co? – spojrzałem na Maggota. – Senator chce się do nich wybrać?

– Nie sam – zaśmiał się Maggot. – My będziemy mu towarzyszyli.

– O, Boże – przypomniałem sobie zaopatrzonego w karabin maszynowy dżipa.

– Senator nieźle płaci, a jeżeli jesteś choć trochę do mnie podobny, to wiesz, że kochanych pieniędzy nigdy za wiele.

Gdybym zdecydował się pomóc senatorowi, to na pewno nie ze względu na forszę. Moje żdźbło nadziei, że Ellen wciąż jeszcze żyje, urosło do rozmiarów dużej trawy. Nie umiałem wyobrazić sobie jej martwej. Obraz bezkresnego morza rozmazywał się w upale. Gdzieś na zachód od nas leżała wyspa, na której Sweetman trzymał, być może, Ellen. Pod nami okręty amerykańskiej marynarki wojennej rozcinały ostrymi dziobami niebieską powierzchnię wody.

Dwadzieścia minut później podchodziliśmy do lądowania. Maggot wysunął podwozie samolotu. Poczulem, jak pot występuje mi na czoło. Obawiałem się, że w dole czeka już na mnie policja.

– Nic się nie bój – Maggot wyczuł, co się ze mną dzieje. – Rycerz John jest z tobą – zaśmiał się, a następnie wygłosił swoją zwykłą formułkę pożegnalną: – Dziękuję państwu za wspólny lot z Maggovertski Airways. Proszę oddać stewardessie bieliznę, pomóc jej wstać i modlić się, aby nie rozsadziło nam opon.

Samolot podskoczył lekko, kiedy jego koła dotknęły ziemi.

Opony nie rozerwały się o koralową nawierzchnię pasa. Nie było też żadnej policji. Czekala na nas tylko taksówka, do której załadowaliśmy cały dobytek Maggota.

George Crowninshield czekał na nas w krytym palmowymi liśćmi biurze niewielkiej przystani. Wyglądał jak ktoś z innego świata. Pomimo kowbojskich butów i innych akcesoriów nie czuł się swobodnie w towarzystwie zwyczajnych wieśniaków. Należał raczej do kręgu polityków wznoszących toasty białym winem, niż do zadowolających się piwem z chipsami i bratających z ludem. Poza tym brakowało mu stada doradców i pomocników.

– Nie przyjechałem tutaj w interesach – wyjaśnił. – Jestem tu prywatnie, tak jak wtedy, kiedy przyleciałem na Straker's Cay, żeby z tobą porozmawiać. – Uściśnął moją dłoń. – Dziękuję, Nick, że przyleciałeś. Naprawdę dziękuję.

Powstrzymałem się od wyjaśniania mu, iż nie miałem specjalnego wyboru, wzięwszy pod uwagę fakt, że zabiłem dwóch policjantów. Wzruszyłem tylko ramionami i zapytałem, czego właściwie ode mnie oczekuje.

– Nie chcę żadnych kłopotów, rozumiesz, Nick? Żadnych! Chcę tylko znaleźć się dziś wieczorem na Murder Cay, porozmawiać z dziećmi i skłonić je, by wróciły do domu. – Patrzył przez okno biura, jak Maggot wyciągał zielone płócienne torby z bagażnika taksówki. – Byłbym wdzięczny, gdybyś zgodził się jechać tam ze mną i pomóc mi.

Przyszło mi na myśl, że to wszystko nie było takie proste. Colonowie na pewno użyliby całego zgromadzonego na wyspie arsenału, broniąc Murder Cay.

– Dlaczego pan po prostu nie zadzwoni do nich? – zapytałem.



– Próbowałem. – Senator wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Nic zresztą dziwnego, w końcu nie codziennie ojcowie próbują dojść do porozumienia z handlarzami narkotyków. – Za każdym razem odbiera jakiś facet, który udaje, że mnie nie rozumie. Nawet prosiłem jednego z moich pracowników, aby spróbował dogadać się z nim po hiszpańsku, ale nic to nie dało – tłumaczył. – Mielśmy szczęście – dodał niespodziewanie.

– Szczęście? – Nie zrozumiałem go.

– Na tym zdjęciu, które zrobiłeś, widać tę motorową łódź.

Senator powinien się cieszyć, że Maggot pomyślał o tym, by go zawiadomić. Wydawało mi się to dziwne, gdyż Maggovertski nigdy nie darzył Crowninshilda szczególną sympatią.

– Czy jest pan całkowicie pewien, że bliźniaki są na tej wyspie?

– To chyba oczywiste. – Crowninshield nadmiernie się pocił. – Sądzymy, że Rickie chce kupić jeden z nie zamieszkanym domów. Zostałby wtedy w tym narkotykowym niebie, ale będzie to możliwe dopiero za tydzień, kiedy odziedziczy swoją część.

– Czy dlatego właśnie lecimy na Murder Cay? Żeby chronić rodzinną fortunę i nie stracić pół miliona dolarów kaucji wpłaconej za Rickiego? – strzeliłem.

Crowninshield zaczerwienił się z gniewu. Przez chwilę zdawało się, że zaprzeczy moim zarzutom, lecz on nagle jakby skulił się w sobie.

– Być może – przyznał. – Dlaczego miałbym tego nie robić? Mam ot tak sobie zrezygnować z tych pieniędzy?

Cóż jeszcze mogłem powiedzieć na ten temat? Milczałem. Senator zmarszczył brwi.

– Ale nie chodzi tutaj tylko o pieniądze, Nick. Gdyby chodziło wyłącznie o życie moich dzieci, i tak bym tam pojechał. Nawet jeśli byłoby to równoznaczne z końcem mojej kariery. To jest po prostu coś, co muszę zrobić. – Przerwał na chwilę, szukając argumentów, które zdołałyby mnie przekonać. Kiedy znowu zaczął mówić, jego głos brzmiał już spokojniej. – Chcę po prostu znaleźć moje dzieci i porozmawiać z nimi. Być może zdołam je przekonać, aby podjęły jeszcze jedną próbę rzucenia narkotyków. Nie jadę tam jako senator, Nick. Jadę jako ojciec, który chce uratować swoje dzieci. – Uśmiechnął się smutno. – Wszyscy moi doradcy twierdzą,

że jestem szalony i że to co robię, jest równoznaczne z politycznym samouniwersytetowaniem. Może i tak, ale Robin-Anne i Rickie są moimi dziećmi i nikt inny im nie pomoże. Jego słowa zawierały wiele prawdy, ale ja wciąż nie byłem przekonany.

– I bliźniaki są warte Białego Domu?

Na jego przystojnej twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

– Masz dzieci? – zapytał.

– Nie.

– Gdybyś je miał – powiedział wolno – nie musiałbyś pytać.

Drzwi biura otworzyły się. Uśmiechnięty szeroko Maggot wszedł do środka, uginając się pod ciężarem karabinów maszynowych i amunicji. Zrzucił to wszystko na biurko Coffinheada. George Crowninshield jęknął na widok takiej ilości broni.

– Jestem pewien, że nie będziemy tego potrzebowali, panie Maggovertski.

– Jeżeli chce się komuś skopać tyłek, senatorze, to trzeba włożyć ciężkie buty. A to też nam się przyda – stwierdził Maggot, kładąc na wierzchu trzy kamizelki kuloodporne.

Tak jak senator patrzyłem zaskoczony na cały ten arsenał.

– Słyszałem, że nie chce pan żadnych kłopotów.

– Sądzę, że powinniśmy być przygotowani na każdą ewentualność – powiedział niepewnie senator.

– Lepiej wziąć od Coffinheada świece dymne – poradziłem – bo jeżeli te draby zaczną do nas strzelać, będziemy mieli dwa wyjścia: albo się dobrze schować, albo jak najszybciej wycofać do samolotu i wiać stamtąd!

– Nie lecimy samolotem – poinformował mnie Maggot. – Pamiętasz te ciężarówki parkujące na pasie startowym? Gdybyśmy tam polecieeli, to zostałyby z nas tylko mięso na hamburgery. Pożyczymy od Coffinheada jedną z jego łodzi pontonowych.

– Właśnie dlatego potrzebujemy twojej pomocy – wtrącił senator. – Chcielibyśmy, żebyś nas tam zawiózł. Oczywiście, twoje zdanie też się liczy.

Pomysł wzięcia jednej z łodzi Coffinheada wydał mi się dobry. Coffinhead używał ich do przewożenia sprzętu do nurkowania. Niewiele różniły się od tych, do jakich przyzwyczałem się, służąc w *marines*. To dość duże i szybkie łodzie, ale chyba największą ich zaletę stanowiło, że dzięki gumowym burtom były słabo wykrywalne przez radary. Mogło to mieć znaczenie dla naszej wyprawy na Murder

Cay, gdyż na wyspie zainstalowano radar. Przerzuciłem raz jeszcze kolorowe zdjęcia przekazane przez Wydział ds. Narkotyków. Szukałem tego, które przedstawiało największy dom z anteną radaru zamontowaną na wieżyczce. Z rozmiarów anteny starałem się wywnioskować, jak czuły jest ich radar.

Senator domyślił się, czego szukam. Przed nim leżała identyczna niebieska teczka. Otworzył ją i zaczął przeglądać znajdujące się w środku papiery.

– Mamy zarejestrowane dane dotyczące tego radaru. Działa w paśmie dzieściu tysięcy megaherców, długość fali trzy centymetry, długość impulsu – 0.5 mikrosekundy.

– Dzięki Bogu! – odetchnął Maggot. – Jeden problem mniej. – Znaczy to, że mają radar małego zasięgu, taki, jaki zwykle montuje się na turystycznych łodziach motorowych – wyjaśniłem senatorowi. – Mimo wszystko nie powinniśmy go lekceważyć.

– Ale łódź pontonowa... – zaczął senator.

– Prawdopodobnie prześliznię się nie zauważona – dokończyłem za niego. Takie łodzie miały zaokrąglony kadłub i niskie burty, przez co trudno je było wykryć za pomocą radaru. – To jednak nie oznacza zwycięstwa. Nie wiadomo, czy uda nam się dopłynąć do wyspy. Dzisiejsza noc będzie ciemna. Nie wiem, jak znajdziemy przesmyk między rafami.

– Za pomocą tego. – Maggot uśmiechnął się triumfalnie i podniósł do góry noktowizory.

– Sądzę, że pomyśleliśmy o wszystkim – stwierdził senator skromnie. Na chwilę umilkł, czekając, aż coś powiem, jeszcze nie wyraziłem zgody na wzięcie udziału w wyprawie na Murder Cay. Milczałem jednak, więc senator wyjął duże zdjęcie, na którym widać było całą wyspę, i zaczął przedstawiać istotę swego planu.

– W tym miejscu wyjdziemy na brzeg – wskazał niewielką plażę, która znajdowała się blisko przesmyku. Obok niej usytuowany był dom z radarem. – Liczyliśmy na to, że zostaniesz przy łodzi, Nick, a my przeszlibyśmy przez pole golfowe i spróbowali odszukać Rickiego i Robin-Anne... – zawahał się na moment, a potem rozciągnął usta w dziwnie nienaturalnym uśmiechu. – Oczywiście, będziemy się też starali dowiedzieć, co się stało z Ellen. Jeżeli odkryjemy, że została zatrzymana wbrew własnej woli, wezwiemy pomoc. Nikt nie ma prawa więzić

obywatela Stanów Zjednoczonych bez procesu.

– Chwileczkę! – Nic nie wspominałem senatorowi o tym, że Ellen zniknęła. – Skąd pan wie, że coś się stało z Ellen? – spytałem tonem, w którym wyraźnie brzmiała nuta oskarżenia.

– Bo ja mu o tym powiedziałem – przyznał radośnie Maggot. – Zadzwońłem tutaj z wieży kontrolnej lotniska we Freeport!

– No tak. – Teraz zrobiło mi się głupio.

– Nick? – zaczął senator niepewnie. Domyśliłem się, iż chce powiedzieć, że mi współczuje. – Nie wiedziałem, że ty i Ellen byliście...

– W porządku, senatorze – przerwałem mu. Wiedziałem, że nie miał nic złego na myśli, ja jednak nie życzyłem sobie w tej chwili żadnego współczucia.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Powiew morskiej bryzy wpadł przez nie oszklone okno do biura. Na pomostach, przy których łagodnie kołysała się mała flota Coffinheada, przysiadły pelikany. Pomyślałem sobie, że w takim miejscu jak to, człowiek mógł czuć się naprawdę szczęśliwy. Niestety, w każdym rajskim ogrodzie znajdował się wąż. Na wyspach Bahama takim wężem było bliskie sąsiedztwo żadnej narkotyków Ameryki.

– Największy problem stanowią będą strażnicy. – Senator powrócił do przedstawiania planu. – Warren Smedley z DEA twierdzi, że na wyspie na pewno rozstawiono strażę, ponieważ trzymają tam prawdopodobnie kokainę wartości kilkunastu milionów dolarów. Przypuszczam, że baza znajduje się w domu Colónów. To ten z radarem. – Spośród fotografii, które zabrałem z samolotu Maggota, Crowninshield wybrał tę, która przedstawiała dom z wieżyczką.

– Mam nadzieję – ciągnął senator – że strażnicy nie będą wiedzieli o naszej obecności na wyspie. Jak też, że nasze przypuszczenia co do tego, w którym domu mieszkają bliźniaki, potwierdzą się. Podejrzewam, że jest to ten najbardziej na północ wysunięty dom. Jeden z moich pomocników zauważył kasetę magnetofonową z nagraniem ulubionej grupy Rickiego. Jakiegoś angielskiego zespołu, Dirt-Box czy jakoś tak. Jeżeli się uważnie przyjrzyjecie, to na tym zdjęciu zauważycie tę taśmę. – Położył na stole fotografię domu, o którym przed chwilą mówił. – Jeśli macie dobry wzrok, to zobaczycie ją nawet bez szkła powiększającego.

W tym momencie przestałem słuchać senatora i szukać na zdjęciu zniechęconej przeze mnie kasety Pinkoe Dirt-Box, ponieważ zauważyłem na odbitce coś jeszcze, co przeczyłem, gdy oglądałem fotografie w samolocie.

Zauważyłem łódź.

Nie była to Dream Baby.

Najbardziej na północ wysunięty dom – tak zresztą jak wszystkie pozostałe – miał prywatny dok wychodzący na lagunę. Nie był on wystarczająco głęboki dla większych łodzi, takich jak na przykład Dream Baby, ale mniejsze jednostki o niedużym zanurzeniu mogły tam bezpiecznie cumować. Zdjęcie obejmowało fragment przystani. Przy północnym molo stała jedna łódź. Nie zauważyłem jej wcześniej ze względu na to, że promienie nisko wiszącego słońca ukryły ją w płataninie palmowych cieni. Teraz wyraźnie widziałem niezwykły malunek na jej dziobie przedstawiający gwiazdę z ogonem. Starkisser. Nagle ogarnęło mnie lodowate zimno. To zdjęcie mogło wiele wyjaśnić. Starkisser był na Murder Cay dzień po tym, jak Ellen zniknęła. To dlatego Bellybutton starał się mnie unikać. Pewnie wiedział, że McIlvanney zawiózł Ellen na Murder Cay.

– Nick? – Senator, który przez cały czas omawiał swój plan, zadał mi jakieś pytanie.

Spojrzałem na niego.

– Tak?

– Pytałem tylko, jakie są według ciebie szanse, że się nam powiedzie?

– Że się powiedzie? – Nie zdołałem powstrzymać uśmiechu. – Żadne, senatorze. Pańscy doradcy nie myślą się. Pan chce się unicestwić nie tylko politycznie. To będzie po prostu samobójstwo! To poroniony pomysł! Wy obaj upadliście chyba na głowę. Te łajdaki z Murder Cay zjedzą was na kolację.

Maggot nie zareagował, ale senator wyglądał na zdumionego.

– Czy to znaczy, że nam nie pomożesz?

W odpowiedzi wziąłem ze stosu broni rosyjski karabin maszynowy. Już od dawna nie miałem w rękach tego modelu, ale nie zapomniałem, jak się nim posługiwać. Każdemu memu ruchowi towarzyszył szcęk naoliwionych części karabinu. Pociągnąłem za spust. Broń nie była naładowana. Rozległ się krótki trzask.

Odłożyłem karabin z powrotem na stół. To był popis moich umiejętności. Chciałem pokazać senatorowi, że byłem kiedyś *marines* i to dobrym, takim, jakiego teraz potrzebował.

– Oczywiście, że pomogę – powiedziałem. – Mam ochotę sprać niektórym tyłki.

Ulga, z jaką senator przyjął moje słowa, pochlebila mi. Wyciągnął rękę.

– Dziękuję, Nick.

– No, to w drogę! – stwierdził Maggot i przybił mi piątkę. Mój ojciec, który niezwykle rzadko udzielał mi jakichś rad, powiedział kiedyś, abym nigdy nie dawał się ponieść emocjom. Kierowanie się uczuciami, twierdził, jest wyłącznym przywilejem marnych aktorów, dzieci i duchownych. Cała reszta miała obowiązek zastanowić się nad konsekwencjami swoich czynów. Nie sądzę, aby sir Tom wierzył w to, co mówił. Pewnie był to fragment sztuki, którą właśnie czytał, ale pomimo obłudy, z jaką ojciec zagrał tę kwestię, zawsze pamiętałem jej treść. Rzadko się stosowałem do tej rady, ale zawsze ją pamiętałem. Teraz, patrząc na zdjęcie – dowód tego, że Matthew McIlvanney miał coś wspólnego z Murder Cay, zapomniałem o wszystkich przestrożach. McIlvanney od początku miał na Ellen oko. Nagle wszystko stało się przeraźliwie jasne. McIlvanney porwał Ellen na wyspę i wydał ją naszym wrogom. Jedyne czego pragnąłem w tej chwili, to wziąć rosyjski karabin i spustoszyć tę cholerną wyspę. Nie dbałem o to, co będzie później. Chciałem tylko pomścić Ellen.

Powinienem był pamiętać radę mego ojca. Senator na pewno zdawał sobie sprawę, że trzech ludzi nie może równać się z całą zgrają handlarzy narkotyków. A jednak wybierał się na Murder Cay.

Powinienem był także wiedzieć, że Crowninshield nie zrezygnowałby tak łatwo z czekającej go wspaniałej kariery politycznej. A jednak wybierał się na Murder Cay.

Jaka była rola Wydziału ds. Narkotyków? Wtedy nie zadałem sobie tego pytania. Wiedziałem tylko, że załatwili zdjęcia wyspy i sprawdzili dane techniczne radaru z Murder Cay. Ale czy zrobili coś jeszcze?

A Maggot? Był co prawda szorstki i brutalny, ale niemożliwe, żeby znudziło mu

się życie. A jednak on także wybierał się na Murder Cay. Nie zastanawiałem się, skąd wzięli te wszystkie skorpiony, rosyjskie karabiny maszynowe, przeciwpancerne gnaty i noktowizory.

Nie pomyślałem wtedy o żadnej z tych rzeczy. Owładnęła mną tylko jedna myśl, że będę mógł pomóc Ellen. Senator chciał odzyskać swoje dzieci, a Maggot traktował to jak odwet za tamtą brunetkę, która tańczyła w pittsburskim peep-show.

Tak oto głupcy wyruszyli do miejsca, od którego odwróciły się wszystkie dobre moce.

Małe skorpiony miały magazynki na dziesięć lub dwadzieścia naboí. Wziąłem dziesięć większych i za pomocą taśmy skleíłem je parami w taki sposób, że po wystrzeleniu całego magazynku, wystarczyło taką parę odwrócić, aby znowu mieć broń gotową do strzału. Zabrałem też od Coffinheada sporo świec dymnych, które, choć nie tak dobre jak granaty dymne, mogły stworzyć wystarczającą zasłonę.

Senator nie wziął żadnej broni mówiąc, iż nie będzie prowokował do użycia przemocy. Maggot lojalnie wybrał amerykańskiego M16 i dwa szybkostrzelne Ingramy. Broń zanieśliśmy na jedną z łodzi. Coffinhead osobiście napełniał nam bak. Zaciekawiony spoglądał na broń, ale wiedział, że lepiej o nic nie pytać. Chciał tylko wiedzieć, kiedy senator mu zapłaci.

– Dziś wieczorem, zanim odpłyniemy – obiecał Maggot. Zastanawiałem się, ile może kosztować taka nocna eskapada. Coffinhead z pewnością nieźle na niej zarabiał. Senator musiał mu zapłacić nie tylko za wynajęcie łodzi, ale także za brezent, pod którym ukryliśmy broń, za kompas, którego potrzebowałem, aby poprowadzić łódź przez ostatnie parę mil, oraz za świece dymne, cały ich worek schowałem pod brezent razem z bronią.

Kiedy wszystko już było gotowe, poszedłem z Maggotem na koniec doku. Światło dnia ustępowało miejsca wieczorowi. Patrzyliśmy w kierunku wąskiego kanału, który prowadził z przystani Coffinheada na otwarte morze. Powierzchnia wody mieniła się złotem zachodzącego słońca. Trudno było uwierzyć, że nadchodząca noc mogła zakończyć się dla nas strzelaniną.

Maggot zapalił papierosa i spojrział na mnie z ukosa.

– Pewnie jesteś zmęczony, Nick.  
– Trochę. – Tak naprawdę, czułem się wyczerpany.  
– Cieszę się, że będziesz tam z nami – powiedział cicho.  
– Robię to tylko dla Ellen – uciałem. – Dla nikogo innego.  
– Rozumiem, Nick. Tak właśnie myślałem. – Zaciągnął się papierosem i wypuścił strumień dymu w kierunku wody.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiem, dlaczego ty to robisz? – powiedziałem. – Nie lubisz senatora i nienawidzisz jego syna.

– Zgodziłem się z podobnych powodów, co ty. – Maggot wzruszył ramionami i umilkł, jakby uważał to za wystarczające wyjaśnienie. – Ona była moją żoną – stwierdził krótko.

– O, Boże! – Nagle dotarło do mnie, jakie to wszystko beznadziejne. Dane nam było tylko jedno życie, a jednak wielu z nas marnowało ten dar. Pomyślałem o dziewczynie z fotografii. Wyobraziłem sobie, jak jej niezwykła uroda więdnie w jakiejś śmierdzącej norze w Pittsburghu.

– Chyba wciąż jeszcze jestem jej mężem – ciągnął Maggot. Nie widziałem wyrazu jego twarzy, gdyż przesłaniała ją skołtuniona broda, ale w jego głosie słyszałem cichą rozpacz. – Na imię ma Wendy. – Czułem, że nie mówił o swojej żonie już od bardzo dawna. – Wendy Maggovertski. Spotkałem ją w hotelu w Cleveland. Poszedłem tam z kumplami, zabawić się trochę. Powiedziała nam, że jak będziemy się rozbijać, to dostaniemy niezłe lanie. I dostaliśmy, a w dziesięć dni później Wendy wyszła za mnie. Tak po prostu. Wydawało mi się wtedy, że z tej kobiety bije blask słońca i wszystkich gwiazd razem wziętych.

Żałowałem, że Ellen nie mogła widzieć w tej chwili Maggota. Mogłaby się przekonać, że jego gruboskórność to tylko kamuflaż.

– Przykro mi, John – powiedziałem nie wiedząc, jak mam zareagować.

– Potrafiła sprawić, że ludzie wokół niej uśmiechali się. Wiesz, co mam na myśli? – Wpatrywał się w cudownie połyskujące morze. – Kiedy wchodziła do pokoju, to tak jakbyś zapalał dodatkową żarówkę. A teraz idzie z każdym, żeby zarobić na kokainę.

– O Boże! – westchnąłem, zdając sobie sprawę, że jest to zupełnie nieodpowiednie w tej chwili.



– Pierwszy raz dostała kokainę od jakiegoś pedalskiego tancerza, który trenował w jej klubie. Mnie też dała trochę. Czuję się tak, jakbym znalazł się w innym świecie, niezła zabawa. Na mnie jednak nigdy nie miało to takiego wpływu jak na Wendy. Nagle chciała zażywać ciągle kokainę, coraz większe dawki. Kiedy przestałem dawać jej pieniądze na to świństwo, rzuciła mnie. – Zaciągnął się papierosem tak mocno, że jego koniec rozjarzył się. – Zabiłem tego łajdaka.

– Kogo?

– Tego tancerza. – Maggot miał łzy w oczach. – Nikt o tym nie wie i zaprzeczyłbym, gdybyś powiedział to komukolwiek, ale faktem jest, że złamałem mu ten pedalski kark. – W głosie Maggota brzmiała olbrzymia złość. – Ale to nic nie dało. Wendy nie wróciła już do mnie. I nigdy nie wróci. Po prostu umrze gdzieś. Dzisiejszej nocy będę mógł się zemścić na tych, którzy mi ją zabrali. Dostaniemy ich, Nick! – ryknął w stronę ciemniejącej laguny i walnął pięścią w pień palmy. Pomyślałem, że kiedyś taki właśnie musiał być przed każdym meczem: rozjuszony i naładowany energią. Tyle tylko, że tym razem nie graliśmy w piłkę. Każda przegrana była totalną klęską.

Tej nocy jak błędni rycerze, chcieliśmy walczyć, by pomścić naszą miłość.

Na Murder Cay.

# Część 4

**K**iedy zbliżyliśmy się do Murder Cay, włożyłem noktowizory. Przez nie świat wydawał się senną krainą zielonych cieni zanurzonych w wodnistym świetle. Czarno-srebrna noc przybrała zielonkavo-szarą barwę. Sterowałem pontonem w kierunku ciemnozielonej linii masztu radiowego widocznej na tle bladej zieleni nieba, na którym połyskiwały szmaragdowe iskry gwiazd. Niebezpieczny Devil's Necklace, który otacza Murder Cay na kształt muru obronnego, zdradzała jaśniejsza barwa wody załamującej się na rafach. Przesmyk wiodący między nimi ku czarnemu cielsku wyspy wyglądał jak gładka, zielonoczarna ścieżka.

Na wyspie nie zauważyłem żadnego ruchu ani światła. Latarnia, czerwone światła ostrzegawcze na maszcie radiowym i zielone, i białe światła wyznaczające pas startowe, wszystkie były zgaszone.

Wyłączyłem bieg i pozwoliłem łodzi dryfować pół mili w stronę wyspy poza rafami, wypatrując jednocześnie jakichś oznak, że zostaliśmy dostrzeżeni. Nie zauważyłem jednak żadnych łodzi patrolujących lagunę, ani dżipów jeżdżących wzdłuż jedynej drogi na wyspie.

- Co się dzieje? – spytał nerwowo senator.
- Tylko sprawdzam – odpowiedziałem.
- Wszystko w porządku? – Senator był przerażony. Nerwowo bawił się zabezpieczoną gumową osłoną, antenką radia VHF, które miał w kieszeni kamizelki kuloodpornej. Nalegał, abyśmy zabrali dwa takie radia. W razie niepowodzenia mieliśmy wzywać pomoc z zewnątrz.

- No to zaczynamy zabawę – zażartował ponuro Maggot, chcąc w ten sposób

dać mi do zrozumienia, że czas uruchomić już silnik. Ja jednak pozwoliłem łodzi dryfować wraz z przyptywem. Potrzebowałem więcej czasu, aby wyczuć ewentualne niebezpieczeństwo.

Było ciemno. Błady sierp księżycy wisiał nisko po południowej stronie nieba. Przez noktowizory wyglądał jak skrawek najczystszej zielonej światła. Był już piątek. Czarne godziny nocy zawsze sprzyjały różnym lękom, choć jak na razie wszystko szło zadziwiająco gładko. Coffinhead Porter podholował nas swoją dużą łodzią motorową na odległość trzydziestu mil od Murder Cay.

Teraz, czterdzieści minut po pożegnaniu się z Coffinheadem, dryfowaliśmy w odległości pół mili od Devil's Necklace. Zachwycony, przyglądałem się szmaragdowemu światu.

– Nick? – Senator i Maggot nie mieli noktowizorów i nie widzieli nic w ciemnościach.

– Wszystko w porządku – odpowiedziałem w końcu. Zwolniłem sprzęgło i ponton gładko ruszył do przodu. Maggot przykucnął na dziobie, wystawiając za burtę lufę rosyjskiego karabinu maszynowego. W noktowizorach wyraźnie widziałem pas połyskujących złotozielonych naboii.

Fale załamywały się na wierzchołkach rafy. Przyszło mi na myśl, że ten ruch fal powinien skutecznie zakłócić obraz na ekranie radaru, i będziemy mogli prześliznąć się nie zauważeni. Wpłynęliśmy w wąski przesmyk. Poruszaliśmy się wolno, prawie bezszelestnie. Z tego, co wiedzieliśmy, w kanale miało nie być żadnych oznaczeń, a jednak zauważyłem tam małą boję – zwykłą plastikową butelkę na obciążonej linie – w miejscu, gdzie kanał skręcał. Kiedy ją minęliśmy, przyspieszyłem lekko. Skierowałem się w stronę niewyraźnej bladozielonej linii, która w rzeczywistości była plażą u stóp masztu radiowego.

Nagle zabłyśły światła domów na wyspie.

Maggot zaklął. Oślepił mnie ostry blask. Ściągnąłem noktowizory. Świat powrócił do swych zwykłych barw. Ciemność przecinały jasne linie lamp łukowych, wyławiając z mroku sylwetki drzew rosnących między willami i wąskim polem golfowym. Kiedy włączono światła, instynktownie zgasiłem silnik. Prawie że stanęliśmy w miejscu, u ujścia przesmyku prowadzącego w stronę wyspy. Lamy rzucały na wodę długie strumienie srebra.

Senator siedział wyprostowany, patrząc ze strachem na jasno oświetloną wyspę. Oprócz świateł nic się nie zmieniło. Nie widziałem nigdzie strażników. Zastanawiałem się, czy lampy nie były włączane i wyłączane automatycznie co jakiś czas.

– Wycofujemy się? – spytał senatora,

– Chyba powinniśmy. – Crowninshield najwyraźniej miał pietra. Nikt go nie przygotowywał do takich eskapad. Pewnie nawet nie wyobrażał sobie, że noc jest właśnie taka. Spodziewał się, że gładko wylądujemy, on spotka się z dziećmi i potem bezpiecznie odpłyniemy, a tu z każdą sekundą rosło napięcie.

– Nie wycofujemy się! – powiedział Maggot. – Płyniemy dalej.

– Tak, myślę, że możemy płynąć dalej – stwierdził senator. Ciekawe, czy zawsze zgadzał się z tylko co wypowiedzianą przez kogoś opinią. Przypomniały mi się czyjeś słowa, że Crowninshield nie jest politykiem z powołania. A może chciał wypowiedzieć wojnę narkotekom, aby w ten sposób zasłużyć sobie na sławę?

Światła na wyspie zgasły.

– Ktoś tam pewnie czuwa – przedstawiłem możliwe wyjaśnienie włączenia i wyłączenia lamp. – Ale chyba niczego nie podejrzewają. Mają pewnie polecenie co godzina włączać światła na kilka minut. Nie zauważyli nas i, jak sądzę, wrócili już do oglądania jakiegoś nieprzyzwoitego filmiku. – Miałem nadzieję, że ten film był wystarczająco nieprzyzwoity, aby przykuć ich do ekranu do chwili, aż opuścimy wyspę. Znowu włożyłem noktowizory. Na wieży domu, gdzie znajdowały się straże, świecił teraz wąski pasek szmaragdowego światła, którego wcześniej tam nie było. Prawdopodobnie któryś ze strażników zostawił uchylone zasłony albo żaluzje. Spojrzałem w prawo. Najbardziej na północ wysunięty dom, ten, który jak sądziłem, należał do Sweetmana, tonął w ciemnościach.

– No to jedziemy, Nick! – Senatora denerwował powolny bieg pontonowej łodzi.

Przyspieszyłem. Maggot odłożył karabin maszynowy i wziął do ręki inny. Załadował broń. Rozległ się szczeł zamka.

– Zabezpiecz! – ostrzegłem. Nie chciałem, aby jakiś przypadkowy strzał uprzedził strażników o naszym przybyciu.

– Robisz dziurki z obu stron jajka, a potem wysysasz zawartość skorupki? Tak to się robi, Nick? – Maggot uśmiechnął się. Twarze mieliśmy wysmarowane śmierdzącym kremem maskującym, który miał podobno także odstraszać owady.

Ubrani byliśmy w spodnie i koszule z materiałów maskujących, na które włożyliśmy kamizelki kuloodporne. Żałowałem, że nie mam mego starego „szczęśliwego” beretu.

Znowu w akcji. To wydawało się prawie nieprawdopodobne. Kiedyś w *marines* trenowaliśmy różne sposoby podchodzenia wroga. Ta noc przypominała mi jeden z tych treningów. Złudzenie potęgował jeszcze zapach naoliwionej broni i smród kremu maskującego. Skierowałem łódź wprost na maszt radiowy. Nagle rzuciło nas do przodu. Usztywniane dno pontonu najechało na jakąś skałę albo mieliznę. Skręciłem sterem i dodałem gazu. Coś zachrzęściło pod dnem i ponton ześliznął się na głębszą wodę.

– Przygotujcie się! – nakazałem cicho.

Płynęliśmy teraz szybciej, pozostawiając za rufą biały kilwater. Chciałem wjechać dziobem jak najdalej na brzeg. Dosłownie w ostatniej chwili zdjąłem noktowizory i zgasilem motor.

– Trzymać się mocno! – ostrzegłem.

Dziób pontonowej łodzi wjechał na piasek. Szarpnęło nami mocno, rozległ się chrzęst, który w ciemnościach wydawał się nieprawdopodobnie głośny. Zatrzymaliśmy się. W uszach dźwięczał mi jeszcze odgłos, jaki wydawało sztywne dno pontonu przesuwające się po drobnych kamykach.

– Ruszajcie! – syknąłem.

Maggot poprowadził. Pod stopami zaskrzypiał mu piasek. Niezdarnie pobiegł w stronę wielkiego cienia, jaki rzucała betonowa podstawa masztu. Niósł karabin i dwa półautomaty, które wydawały się dziwnie małe w jego olbrzymich dłoniach. Taszczył również torbę z amunicją i świecami dymnymi. Po chwili dobiegł mnie głuchy odgłos rzuconej na ziemię torby.

– W porządku! – zawołał cicho.

– Teraz pan, senatorze, powodzenia.

Senator ostrożnie wyszedł z pontonu i po chwili już wdrapywał się po wąskim paśmie wapiennych skał i porostów otaczających małą plażę. Błady księżyc dawał akurat tyle światła, aby dostrzegać nierówności pola golfowego. Widać było jedną z chorągiewek oznaczających murawę.

Wywlokłem na brzeg karabin i tyle amunicji, ile zdołałem unieść. Zabezpieczyłem szybko ponton i podniosłem z piasku kałasznikowa i dwa pudełka amunicji.

Maggot z senatorem byli już w połowie pola golfowego. Mieli odnaleźć bliźniaki. Odniosłem dziwne wrażenie, że w tych ciemnościach ich misja jest z góry skazana na niepowodzenie.

Na łodzi było znacznie cieplej. Pociłem się pod grubą kamizelką kuloodporną. Karabin ustawiłem na rogu fundamentu masztu radiowego. Betonowy blok miał około metra wysokości. Stanowił znakomitą zasłonę przed ewentualnymi strzałami. Położyłem się obok broni, włożyłem nową taśmę z amunicją i odbezpieczyłem karabin. Ustawiłem celownik i skierowałem lufę ku światelku na wieży. Nagle poczułem się śmiesznie, jak zamaskowany i uzbrojony aktor, któremu kazali grać w wojennym filmie. Byłem wykończony. Dwadzieścia cztery godziny temu znajdowałem się jeszcze na promie. Od tamtego czasu zdążyłem przetrząsnąć Grand Bahama w poszukiwaniu Ellen, wyjść cało z zamachu na moje życie i zgodzić się na udział w tym nocnym koszmaru.

Ziewnąłem. Dałbym wiele, żeby po prostu położyć głowę na kałasznikowie i zdrzemnąć się. Jedynymi dźwiękami zakłócającymi ciszę nocy były bzyki jakichś nocnych owadów, szum fal załamujących się na rafach oraz szmer generatora zasilającego wyspę. Maggot z senatorem zniknęli gdzieś w ciemnościach. Znowu dotarło do mnie, jak dziwną parę stanowili tamci dwaj. Skąd senator mógł wiedzieć, że brodacze aż tak nienawidzi narkotyków? Ta myśl sprawiła, że natychmiast przestałem być senny. Jakim cudem Maggot miał dostęp do amunicji rodem z Kuby? Może była to część transportu przechwyconego przez siły amerykańskie na Grenadzie? A może pochodziła ona z arsenałów panamskich zarekwirowanych podczas aresztowania Noriegi? Powinienem był pomyśleć o tym kilka godzin temu. Najbardziej nurtowało mnie pytanie: dlaczego człowiek taki jak Crowninshield ryzykował prawie pewną kadencję w Białym Domu, biorąc udział w tej wyprawie? Dla swoich dzieci? Czy Crowninshield naprawdę poświęciłby fotel w Białym Domu dla Rickiego? Mój ojciec nie oddałby nawet małej rólki w reklamówce piwa za zdrowie czy bezpieczeństwo jednego ze swych dzieci. Nagle uświadomiłem sobie, że ambicja i ego polityka dorównują tym, jakie posiada każdy dobry aktor.

Gdzieś za polem golfowym zaszczekał pies.

Poderwałem głowę. Broń miałem gotową do strzału. Szczekanie przeszło w wycie ostrzegające całą wyspę, że coś się dzieje.

Znowu rozbłysły reflektory. Nagłe ostre światła oślepiały, ale wciąż jednak mogłem dostrzec ciemny kształt okna na wieży. Wycelowałem broń w czarny prostokąt. Czekałem

Jakiś urwany krzyk i strzały z broni półautomatycznej dobiegły mnie prawie równocześnie. Wycie psa ucichło. Z wieży odezwał się karabin maszynowy dużego kalibru. Widziałem ciemnoczerwone błyski wystrzałów na tle ciemnego okna. Nacisnąłem spust kałasznikowa i jego lufa zaczęła pulsować ledwo dostrzegalnym, nieprzerwanym ogniem, wypływając zielone pociski smugowe.

Celowałem wysoko i w lewo. Potem opuściłem nieco lufę i przesunąłem ją bardziej w prawo. Wydawało mi się, że czarna czeluść okna dosłownie połyka zielone łuski. Ogień z wieży nagle się urwał.

Ja również przestałem strzelać. Czuję w powietrzu woń prochu. Miałem przyspieszony puls, serce waliło mi jak oszalałe.

Usłyszałem krzyki. Półautomat znowu wystrzelił. Ekspłodował jeden z reflektorów. Z jego obudowy syknęły się iskry. Maggot rozwalił drugi reflektor, ale wciąż jeszcze wyspa była wystarczająco oświetlona, aby stanowić dla nas śmiertelną pułapkę. Wycelowałem i krótką serią zgasłem kolejne światło. W odpowiedzi usłyszałem świst przelatujących niebezpiecznie blisko pocisków. Ktoś celował w stronę, skąd, jak sądził, dochodziły strzały. Jedna z kul trafiła w maszt. Metalowa konstrukcja zadzwęczała jak dzwon. Strzeliłem w kierunku kolejnego reflektora, ale na wyspie zapalano coraz więcej światła. Miałem nadzieję, że Maggot i senator wycofują się. Jedyne, co mogliśmy w tej chwili zrobić, to wpakować się z powrotem do pontonu i zmykać jak najszybciej z tej wyspy.

Z prawej strony dobiegły mnie strzały z jeszcze jednego karabinu, ale strzelec był zdezorientowany i walił na oślep w pole golfowe.

Niespodziewanie wybuch rozdarł noc jasnym płomieniem i głośnym hukiem. Strumień ognia wzbił się w kierunku nieba. Domyśliłem się, że wyleciał w powietrze zbiornik generatora, gdyż w chwilę później zgasły wszystkie światła. Ciemności rozprasały jedynie płomienie szalejące pod chmurą czarnego dymu.

Dym! Kiedy jesteś w opałach, użyj dymnej zasłony! Z torby Maggota wyjąłem kilka świec dymnych. Zapaliłem lont jednej z nich i rzuciłem tak mocno, jak tylko mogłem, w kierunku pola golfowego. Ze świecy zaczął wydobywać się gęsty pomarańczowy dym, który gęstniał z każdą sekundą. Wiatr ze wschodu popychał go



w moim kierunku. Poczekałem, aż zasłona stanie się dostatecznie gęsta i, porzucając na moment karabin maszynowy, pobiegłem w stronę rzuconej świecy. Gdy byłem już blisko niej, rzuciłem kolejną. Daleko z przodu ktoś strzelił. Strumień kul ze świstem przeciął pomarańczowy dym na lewo ode mnie. Chciałem utworzyć rodzaj korytarza, którym Maggot i senator mogliby się wycofać. Rzuciłem trzecią świecę i zawróciłem w kierunku masztu. Kolejna seria przeszła dym, trafiając w metalową konstrukcję masztu.

W porę padłem na ziemię. Pociski pruły powietrze tuż nad moją głową. Z lewej strony dobiegło dudnienie czyichś kroków.

- Maggot!
- Tutaj, Nick!

Poderwałem się z ziemi i pobiegłem w stronę betonowej podstawy masztu. Maggot już tam był. Trzymał karabin wystawiony ponad osłonę fundamentu. Za nim stał przygarbiony senator. Ciężko oddychał. Pewnie teraz żałował, że nie wziął żadnej broni, albo że nie został w Waszyngtonie.

- Co się stało? – ryknąłem do Maggota.
- Zaatakował nas pies! – odrzyknął Maggot – Musiałem go zastrzelić! Potem wrzuciłem świecę do zbiornika generatora.

- Dobra robota!

Senator przyłożył dłonie do ust, starając się przekrzyczeć kakofonię strzałów.

- Zgubiłem radio! Gdzie jest zapasowe? – zawołał cienkim ze strachu głosem.
- W łodzi!

Odwrócił się i spojrzął w kierunku plaży. Przebycie przestrzeni między nami a pontonem było w tej chwili niemożliwe.

- Jezu! – jęknął senator. Cały się trząsł. Nie dziwiłem się temu. Na pewno nigdy wcześniej nie znajdował się pod ostrzałem. Sam huk tej kanonady powodował, że człowiek zaczynał się bać, a kiedy pomyślał, że wystarczy jedna taka kulka, aby przestać istnieć... I tak mieliśmy szczęście, że te łajdaki nie używały przeciwko nam artylerii.

– Nie potrzebujemy radia! Wynosimy się stąd, gdy tylko trochę się uspokoi! Nie mogą przecież marnować amunicji w nieskończoność!

- Wszystko przez tego psa! – krzyknął senator tak, jakby komukolwiek były

teraz potrzebne wyjaśnienia, w jaki sposób zgubił radio. – Zaczął biec w moim kierunku i wpadłem w panikę. Upuściłem odbiornik i uciekłem.

– To nie ma znaczenia!

– Ale musimy mieć radio! – Crowninshield znowu wpadł w histerię. – Nie rozumiesz, Nick? Musimy mieć radio!

– Nie! Musimy się stąd wynieść!

Szansa wydostania się z Murder Cay nadeszła już w kilka sekund później. Jeden po drugim milkły karabiny. Kolumbijczycy, czy też ci, którzy do nas strzelali, musieli zmarnować chyba z tonę amunicji. Być może sądzili, że zdołali nas zabić. Odczekałem jeszcze moment, aby upewnić się, że strzelanina rzeczywiście ustała. Gestem nakazałem senatorowi biec w kierunku pontonu.

– Zaczekaj tam na nas! Trzymaj się blisko ziemi!

Chwyliłem karabin, aby w razie konieczności zapewnić senatorowi zasłonę ogniową. Pomarańczowy dym wciąż jeszcze unosił się wokół nas i senator pod jego osłoną przedostał się do pontonu. Klepnąłem Maggota w ramię.

– Teraz ty – powiedziałem.

W tym samym momencie rozpętała się nowa nawałnica strzałów. Pociski dzwoniły o maszt i odbijały się rykoszetem od betonu. Jakiś zawadził ze świstem o jedną ze stalowych lin umacniających konstrukcję, wysyłając w górę snop czerwonych iskier. Maggot rozsądnie pozostał w ukryciu. Przypadłem do ziemi obok niego. Miałem nadzieję, że senator wiedział, iż nie powinien się teraz ruszać. Wśród huku wystrzałów wyraźnie słyszałem głęboki, przerażający dźwięk półcalowego brauninga. Wiedziałem, że jego pocisków nie zatrzyma żadna kamizelka kuloodporną. Jedyne, co mogliśmy teraz robić, to leżeć nieruchomo i modlić się, żeby naszym przeciwnikom szybko znudziła się ta zabawa w żołnierzyki.

– Nick! – usłyszałem nagle krzyk senatora. – Nick! – Musiał nieźle wrzeszczeć, abyśmy mogli go słyszeć w tej burzy wystrzałów.

Odwróciłem się w jego stronę i zmiąłem w ustach przekleństwo.

W głębi laguny majaczył jakiś kształt. Dostrzegłem biały zarys fali dziobowej. Motorówka okrążyła południową stronę wyspy i płynęła teraz, żeby odciąć nam odwrót.

– Nie ruszać się! – krzyknąłem do Maggota i senatora, mając nadzieję, iż w ten sposób nie zdradzimy naszej kryjówki. Mogłem sobie darować to ostrzeżenie, gdyż

niespodziewanie ze zbliżającej się łodzi trysnął snop iskier i ciemności rozproszyło białe światło rakiety wystrzelonej z pokładu. Na ten sygnał strażnicy na wieży przerwali ogień. Na całym zachodnim brzegu Murder Cay zrobiło się jasno jak w dzień. Nawet ślepy nie miałby teraz problemów ze znalezieniem naszego wyciągniętego na plażę pontonu.

Zacząłem odwracać karabin maszynowy. Cała operacja zabrała mi sporo czasu. Do obsługi M16 potrzeba było zwykle dwóch ludzi.

– Wal w ich stronę, Maggot! – krzyknąłem, ale ci na łodzi zaczęli strzelać pierwsi. Spostrzegłem zieloną smugę pocisków.

Przerażony senator zaczął biec w naszą stronę, ale strzelcy na łodzi nie celowali w niego, tylko w ponton. Słyszałem dźwięk rozdzieranego kulami mocnego tworzywa. Kolejne serie zamieniły naszą łódź w strzępy gumowych powłok.

Otworzyłem ogień. Smuga pocisków z mojego karabinu skrzyżowała się z ogniem z motorówki. Przeciwnicy zauważyli niebezpieczeństwo i skierowali lufy w naszą stronę. Za późno. Pociski kałasznikowa przebiły burty tak łatwo, jakby to była skorupka jajka. Łódź zatrzęsa się od nagłego uderzenia i gwałtownie przyspieszyła. Broń automatyczna na jej pokładzie posłała serię wysoko w niebo.

Założyłem nową magazynkę do kałasznikowa. Motorówka zawróciła w kierunku raf. Płynęła z dużą prędkością. Przerażony sternik próbował uciec przesmikiem prowadzącym przez Devil's Necklace, ale trafił na podwodną rafę i łódź raptownie wyskoczyła w górę. Rufa uniosła się ponad powierzchnię laguny. W gąsnącym świetle rakiety widziałem wnętrze kokpitu. Z łodzi wypadł jakiś człowiek. Maggot głośnym „hurra!” przypieczętował nasze zwycięstwo, którego tak naprawdę nie można było nazwać zwycięstwem. Ponton został zniszczony. Łódź wroga także była nie do użycia. Wzbiła się w górę, celując dziobem w gwiazdy i zdawało się, że pomknie jak rakieta na księżyc, ale po chwili przypomniała sobie o istnieniu czegoś takiego jak przyciąganie ziemskie. Smukły kadłub spadł na rafy. Fontanna wody trysnęła w górę. Światło rakiety zgasło i nie widzieliśmy już nic więcej.

– O, mój Boże! O, mój Boże! – Senator z trudem łapał oddech.

Otoczający nas dym stopniowo rzedniał. Zbiornik generatora wciąż jeszcze palił się, choć płomienie były już znacznie mniejsze i nie rzucały tak wielkiej poświaty na okoliczne zarośla.

Wyszedłem z ukrycia na brzeg. Nasi wrogowie wciąż byli zdeorientowani tym,

co się działo, tak że na kilka sekund mogłem zaryzykować wyjście na odkrytą przestrzeń. Sprawdziłem, czy nasza łódź została całkowicie zniszczona. Ponton zbudowany był z siedmiu komór i trzy wystarczyłyby, aby utrzymał się na powierzchni. Niestety, cała była tylko jedna komora. Większość amunicji, która pozostała jeszcze w kadłubie, wyrzuciłem na brzeg. Z dużego termosu z kawą pozostały jedynie skorupy, a kanapki, które zrobiłem jeszcze na łodzi Coffinheada, były zupełnie mokre.

Senator dołączył do mnie i zaczął przeszukiwać splątaną i przemoczoną masę, która została z pontonu. Z triumfalnym okrzykiem wydobyl z niej wodoszczelną krótkofalówkę. Wyciągnął krótką antenę i przykucnął w pobliżu, chowając się za niewielkim uskokiem. Usłyszałem, jak powtarza szybko:

– *Stingray, Stingray!*

Pomyślałem, że przerażenie musiało zaćmić mu pamięć.

– Proszę wołać: *Mayday!* – krzyknąłem do niego.

– *Mayday, Stingray!* Odbiór – wyrzucał z siebie z taką prędkością, że doszedłem do wniosku, iż zupełnie postradał zmysły. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. – Wszystko w porządku, Nick. Pomoc wkrótce nadejdzie.

– Pewnie Bóg przyśle szwadron aniołów-zabójców – zadrwiłem, a potem zawołałem do Maggota, żeby przyniósł karabin maszynowy.

– Co teraz robimy? – zapytał Maggot, kiedy do nas dołączył. Senator wciąż kręcił przełącznikiem krótkofalówki, próbując nadać w przestworza swe desperackie wołanie o pomoc.

– Pójdziemy w kierunku południowego krańca wyspy, ku zaroślom rosnącym wzdłuż pasa startowego. Weźmiemy tyle amunicji, ile zdołamy unieść. Dotrzemy do miejsca, gdzie kotwiczą jachty, i ukradniemy jeden z nich. – Udawałem optymizm, choć wcale nie czułem się pewnie.

– Nick! – przerwał mi senator. – Radio nie działa!

– Proszę przełączyć na kanał szesnasty – powiedziałem cierpliwie – i zawołać: *Mayday*. Gdy ktoś odpowie, proszę powiedzieć, że znajdujemy się na Murder Cay i potrzebujemy pomocy.

– Ale ono nie działa! – jęknął senator. Wiedziałem, że jeszcze chwila i znowu wpadnie w panikę. Wziąłem od niego radio. Rzeczywiście, w obudowie widniała dziura. Musiał je trafić jeden z pocisków. Było już bezużyteczne.

– Przecież musimy mieć radio! – Senator patrzył na mnie przerażony.  
– Nie ma co zawracać sobie teraz tym głowy!  
– Bez radia nie wydostaniemy się stąd! – Crowninshield znowu zaczął się trząść.

– Wydostaniemy się! Tylko spokojnie! – popchnąłem w jego stronę torbę z amunicją. – Proszę to wziąć. Wszystko będzie dobrze, obiecuję!

Zostawiliśmy rozszarpany kulami ponton na plaży. Nasi wrogowie nie zauważyli, że poszliśmy na północ, gdyż po chwili wznowili ogień, ostrzeliwując betonowy fundament maszty. Kiedy usłyszałem głęboki, przytłumiony odgłos, odwróciłem się. Zakląłem.

– Co się stało? – zapytał przestraszony senator.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dobiegł nas huk eksplozji. Słup dymu i wody wznosił się na piętnaście metrów.

– Mają moździerz! – krzyknąłem zdumiony.

– Nieźle jak na bandę handlarzy narkotyków – stwierdził Maggot ironicznie. – Ciekawe, skąd wystrasznili tego malucha? Myślicie, że gwizdnęli go armii kolumbijskiej?

– Kogo to teraz obchodzi. – Senator podskoczył przestraszony wybuchem kolejnego granatu. – Muszę mieć radio! Muszę mieć radio!

– Znajdziemy radio! – uciałem. – Przecież mamy ukraść łódź. Na łodzi na pewno będzie krótkofalówka. Idziemy.

Na razie nasi przeciwnicy wciąż jeszcze sądzili, że jesteśmy przy maszcie. Kolejny granat eksplodował w pobliżu fundamentów konstrukcji. Wiedziałem, że prędzej czy później zorientują się, iż opuściliśmy kryjówkę i złączą walić w resztę wyspy, na której nie było za bardzo gdzie się schować. Nasza jedyna szansa to jak najszybsze dotarcie do łodzi i ucieczka.

Szliśmy, kryjąc się w zaroślach, znajdujących się na północ od pasa startowego. Maggot wydawał się podekscytowany całą tą strzelaniną, natomiast senator wciąż rozpaczał, że nie ma radia. Umilkł na chwilę, kiedy natrafiliśmy na mały dwusilnikowy samolot niedbale zamaskowany palmowymi liśćmi. Z nadzieją patrzył, jak Maggot wspina się na skrzydło i otwiera drzwi. Niestety, wszystkie instrumenty i kontrolki zostały wyrwane z deski rozdzielczej.

- Zupełnie jak u mnie – stwierdził Maggot radośnie.
- Muszę mieć... – Senator zaczął znowu, ale ja miałem już dosyć tych jęków.

Przerwałem mu ostro.

- Już mówiłem, znajdziemy to pieprzone radio, kiedy dostaniemy się na pokład jakiejś cholernej łodzi!
- To wszystko miało być inaczej! – Senator nie mógł przestać.
- Nie sprzeczcajcie się, dziewczęta – powiedział Maggot – nie psujcie mi takiej świetnej zabawy.

Nasi wrogowie nie bawili się tak dobrze jak Maggot. Stopniowo wstrzymywali ogień, tak jakby dziwił ich brak odpowiedzi z naszej strony. Tylko co jakiś czas rozlegały się sporadyczne strzały. Musieli też ugasić rozprzestrzeniający się pożar, który wywołał Maggot, wrzucając raketę do zbiornika generatora. Ogień wciąż ogarniał coraz to nowe zarośla i palmy. Jego światło rzucało czerwony blask na dom z wieżyczką i małą anteną radaru.

Znajdowaliśmy się dość daleko poza zasięgiem tego światła. Pod osłoną ciemności wyminęliśmy jedną z ciężarówek blokujących pas startowy. Na prawo od nas rozległ się odgłos uruchamianego silnika i niespodziewanie przestrzeń pola golfowego oświetliły reflektory. Przypuszczałem, że na poszukiwania wysłano dżipa. Na szczęście dla nas samochód skierował się na północ, w przeciwną niż my stronę. Na razie nie musieliśmy się nim przejmować.

Ruszyliśmy dalej. Gdzieś z tyłu ostrzeliwano z dżipa naszą dawną kryjówkę przy maszcie. Zorientowanie się, że nas tam nie ma, było jedynie kwestią sekund. Potem nasi wrogowie na pewno zaczną przeszukiwać całą wyspę.

W końcu dotarliśmy do przystani, gdzie kotwiczyły jachty. Na czarnej, błyszczącej powierzchni wody, na którą płomienie rzucały gdzieś czerwone błyski, kołysało się łagodnie kilkanaście łodzi. Schroniliśmy się w ruinach domu na plaży, zaledwie kilka kroków od brzegu.

- Teraz musimy dostać się na jedną z tych łodzi i wezwać pomoc – powiedziałem.
- Ja pójdę – zaoferował Maggot.
- Nie! – zaprotestował senator. – Ja!
- Płyńcie obaj – zdecydowałem. – Będę was stąd osłaniał. – Wziąłem od Maggota kałasznikowa. – Starajcie się nie hałasować. Kiedy już dostaniecie się na

pokład, zostańcie tam! Jeżeli nie zdołam do was dołączyć, próbujcie sami stąd uciec.

Maggot zawahał się, słysząc nutę pesymizmu w moim głosie.

– Zostanę z tobą, Nick.

– Sam dam sobie radę – odparłem z irytacją. – Na razie nie wiedzą, gdzie jesteśmy, tak więc nie ma bezpośredniego zagrożenia, ale im szybciej dostaniecie się na łódź, tym lepiej. Ja będę osłaniać wasze tyłki. Ruszajcie! – odwróciłem się od nich, dając tym samym do zrozumienia, że sprawę uważam za zamkniętą. Ustawiłem karabin tak, aby móc strzelać zza zasłony, jaką stanowił mur, i wycelowałem w najbliższej stojący dom. Znajdował się mniej więcej w odległości dwustu kroków ode mnie, był nie oświetlony i wyglądał na opuszczony.

Maggot z senatorem zdjęli buty i kamizelki kuloodporne i w samych kombinezonach weszli do laguny. Wolno rozgarniali wodę ramionami. Maggot przewiesił sobie przez plecy M 16. Półautomaty zostawił na brzegu. Do najbliższego jachtu mieli około trzydziestu metrów.

Przez chwilę patrzyłem, jak płyną, a potem odwróciłem się w kierunku ognia oświetlającego domy na południowym krańcu wyspy. *Stingray*. Tego słowa użył senator próbując wezwać pomoc przez radio. Była to nazwa operacji marynarki Stanów Zjednoczonych, dzięki której wody przybrzeżne wysp Bahama wypełniły się szarymi okrętami wojennymi, a bary na wyspach hałaśliwymi marynarzami. Znowu spojrzałem na dwie sylwetki, które wolno i ostrożnie płynęły w stronę najbliższej motorówki. *Stingray*. Pamiętałem, że tego dnia, kiedy senator odwiedził mnie na Strakers Cay, wybierał się na jakieś przyjęcie w ambasadzie amerykańskiej w Nassau, gdzie miał spotkać oficerów floty przeprowadzających operację *Stingray*. Przyleciał wtedy z Maggotem. To z kolei przywiodło mi na myśl pytanie, które nurtowało mnie wcześniej, mianowicie, w jaki sposób senator „znalazł” Maggota?

Dopływali już do rufy dużej łodzi sportowej. Patrzyłem, jak zwalisty Maggot wdrapuje się ostrożnie po drabinie rufowej. Chwilę później usłyszałem trzask zamka głównej kabiny. Zgadywałem, że Maggot szukał właśnie głównego włącznika prądu. Potem wystarczyło jeszcze tylko znaleźć radio.

Teraz senator wspiął się na drabinkę. Żaden z Kolumbijczyków nie spostrzegł chyba, co się działo na przystani. Jak Maggot nazywał Kolumbijczyków? *Narco-trafficantes*? Zauważyłem, że parę razy użył tego słowa. Zastanowiło mnie to, gdyż

Maggot nigdy się specjalnie nie wysilał, aby szukać właściwych określeń. Patrzyłem na ciemny kształt łodzi, z której Maggot na pewno nadawał wezwanie o pomoc. Ale do kogo?

„Iluzja – powtarzałem sobie w myślach – wszystko jest iluzją”. Prawda jest zawsze bardzo śliska. Sztuka polityki, tak jak sztuka aktorska, polega na stworzeniu iluzji doskonałej. Trzeba było nie lada polityka, aby wytworzyć iluzję Camelot w dwudziestym wieku. Ten, któremu się to udało, zrobił to tak doskonale, że nikt nie zauważył, jak Rycerzy Okrągłego Stołu wysyła się na rzeź do Wietnamu. Wyborcy pragnęli właśnie złudzeń. „Pamiętaj – zwykły mawiać mój ojciec – że sławny wieszcz mylił się. Nie cały świat jest sceną. Większa jego część to widownia. Tylko niektórzy rodzą się, by grać. Znakomita większość przychodzi na świat tylko po to, aby tę grę podziwiać. Pamiętaj, chłopcze, że płaci zawsze widz, a my – aktorzy – zbieramy pieniądze. Ja nie należę do publiki. Jestem za to doskonałym aktorem. Ty, Nick, masz wszelkie szanse zostać biednym i zadziwiająco łatwowiernym widzem” – ojciec zawsze kpił z mojej naiwności. Chciał, abym sceniczne kłamstwa uczynił swoim życiem, ale ja się zbuntowałem. Przedkładając umiejętności nad wiarę, niewinność nad wiedzę i naiwność ponad cynizm. Wolałem prawdę od kłamstw, ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ciemność laguny pogłębiało jakieś niezmiernie kłamstwo, i że ja właśnie temu kłamstwu służyłem.

– Nick! – dobiegł mnie syk Maggota. – Nick! Wszystko w porządku! Chodź!

Oznaczało to zapewne, że *Mayday* albo *Stingray* zostało już nadane i że powinienem dołączyć teraz do dwóch Amerykanów na motorówce. Równocześnie zacząłem zdawać sobie sprawę, że nabrano mnie. Zostałem wciągnięty w tę rozgrywkę na Murder Cay z przyczyn, których nigdy nie miałem poznać. Czulem, że nikt prócz mnie nie dba o to co, się stało z Ellen. Senatorowi było obojętne, czy ktoś ją zgwałcił, czy zginęła. On miał swój własny plan. Podobnie zresztą jak ja. Tyle że moim planem była Ellen.

Nie zareagowałem na wezwanie Maggota.

Podniosłem się z ziemi. Przez ramię przewiesiłem taśmę z amunicją i wziąłem do ręki karabin maszynowy. Moi wrogowie formowali szyki. Nadszedł czas, abym opuścił szeregi łatwowiernych widzów i sam został aktorem, grającym według własnego scenariusza, pragnącym poznać prawdę.



Maggot syknął, abym dołączył do niego i senatora, ale nie posłuchałem go. Odszedłem. Byłem wściekły, ale nie wiedziałem, na kogo i za co. Gniew sprawił, że stałem się nieostrożny, Nawet nie próbowałem się kryć, po prostu szedłem plażą, niosąc w ręku ciężkiego kałasznikowa.

Nie było to jednak aż tak nieroztropne, jakby się mogło wydawać. Plażę osłaniał prawie półtorametrowy uskok. Lekko pochylony mogłem przejść spokojnie wzdłuż całej prawie wyspy bez obawy, że zostanę zauważony przez tych, którzy znajdowali się w domach. W tym jednak momencie zupełnie mnie to nie obchodziło. Byłem jak obłąkany. Kierowało mną szaleńcze przekonanie, że chroni mnie sprawiedliwość i że nic mi się nie może stać.

Gdzieś w oddali, poza pasem startowym, wybuchł granat. Zaraz potem w centrum wyspy rozbłysła kolejna rakietą. Jeszcze jedną wystrzelono ponad ruinami domu na plaży. Przy ich oślepiającym blasku każdy cień zdawał się czarny jak wejście do piekła. Znajdowałem się właśnie w takim atramentowym cieniu.

Zmieszałem w kierunku najbardziej na północ wysuniętego domu, który, jak sądziłem, należał do Sweetmana, i gdzie prawdopodobnie znajdowała się Ellen. Sweetman nigdy nie krył tego, że Ellen mu się podobała, i na pewno stać go było na zapłacenie McIlvanneyowi jego zwykłej ceny za dostarczanie panienek. Szedłem niezdarnie, buty grzęzły mi w piasku. Musiałem wspinać się po kamieniach umacniających drewniane filary, chroniące piaszczysty nasyp przed dalszym osuwaniem się. Zawadziłem o pozostawioną przez kogoś na plaży deskę surfingową i uderzyłem

głową w pochylony pień palmy. Amunicja, którą niosłem, brzęknęła głośniejsz, a przewieszony przez lewe ramię skorpion uderzył w kałasznikowa, ale odgłosy te zagubiły się w huku wystrzałów moździerz. Szedłem jak lunatyk w kierunku domu Sweetmana. Nie dbałem o jakiegokolwiek zabezpieczenia. Po prostu wszedłem po drewnianych schodach i pewnym krokiem przemierzyłem wykładany marmurem taras, tak jakbym był oczekiwanym gościem. Przez cały czas towarzyszyło mi szaleńcze przekonanie, że przeżyję. Jak dotąd nikt mnie nie zauważył.

Nagle ten lunatyczny trans gdzieś uleciał. Jakiś cień przemknął przez skrzynki z kwiatami na lewo ode mnie. Padłem na marmur tarasu. Usłyszałem głośny szczęk amunicji i broni. Skierowałem lufę karabinu w stronę, skąd, jak sądziłem, nadchodziło niebezpieczeństwo. Już miałem pociągnąć za spust, kiedy usłyszałem miauknięcie i „niebezpieczeństwo” otarło się o mój prawy policzek. Pot lał się ze mnie strumieniami.

– O Jezu! – odetchnąłem cicho i oparłem głowę o chłodny marmur.

Niespodziewany wybuch wyrwał mnie z chwilowego zamyślenia. Niesamowity ogłuszający łoskot przetoczył się przez wyspę. Strumień ognia wystrzelił w niebo. Domyśliłem się, że pożar dotarł do dużego zbiornika z gazem zasilającym największy dom na wyspie. Widziałem mężczyzn uciekających w popłochu przed płomieniami, które wzbijały się aż na wysokość anteny radaru. Prawie natychmiast zajęły się pobliskie zarośla. Z tyłu za mną lagunę oświetlały srebrem spadające rakiety.

Wysyłano je w niebo na chybił trafił. Również z moździerz strzelano, gdzie popadnie. Moździerz znajdował się chyba w domu, który stał dość blisko szalejącego pożaru. Z ogrodu dobiegły mnie okrzyki mężczyzn. Sporadycznie odzywał się jakiś karabin maszynowy. *Narcotraficantes* zupełnie stracili orientację. Oślepiały ich własne rakiety. Nie wiedzieli nawet, ilu mają przeciwników i gdzie oni są?

W domu, przy którym się znajdowałem, było zupełnie ciemno. Tylko sierp księżycy srebrzył wodę w ustawionej na tarasie kadzi. Jedno skrzydło przeszklnych drzwi było otwarte i wiatr poruszał lekko białą zasłonę. Nie wyczuwałem żadnego niebezpieczeństwa. Podniosłem się z ziemi, okrążyłem kadełko ze srebrną wodą i podszedłem do otwartych drzwi. Nikt mnie nie zaatakował. Przystanąłem za

zasłoną, nasłuchując, ale nie doszedł mnie żaden podejrzany dźwięk. Nie zauważony wszedłem do domu. W powietrzu unosił się łagodny zapach perfum, tak jakby w pokoju była jeszcze przed chwilą jakaś kobieta. Staralem się dojrzeć cokolwiek w ciemnościach i wtedy wystrzelono kolejną rakietę. Dziwne, białe światło rozproszyło mrok. Znajdowałem się w długim, eleganckim pomieszczeniu, w którym stały wiklinowe meble. Inne szklane drzwi prowadziły na wewnętrzny dziedziniec, gdzie znajdował się basen. W powierzchni wody odbijało się ostre światło rakiety. Na ścianach pokoju wisiały cenne stare ryciny. Jednym słowem był to dom cywilizowanego mordercy.

Stałem nieruchomo, starając się wśród zapachu perfum wyczuć ewentualne niebezpieczeństwo. Gdzieś w głębi domu otworzyły się drzwi i zobaczyłem migoczący płomień świecy. Ktoś szedł korytarzem w moim kierunku.

Jedna ściana holu, ta od strony wewnętrznego dziedzińca, była całkowicie przeszkłona. Przy drugiej stały regały z książkami. Widziałem jak ten ktoś, kto trzymał świecę, osłania płomień dłonią, by nie zgasł.

To był Rickie. Szedł w moją stronę, nie spodziewając się niczego.

Szedł ostrożnie. Patrzył w dół na świecę. Drzwi pokoju, z którego wyszedł, zostawił otwarte. Stało tam więcej zapalonych świec. Czułem, że Rickie jest sam. Nucił coś pod nosem. Całą swą uwagę skupiał na małym płomieniu świecy. Dopiero po dłuższej chwili zauważył wycelowaną w swój brzuch lufę. Podniósł wzrok. Świeca spadła na podłogę i zgasła.

– Cześć, Rickie – powiedziałem łagodnie.

Trząśł się. Widział mnie wystarczająco dokładnie w blasku świec dochodzącym z pokoju w głębi holu. Ja widziałem jego twarz bardzo niewyraźnie, ale to, co zdołałem dojrzeć w ciemnościach, nie wyglądało najlepiej. Wydawał się stary i zniszczony. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z gardła żadnego dźwięku. Zaczął cofać się, wymachując w moją stronę rękami.

– Ty umarłeś! – wykrztusił w końcu. – Powiedzieli mi, że nie żyjesz!

– Twój ojciec jest tutaj, Rickie. Przyplynał, żeby cię stąd zabrać.

Rickie wycofał się do pokoju oświetlonego świecami. Dopiero w ich blasku dostrzegłem, jak bardzo był blady. Zdrowe oko miał zaczerwienione, a w nozdrzach

widniały ślady zakrzepłej krwi. Widziałem, jak na jego szyi pulsują żyły. Wciąż się przede mną cofał, aż w końcu zatrzymał przy stole. Opadł na jego blat jak marionetka, której niespodziewanie przecięto sznurki.

– Nie powinienes tutaj przychodzić! – zapisał i wyciągnął ręce w stronę ścian, tak jakby chciał je przede mną ochronić. Ten dziwny gest uświadomił mi, co kryło się w tym pokoju.

Trzymano w nim nowe bogactwa obu Ameryk.

Stałem wśród tego „złota nowej ery”, które mieszało w głowach dojrzałym, a nawet sędziwym narodom. Tym nowym białym złotem była kokaina. Znajdowaliśmy się w pokoju wypełnionym po brzegi tym świństwem. Wszędzie dokoła leżały plastikowe torebki z białym proszkiem. Nawet pod nogami miałem ten cholerny pył. Ktoś, najprawdopodobniej Rickie, wysypał zawartość jednej torebki na podłogę.

Na stole za Rickiem znajdowały się pieniądze i aparat do liczenia banknotów. Leżał tam także nóż. Rickie podniósł go i skierował ostrze w moją stronę. Z ła-twością wyjąłem mu go z dłoni. Zadrżał. Pewnie sądził, że go teraz zaatakuję. Ja jednak podszedłem do stosu torebek i zacząłem rozcinać plastik. Za każdym cięciem na podłogę sypał się majątek, o jakim nie śniło się koloniom hiszpańskim. Poły-skliwe wodospady kokainy kończyły swój bieg na dywanie. Rozdzierałem pękate torebki i zanurzałem dłonie w powodzi czystej koki. Rickie patrząc na mnie, zaczął nagle chichotać.

– Ty jesteś Nick? – powiedział śmiejąc się.

– Zgadza się.

– Oni mówili, że cię zabiją. – Mówił jak małe dziecko, które jeszcze niezbyt dobrze umie łączyć sylaby w wyrazy.

– Już próbowali – powiedziałem, rozcinając następną torebkę. – Gdzie jest Ellen? – zapytałem.

– Ellen jest bardzo ładna. – Rickie ze zgrozą przyglądał się rozsypanej po podłodze kokainie.

– Gdzie ona jest, Rickie?

– Muszę im powiedzieć, że tu jesteś, żeby mogli cię zabić – powiedział poważnie chłopak.

– Dobrze. – Wbiłem nóż w plastik, szarpnąłem ostrze i patrzyłem, jak biały

proszek leci w dół. – Ale najpierw powiesz mi, gdzie jest Ellen.

– Jesteś tylko zjawą! Ty nie żyjesz! – Rickie nagle zaniepokoił się. Zaczął machać rękami, chcąc odstraszyć mego ducha. Z nosa pociekła mu krew. Płakał. – Ty nie żyjesz! Nie żyjesz! – krzyczał do mnie. Krople krwi plamiły śnieżnobiały proszek na podłodze. – Jesteś cholernym trupem i nienawidzę cię! – Plunął na mnie z obrzydzeniem i krzyknął, żebym sobie poszedł. Ja też go nienawidziłem.

Upuściłem nóż na kokainę i strzeliłem z kałasznikowa. Celowałem ponad głowę Rickiego. Pociski wryły się w ścianę. Huk wystrzału rozniósł się echem po pokoju. Rickie zawył, zatkał uszy i skulił na podłodze, która wyglądała, jakby spadł na nią świeży śnieg.

Kiedy strzały umilkły, chłopak spojrzał na mnie. Sądził, że chcę go zabić.

– Gdzie jest Ellen? – zapytałem raz jeszcze.

– One wszystkie są w domu obok – powiedział. Był bliski obłędu, a jednak to co mówił, miało sens. Tylko ton głosu zdradzał szaleństwo. Był to pisk połączony z rozpaczliwym szlochem. – Wszystkie kobiety są w domu Billingsleya. Mówili, że tam będą bezpieczne. Nie lubię Billingsleya. Naprawdę go nie lubię i on mnie też nie lubi. Nikt mnie nie lubi. – Znow zaczął płakać, ale ja już na niego nie zważałem. Musiałem dostać się do sąsiedniego domu.

Zamknąłem Rickiego w pokoju razem z jego cenną kokainą i wróciłem holem wzdłuż regałów wypełnionych książkami do eleganckiego pokoju z rycinami na ścianach. Przez oszklone drzwi wyszedłem z powrotem na taras. Przeskoczyłem przez balustradę i ostrożnie zbiegłem po stromym nasypie na piaszczystą alejkę oddzielającą najbardziej na północ wysunięty dom od willi Billingsleya.

Wspiąłem się na taras. Usłyszałem suchy trzask i w ciemnościach zapłonęła zapałka. Zamarłem w bezruchu. Czuję dym z papierosa. Na rogu domu stał uzbrojony strażnik. Wolnym krokiem przeszedł w przeciwny koniec tarasu. Stał odwrócony tyłem do mnie i patrzył w kierunku pożaru, którego płomienie górowały teraz nad wieżą największego budynku. Przez prawe ramię miał przewieszony półautomat.

Zaciągnął się dymem z papierosa, rozpiął rozporek i zaczął odlewać się do ozdobnej donicy, w której rósł jakiś mały krzew.

– Rzuć broń! – zawołałem krótko.

Mężczyzna odwrócił się, wciąż jeszcze sikając. Usiłował chwycić uzi wiszącego u jego boku, ale widząc wymierzonego w siebie kałasznikowa, doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli zostawi swój półautomat w spokoju. Zaczął machać uspokajająco w moim kierunku i mamrotać coś pod nosem.

– Na ziemię! – powiedziałem. Mężczyzna opadł na kolana. Chciał zapiąć spodnie, ale kiedy opuścił ręce, krzyknąłem na niego, aby je podniósł. Drgnął, przestraszony, i przeżegnał się.

– Na ziemię! – powtórzyłem i człowiek padł płasko na podłogę tarasu. Wciąż coś mamrotał. Leżał w odległości około sześciu metrów ode mnie. Blisko prawej ręki miał swój półautomat. Aby go rozbroić, musiałbym przejść przez otwartą przestrzeń i mogliby mnie zauważyć inni strażnicy. Nie miałbym wtedy żadnych szans.

Jednocześnie zastanawiałem się, czy *narcotraficantes* zostawili do ochrony kobiet więcej niż jednego człowieka. Tak czy inaczej, jeżeli chciałem wejść do domu, musiałem najpierw rozbroić tego strażnika.

– Wrzuć broń do basenu! – nakazałem, ale on nie zareagował. Zaczął mówić szybko słowa, które brzmiały jak modlitwa. To był chyba hiszpański. Nie znałem ani słowa w tym języku.

– Do basenu! – syknąłem i ruchem mojej własnej broni, pokazałem mu, o co chodzi. Nie zauważył mojego gestu, gdyż twarz miał zwróconą do ziemi. Uzi leżał blisko jego prawej ręki. Zbyt blisko.

Wyrzależem zza rogu budynku, rozejrzałem się dookoła i szybko cofnąłem z powrotem w cień. Nikt nie strzelił w moją stronę i nie zauważyłem nic podejrzanego w pobliżu basenu. Leżący na ziemi strażnik nie próbował dosięgnąć broni.

Jeszcze raz rozejrzałem się wokół, tym razem wodząc kałasznikowem wzdłuż brzegów basenu. Nie dostrzegłem żadnego ruchu. Mężczyzna na ziemi też się nie ruszał, musiał być niezłe wystraszony. Poczułem ulgę. Najwidoczniej zostawili tu tylko jednego strażnika.

Wyszedłem na otwartą przestrzeń dziedzińca. Strażnik zadrżał spodziewając się, że strzelę mu w plecy, ale ja tylko nogą odsunąłem półautomat dalej od jego głowy i kopnąłem go w stronę basenu. Rozległ się głośny plusk.

W tym samym momencie drugi strażnik, który dotąd ukrywał się w zaroślach obok basenu, wystrzelił. Z tak niewielkiej odległości nawet bardzo zły strzelec nie mógłby spudłować.

Trafiło mnie sześć pocisków. Stałem z lewą ręką uniesioną w kierunku domu i kule uderzyły mnie na wysokości klatki piersiowej.

Pięć trafiło w żebra, a raczej trafiłoby w nie, gdybym nie miał na sobie kamizelki kuloodpornej. Szósta przeszła mi przez lewe ramię.

Uderzenie dorównywało chyba sile kopnięcia konia pociągowego. Jak kłoda zwałiłem się na ziemię. Byłem w szoku. Z trudem łąpałem powietrze. Ten, który strzelał, zaśmiał się cicho. Usłyszałem, że zmienia magazynek.

Na początku nie czułem żadnego bólu, byłem tylko zdumiony faktem, iż zostałem trafiony. Strażnik, obok którego upadłem, odczołgał się ode mnie.

Padając, przygniotłem kałasznikowa. Starałem się odsunąć trochę na bok, ale o mało co nie zemdlałem z bólu, który rozsadał mi całe lewe ramię. Przez to właśnie ramię miałem przewieszzonego skorpiona. Próbowałem dosięgnąć go prawą ręką, ale wtedy wyrósł nade mną cień strażnika. Z pogardą kopnął małego skorpiona dalej ode mnie.

– Jesteś pieprzonym clownem, Breakspear – stwierdził mężczyzna, wolno cedząc słowa. Miał południowy akcent. – A ja nie cierpię clownów. – Wycelował swego uzi prosto w moje czoło.

Poznałem go. Moje życie było w rękach Jesse'ego Isambarda Sweetmana. Wciąż jeszcze miał na sobie ciemny garnitur. Rozpuścił włosy, które wisiały teraz w strączkach po obu stronach jego przystojnej twarzy.

Zauważył, że go rozpoznałem. Tylko na to czekał. Chciał, aby jego zwycięstwo było całkowite.

- Gdzie jest Ellen? – zapytałem tonem człowieka, którego bardzo coś boli. Zawahał się. Na jego twarzy pojawił się uśmiezek.
- Nigdy się nie dowiesz.
- Proszę.
- Głupio, że tak ją straciłeś – przerwał na chwilę i obserwował mnie. Zaśmiał się cicho. – Krzyczała z rozkoszy, Breakspear, tak bardzo tego chciała, że wprost nie umiałem jej odmówić.

– Łajdaku! – Staralem się podnieść. Sweetman odsunął się o krok i znowu wycelował we mnie swój pistolet. Ciągle się uśmiechał.

– Przekaż ode mnie wiadomość dla pana Boga. PO PROSTU POWIEDZ – NIE. – Pociągnął za spust. Usłyszałem, jak kule uderzają w posadzkę tarasu na lewo ode mnie. Nagle zauważyłem, że Sweetman ma w czole dziurę.

Krew trysnęła na mnie, kiedy Jesse padał do tyłu. Strażnik, którego wcześniej rozbroilem, podniósł się z ziemi i wzywał na pomoc Dziewicę Maryję, ale jego modlitwę przerwał M16 i mężczyzna wpadł do basenu.

– Odkąd zamoczyłem tego cholernego gnata, nie chce strzelać seriami. – Maggot podniósł się z za osłaniającego go nasypu. – Myślałem, że dołączysz do nas!

Staralem się uklęknąć, ale nie mogłem. Było mi niedobrze. Miałem zawroty głowy. Chciałem wytłumaczyć Maggotowi, że M16 nie jest bronią, na której można polegać, ale nie mogłem wykrztusić nawet jednego słowa. Miałem ochotę wymiotować i płakać równocześnie. Ellen, Ellen, Ellen.

Poczułem, jak Maggot pomaga mi wstać, wciska skorpioną w moją prawą dłoń i zabiera ode mnie magazynki z amunicją. Odrzucił na bok swego M16 i podniósł kałasznikowa.

– Muszę cię jakoś stąd wydostać. – Łagodnie zawrócił mnie w stronę morza.

– Nie! – wyrwałem mu się i omal nie krzyknąłem, gdyż moje ramię przeszły rozrywający ból. Zacząłem iść w kierunku domu.

– Nick! – zawołał Maggot.

– Nie! – Lewa ręka wisiała bezwładnie wzdłuż ciała. Kielkował w niej piekielny, pulsujący ból. Krew ściekała po ramieniu pod kombinezonem i skapywała z palców. Nie dbałem o to, ile krwi straciłem, nie dbałem o to, jak bardzo mnie bolało. Musiałem dostać się do domu Billingsleya, gdzie była Ellen. W świetle rakiety widziałem, jak krew mężczyzny, który wpadł do basenu, układa się w wodzie w ciemne esy-floresy.

– Muszę wejść do tego domu – wyjaśniłem Maggotowi, wskazując na willę głównego inspektora.

– Udało nam się uruchomić radio na łodzi – powiedział Maggot. – Wszystko jest w porządku, Nick! Pomoc wkrótce przybędzie.



– Wsadź se gdzieś swoją pomoc – wypaliłem na wpeł przytomnie. Z sąsiedniego domu dobiegły nas jakieś krzyki. Trzech mężczyzn biegło w naszym kierunku przez kort tenisowy, znajdujący się między domem a morzem. Próbowałem podnieść skorpiona, ale Maggot ubiegł mnie. Zielona smuga pocisków kałasznikowa przecięła drogę tamtym trzem. Padli na ziemię. Jeden z mężczyzn już się nie podniósł. Pozostali dwaj uciekali, wzywając na pomoc swoich kompanów. Nawet gdybym teraz nagle zmienił zdanie i zapragnął wrócić z Maggotem na łódź, nie moglibyśmy tego zrobić. Odcięto nam odwrót.

– Chodź! – krzyknąłem do Maggota. Biegł w moim kierunku. Słyszałem świszczące nam nad głowami kule. Wpadliśmy na mały dziedziniec. Chwilowo byliśmy bezpieczni.

Drzwi do domu Billingsleya były otwarte. Przesząpiłem przez próg. Znalazłem się w holu. Szparę pod drzwiami prowadzącymi do jakiegoś pokoju rozjaśniał blask świece.

Maggot zaczął strzelać. Stał zwrócony do mnie plecami. Domyślałem się, że cała banda ścigała teraz na taras domu Billingsleya. Maggot posyłał im serię za serią. Wybuchł granat, ale olbrzymowi nic się nie stało, gdyż wciąż słyszałem, jak wali krótkimi, profesjonalnymi seriami z kałasznikowa. Gdzie były piłkarz nauczył się tak strzelać?

Poszedłem w kierunku jasnej szczeliny pod drzwiami. Drzwi na prawo ode mnie otworzyły się z hukiem. Pomieszczenie oświetlała tylko bijąca od pożaru luna. W jej blasku dojrzałem jakąś wysoką sylwetkę. Mężczyzna miał w ręku półautomat. Nie widział mnie, gdyż znajdowałem się w cieniu. Wystrzeliłem ze skorpiona. Poszedł cały magazynek. Mężczyzna zdążył tylko krótko krzyknąć. W ciepłym holu rozszedł się zapach jego krwi. Za drzwiami zaczęły krzyczeć kobiety.

– Można dostać świra. – Maggot dołączył do mnie.

Wyciągnąłem ku niemu skorpiona. Posłusznie wymienił mi magazynek.

– Przełącz na pojedyncze strzały – poprosiłem go.

– Dobra, Nick. – Przesunął przełącznik na jedynkę, aby pistolet nie opróżniał całego magazynku za jednym pociągnięciem spustu.

– Teraz otwórz drzwi – wskazałem na jasną szparę. Nie mogłem tego zrobić sam, gdyż w prawej ręce trzymałem broń, a lewa była bezwładna.

Maggot położył rękę na klamce, zaczekał chwilę, jakby zastanawiał się, co nas czeka za tymi drzwiami, a potem gwałtownie je otworzył. W pokoju pełno było krzyczących z przerażenia kobiet.

– Zamknijcie się, do cholery! – wrzasnąłem. Bałem się tak samo jak one.

– Nick! – zawołała ze zdziwieniem jakaś dziewczyna.

– Zamknijcie się i nie podnoście głów! Wszystkie na ziemię! Na ziemię! – krzychałem, wchodząc do pokoju i rozglądając się, czy nie ma w nim jakiegoś bandziora, ale dziewczyny były same. Ze strachu tuliły się do siebie. Pokój wyglądał jak zwyczajna, pozbawiona wyrazu sypialnia hotelowa z dwoma łózkami. Nigdzie nie widziałem Ellen. To Robin-Anne mnie rozpoznała. Maggot wciąż jeszcze był w holu. Słyszałem jego strzały. Puste łuski spadały na lakierowane drewno podłogi. Z zewnątrz dochodził warkot jakiegoś silnika. Miałem nadzieję, że to nie dżip z półcałowym brauningiem.

– Granat! – ostrzegł krótko Maggot i wpadł do sypialni. W chwilę później z korytarza dobiegł nas huk eksplozji. Echo wybuchu zagłuszyły strzały z brauninga. Okiennice i szyby po kilku sekundach były już tylko wspomnieniem. Pociski dużego kalibru przebijały ściany, miażdżąc wszystko, co napotkały, niszcząc nawet kamienne filary. Brauning miał wystarczającą moc, aby z łatwością przebijać cegły, tynk czy kamienne płyty. Wśród huku strzałów słyszałem krzyki i szloch kobiety. Sypały się na nas kawałki tynku i drzazgi, powietrze było gęste od dymu i kurzu. W tym całym chaosie cały czas migotały płomienie świec.

Zacząłem czołgać się przez pokój. Kobieta, która leżała pod oknem, krzyknęła, kiedy nastąpiłem na jej gołe nogi. Nie cofnęła ich, więc klęknąłem na jej udach i wyrząłem przez okno. Dosłownie kilka metrów od domu stał dżip. Strzelec na tyle samochodu z zaciśniętymi zębami wysyłał strumień kul w kierunku domu.

Zauważył mnie i wycelował broń w moją stronę. Oparłem skorpioną o zrytą kulami framugę okna. Każdy, najmniejszy nawet ruch, sprawiał mi piekielny ból. Musiałem go pokonać, jeżeli chciałem jeszcze trochę żyć.

Wystrzeliłem. Poczulem słaby odrzut broni.

Kule brauninga waliły niebezpiecznie blisko mnie, wypełniając ciemności straszliwym hukiem. Strzeliłem znowu. Miałem wrażenie, jakbym używał procy

przeciwko kolubrynie. Powinienem być wziąć webleya. Właściwie to nie wiedziałem, dlaczego go nie zabrałem. Pociski brauninga wgrzyzały się w noc, rozbijając cały świat w drzazgi. Przeciwko takiej mocy miałem jedynie małego skorpiona. Nacisnąłem spust po raz trzeci. Kątem oka dostrzegłem, jak tuż przy mojej głowie tynek zamienia się w pył. Nagle padający w tył strzelec szarpnął broń i purpurowa smuga pocisków roztrzaskała rząd dachówek willi Billingsleya.

Okropny hałas urwał się. W nieoczekiwanej ciszy usłyszałem własne jęki.

– Nick? – odezwała się dziewczyna pode mną. Nie była to Robin-Anne. Nie była to również Ellen. – Nick? – powtórzyła.

Nie zwracałem na nią uwagi. Obserwowałem kierowcę, który skrył się teraz za maską dżipa. Nie mogłem dopuścić do tego, aby dotarł do brauninga. Za mną Maggot posłał krótką serię w kierunku holu.

– Nick! – Dziewczyna nie dawała za wygraną.

– Co do diabła? – spytałem zirytowany.

– Klęczysz na moich nogach, Nick. Byłabym wdzięczna, gdybyś zechciał nieco bardziej uważać. – To była Donna.

– Przepraszam – zsunąłem się z jej nóg. Zastanawiałem się, czy ta dziewczyna kiedykolwiek nosiła coś oprócz skąpego bikini.

Uśmiechnęła się wybacząco.

– Dobry wieczór, Nick. Jak się miewasz?

– Donna? – Jakoś nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób ta dziewczyna trafiła tutaj. Spotkanie jej w tym zakurczonym, zadymionym i zrytym kulami pokoju naprawdę mnie zaskoczyło.

– U mnie wszystko w porządku. – Donna odpowiedziała na pytanie, którego nie zadałem. To „w porządku” bardzo mijało się z prawdą, gdyż dziewczyna była bliska hysterii. Jednak nawet w takich warunkach pamiętała o dobrych manierach.

Jeszcze raz wyjrzałem przez okno. Kierowca dżipa wciąż krył się za maską samochodu. Raptem rozległ się jakiś okropny warkot, który zdawał się wypełniać całe niebo. Kierowca wyjrzał ze swego ukrycia. Poznałem go. Był to Matthew McIlvanney.

– Czy McIlvanney cię tu przywiózł? – zapytałem Donnę.

– Oczywiście – odparła – na tym polega jego praca.

– To co on jeszcze tutaj robi? – Musiałem krzyczeć, aby mogła mnie usłyszeć

w tym straszliwym hałasie. Wkrótce zobaczyliśmy, co było jego źródłem. Helikoptery w rytm miarowych uderzeń śmigieł opuszczały się coraz niżej. Z niektórych rozlegały się głosy ludzi krzyczących przez głośniki, abyśmy się poddali. Uderzyło w nas jasne światło reflektora. – Co McIllvanney tutaj robi? – spytałem Donnę raz jeszcze.

– Czasami zostaje na noc. Jutro ma zabrać mnie i Dominikę z powrotem do Nassau. – Wskazała na wysoką bardzo ładną ciemnoskórą dziewczynę, która siedziała przy łóżku. – Dominika jest moją partnerką – wyjaśniła Donna.

– Partnerką?

– Do debla. Gramy w tenisa przeciwko Susan i Felicity. – Susan i Felicity kuliły się przy ścianie.

– Co to, do cholery, jest? Krwawy Wimbledon?

– Ten minister płaci nam, żebyśmy grały nago w tenisa i filmuje to na wideo. – Zaśmiała się trochę zażenowana. – A ja mam taki okropny bekhend – wyznała, jakby minister tylko na to zwracał uwagę.

– Gracie nago w tenisa? – zapytałem zdumiony.

Donna przytaknęła.

– Tak, Nick. Oczywiście, nigdy nie zapominamy posmarować się kremem z filtrem przeciwsłonecznym.

– A niech to. – Rozejrzałem się po pokoju. Mały pluszowy miś z wybebeszonymi przez jakiś pocisk wnętrznościami leżał tuż przy Maggocie, który chyba dopiero teraz zauważył, w jakim nagim towarzystwie się znajdujemy. Robin-Anne wyglądała wśród tych piękności jak zabiedzone zwierzątko. Siedziała skulona w przeciwległym kącie pokoju.

– Czy widziałaś gdzieś tutaj rudowłosą dziewczynę? – spytałem Donnę. – Na imię ma Ellen.

– Nie – odparła Donna bez chwili zastanowienia.

Wyjrzałem przez okno. McIllvanney podnosił się właśnie z ziemi z rękami założonymi na kark. Tuż nad nim wisiał helikopter. Powiew, wywołany obrotami śmigła, poruszał palmami i wzbijał w górę tumany kurzu.

– Zostań tu, John! – powiedziałem do Maggota.

Prawie że krzyknąłem, kiedy gramoląc się przez okno, uderzyłem lewą ręką w

ścianę. Ból był oślepiający. Strzępy metalowej zasłony chroniącej przed owadami i odłamki szkła wczepiały się w mój zakrwawiony kombinezon, rozdzierając go. Odbiłem się prawą nogą od parapetu i zeskoczyłem na ziemię. Jasne światło reflektora natychmiast wyłowiło mnie z ciemności.

– UWAGA! RZUCIĆ BROŃ! RĘCE DO GÓRY I NIE RUSZAĆ SIĘ! – dobiegło mnie ostrzeżenie z głośników helikoptera. Nie wiedzieli, że jestem po ich stronie. Dla nich wszyscy byli podejrzeni.

– Odwalcie się! – krzyknąłem. Nie mogli mnie słyszeć, gdyż teraz metaliczny głos wygłaszał całą formułkę po hiszpańsku. Przestałem zwracać uwagę na helikopter. W prawej ręce trzymałem skorpiona, lewą oklejały mi krew i kurz. Bolały mnie żebra. Miałem tam chyba siniaki jak po końskich podkowach.

– UWAGA... – metaliczny głos zaczął znowu powtarzać angielską wersję ostrzeżenia. Zdawało mi się, że rozpoznaję płaski, nosowy głos agenta DEA, Warrena Smedleya.

Popatrzyłem w górę, w ten wir wiatru, kurzu i światła.

– Zamknij się, ty tępy kutasie!

Niespodziewanie tępy kutas zamknął się. Helikopter zawrócił w stronę otwartej przestrzeni pola golfowego. McIlvanney, który słyszał mój krzyk, rozpoznał mnie i zaczął uciekać. Pobiegłem za nim. W pewnej odległości przed nami wylądował śmigłowiec. Wysypali się z niego uzbrojeni żołnierze. Ustawiono reflektor oświetlający maszt radiowy, aby nie stanowił on zagrożenia dla helikopterów, które nagle pojawiły się nad Murder Cay. Wszystko zdawało się dokładnie zaplanowane. McIlvanney szukał miejsca, gdzie mógłby się ukryć przede mną.

– Stój! – zawołałem. Obejrzał się. Na widok skorpiona zamarł w bezruchu. Stał jak sparaliżowany. Kiedy do niego podszedłem, zaczął się trząść.

– Na ziemię! – krzyknąłem.

McIlvanney padł na piasek. Przycisnąłem go kolanem do ziemi i przytknąłem do jego twarzy broń.

– Tym razem jest naładowany! Wpakuję ci kulkę w tę twoją parszywą czaszkę, jeżeli nie powiesz mi prawdy. Gdzie jest Ellen?

Jeszcze jeden helikopter wylądował niedaleko nas. Nowe tumany kurzu i piachu dołączyły do tych, które już unosiły się w powietrzu. Głośniki wciąż powtarzały ten

sam nakaz rzucenia broni. Ze śmigłowców wyskakiwali uzbrojeni ludzie w granatowych mundurach, hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Miałem wrażenie, że nad wyspą krąży coraz więcej samolotów. Ich czerwone, zielone i białe światła nawigacyjne błyskały wśród chmur dymu wiszących nad laguną.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem – krzyknął McIllvanney. – Skąd, do cholery, mam wiedzieć?!

– Przecież ją tu przywiozłeś! – wrzeszczałem jak opętany. Przestrzeń wokół mnie wypełniał hałas silników, smród paliwa, dym z palącego się domu i pokrzykiwania żołnierzy. – Kłamiesz, ty gnido! – wcisnąłem krótką lufę skorpionia w prawy policzek McIllvanneya. – Gdzie ona jest?

– Nie wiem! Na miłość boską, nie wiem! – McIllvanney był przerażony. – Nie przywiozłem jej tutaj! Przysięgam na mój honor!

– Okłamałeś mnie! Wcisnąłeś mi ten kit o Nedzie Carrawayu! Przez cały czas planowałeś, jak by tu dostarczyć Ellen tym łajdakom, aby mogli ją zabić!

Patrzył na mnie ze szczerym zdziwieniem.

– Ned naprawdę do mnie dzwonił! – zaprotestował. – Nie mógł skontaktować się z żoną, bo pojechała do rodziców, a wiedział, że Ellen pracuje u mnie, więc zadzwonił. Nie widziałem jej, odkąd wypłynęliście w ten przeklęty rejs z bliźniakami Crowninshilda.

Kolejny helikopter wylądował, wypływając na pole golfowe Murder Cay następną grupę uzbrojonych Amerykanów. Wyspa zaczynała wyglądać jak Panama City podczas inwazji wojsk amerykańskich. Powoli zaczynałem rozumieć, co się naprawdę wydarzyło.

– Czy Ellen jest na wyspie? – spytałem już nieco spokojniej.

– Nie! Szukali jej i ciebie. – Był gotów nawet rozplakać się, byle tylko przekonać mnie, iż mówi prawdę. – Oni też chcieli wiedzieć, gdzie jest Ellen, a ja, do cholery, nie mam zielonego pojęcia! Billingsley zaferował mi niezłą sumkę za jedną noc z nią, Sweetman też mnie ciągle o nią męczył, a teraz jeszcze ty. Nawet się nie domyślam, gdzie może być. Nie jestem jakimś pieprzonym magikiem! Nie umiem wyczarowywać dziwek. Jak nie wiem, gdzie jest, to nie i już!

– Nie ma jej tu? – zapytałem zdumiony.

– Nie ma jej tu! – wrzasnął McIllvanney.

Odetchnąłem z ulgą. Tak więc Sweetman kłamał mówiąc, że zgwałcił Ellen. Chciał po prostu, abym przed śmiercią poczuł się upokorzony i zdołowany. Prawie mu się to udało.

McIllvanney tak się starał mnie przekonać, że aż opluł mi ubranie z przejęcia. Niepotrzebnie się wysilał. I tak mu uwierzyłem. Zostałem oszukany, ale nie przez McIllvanneya ani nawet nie przez Sweetmana. To inni byli odpowiedzialni za cały ten teatrzyk. Jęknąłem z bólu, próbując się podnieść. Odrzuciłem skorpiona na piasek.

– Możesz już wstać – powiedziałem.

– Nie mam nic wspólnego z narkotykami! – krzyczał do mnie McIllvanney, wciąż leżąc na ziemi i trzęsąc się. – Powiedz im, Nick! Powiedz im! Ja tylko przywożę dziewczynki. Dobre dziewczynki. Najlepsze!

– Wiem – uciałem. Jakiś mężczyzna krzyknął do mnie, żebym podniósł ręce do góry. Ktoś inny zeskoczył na piasek i wycelował w moją stronę karabin. Jeszcze jeden chwycił mnie za lewą rękę i nie zważając, że krzyczę z bólu, założył mi kajdanki. Tak samo postępowano z wszystkimi, dopiero później czarne oddzielano od białego.

– Nie ruszaj się! – wrzasnął jeden z żołnierzy i pchnął mnie, twarzą do dołu, na ziemię obok McIllvanneya, który również był już skuty.

Z wielkiego chinooka, który dopiero co wylądował na polu golfowym, wyjechał dżip, szarpiąc kołami równo przyciętą trawę. Jakiś amerykański oficer stanął na krawędzi piaszczystej pułapki. Usłyszałem jak woła przez radio: „*Stingray Alfa, Stingray Alfa*, tu *Stingray Delfin, Stingray Delfin*. Zadanie wykonane, teren bezpieczny. Powtarzam, teren bezpieczny. Bez odbioru”. Oficer spojrzał na nas obojętnie i odszedł.

– Nie mam nic wspólnego z narkotykami! – krzyknął za nim McIllvanney, ale oficer nie zwrócił na to uwagi. Irlandczyk popatrzył na mnie błagalnie. – Nick! Przecież mnie znasz. Ja nienawidzę narkotyków! Brzydzę się tym paskudztwem! – Chyba sądził, że jeżeli zdoła przekonać mnie o swojej niewinności, będzie to równoznaczne z przekonaniem całego świata.

Nie zwracałem uwagi na to, co mówił McIllvanney. Leżałem z twarzą w piasku i czułem, jak ból rozrywa mi lewe ramię. Mimo to byłem szczęśliwy. Słowo *Stingray*

potwierdziło wszystkie moje przypuszczenia. Senator wzywał przez radio *Stingray* i *Stingray* się zjawilo, bo tak bylo od początku zaplanowane. *Stingray* miało się zjawić, a to oznaczało, że Ellen jest bezpieczna.

Była bezpieczna przez cały czas.

To ludzie senatora maczali palce w tym tajemniczym zniknięciu Ellen. Wiedzieli, gdzie będą szukał zemsty i właśnie o to im chodziło. Chcieli, żebym im pomógł. Amerykanie nie mogli oficjalnie przeszukać Murder Cay, ale wiedzieli, że cały świat im wybaczy, jeśli ich okręty przypadkowo odbywające w pobliżu manewry, zareagują na wezwanie o pomoc. Szczególnie, że pomocy tej potrzebował amerykański senator, który szukał na Murder Cay swoich dzieci. Gdyby rząd brytyjski miał coś przeciwko tej inwazji na terytorium jednego z państw suwerennych Wspólnoty Europejskiej, to Amerykanie również mieli na to gotową odpowiedź: przecież ratowali również nieroztropnego Brytyjczyka, który próbował pomóc senatorowi.

Wszystko było zaplanowane. Gdybyśmy nie stracili obu krótkofalówek, to *Stingray* przybyłoby nam „z odsieczą”, jeszcze zanim rozpętała się cała ta strzelanina. Amerykanie przez cały czas czekali, poza zasięgiem radaru, na sygnał. Ze względu na powszechnie uznawane dyktaty polityczne i opinię publiczną, całej operacji trzeba było nadać charakter misji niesienia pomocy. Wiedziałem już, że mną manipulowano. Mój udział bowiem oddalał wszelkie podejrzenia, iż cała akcja została zaplanowana przez Pentagon. Senator i ja wyszliśmy na szlachetnych i bohaterskich głupców – Don Kiszotów, którzy zwyciężają w walce z olbrzymami.

A Maggot?

Jak się domyślałem, Maggot po prostu nie istniał. Był najprawdopodobniej agentem DEA, US Customs Service albo jednej z wielu grup operacyjnych, które miały za zadanie wykrywać i likwidować siatki handlarzy narkotyków.

– Tego – usłyszałem nad sobą głos Maggota – można rozkuć. To tylko Angol, który znalazł się tutaj przypadkowo. Nic byście z niego nie wyciągnęli – zaśmiał się.

– Ty łajdaku – powiedziałem do Maggota.

Zdjął mi kajdanki i ostrożnie pomógł wstać. Zaprowadził do lekarza, który chciał mnie natychmiast załadować na salę operacyjną na jednym ze statków, ale



ja nie chciałem jeszcze opuszczać Murder Cay. Chciałem poznać odpowiedzi na parę pytań. Poszliśmy z Maggotem wzdłuż plaży.

– Kim ty właściwie jesteś? – zapytałem go.

– John Maggovertski – przedstawił się, uśmiechając pod tą swoją czarną skołtunioną brodą. – Dla przyjaciół po prostu – Maggot. Przecież wiesz, kim jestem. Skończonym piłkarzem, kończącym się biznesmenem, miejscowym obibokiem, przeciętnym pilotem, niezwykle utalentowanym piwoszem, kolekcjonerem broni, wielbicielem kobiet lekkich obyczajów, wielbicielem kobiet zasadniczych, wielbicielem wszystkich kobiet, trenerem gry tenisa, niezwykle...

– DEA – podjąłem jego wyliczankę – US Customs? Specjalna Grupa Operacyjna? CIA?

– Wiesz, Nick, czasami szwankuje mi słuch i jakoś tak się dziwnie składa, że na pewien rodzaj pytań jestem głuchy. A tak w ogóle, wracając do tego, kim jestem, nie uwierzyłbyś, jak wiele osób wspomina takiemu beztrószkiemu, lubiącemu zabawę facetowi jak ja o swych sprawach i sprawczkach, o jakichś transportach i o narkotykach.

Szliśmy wolno wzdłuż plaży. Małe fale laguny niezmordowanie lądowały z pluskiem na brzegu i cofały się. Środek przeciwbólowy, który dostałem od lekarza, sprawiał, że lekko kręciło mi się w głowie, ale już nie na tyle, abym dał się nadal zwodzić.

– Gdzie jest Ellen? – spytałem Johna.

– Z tego co wiem, Nick, jest w domu gościnnym ambasady w Nassau. Była dobrze traktowana, choć sama miała na ten temat inne zdanie. Musieliśmy zabronić jej jakichkolwiek telefonów. Nie mogła też nigdzie się ruszyć i pewnie dlatego była taka wściekła. Wiem, że ją lubisz, Nick, ale czy ty kiedykolwiek miałeś okazję zobaczyć ją w akcji? Wiesz, jaki ta baba ma ostry język? Jezu, mogłaby chyba spokojnie przeciąć nim każdy metal. Trzymaliśmy ją w Nassau dla jej własnego dobra, ale nigdy byś się tego nie domyślił, słysząc, jak nas przeklina.

Uśmiechnąłem się.

– Czy to ty ją tam zawiozłeś?

– Nie, to Smedley. Znasz go, prawda? Ja tylko to zorganizowałem. – Maggot uśmiechnął się przepraszająco. – *Sorry*, Nick, ale kiedy zadzwoniłeś do mnie,

prosząc o pomoc, kusileś nas. Wiesz, że ja nigdy nie umiałem oprzeć się pokusie.

– A niech cię, chłopie! – powiedziałem bez złości. Lubilem Maggota, niezły był z niego gość. Poza tym sprytnie to wszystko rozegrał. Zamiast zabrać Ellen od razu ze Straker's Cay do Nassau, podrzucił ją do Freeport i pozwolił, aby załatwiła kilka spraw. Dlatego później wyglądało to tak, jakby została porwana. – Ale dlaczego nic mi nie powiedziałeś? – spytałem.

– Zastanów się, Nick. Gdybym ci powiedział, że planujemy całe to przedstawienie i że płaci za nie rząd Stanów Zjednoczonych, czy przyjąłbyś swoją „nie-wielką” rolę?

– Nie – przyznałem.

– No właśnie, a z ciebie nie mogliśmy zrezygnować. Jesteś za dobry – stwierdził Maggot z nieprzyzwoitym uśmieszkiem. – Wyszkolony żołnierz, syn wielkiego sir Thomasa Breakspear! Nawet Angole nie mogą nam się teraz postawić, bo wyrwaliśmy kochanego synka sir Toma z rąk *narcotraficantes*.

– Dobrze, ale dlaczego musiałem zabić tych wszystkich ludzi? – przerwałem jego błazeński wywód.

Spojrzał na mnie przenikliwie.

– Bo byłeś *marine*, Nick.

– Ale nie w waszej marynarce.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

– To wojna przeciwko narkotykom, Nick. Nie wygramy jej, jeżeli nie będziemy walczyli równie okrutnie i bezlitośnie jak *narcotraficantes*. Nie sądziliśmy, że ta akcja zakończy się tak krwawo. Cholera! Gdyby senator nie rzucił krótkofalówką w tego przekłętego psa, wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Zwykle wychodzi inaczej, niż się planuje – powiedziałem. Ellen miała rację mówiąc, że ten cały biznes powinien być legalny. Wtedy nikt nie mógłby zbić na nim takiej kupy forsy, żeby mu się opłacało wplątywać w jakiegokolwiek podejrzaną sprawę, walki, czy kradzieże.

– W każdym razie, mamy to już za sobą. – Maggot czuł się niezręcznie. – Sądzę, że jesteśmy ci winni podziękowania. Oczywiście, nie mówię tego w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych, sam rozumiesz, amerykański rząd jest taki sam jak wszystkie pozostałe. Kupa dupiastych prawników, którzy wiedzą tylko, jak wydawać

pieniądze podatników, a nie potrafią nawet wysikać się porządnie, jeśli ich doradcy nie pokażą im, jak się to robi. Dlatego też byłbym ci wdzięczny, gdybyś nie wspominał nikomu, że jestem w jakikolwiek sposób związany z tą kupą palantów. Czy wyrażam się jasno?

- Najzupełniej. Ty po prostu nie istniejesz, czy tak?
- Właśnie.

Ponad horyzontem ukazała się stalowa smuga nadchodzącego świtu. W powietrzu rozchodził się smród paliwa. Wyobrażałem sobie, jak czysty jest teraz wiatr daleko poza rafą. Nagle zapragnąłem być gdzieś na morzu. Tylko Ellen, Masquerade, ja i bezkresna woda. Spojrzałem ponuro na swoje zabandażowane ramię.

– Niestety, uniemożliwiłeś mi na jakiś czas naprawę łodzi, ty wielki, nie istniejący łajdaku.

– Twoja łódź jedzie jutro na Florydę, Nick. Podpisałeś przecież umowę, pamiętasz?

Popatrzyłem mu prosto w oczy.

– Kiedy to wszystko zaplanowaliście? Po tym, co się stało w Sea Rat Cay?

– Tak, ale już wcześniej mieliśmy pewne podejrzenia, że Rickie postanowił nam zagrać na nosie. Cały pomysł tego rejsu na Bahamach wyszedł od niego, pamiętasz? Senator współpracuje z nami już od kilku miesięcy. Najpierw sadzu, że dzięki temu wyrok w sprawie jego syna nie będzie taki duży. Poza tym wiedział, że mu się to w pewnym sensie opłaci. Dla niego jest to niezła reklama, a popularność dla polityka jest tym samym, czym kokaina dla Rickiego. Aż do wczoraj nie byłem pewien, czy cała akcja dojdzie do skutku. Musieliśmy zdać się trochę na los. Gdyby te gnojki nie chciały cię wtedy sprzątnąć, to pewnie ci na górze nigdy nie zdecydowałyby się na coś takiego. – Maggot odwrócił się i patrzył teraz na domy. Pożar został ugaszony. Jego blask zastąpiło ostre światło reflektorów ekip telewizyjnych. – Dziennikarze już tu są – wyjaśnił. – Tak się złożyło, że zupełnie przypadkowo zaproszono paru. Mieli obserwować nocne manewry *Stingray*.

– Przepadkowo zaprosił ich senator?

– Sądzę, że zajęło się tym jego biuro prasowe. Jesteśmy właśnie świadkami, jak się tworzy prezydenta. – Maggot zapalił papierosa. – Za chwilę będzie tutaj jeszcze więcej tych typków z prasy i z telewizji. Na pewno będą chcieli porozmawiać z tobą. Mam również dopilnować, żebyś powiedział im to, co trzeba, Nick.

Helikoptery, na pokładzie których przybyli dziennikarze, wylądowały na północnym cyplu Murder Cay. Stamtąd reporterzy szli obejrzeć tony kokainy, które wkrótce miały zostać przewiezione do Ameryki. Potem zaczęły się wywiady z senatorem-bohaterem. Była to główna wiadomość dziennika: Jak wyprawa dzielnego senatora na ratunek dzieciom doprowadziła do rozgromienia kokainowej rodzinki Kolumbijczyków. Dobro zwyciężyło ze złem, Biały Rycerz wjechał w cienistą dolinę śmierci i zwyciężył, pokonując wszelkie niebezpieczeństwa. W nagrodę zamiast połowy królestwa czekał go Biały Domek z ogródkiem. Polityk znalazł swe powołanie, Ameryka ma swoją iluzję zwycięstwa, a narkotyki wciąż płyną ku niej innymi strumieniami.

Reporterom nie pokazano ciał, które powkładano w plastikowe zielone worki. Jednym z zabitych był Deacon Billingsley. To on okazał się tym wysokim mężczyzną, który otworzył drzwi ciemnego pokoju i w którego wpakowałem cały magazynek skorpiona.

Reporterom nie przedstawiono też dzieci senatora. Rickiego na noszach odniesiono do helikoptera. Robin-Anne szła obok i trzymała brata za rękę.

– Bogaci należą do innego gatunku ludzi – stwierdził gorzko Maggot, patrząc, jak dzieci senatora dyskretnie eskortowano do helikoptera.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Wszystkich pozostałych zakuwają w kajdanki, nie szczędząc im przy tym kopniaków i szturchańców, a te cholerne bogate dupki odwozi się do pięciogwiazdkowej kliniki. Sędziemu na pewno powiedzą, że Rickie wydał Colonów i dzięki temu poklepią go po ramieniu, przestrzegając, żeby nie zachowywał się więcej jak niemądry chłopiec. – Maggot splunął na piasek.

Dziennikarze asystowali właśnie przy wprowadzaniu więźniów do czekającego helikoptera. Minister głośno protestował, że jest niewinny, ale agent DEA, Warren Smedley, już poinformował prasę, że w domu należącym do ministra znaleziono pół tony kokainy. Dla wszystkich było jasne, że wysocy urzędnicy państwowi mieszkający na tej wyspie, mieli za zadanie trzymać Amerykanów z dala od Murder Cay. Miguel Colon z kamienną twarzą dumnie szedł wśród pojmanych. Warren Smedley

za to zachowywał się jak kot, który znalazł największą na świecie miskę śmietany. Przedstawiłem mu protesty McIllvanneya.

– Tym razem – stwierdził Smedley z wyższością – będziemy prowadzili dochodzenie tylko przeciwko mieszkańcom wyspy i ich płatnej ochronie. Służba i przypadkowi goście nie będą nim objęci.

– Tylko tak gada – powiedział Maggot, kiedy Smedley już odszedł. – Prawnicy wyciągną każdego z tych typków za kaucją już jutro. Będziemy mieli szczęście, jeżeli sąd zadecyduje o ekstradycji chociaż jednego z nich.

Maggota nie przedstawiono dziennikarzom. Uniknął ich kamer i notatników. On oficjalnie nie istniał. Jego imię nie miało się pojawić w żadnej gazecie. Nie zauważony odszedł w kierunku pasa startowego, gdzie światła helikopterów zaczynały błędąc w pierwszych przebłyskach świtu.

– Na mnie już czas – powiedział. Przez chwilę patrzył na zachodnie niebo, jeszcze ciemne i gwiazdzone. Zbliżał się stamtąd do nas kolejny śmigłowiec. – Sądzę, że wiesz, co masz mówić prasie, Nick?

– Prawdę?

– To jest zwykle niebezpieczne – zaśmiał się Maggot. – Dlaczego nie powiesz, że tylko ty i senator przybyliście na wyspę. Nikt więcej. Powiedz, że nie mieliście ze sobą żadnej broni. Odebraliście ją nieostrożnym strażnikom, którzy rozwalili się dżipem. Ten dżip, oczywiście, już leży, aby uwiarygodnić twoją wersję wydarzeń. Nie wspominaj nic o tym, że senator sikał w majtki ze strachu. Raczej napomknij mimochodem o jego bohaterstwie i niezwykłych zdolnościach przywódczych. Możesz nawet zaśpiewać mu ze dwie zwrotki hymnu pochwalnego i „Sto lat”. Aha! Wy, oczywiście, strzelaliście tylko w samoobronie.

– Jasne! – uśmiechnąłem się.

Samotny helikopter lądował już na Murder Cay. Maggot nie patrzył w jego stronę. Obserwował małą grupkę, którą strażnicy eskortowali właśnie do wielkiego chinooka.

– O, Boże! – W jego głosie brzmiało niezwykle wprost zainteresowanie. – Czy widzisz to, co ja, Nick? Czy to nie jest cud nad cudy? Chodząca esencja kobiecości.

Odwróciłem się w kierunku dziewczyn, które prowadzono do śmigłowca. Dokładnie wiedziałem, którą z nich Maggot miał na myśli.

– Ma na imię Donna – powiedziałem. – Jest z Filadelfii i potrzebny jej trener do tenisa. Chce poprawić swój bekhend.

– Nick, nie nabijaj się z przyjaciela.

– To prawda. Bóg mi świadkiem. Ona uważa, że ma za słaby bekhend. Powiedz jej, że jesteś moim przyjacielem i przekazaj jej ode mnie: „Cześć!”

– Jesteś niezwykle wspaniałomyślny, Nick. Sądzę, że właśnie znalazłem sobie partnerkę do tenisa – uśmiechnął się złośliwie i wyciągnął do mnie swoją wielką rękę. – No to co? Zobaczymy się jeszcze przed śmiercią?

Uściskałem jego dłoń i przytrzymałem przez chwilę.

– Tylko jedno pytanie, Maggot.

– Dobra.

Musiałem podnieść głos, aby przekrzyczeć huk lądującego helikoptera.

– Ta dziewczyna z Pittsburgha? Czy ona też jest zmyślona?

Pokręcił głową.

– Nie, przyjacielu. Wendy jest cholernie prawdziwa. Właśnie z jej powodu robię to wszystko.

Puściłem jego rękę.

– Powodzenia, Maggot.

– Tobie też, Nick. – Ruszył biegiem w kierunku chinooka, do którego wsiadła Donna. Jeszcze raz zatrzymał się i krzyknął w moją stronę: – Powiedz Ellen, że z przyjemnością zostaną drużbą na waszym weselu! Wypijemy sobie!

Ze śmiechem odwróciłem się w kierunku helikoptera, który przed chwilą nadleciał z zachodu. Osiadł na ziemi niczym ważka. Jego śmigła kręciły się coraz wolniej. Unoszący się w powietrzu kurz zdawał się mieć czerwonozłotą barwę. Wschodziło słońce. Zauważyłem kilku reporterów, idących w moim kierunku. Teraz nadeszła moja kolej. Miałem przyczynić się do tworzenia legendy senatora. George Crowninshield, wojownik, zwycięzca wojny narkotykowej! Grał przywódcę tej wyprawy krzyżowej przeciwko narkotykom, które stały się zagrożeniem dla jego własnych dzieci. Prawie że widziałem aureolę wokół głowy Crowninshielda, kiedy tak szedł otoczony dziennikarzami i stadem tłumnie przybyłych doradców.

Wtedy ktoś za mną krzyknął. Odwróciłem się i zapomniałem o senatorze, dziennikarzach i Maggocie. Widziałem tylko złotorude włosy Ellen. Poczułem ucisk w gardle. Wyciągnąłem ku niej ramiona. Widziałem łzy w jej oczach. Była szczęśliwa, tak jak ja. Zderzyliśmy się niezgrabnie i oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Objąłem ją. Czulem piekący ból w ramieniu, ale to nie miało znaczenia.

– Nie chcieli mnie tu zabrać – wyrzuciła z siebie. – Obawiali się, że powiem prawdę dziennikarzom, więc zagroziłam im, że jeżeli mnie nie zabiorą, to na pewno cały cholerny świat dowie się, o co w tym wszystkim chodzi. – Śmiała się i płakała równocześnie. – Czy wszystko w porządku, Nick?

– Teraz już wszystko – powiedziałem. Otoczyli nas dziennikarze. Pocałowałem ją.

– Chcę ci coś obiecać.

– Tak?

– Będę zawsze mówił prawdę.

– Kochany Nicku, sądzisz, że po co tu przyjechałam?

Miała ciepłe ręce. Położyła głowę na moim ramieniu. Z boku błysnął jakiś flesz.

– Panie Breakspear, co się tu wydarzyło? – pytali dziennikarze.

Odwróciłem się w ich stronę. Byli jak charty czekające tylko na znak, aby pogonić za swą ofiarą. Oślepiały nas reflektory. Zewsząd wykrzykiwano jakieś pytania. Jak spotkałem senatora? Czy mój ojciec wiedział o wszystkim? Co się właściwie stało? Kim jest ta dziewczyna obok mnie? Jak zostałem ranny? Podniosłem rękę i dziennikarze uciszyli się.

– Powiem wam prawdę – obiecałem głośno – i tylko prawdę!

Na chwilę dziennikarze zapomnieli o senatorze. Na jego twarzy widziałem przerażenie. On naprawdę bał się, że mogę powiedzieć prawdę. Jeden z jego doradców ruszył w moją stronę, chcąc mnie powstrzymać, ale ja nie zamierzałem zmarnować swojej szansy. W końcu miałem publiczność.

– *Przedstawienie nasze skończone* – powiedziałem wielkim głosem sir Toma. Głosem, który widownia pamiętała ze słynnej inscenizacji „Burzy” w Stradford w 1979 roku. Jakiś krytyk porównał ten głos do złotej trąbki, której dźwięk potrafił

doskonale oddać samo sedno złożoności tego świata. – *Ci nasi aktorzy* – ciągnąłem

–

*Jak wam już rzekłem, są wszyscy duchami  
I rozplynęli się, znikli w powietrzu;  
A tak jak pusty kształt tego widzenia,  
Ukryte w chmurach szczyty wież, wspaniałe  
Pałace, wzniosłe świątynie, a nawet  
Cały glob ziemski, tak, i wszystko na nim  
Musi rozplynąć się w nierzeczywiste.  
To przedstawienie rozwiało się całe  
Bez śladu. Bowiemy także jesteśmy  
Tym, z czego rodzą się sny ... \**

Urwałem nagle, przypominając sobie maksymę sir Toma, głoszącą, iż zawsze należy pozostawiać u widza pewien niedosyt. Ukłoniłem się, uśmiechnąłem i odszedłem. Ellen śmiała się razem ze mną. Senator wyglądał jak ktoś, kogo ocalono przed śmiercią, choć on sam nie wiedział, dlaczego. Równie zdezorientowani reporterzy podążyli za mną, wykrzykując swe pytania, ale ja powiedziałem już wszystko. Nie dbałem o to, w jakim świetle przedstawią mnie i Ellen. Ważna była tylko nasza wspólna wyprawa po morzach, na których rolę przewodnika spełniają gwiazdy. Ważny był nasz rejs, wspólny i na zawsze.

\* Przekład: Maciej Słomczyński